

Zwycięstwo mroku

Lee Tanith

Książka III z Krwawa Opera



calibre 0.9.43

Tanith Lee

Zwycięstwo mroku

Tom III Krwawej opery

Darkness, I

Przekład Monika Zieleniewski Irena Dawid–Olczyk

Jacques’owi Postowi i Maartenowi Asscherowi

Z podziękowaniem za wspaniałe dary Holandii

O, moje serce, nie świadcz przeciw mnie.

Magiczna inskrypcja na Skarabeuszu

ROZDZIAŁ 1

Dziecię na grobowcu... Niewielki kamienny kopczyk, a na nim szczupła postać dziewczynki spowitej w klasyczne szaty. Zastygła, pozbawiona wyrazu twarz przywodzi na myśl posągi z Wysp Wielkanocnych, które znał z fotografii. Bóg wie, dlaczego. Nie ma tu ani nazwiska, ani daty.

Grób znajdował się tuż za ogrodzeniem z drutu kolczastego, na końcu lotniska polowego.

Można go było zobaczyć z daleka, gdyż górował nad równiną ciągnącą się do odległych wzgórz, smaganych zimnym, suchym wiatrem.

Czasami jakiś pilot zostawiał kwiatek u stóp kamiennego dziecka; niektórzy nazywali posąg Santa Blanca. Misje, na które wyruszano z tego lotniska były nieoficjalne i zapewne często niezgodne z prawem. Mimo to nie rozumiał, dlaczego miałby składać daninę dziecku. Nigdy nie zostawił nawet kwiatka.

Miquel Chodil odszedł.

Słońce jaśniało na niebie za wyblakłą, niską warstwą chmur. Biała sylwetka dwusilnikowego samolotu rysowała się zbyt ciężko na płycie lotniska, jakby maszyna nie mogła się wznieść. Ale to już były tajemnice mechaniki lotu. Zeszłej nocy nad miastem wzeszedł czerwony księżyc.

Ludzie sprzed wieków odczytaliby to zapewne jako zapowiedź śmierci. Lecz czyjej? Ta noc

musiała przynieść komuś kres.

Skończyli załadunek. Chodil wszedł na pokład i szybko omiół wewnątrz wzrokiem.

Zawsze było podobnie.

Skrzynie kryły najprawdopodobniej książki, pojemniki z olejem i naftą, różne puszkę z artykułami potrzebnymi w bazie. W głębi, w ażurowych opakowaniach mieniły się złote pomarańcze, ciemnoróżowe brzoskwinie i żółte świece bananów. Otulono sianem zielonkawą peruwiańską brandy.

Chodil sprawdził zamocowanie ładunku i zadowolony przeszedł na przód, do kabiny.

Na pasie startowym pojawił się strażnik. Stał z kałasznikowem przewieszonym przez ramię, gapiąc się na samolot. Chodil czekał. Strażnik rozejrzył się nagle, odszedł, tak jakby wyczuł jakieś zagrożenie.

Chodil sprawdził pracę silników maszyny.

Żwawa i prężna, wydobywała z siebie znajome wibracje. Może była zbyt chętna.

— Spokój — powiedział.

Gdy kołował po pasie, jej kołyszący się ruch przypominał krok konia pod jeźdźcem. Wiedział lepiej niż samolot, kiedy ten spróbuje przechylić się na bok, a wtedy prostował jego bieg. W porę poderwał ją w górę, a maszyna wyrównała tor i idealnie wpasowała się w szeroką, błękitną przestrzeń nieba.

Pięćdziesiąt minut i będzie musiał znów posadzić maszynę na ziemi, na pierwsze tankowanie.

A później nadejdzie pora na drugi przystanek, gdzie Rosjanie poczęstują go wódką, a on będzie udawał, że pije. Upokorzyłby ich, odmawiając udziału w zabawie. Oto dwie nie zaznaczone na mapach wyspy; jedna bielsza od drugiej. Ich brzegi są zaśmiecone kośćmi błękitnych waleni, stworzeń zbyt dużych dla Miąuela, by je pokochał i współczuł im.

Lecąc na południe pilot wygrzebał z zakamarków pamięci swój końcowy cel. Odbywał już tę

podróż ze dwadzieścia razy.

Błękitne, przejrzyste jak kryształ niebo stapało się z równie olśniewającym morzem, a białe, kłębiaste obłoki jakby osiadały na dryfujących lodowych skałach — na świątyniach i zamkach, które tworzyły się na wodzie. Śmierć była właśnie bielą, a wewnętrzne jądro tego zimnego, białego serca zatrzymywało zegar zagubionych stworzeń, które wędrowały gdzieś, na jego peryferiach.

Chodil skrzywił się. Zaśpiewał samolotowi i opowiedział mu o kobiecie, którą miał w mieście. Lubił, gdy samolot był trochę zazdrosny. Jeszcze trzy godziny drogi.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy śnieg zaczął padać, znajdowała się na końcu procesji. Trzymała się z tyłu, niepewna. Pomimo wspaniałości odbierała całą ceremonię jako rodzaj oszustwa, idiotyzmu. Irytowała ją, lecz nie trwożyła. To, co widziała przed sobą, było zupełnie absurdalne. Otaczali ją starożytni Egipcjanie. Kobiety były owinięte ciasno w szaty z białej, przezroczystej tkaniny; niektóre z nich odsłoniły krągłe piersi. Mężczyźni opasani na biodrach skórą lub lnianym płótnem, nosili złote kołnierze w kształcie kryzy rozjaśnione granatami i turkusami, znane z fresków i ilustracji. Wizerunku dopełniały czarne peruki i kreski na powiekach, upodabniające ludzkie oczy do rysich. Bez dwóch zdań, każdy widział, kim byli.

To tu, to tam poruszał się leniwie wachlarz ze strusich piór. Ktoś pchał wózek z supermarketu wypchany złotymi naczyniami liturgicznymi i kawałkami wonnego wosku. Wspinali się w kierunku wielkiej piramidy, która wyglądała jakby usypano ją ze starych ksiąg. Niektóre były po prostu wyświechtanymi, tanimi wydaniem w papierowych okładkach.

* * *

Kobiety zawodziły żałośnie. To był pogrzeb. Kto umarł? We śnie pomyślała: och, to Ruth.

I jak na sygnał niebo, ciemne o zmierzchu, otworzyło się i zaczął padać śnieg.

Egipcjanie zatrzymali się; wyglądali jakby stopniowo zamarzali. Teraz Rachaela, może nie z własnej woli, zaczęła posuwać się naprzód wśród nieruchomych szeregów kobiet i mężczyzn. Zbliżyła się do miejsca, gdzie stał kapłan. Przez ramię mistrza ceremonii spływała lamparcia skóra, a jego twarz okrywała czarna maska, przedstawiająca pysk szakala, z charakterystycznymi szpiczastymi uszami.

* * *

Adamus... Oczywiście, we własnej osobie powrócił z zaświatów, żeby doglądać pogrzebu. Trumna z mumią stała na drewnianych kozłach z boku piramidy. Była cała ze złota, bogatsza nawet od trumny słynnego chłopięcego władcy, Tutanchamona. Wieko ozdobił wizerunek dziewczyny o długich, czarnych warkoczach. Tak, to bez wątpienia była Ruth.

Zaczęli opuszczać sarkofag w głąb. Powinna coś czuć, prawda? Potem trumna zniknęła, a ona nadal stała, nie czując absolutnie nic, nawet zimna padającego śniegu. Wszyscy odeszli, zapadła noc. Przestało padać.

Ponad piramidą, na ciemnym niebie płonęła pojedyncza gwiazda. Jak diament. I wtedy „Ka” Ruth wyslizgnęło się z grobowca. Rachaela wiedziała co to jest „Ka” z *Porannej gwiazdy* Haggarda, którą przeczytała jej zmarła córka. Czymże było więc „Ka”? Raczej ciałem astralnym niż duchem. Czymś, co wysnuwało się z ciała i układało w kształt postaci.

Ciało astralne Ruth było bardzo piękne w czarnej szacie ze srebrnym haftem pod szyją. Smoliste włosy spływały obfitą falą aż na plecy zjawy, a jej twarz pokrywał doskonały makijaż; bladoczerwone wargi błyszcząły, w oczach lśnił płomień.

— Witaj, Ruth! — przemówiła do niej Rachaela.

— Witaj, mamo!

A potem „Ka” zbliżyło się do Rachaeli i wyciągnęło dłoń. Na koniuszkach palców pojawił się delikatny, nieruchomy płomycek. Matka chciała się cofnąć, ale nie była w stanie. Oto Ruth

Podpalaczka. Postać stała tak blisko, że Rachaela wyczuwała nawet zapach perfum, który płynął od „Ka”; Lancôme? — Usłyszała szelest sukni.

Ruth wzmocniła płomień na swoich palcach, jakby podkręciła gaz. Rachaela uświadomiła sobie wtedy, że otworzyła szeroko usta, jak niegdyś w dzieciństwie, gdy siedziała na fotelu dentystycznym.

Tak. Siedziała znów na staroświeckim fotelu dentystycznym, pokrytym czarną ceratą, któremu brakowało z tyłu oparcia.

— Oho — powiedziało wspomnienie pozbawione twarzy. — Widzę, że zrobiłaś tu spore spustoszenie. Domyślam się, że przesadziłaś z cukierkami. To może być trochę nieprzyjemne, ale słyszałem, że jesteś bardzo dzielną dziewczynką, prawda?

I wtedy Rachaela zorientowała się, jeszcze zanim dentysta zaatakował ją warczącym żądłem, że to Ruth włożyła jej płomień do ust.

— Teraz tylko przełknij ten mały płomień i możesz wypłukać usta — powiedział dentysta.

Rachaela połknęła ogień... i obudziła się z głową wciśniętą w poduszkę. Była sama...

Odwróciła się powoli, sztywno, rozprostowując mięśnie; obok niej leżała Althene pogrążona we śnie.

Kim jesteś? — spytała w myślach Rachaela.

Nawet pogrążona w nieświadomości, z twarzą oczyszczoną z kosmetyków i włosami zmierzwionymi od snu, Althene nadal była w stu procentach sobą.

Cóż, skoro jesteś dość głupia, by być tu ze mną, obudzę cię, żeby opowiedzieć o swych kłopotach, pomyślała Rachaela. Śniłam o swojej śmierci i zamordowanej córce, demonie morderstwa.

Bardzo ostrożnie i czule, choć bez przyjemności, Rachaela zawinęła brzeg prześcieradła na Althene, zsuwając się na skraj łóżka.

Był ciepły, nieco duszny letni wieczór. Przez otwarte drzwi dochodził zapach śliw i rzeki. Bezszelestnie wyszła z sypialni i skierowała się do łazienki. Obmyta białym blaskiem księżycy, wpadającym przez matową szybę, obserwowała swe odbicie w lustrze, jak cień. Kobieta jak u Klimta: młoda, o wysokich piersiach, z wypukłym, ciężarnym brzuchem. Prawie ósmy miesiąc. Nie, powinna być rozsądna. Cięża nie jest szczególnie duża. Tak jak za poprzednim razem, gdy oszukała pół Londynu, udając, że tylko nieznacznie przybyła na wadze. Poprzednim razem było z Ruth.

Ale Ruth urodziła się, wyrosła i stała się kobietą w wieku jedenastu lat. A co straszniejsze, stała się również morderczynią — a potem dla odmiany... piękną wzbudzającą miłość. Tak było, dopóki nie złamała reguł gry ustanowionych przez kochanka; dopóki nie zabiła znów. Ruth, dama z nożem, sprowadzająca ogień. A kiedy Malach, białowłosy wojownik–kapłan, wyparł się jej — tam, w drugim domu z witrażami w oknach — jakże ona wtedy krzyczała!

Myśleli, że uciekła z Camillem, choć ten nie był jej życzliwy a nawet okazał się wrogi. Nigdy nie pomógłby Ruth. Zresztą, Ruth już wtedy nie można było pomóc.

Co to był za wieczór, kiedy zadzwonił telefon? Wtorek? Środa? Rachaela, na pół pogrążona we śnie, usłyszała jak Althene mówi bardzo cicho. A potem stanęła w drzwiach, jak widmo — posłaniec śmierci.

— Co się stało?

— Nic. Śpij dalej.

— Chcę wiedzieć.

— Cóż, skoro się obudziłaś... będę musiała ci powiedzieć.

I Althene westchnęła. Potem postąpiła krok naprzód, a Rachaela usiadła na łóżku.

— Nie wiem, jak się będziesz czuła — powiedziała Althene. — Erie zadzwonił do nas.

— Chodzi o Ruth — stwierdziła Rachaela.

— Tak. Ale i nie.

— Ona nie żyje.

— Na to wygląda.

Para, uprawiająca jazdę na rowerze, znalazła ją w lasku. Ktoś pchnął ją nożem w lewą pierś, prosto w serce. Zanim odkryto ciało, piękność Ruth została zniweczona na zawsze. Stała się szybko pokarmem dla robaków.

— Była martwa, kiedy ją opuścił — stwierdziła Rachaela. — Już w tamtej chwili umarła. Czy sądzisz, że jego też powiadomią?

— Przypuszczam, że zostanie poinformowany.

Rachaela położyła się z powrotem. W ciemnościach wpatrywała się w sufit; Althene odeszła.

A co ja czuję? — zastanawiała się.

Ale wtedy, tak samo jak teraz, w dwa tygodnie po telefonie Erica, numer wykręcił z pewnością Michael. Rachaela mogła przypomnieć sobie tylko jedno — potworny krzyk Ruth, gdy Malach ją opuścił. Czy krzyczała tak samo, kiedy wchodził w nią nóż? Czy to Camillo trzymał go w ręce?

— Do diabła — powiedziała Rachaela w ciemność łazienki. — Pieprzę to. Precz. Precz z moich myśli.

Jednak taki był powód snów o demonie. Ruth była przyczyną. I telefon. A także pulsujące w niej nowe życie, od którego nie zdołała się uwolnić.

— Mogę ci znaleźć lekarza — zaproponowała Althene — jeżeli nie chcesz utrzymać tej ciąży. A przecież wiem, że nie chcesz.

Tylko, że Rachaela nie chciała ingerencji, jeszcze nie. Aborcja i związane z nią choroba, cierpienie. Jeśli nawet jej sytuacja była luksusowa, a zamieszanie wokół całej sprawy niewielkie, Rachaela wolała schować głowę w piasek. Chciała tylko być z Althene i udawać, że nic się nie

dzieje w jej łonie.

Nadeszła rześka, chłodna, wilgotna wiosna. Czas wypełniały spacery nad rzeką, obiady w ustronnych, małych restauracyjkach, miłość w błękitnej sypialni. Nic, co wzbudzałoby jakiegokolwiek obawy. Toczyły się leniwe, wspólne godziny: malowanie, czytanie Althene, zabawy w makijaż, strojenie się — tak jak na początku ich zażyłości. Na gorących grzankach topniało masło, a w powietrzu rozchodził się zapach wonnej herbaty. Matka była jednocześnie kochankiem i grała rolę męża. Trwał czas zaklęty w szklanym zamku; gdyby tylko można było go zatrzymać...

I w jakiś sposób tak się działo. Wystarczyło Rachaeli tylko spojrzeć na siebie; mocne, blade jak księżyc ciało dwudziestosześcioletniej kobiety, gdy tymczasem ona dawno przekroczyła czterdziestkę. Scarabeidzi rządzą jej czasem.

Althene nie powiedziała jej:

— To jest moje dziecko i potomek Scarabeidów. Musisz je urodzić. Tak łatwo było pozwolić sprawom potoczyć się samym, jak gdyby dziecko nie było realne. A teraz było już za późno.

Lekarz, kiedy go w końcu sprowadzono, był uprzejmy, delikatny i zachęcający. Nie kwestionował obecności Althene. Teraz były panią Day i panią Simon. Lecz troskliwa Althene, choć trudno ją o to winić, stanowiła przyczynę całej sytuacji. Była ojcem brzemia kochanki.

Nie chcę tego, myślała Rachaela. Dlaczego miałabym to utrzymać? Spojrzała w dół. Brzuch.

Kto w nim siedział?

Jeden z kotów, Jacob z czarną mordką, wszedł do łazienki. Tylko koty miały pozwolenie na hałasowanie w nocy. Rachaela podniosła go do góry. Przez chwilę przebierał miękkimi łapkami o schowanych pazurkach na poręcznym występie ciężarnego brzucha. Potem skoczył jej na ramię i zanurzył się we włosach.

Mogła dowiedzieć się, jaka jest płeć jej dziecka, jednak oparła się pokusie. Nie chciała go.

Podobnie nie chciała wziąć odpowiedzialności za zabicie poczętego. Żałowała, że było, więc udawała, że nie istnieje. Dokładnie tak samo jak za poprzednim razem.

* * *

— Wydaje mi się, że ktoś obserwuje mieszkanie.

— Kto? — Althene przeszła przez oranżerię i stanęła obok niej na południowym balkonie.

Z dołu wyglądały jak dwie młode kobiety. Jedna w ciąży.

— Ktoś był pod murem ogrodu. Wcześniej już się to zdarzało. Zeszłej nocy słyszałam hałas.

— To pewnie jeden z kotów — stwierdziła Althene.

— Juliet faktycznie nie było w domu. Wczoraj jednak widziałam przechodzącego mężczyznę.

Staął tam, nad rzeką i patrzył w górę.

Althene nie powiedziała nic.

— Scarabeidzi zawsze chętnie obserwują — powiedziała Rachaela. — Mam na myśli moich

Scarabeidów, tych z rodziny.

— Mogliby.

— Spodziewam się dziecka. Zapewne dowiedzieli się o tym w podobny sposób, jak dowiadują się o wszystkim. A my odcięliśmy się od nich.

— Przypuszczam, że przywykli do tego.

— Nie powinnam mieć dziecka.

— Tak mówiłaś. Ale masz.

— Jestem tchórzem i... samolubem; dlatego się go nie pozbyłam. Teraz za to zapłacę, bo nie obchodzi mnie to dziecko.

— Nie znasz go jeszcze.

— Znałam Ruth.

— Tak — powiedziała Althene pochylając się, żeby wygładzić ziemię pod pelargonią. To

Althene podlewała rośliny; Rachaela wciąż o tym zapominała.

— Ruth mi się śniła — powiedziała młodsza kobieta.

— Opowiedz.

— Właściwie nie ma o czym opowiadać. To byli Egipcjanie. Ruth interesowała się starożytnym Egiptem. Bóg jeden wie, może oni wszyscy wracają co jakiś czas w tak odległe czasy? Mam wrażenie, że bywają zawstydzeni swoim wiekiem. Skoro wiem, że mogą mieć po trzysta lat, to dlaczego nie po trzy tysiące? Starzeją się, a potem młodnieją. Miranda tak robiła. Zresztą, nie znam ich i... nie znam ciebie.

— Robię wszystko, co w mojej mocy, by to zmienić — powiedziała Althene. — Opowiadam ci bardzo dużo o sobie.

— Tak, twoja matka i dom w Amsterdamie. Ale opowieści o twoim dzieciństwie brzmią już gorzej, całkiem nieprawdopodobnie. Raz jest rok 1920, a za moment o wiele wcześniej. Czy to twoja technika?

— Czasami czuję się bardzo staro, Rachaelo. Czasami młodo. Zaczęłam czuć się znów rześko, gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy, patrzącą na mnie z okna. Poczułam, jakbym się obudziła.

— I postanowiłaś mnie zdobyć.

— Udało mi się. Taka byłam bystra.

— Wciąż cię nie znam.

— Jak śmiesz — powiedziała słodko Althene — uważać, że mogłabyś mnie poznać tak szybko. Zajmie ci to wiele dziesiątków lat, żeby choć zacząć.

— Czy rzeczywiście mamy je przed sobą? Wiele, wiele dziesiątków lat?

— Z pewnością mamy schłodzone wino w lodówce.

Rachaela wzięła konewkę i zamachnęła się nią, czyniąc propozycję czerwonym pelargoniom.

Za rzeką secesyjny budynek wyrzucił w niebo miękki pióropusz dymu.

— Czy nie piję za dużo jak na kobietę w stanie błogosławnym?

— Odrobina wina zawsze dobrze robi. A poza tym jesteś Scarabeidem. Możesz pić to co chcesz.

— Jestem Scarabeidem tylko w połowie.

— To wystarczy.

Wzdłuż płaskich nadbrzeżnych bagien wolno spacerował mężczyzna. Głowę miał odwróconą w kierunku okien ich mieszkania. Za jego plecami po lewej stronie zachodziło słońce, odbijając metalowe zmarszczki na rzece czerwonej jak ogień.

Ruth... dziecko ognia.

Althene powróciła z dwoma smukłymi, zielonymi kieliszkami napełnionymi białym winem.

Gdy usiadła, słońce przyzdobiło jej twarz miedzią Inków, a krągłość piersi wyglądała bardzo naturalnie pod bursztynową jedwabną koszulą.

Rachaela poczuła ciepłe, żywiczne pulsowanie pożądania. Nie wiedziała już, czego pragnęła:

Althene—kobiety czy jej ukrytej męskości? A może nie dbała już o to? W ciemności mogła odwrócić się i przesunąć dłońią po wąskich biodrach ukrytych pod jedwabiem nocnego stroju, potem odnaleźć śpiące stworzenie i ożywić to, co kryło się we wnętrzu uperfumowanej kobiecości. „To” podniosłoby głowę; wtedy piękna kobieta spoczęłaby u boku Rachaeli, dla wygody spęczniałego brzucha i przesyłaby jej kobiecość złotą szpilą.

— Napij się. Czy pójdziemy do restauracji za mostem? Przyrządzają tam coś bardzo oryginalnego, całego kurczaka pieczonego z winogronami.

Althene nieomylnie wyczuwała ochotę Rachaeli na niewielkie atrakcje poza domem.

Wiedziała też, że potem jej zmęczona kochanka będzie już pragnąć — jak mała dziewczynka — tylko grzanek i herbaty w upalny wieczór.

Mężczyzna ze ścieżki nad bagnami zniknął. Chmura dymu wisiała nad horyzontem

podświetlona brunatnym odcieniem. Czy fakt, że czuła się obserwowana, był objawem paranoi?

Może obserwowała ją także chmura? Może ptaki miały lornetkę?

□ * *

Kiedy była w ósmym miesiącu, przeprowadziły się. Jak zwykle, okazało się to bardzo proste.

Przybyło trzech uprzejmych pakowaczy, by zająć się książkami, ubraniami i całą resztą.

Mieszkanie umeblowano na przybycie Rachaeli, a niższe piętra pozostały nie używane. Rośliny włożono do korytek z terakoty i napełniono wodą, jak uszkodzone galeony. Koty wyły, drapiąc swoje koszyki. Juliet miauczała władczo bijąc łapami.

Rachaela czuła się winna. Opuściły mieszkanie z jej powodu, być może nieuzasadnionego, wywołanego rozchwianiem biologicznym. Juliet najprawdopodobniej znów połączyła się z Jacobem i była w ciąży. Miała także prawo do specjalnych względów. Ale koty polubiły dom na wzgórzu.

Samo wzgórze było niedorzecznie strome. Nikt, kto nie był absolutnie zdeterminowany, nie chciałby się na nie wspinać. Hen w dole, nieme, jakby porzucone autobusy mijaly ulice miasta. Wysoka ściana strzegła domu, a powyżej znajdował się równie pionowy ogród. Topole olbrzymich rozmiarów wyrastały z trawnika opanowanego przez stokrotki. Kamienne baseniki dla ptaków umieszczono przed drzwiami.

Biały, dwukondygnacyjny dom o płaskim dachu miał żaluzje płowe jak lwia skóra i drewniane drzwi. Nie zainstalowano w nich zamków. Na tablicy z boku połyskiwał natomiast rząd guzików; by wejść do środka należało wystukać właściwy szyfr — jak przy otwieraniu sejfu. Okna zaopatrzone w szyby kuloodporne, jak przypadkiem wygadała się Althene.

* * *

Wnętrze zdobiły witraże czerwone, lodowatozielone i złociste. W wysokim oknie górującym nad szerokimi schodami widniały dwie wspaniałe kobiety. Ceres i Persefona? Matka i córka?

Dwie boginie? Starsza i wyższa z postaci miała włosy jak snop pszenicy, a młodsza niosła naręczę purpurowych maków. W centralnym pomieszczeniu domu, salonie, u góry okna pysznił się średniowieczny zodiak; znaki ogniste w różu, powietrzne w błękicie, ziemskie w szafranowej żółci, a wodne w zieleni.

Althene przyprowadziła Rachaelę do domu dopiero w dniu przeprowadzki. Intuicja? To było przeżycie podobne do poranku Bożego Narodzenia; zejście na dół i odnalezienie prezentów, które pojawiły się pod choinką jak spod ziemi. Przeprowadzka uruchomiła dziecięcą fantazję i przyjemność, której Rachaela doznawała tylko w dzieciństwie.

— Jest dla nas zbyt obszerny — stwierdziła.

— Zapełnimy go.

Z bagażu Althene wyłoniły się czaszki dawnych jeleni i globus z malachitu, bez żadnych rys.

Książki. Grecka statuetka z brązu, przedstawiająca chłopca uwieńczonego girlandą zwycięstwa.

Do piwnicy zakupiono wino, wstawiono pralkę współgrającą z wystrojem wnętrza i zmywarkę.

— Będziemy mieć kogoś do sprzątanía — powiedziała Althene. — Przypuszczam, że parę.

— Czy to oni przygotowali dom na nasze przyjęcie?

— Nie, to Miranda.

— Ale w takim razie oni wiedzą, gdzie jesteśmy.

— Wcale nie.

Rachaela pochyliła głowę, poddała się.

Fakty pozostały faktami. Na wzgórzu czuła się bezpieczniej. Będzie spoglądać z okna na małe autobusy. Ciekawe, dokąd też mogą jechać?

Mebli było niewiele. Wybierze się później. Było coś niezwykłego w wielkich, pustych przestrzeniach pokoi, gdzie falowały tylko kunsztownie udrapowane zasłony w przytłumionych kolorach porannego błękitu i mlecznych szmaragdów. Gdzieś tam, oko zatrzymywało się na

pojedynczym krześle, chińskim dywaniku niedbale rzuconym na wyfroterowaną podłogę czy szerokim łóżku, dryfującym po słonecznej pustce.

Jesień była łagodna, lecz krótka. Topole żółkły, cis na podjeździe nabrał oliwkowoczarnej barwy. Rachaela wsłuchiwała się w siebie. Tym razem nie bolały jej plecy, odczuwała tylko pewną ociężałość.

Pozwalała Althene się rozpieszczać. Zaprawione korzeniami wina podawane do łóżka, codzienna grzanka z masłem i dżemem truskawkowym; to było jednak wszystko, czego oczekiwała. Puszyste omlety i filety z kurzych piersi, które przygotowywała dla niej przyjęta do pomocy kobieta, Rachaela jadała jedynie z obowiązku.

Elizabeth nie wywodziła się ze Scarabeidów. Była pulchną Szkotką o włosach ognistorudych i charakterystycznym akcencie. Zaraz po rozpoczęciu służby zainstalowała wielki odkurzacz w szafce koło schodów, a sprzątając obie łazienki czy ścieląc łóżka czasami śpiewała. W pokojach rozlegała się wtedy śliczna kołysanka: *To ja mam dziecko! Już nie jestem dzieckiem!*

Althene, tak jak zwykle, prała ręcznie jedwabną bieliznę Rachaeli i wieszała w tęczowych girlandach w drugiej łazience. Później prasowała delikatną materię małym żelazkiem. Ona przypatrywała się codziennemu rytuałowi zafascynowana. Jest moją matką, myślała. On jest moją matką. Roześmiała się.

— Myślisz, że jestem zabawna, prawda? — spytała Althene stojąc przy desce do prasowania w swych szarych, szytych na miarę džinsach i pięknym swetrze we francuskie wzory.

Czy ona mnie kocha? — zastanawiała się Rachaela. Chyba tak, jakie to dziwne.

Światło topniało coraz bardziej, dni stawały się coraz krótsze.

Najęty mężczyzna, Reg, kosił trawnik. Sto stóp dalej stał inny imponujący dom, zwrócony ślepa ścianą w stronę ogrodu. Nikt nie mógł podejść więc na tyle blisko, by szpiegować.

— Juliet najwyraźniej spodziewa się potomstwa — powiedziała Althene, czule i wprawnie

dotykając lśniącego brzucha kotki.

— My obie — odparła Rachaela.

Spojrzała w dół na Juliet, która zachowywała się jak zwykle. Leżała mrucząc na coraz ciaśniejszym podółku Rachaeli. A więc na krześle było ich więcej niż dwie. Co najmniej pięcioro. Ona i jej dziecko, kotka i jej potomstwo. Poczwała niespodziewany dreszcz radości.

Zaskoczyło ją to uczucie. Właśnie to powinna czuć kobieta w jej sytuacji. Ale do tego doznania Rachaelę zmuszono. Ta sekunda zaowocowała podwójnym smutkiem.

* * *

W niedzielny ranek można było usłyszeć dzwony z kościółka w miasteczku na dole. Rachaela stała w paździenikowym salonie, gdzie słońce przyjdzie dopiero późnym popołudniem. Dzień był jasny, okna lśniły dzięki piątkowej trosce Elizabeth.

Rachaela spojrzała w górę na zodiak. Panny w spódnicach, skorpiony z groźnymi ogonami, poważne byki, bliźniacze rybki — a dalej waga ze zrównoważonymi szalkami, błyskająca rdzawym mosiądzem na szafirowym tle.

Waga lśniła. Promienie słońca ślizgały się po zewnętrznej powierzchni szkła, a potem przesywały witraż dając mu blask, jakby płonął.

Potem nadszedł paroksyzm bólu, który złamał ją w pół niespodziewanie. Rachaela w panice zacisnęła dłonie na oparciu krzesła. Czas nadszedł. Jej czas. Czy będzie tak jak poprzednio? Było wcześniej... Akuszerka z pewnością po wiedziałaby... fałszywy alarm? O, nie, nie!

Ból narastał i kobieta krzyknęła. Poczwała jak przez dolne partie jej ciała przechodzi fala, jak pierwszy podryg trzęsienia ziemi.

Potem nastąpił spokój i Rachaela pewnie weszła do łazienki. Wróciła po chwili i z sypialni popatrzyła w dół, na podnóże wzgórza. Althene pojechała tam z Regiem, do sklepu warzywnego w Alladys otwartego także w niedzielę, od 8 rano do 9 wieczór.

Pozostawał tylko telefon. Rachaela wykreśliła właściwy numer. Nie było sporów, wykrętów czy przekonywań. Dlaczego się tego spodziewała? Scarabeidzi przecież dopilnowali wszystkiego, nawet jeśli Althene, pełniącej rolę matki, nie było w tym momencie. W ciągu dwudziestu minut przybyła położna i bez wahania zaprowadziła Rachaelę do przygotowanego pokoju.

Kate Ames, akuszerka, była jedną z tych szczupłych, żylastych kobiet, silnych jak konie pociągowe.

— Załatwimy to bardzo szybko, prawda Rachaelo? — promieniowała cichym entuzjazmem.

Rachaela zdawała sobie z tego sprawę.

Kate Ames poleciła jej przeć.

Ból był straszny, o wiele gorszy niż pamiętała, choć chwilami wydawał się do zniesienia.

Chciała mieć przy sobie Althene i zaczęła krzyczeć jak dziecko, ale zaraz oniemiała z bólu.

— Co za pech, że akurat nie ma twojej siostry — zagadnęła Kate Ames. — To przez te kolejki. Muszą robić zakupy w niedzielę, jakby sklepu nie było tu przez cały tydzień.

Pięć minut później Althene wysiadła z samochodu Rega, który nie był w stanie podjechać pod wzgórze. Właśnie wspinała się na wzniesienie, dźwigając dwie torby z zakupami, wyładowane głównie truskawkowym dżemem, gdy prawdziwe dziecko, ukryte dotąd w mocnym, białym brzuchu Rachaeli, ukazało się w półmroku trzeciej sypialni.

Rachaela była na rzece. Pomyślała: wiem, że mam halucynacje. Co to była za rzecz, którą mi dała? Czy o to chodziło? Rzeka była szeroka, brązowa jak ciekły miód. Kaczka wysunęła się z kępy trzciny. Potem, w owalu z miękkiego światła, Rachaela zobaczyła swoje dziecko zawieszona na gwoździu ze złota.

— To dziewczynka. W bardzo dobrej formie.

Rachaela usłyszała, że dziecko zaczyna płakać gdzieś w oddali, zbliżając się do niej.

— Świetnie! Płaczesz kochanie! — powiedziała Kate Ames. — Byłaś cudowna. — I do

Rachaeli: — Trochę tu sprzątnę, a później mogę podać ci filiżankę herbaty... Czy możesz ją przytulić?

Nie chcę jej przytulać. Nie chcę jej, pomyślała.

— Daj mi ją — powiedziały usta Rachaeli. — Proszę! Prędko! I idź już!

Po pierwszym krzyku dziecko już tylko kwiliło miękko. Pachniało czysto i aseptycznie.

Rachaela spojrzała mu w twarz. To był kot. Kot zawinięty w biały szal. To był Jacob. Nie, to było dziecko.

— Cała i zdrowa. Doskonałe maleństwo.

— A ten mały znak?

— Ach, to. To nic. Zniknie samo.

Mały różowy cień, blady jak najjaśniejszy siniak, zakwitł na piersi tuż pod nikłym pączkiem maleńkiego sutka.

Kate Ames poprawiła pościel, żeby Rachaeli było wygodniej. Usłyszały, że na parterze otwierają się drzwi. Za późno.

Kim jesteś? Oczy dziecka były dziwne; nie ciemne, ale też nie niebieskie. Jakieś srebrzyste.

Głowę miało ptasią, z puchem ciemnym jak futerko Juliet i jasnym refleksem. Czy to nie dziwne?

Jeszcze jedno nieziemskie dziecko Scarabeidów?

Althene, widząc samochód położnej na podjeździe, przy poidełku dla ptaków, puściła się

biegiem przez schody i korytarz. Jakże powitają Rachaela? Słodkim obrazkiem matki i

dzieciątka? A może powtórzy się poprzedni wizerunek kobiety składającej ofiarę, obarczonej ciężarem, którego nie pragnęła?

— Przestała płakać. Czy to w porządku?

— O, tak. Jest w świetnej formie. Może będziesz miała szczęście. Niektóre dzieci są zupełnie

cichutkie.

— Moje poprzednie... płakało bez przerwy.

Kate Ames spoważniała. Oczywiście wiedziała, że Rachaela wcześniej już rodziła, ale nie znała losów tej tajemniczej ciąży. Kate Ames była dobrą kobietą. Udany poród, zdrowie matki i dziecka uczyniło ją w pełni szczęśliwą. Rozchmurzyła się i powiedziała:

— Cóż, kto wie. Może zacząć płakać w każdej chwili.

Dziecko nie spało. Podobno jeszcze nie mogło widzieć. Jego jedwabiste jak kwiaty hortensji źrenice nie były jeszcze zdolne do skupienia się na jednym punkcie.

W tym momencie skrzydło drzwi odskoczyło, pchnięte gwałtownie. Stanęła w nich Althene, tak blada, jak czasami bywała po uprawianiu miłości. Ależ ty faktycznie jesteś mężczyzną, stwierdziła Rachaela. Mężczyzną, który zbladł, bojąc się co tu zastanie. Tak, żyję. I ono też. Twoja córka, powiedziała do Althene, ale tylko w myślach, by oszczędzić Kate Ames. Ale akuszerka zawołała radośnie:

— Rachaela była wspaniała. Nawet nie sądziłam, że już minęła godzina. Doskonała mała dziewczynka.

Oczy Althene powędrowały do dziecka, a wąż ukąsił Rachaelę w serce. Miłość od pierwszego wejrzenia, pomyślała. I jeszcze: będę głupio, nedorzecznie, upiornie i bezsensownie zazdrosna. No tak. My jesteśmy Scarabeidami, rodziną kazirodców. Jeden Bóg wie, że mam powód.

ROZDZIAŁ 3

Elizabeth wpatrywała się w śnieg za oknem. Spadło go dużo; pokrywał drzewa warstwą grubą na dłoń, tworzył skośne warstwy na parapetach. Torby z pokarmem dla ptaków, rozwieszane wcześniej przez Rega, zwisały martwo. Na zewnątrz panowała wielka cisza.

Za to w środku nikłe odgłosy muzyki sączyły się z salonu, a w błyszczącej kuchni cichutko trzeszczał piekarnik rozsiewając wokół aromat pieczonego ciasta.

— Och, pani Day. Pewnie życzyłyby sobie pani kawy?

Nigdy nie udało się przekonać gospodyni, by używała ich imion. Widocznie w jej świecie wszystkie kobiety z dziećmi były „paniami” tak, jak wiktoriańskie kucharki.

— Zrobię sobie sama nescę, Elizabeth — pospieszyła z odpowiedzią Rachaela widząc, że kobieta jest zmęczona.

— Ależ nie. Marzyłam właśnie sobie, a raczej trochę się martwiłam.

Rachaela poczuła się pokrzepiona cudzymi problemami.

— Co się stało?

— Chodzi o syna mojej siostry. Ona obawia się, że może zostać powołany. Jest w rezerwie.

Nie sądzi pani, że może do tego dojść?

Rachaela nie sądziła. Nie wiedziała, co Elizabeth może mieć na myśli. Przypominała sobie następnie ciemny cień spowijający noworoczne życzenia. Wojna. Co miała powiedzieć na pocieszenie? Rachaela była tak daleko od spraw dnia powszedniego.

— Może do tego nie dojdzie.

— Tak, tylko jeden dobry Pan Bóg wie co będzie. — Elizabeth postawiła czajnik na gaz, jakby był to ostatni czajnik świata. Gramatycznie jej mowa była prawidłową angielszczyzną, jednak piękny szkocki akcent przydawał każdemu słowu dodatkowego smaku i mocy. — Szpitale mogą się wypełnić ciężko poparzonymi młodymi ludźmi. A ich płuca... Kiedy byłam dziewczynką, widziałam co gaz musztardowy może zrobić.

Rachaela też wyjrzała przez okno na zaśnieżony ogród.

Regowi i Elizabeth w jakiś sposób udało się doprowadzić samochód na szczyt wzgórza. Teraz stał tam, a oni unikali wyjazdów, prawdopodobnie obawiając się, że mogą być kłopoty ze zjechaniem na dół. Auto stale kaprysiło od dnia, w którym zepsuło się w drodze z Alladys tj. od niedzielnego poranka, gdy Anna przysłała na świat.

Kawa była gotowa i Elizabeth przysiadła na kuchennym blacie. Pogryzała owsiane ciasteczka, swoją specjalność.

— Tylko, że nie warto martwić się zawczasu, prawda? — powiedziała Elizabeth.

— Nie, nie warto — zgodziła się Rachaela.

— Gdyby tylko można było naprawić świat jednym ruchem — westchnęła Elizabeth. Przez chwilę słuchała symfonii Sibeliusa płynącej poprzez hol.

— Ona lubi muzykę pani Simons — stwierdziła.

— Mhm — zgodziła się Rachaela.

— Pani mała Anna... — zaczęła Elizabeth. — Czasami tracę poczucie czasu — dodała. —

Tak bywa w moim wieku. Leżę nie śpiąc i planuję świąteczne zakupy. Potem wstaję do toalety, wracam, spoglądam na budzik. I jest wpół do trzeciej. Cztery godziny, a mnie się zdaje, że to była chwila. Ale Reg, on to śpi jak stary pies.

Elizabeth uśmiechnęła się. Lubiła Rega — małomównego, tchnącego spokojem, potrafiącego zręcznie i bez wysiłku wykonać każdą pracę.

— A pani mała dziewczynka — ciągnęła po chwili — będzie miała już ze trzy latka?

— Nie — zaprzeczyła gładko Rachaela. — Rok i kilka miesięcy. Szybko się rozwija.

— Jest mądra.

Elizabeth dołała kawy Rachaeli, która nie wiadomo kiedy wysączyła swój kubek do ostatniej kropli.

Jelka, córka Juliet, przyszła do kuchni. Była czarną kotką bez jednej plamki, z oczami bursztynowymi jak jej ojciec. Dumnym krokiem podeszła do okna i miauknęła, żeby ją wypuścić.

— Oj, nie spodoba ci się kiciu, nie spodoba — uprzedziła Elizabeth, ale podeszła do okna i uchyliła je.

Kot wszedł na parapet a potem skoczył w śnieg, od razu zapadając się po szyję. Zaraz jednak wygramolił się na brzeg kamiennej wazy, w której jesienią rosły pelargonie.

Juliet bez dramatów wydała na świat potomstwo w listopadzie zeszłego roku. Miała troje dzieci, pierwsza w kolejności dwójka, biało–czarna, była ładna w konwencjonalny koci sposób.

Althene szybko przyuczyła je do czystości rozkładając w różnych miejscach gazety. Gdy osiągnęły odpowiedni wiek, łaciatą parkę wysłano w prezencie Ericowi, Mirandzie i Sashy.

Althene zajęła się całą sprawą. Natomiast Jelka, wyglądająca jak kot czarownicy, nie odstępowała na krok matki. Gdy nadejdzie jej pora, zapewne i ona zada się z Jacobem, swoim ojcem. Koty również należały do zuchwałej rodziny Scarabeidów. Teraz jednak wydało się, że stworzyły własną rodzinę. Samiec i dwie samice, mąż, żona i dziecko.

Tak się złożyło, że Emma powiedziała jej zaraz po narodzinach Ruth: — Uważaj, bo przeoczysz najlepsze chwile.

I Rachaela zajęła się przeoczaniem z dzieciństwa swej córki wszystkiego, co było możliwe.

Ale czy to miało jakieś znaczenie?

Dziś Althene karmiła Annę butelką. Rachaela nie wytwarzała dostatecznej ilości pokarmu.

Czy wpływała na to jej podświadomość? Althene zmieniała także dziecku śliniaczki. Wszystko było znakomicie zorganizowane, a dzięki temu proste i niekłopotliwe. Anna szybko przestała być nieporządna. W wieku pięciu miesięcy nauczyła się korzystać z łazienki i ubikacji, i domagała się tego. Najpierw działało się to wszystko z pomocą, pod nadzorem. Wspinała się po stołeczku.

Potem radziła sobie już całkiem samodzielnie. Nadal trzymano ją w pieluszkach, ale Annie nie zdarzało się już nabrudzić.

Rachaela wiedziała, że to nie jest normalne. Wiedziała dzięki doświadczeniom z Ruth. Anna wypowiedziała pierwsze słowa w święta Bożego Narodzenia — w niecałe trzy miesiące od dnia narodzin.

Niecierpliwi rodzice czasem błędnie wyjaśniają sobie dźwięki wydawane przez dziecko, jakieś beknięcia czy gaworzenie. Ale ich dziecko wkrótce przemówiło znowu. Wypowiedziało imię Althene, upraszczając je do „Althni”,

Althene uściskała Annę i uniosła ją wysoko ponad głowę, a malutka dziewczynka uśmiechnęła się z tych wysokości łaskawie do kobiety–matki, która jej nie kochała, ale była całkiem miła. „Rashla” powiedziała Anna wspaniałomyślnie.

W wieku sześciu miesięcy Anna zaczęła mówić. Jej mowa była niewyraźna, jak u kogoś, kto ma miłą dla ucha wadę wymowy, ale składnia formułowanych zdań była w pełni poprawna. Nie mówiła dziecinnie „Ania śpi”, co świadczy o nikłym poczuciu tożsamości, ale „Teraz pójde spać”.

Althene zaczęła uczyć ją czytać i wkrótce dziecko umiało także pisać dużymi, niezdatnymi literami. Nagryzmoliła liścik do Juliet o Jelce. Była świetnie obznajomiona z kotami; ciągle się z nimi bawiła, przesiadywała z nimi na podłodze, a gdyby jej tylko pozwalano, najchętniej także spałaby wśród swoich przyjaciół. Uważała, że koty uczą się mówić i czytać i bardzo się rozczarowała dowiadując, że Juliet tego nie potrafi.

Fizycznie była dzieckiem bez skazy. Wysoka jak na swój wiek, miała długie, szczupłe nóżki i lekko wypukły brzusek rozwijającej się dziewczynki. Biała skóra, połyskliwe szare oczy i jasne, prawie białe włosy uczyniły z niej dziecko szczególne... nieziemskie.

Po lewej stronie piersi nadal widniało małe niebieskie znamię. Znamię urodzeniowe. I tyle.

Anna była leworęczna. Nie używała wcale prawej ręki, pozwalała jej leżeć, jakby nie miała dla niej nic istotnego do roboty.

Czy była piękna? Za wcześnie o tym mówić. Nie. Nie za wcześnie. Była piękna na sposób kosmicznych superdzieci z filmów z lat pięćdziesiątych.

Miała już kufer wspaniałych sukienek, szytych przez Elizabeth z tkanin kupowanych przez

Althene.

Obok materacyka piętrzył się stos książek porządnie ułożonych, jedna na drugiej. Z kojcem skończyła już dawno temu. Na razie Anna nie czytywała książek z biblioteki, którą urządzono w czwartej sypialni. Korzystała z lektur odpowiednich dla dziecka dziesięcioletniego: o Robin Hoodzie, Atlantydzie, z wypisów z mitologii greckiej oraz historii o wilkach, tygrysach i tajemniczych miastach.

Althene kupiła kasety z audycjami nadawanymi przez Trzeci Program telewizji BBC. Głównie powtórki z Dylanem Thomasem, Louisem MacNeiciem. Anna słuchała z oczami rozszerzonymi emocją, siedząc wyprostowana jak struna. Nie mogła ich zrozumieć, oczywiście, ale przykuwały jej uwagę. Czasami prosiła o tę czy tamtą audycję, albo o program muzyczny. Lubiła muzykę. Możliwe, że Rachaela zdołała w tych pierwszych minutach, kołysząc maleństwo, poznać granice swoich uczuć. Później przypominała sobie te doznania, lecz nie była w stanie ich dobrze określić. Kiedy więc Althene spojrzała na dziecko, uczucia rodzicielki opadły natychmiast.

Utraciły sens. Rachaela wyrzekła się swego dziecka od razu.

Jeżeli nawet Althene odczytywała właściwie reakcje kochanki, nie dała nic po sobie poznać.

Traktowała Rachaelę jak prawowitą matkę, która z uwagi na zmęczenie lub jakieś inne nie wyjaśnione powody nie spędzała ze swoim dzieckiem tyle czasu, ile powinna. Althene zatem stała się ojcem i matką w jednej osobie. Bardzo dobry układ, nawet lepszy niż z Emmą.

Scarabeidzi nadali jej imię. To stało się, gdy wysłano do ich domu kocięta.

Althene pojechała do rezydencji z wymyślnymi wieżyczkami samochodem Rega. Nie było jej dziesięć godzin. Wracając, przywiozła ze sobą dwie butelki wspaniałego szampana, którego przysłał im Erie. Pudełko czekoladek przekazała podobno Tray, dziewczyna zaadoptowana przez rodzinę. Trzecim podarunkiem było imię dla dziecka.

Dotąd nazywały niemowlę po prostu „Dzieckiem”. Nie było w tym radości, raczej rzeczowa

informacja, jak w przypadku kotów nazywanych „Kotami”.

— Miranda coś mi powiedziała — poinformowała Althene, gdy usiadły przed ogniem, który rozpałił dla nich Reg. Dziecko leżało między nimi, ciche i czujne.

— Coś o twojej córce...? — zaryzykowała Rachaela.

Althene nie sprostowała na „naszej córce”, lecz ciągnęła dalej:

— Miranda zapytała, czy rozważymy ewentualność nadania jej imienia po Annie.

Dziecko natychmiast się obróciło i spojrzało na Althene uważnie. Było to jeszcze przed

Gwiazdką i słowa — Althni, Rashla — nie zostały wypowiedziane. Jednak wydawało się, że małeństwo już je zna.

— Anna — powiedziała Rachaela. — Sądzisz, że oni chcą ją nazwać po zmarłej? Po tej, którą zabiła moja poprzednia córka?

— Chcieliby, żebyśmy uczciły pamięć Anny.

— To jakby przyklejenie do niej kawałka grobu.

— Nie, tylko odrobiny miękkiego popiołu.

— No cóż... — Rachaela spojrzała na miły, oswojony ogień domowy rozniecony przez Rega.

Koks palił się równo, bez dymu. Pomyślała o pierwszym domu, który spłonął i w którym zginęła Anna. I dodała: — Ale to może oznaczać zarażenie jej ogniem.

— Albo szczepienie przeciw ogniewi — zaproponowała Althene.

— Nie. Och, zresztą, co to ma za znaczenie. Nazwij ją jak chcesz, jest twoja.

W końcu jednak Althene powiedziała z naciskiem:

— Nasza. — I dodała: — Oni nie nalegali. Nie musimy czuć się zobowiązane.

— Anna — powiedziała Rachaela półgłosem. Dziecko spojrzało na nią. To było jego imię.

Anna wypowiedziała ich imiona w dzień Bożego Narodzenia, rankiem, jak zaklęcie. Swojego imienia nie wymówiła jednak aż do pierwszych urodzin, ostatniego października. Wtedy

wykonała zawity wzór w kształcie girlandy farbami podarowanymi przez Althene. Okalał ją pochyły, niezdarny napis: JA JESTEM ANNA.

Elizabeth skrzętnie wypięła resztę kawy, pozmywała nakrycia śniadaniowe i miski w których wyrabiała ciasto. Nie można już było — tak jak dawniej — wylizywać z przyjemnością naczyń po surowym cieście, z obawy przed salmonellą. Rachaela pamiętała te czasy.

Na zewnątrz chrzęścił śnieg, płaty z szelestem zsuwały się z dachu. Jelka siedziała koło wazy, poruszając miarowo ogonem. Ptak zarysował się czarno na tle nieba, zanim osiadł na torbie z okruchami.

W salonie Anna spoczywała w ramionach Althene i słuchały razem Sibeliusa, muzyki skandynawskich lodów. A w Zatoce przygotowywano się na nowy Armagedon.

* * *

— Nie sędę, by powinna to dostać...

Zabłocony plac: wokół nich powiewają ubrania, połyskuje zielone szkło butelek, kryształowe korale, szkiełka starych zegarów.

— Dlaczego? Bo to jest futro martwego stworzenia?

— Niezupełnie.

— Myślisz, że ktoś ją napadnie i zlinczuje? Rachaelo, ona nie chce tego nosić. Prawda Anno?

— To nie jest do ubierania — stwierdziło dziecko.

Ze straganu zwisała lisia skóra. Pysk miał kształt dzioba, futro było ciemne, nie rude. Z mordki, która wydawała się Rachaeli smutna i zarazem mądra w wyrazie, ale nie budziła współczucia, spoglądało dwoje szklanych, pomarańczowych oczu.

— Spróbuj powiedzieć Rachaeli — zachęciła Althene trzymając dziecko za rękę — dlaczego chcesz to mieć?

— To jest mój lis — oświadczyła Anna.

Rachaela spojrzała w dół. Obywały się od początku bez wózka. Anna wolała chodzić pieszo.

Kiedy zmęczyła się i zaczynała marudzić, Althene po prostu brała ją na ręce. Teraz była już na to zbyt duża.

Wygląda na cztery, pięć lat, pomyślała Rachaela. Długie białe włosy odpływają jak strumienie od przezroczystych skroni. Poważna mała dziewczynka, która zapragnęła skóry z lisa jako zabawki.

— To nie jest zabawka — sprostowała Rachaela. — Polują na nie okropni ludzie, a później zmieniają je w to.

— Mój lis — powtórzyła znów Anna.

— Anno — spytała Althene — co z tym zrobisz?

— Będę miała — powiedziała Anna. — Będzie siedziało na moich kolanach.

— To nie jest kot — wtrąciła się Rachaela. — To nie jest prawdziwe.

— Nie — zgodziła się rozsądnie Anna.

— Na miłość boską!

Rachaela była zła. Do jej nastroju przyczyniły się nagie, pochlipujące drzewa, chłostane wiatrem i obrazy widziane w telewizji. Oto ranny cywil ucieka przed atakiem; bezradny człowiek na noszach tuli małego pieska siedzącego mu na piersi; ptaki sklezione czarnym olejem zdychają we własnych odchodach. A oto kot przemierzający miasto o zachodzie słońca — może w przeddzień zagłady nuklearnej.

— Och, weźmy to — doleciało do Rachaeli. Potem usłyszała swój głos, jakże przypominający ochryple uwagi jej własnej matki. Zadarła głowę. — Przepraszam. Przepraszam, Ruth. Tak, weź to. Oczywiście.

Cisza.

Rachaela spojrzała na nie. Jej kochanek. Jej córka. Co ona powiedziała...?

— Kto to jest Ruth? — spytała Anna.

Chryste Panie, co ja powiedziałam, przemknęło przez głowę Rachaeli.

Althene, poważnie i racjonalnie wyjaśniła:

— Ruth była inną córką Rachaeli. Ruth już nie żyje.

— Przepraszam — powiedziała Rachaela.

— W porządku — wymamrotała Anna po swojemu, niewyraźnie. Jak pijana.

Rachaela czuła, że uraziła ją. Czy córeczka wiedziała, jak ona paskudnie się czuła? Że robiło jej słabo? Rynek pełen hałaśliwego tłumu, kolorów i ruchu chciał ją pochłonąć.

Jednak Althene nie zauważała jej stanu. Powiedziała do Anny:

— To tak samo jak wczoraj, gdy przez pomyłkę zawołałam do ciebie „Rachaelo”.

— Aha.

— No, już — oświadczyła Althene i podniosła martwego futrzanego węża ze zwisającymi czterema łapami. Właściciel straganu wrócił z herbatki i pogawędki towarzyskiej przy sąsiednim stoisku.

— To jest teraz bardzo na czasie. Modne. Jak widzicie, autentyk z lat dwudziestych. Zabity, zanim „Przyjaciele Ziemi” zaczęli się panoszyć.

— Jest pan pewien? — spytała Althene.

— Hę? No, pewnie. Będzie pani w nim do twarzy.

— Wolę ludzką skórę — zaśmiała się Althene.

Sprzedawca wyszczerzył zęby, ale nie dość szeroko. Zawinął lisa w cienki biały papier i zabrały go ze sobą. Anna, bez podania powodu, nazwała lisa Urszulą i spała z nim pod jedną pachą i białym królikiem pod drugą.

* * *

— Nazwali ją suką.

— Ruth?

— Tak.

— Przypisywanie kobietom zwyrodnień płciowych to odgrzewane numery. Nazywano takie zachowanie „wściekłą macicy”.

— Jest taka stara brandy — ciągnęła dalej ironicznie Althene — którą zakorkowują w macicy martwej kobiety i tam dojrzewa.

— Ta krwawa wojna... — powiedziała Rachaela. — Pamiętam kryzys kubański.

— Ach, więc to jednak zauważyłaś.

— Kryzys wydawał się nie do opanowania.

Althene powiedziała siedząc naprzeciwko niej w ciemności: — To się skończy.

— Co? Jak?

Althene nie dodała ani słowa — jak bogini; jak posąg z kremowego marmuru, spała.

Rachaela leżała w ciemnościach, a pod nią świat wirował. Tak działo się zawsze. Czy zawsze tak będzie?

ROZDZIAŁ 4

Uwielbiała Delikatesy Tesco. Była zakochana w Delikatesach Tesco. Zapewne powinna była poślubić Delikatesy Tesco. Związek taki byłby idealnie skonstruowany, spełniałby oczekiwania, dawał bezpieczeństwo i przyjemność, podniecał i zaspokajał zarazem. Delikatesy Tesco zawsze coś z tego oferowały Sharon Ferris, podczas gdy jej mąż, Wayne przynosił jej dokładną odwrotność tych wartości.

W chwili gdy przeszła przez wahadłowe drzwi, jej serce zaśpiewało.

Czystość i słoneczne światło, przefiltrowane przez markizy w zielone i białe paski, panowały niepodzielnie w hali. Daszki z kolorowego płótna rozpięte były również nad stoiskiem warzywnym, gdzie owoce i warzywa leżały wyeksponowane jak zabawki. A potem zapach

świeżego chleba i niebiańskich deserów; wreszcie kosmetyki w eleganckich rzędach i czekoladki.

Ostatnio jednak ponury cień padł nad magiczny obrzęd zakupów Sharon. Zawsze przepadała za robieniem zakupów spożywczych, choć nienawidziła innych prac domowych. Jedzenie pozostało jej jedyną prawdziwą radością życia.

Sharon była gruba. Miała kłopoty, odkąd chodziła w ciąży z Andym, a po jego urodzeniu tłuszcz nie stopniał, czego w głębi duszy zawsze się spodziewała. Ciągłe kręcenie się wokół dziecka, a w dodatku bieganie wokół Wayne'a sprawiało, że bez przerwy czuła głód. A więc Sharon jadła: prażynki, snacki, frytki, ciastka, banany, a poza domem smakołyki od McDonalda. Wiezorami podawała obfite domowe obiady, których oczekiwał wiecznie głodny i chudy jak szczapa Wayne. Stek z frytkami, jagnięcina z pieczonymi ziemniakami, wiśniowy placek i kawa ze śmietanką. A potem, gdy Wayne szedł do baru albo gdzie indziej, Sharon zapadała w fotel przed telewizorem i pożerała marsy i whispersy. Mówią, że smak czekolady wysyła do mózgu taki sam impuls jak zakochanie się. Sharon nigdy tego nie zauważyła, ale przynajmniej od czekolady nie można zejść w ciążę.

Poczęła Andrew na polu, pod gwiazdami. I gdy Wayne poruszał się w jej wnętrzu, raniąc ją i wypełniając uczuciem słodkiego triumfu, przemknął jej przez głowę wiersz, który znała ze szkoły: *Na polach światła, dotknięcie ciepła...*

Nie wspomniała Wayne'owi o wierszu, wyśmiałby ją. Musiała mu jednak powiedzieć w cztery miesiące później coś ważniejszego, gdy nie tylko brzuch, ale i całe jej ciało zaczęło pęcznieć i wydymać się. Przyczyną było jego dziecko rosnące w łonie. Wayne miał zamiar ją porzucić, ale ojciec przywołał go do porządku. Na szczęście Wayne wciąż bał się ojca. Stary Ferris zaś uważał, że mężczyzna powinien być odpowiedzialny. Sharon mogła być dobrą żoną i nosiła pod sercem dziecko jego syna.

Pobrali się w urzędzie. Sharon spoglądała wciąż w dół, gdzie wybrzuszała się różowa, za

ciasna na nią sukienka. Kapelusz usiłował wtedy spaść jej z głowy. Wayne był ponury i pokazywał humory.

Poród był ciężki, dziecko na zmianę to irytowało Wayne'a, to napełniało go dumą. Sharon zawsze tylko go denerwowała. Ale Wayne był mechanikiem, naprawiał telewizory. Nie musieli oszczędzać. Andrew zawsze miał śliczne ubranka i mogli kupować dużo jedzenia.

Kiedy Sharon zaczęła kupować biustonosze rozmiar 42C, troszkę się zmartwiła, ale przyczyna nawet nie przyszła jej na myśl. Była głodna, naprawdę głodna właściwie bez przerwy, a kiedy musiała czekać na jedzenie, dostawała zawrotów głowy. Gdy Andrew podrósł, dzieliła z nim domowe posiłki. Hamburgery i frytki, paluszki rybne, makaron w kształcie literek. Andrew lubił ją, tak samo jak ona jego. To wszystko nie było jego winą.

Był dziwnym dzieckiem. Czasami domagał się książek z biblioteki. A raz, gdy w telewizji nadawali muzykę klasyczną, usiadł zachwycony w swoim foteliku i miał oczy pełne czegoś... nie łez, nie myśli; nie wiedziała co to było, a dziecko milczało.

Wtedy pozwoliła mu wybrać w sklepie Woolwortha płytę CD z dziwną, klasyczną muzyką, pomimo, że Wayne wyśmiewał ją i nazywał sentymentalną krową.

Czasami Andrew wynajdywał jakieś dziwne, okropnie długie słowa. W wieku pięciu lat powiedział „kandelabra”.

— A to co? — spytała Sharon, zupełnie zbita z tropu.

— Rzecz z kanałami w środku — wyjaśnił Andrew.

— Jak rzeka?

Andrew wyglądał na zagubionego.

Wiedziała w takich momentach, że nie spełniała oczekiwań chłopca, podobnie jak jego ojca.

Wtedy otwierała zamrażarkę i wyjmowała lody śmietankowe z siekanymi orzeszkami.

Gęste, lśniące włosy Sharon były obcięte krótko i bardzo nietwarzowo. Chciała mieć z nimi

jak najmniej problemów i niewiele ją obchodził efekt estetyczny. Ale od czasu do czasu, gdy spojrzała na siebie, zastanawiała się kim jest. Była tłustym wcieleniem ładnej osiemnastolatki z włosami do pasa, która cieszyła się ze swego dużego biustu.

Jakoś nie kojarzyła pochłanianych przez siebie ilości jedzenia z faktem tycia. Tusza była złościwością losu. Choć nie zdawała sobie sprawy, gdy wokół mówiono o wojnie, spożywała okropnie dużo czekolady. To było ze strachu. Sharon obawiała się ataku raketowego, który mógł, jej zdaniem, nadejść w każdej chwili. Wayne uważał, że kompletnie zwariowała. Jego słowa nic nie pomogły, ale czekolada owszem, uspokoiła ją. Gdy wojna się skończyła, poczuła się naprawdę szczęśliwa z synkiem. Mieli swoje podwójne hamburgery, frytki i bananowe koktajle.

Pod koniec zeszłego miesiąca postanowiła wybrać się do lekarza. Stopa jej puchła, co utrudniało codzienną krzątanie.

— Sforsowała pani nogę. Ale pani wie dlaczego, prawda?

— Nie — odparła Sharon szczerze zakłopotana, że nie zdołała spełnić oczekiwań pani doktor.

— Obawiam się, że jest pani za tęga. O wiele za tęga, pani Ferris. Stopy muszą nosić wielki ciężar, a proszę tylko pomyśleć o sercu.

Lekarka rejonowa Wayne'a i Sharon miała około dwudziestu dziewięciu lat, bujne, kasztanowe włosy oraz szczupłe i sprawne ciało. Wayne zawsze mówił, że czuje miętę do pani doktor. Jej cery, zdrowej jak skórka na jabłku, nigdy nie przykrywał makijaż, a rzęsy ocieniające olbrzymie czarne oczy nie zaznały tuszu. Natura stworzyła lekarzkę w najlepszym gatunku. Skutek był taki, że młoda kobieta usiłowała pomóc i innym wdrapać się na wyżyny doskonałości.

— Oto kartka z dietą, pani Ferris. Proszę jej dokładnie przestrzegać i wrócić do mnie za dwa tygodnie. Wtedy znów panią zważymy.

Sharon otumaniona spojrzała na arkusz papieru. A więc to było lekarstwo na bolącą stopę.

Po dziesięciu dniach elastyczny bandaż, który kupiła na własną rękę, pomógł spuchniętej nodze. Z dietą natomiast sprawa nie okazała się aż tak prosta. Sharon przez całe życie robiła to, co polecili jej ludzie znacznie bardziej zdecydowani. Nawet kiedy poszła z Wayne'em Ferrisem kochać się na polu pod gwiazdami. Teraz, zamiast jednego dużego posiłku, którym mogła się nacieszyć, musiała przygotowywać dwa. Jeden duży, który był dla niej owocem zakazanym i drugi mały, którego nienawidziła. Ten ostatni pracowicie żuła, opędzając się od zapachów chipsów, ciastek ociekających kremem, czekolady i lodów.

Cały dzień czuła się słabo, jakby miała grypę. Może naprawdę była chora, a może to była prawidłowa reakcja. Żołądek bolał ją od sałaty i marchewki.

Zawsze obawiała się sałatek. Jajka gotowane na twardo stawały jej w gardle, przyprawiając o mdłości, a pieczona ryba smakowała jak tektura. Nie miała nic przeciwko owocom smażonym w cukrze, najlepiej — zdobiącym szczyt tortu.

Ale najbardziej przykra okazała się tęsknota za czekoladą. Podczas długich nocy, które Wayne spędzał z kobietami poderwanymi na naprawę telewizora, Sharon pożerała jabłka i pomarańcze — aż dostawała biegunki.

Po dwóch tygodniach pojawiła się u lekarki. Pani doktor nie pamiętała z jakim problemem przyszła do niej pani Ferris. Kiedy Sharon pokornie przypomniała swoje kłopoty, lekarka zważyła ją.

— Cóż, nie straciła pani nic na wadze, pani Ferris. Czy trzymała pani dietę?

Sharon potwierdziła, na co pani doktor zmarszczyła brwi.

— No, skoro pani tak mówi... Czasami trwa to i kilka tygodni zanim waga zacznie spadać.

Doktor powiedziała Sharon, że to tak jakby poruszała się po płaskowyżu; trzeba minąć płaski teren zanim zacznie się schodzić w dół. Ale ona czuła się jak w lepkim, zacieśniającym się nad nią piekle. Zapytała, jak długo będzie musiała pozostać na diecie.

— Och, nie wolno pani myśleć o tym jako o diecie, pani Ferris. Skoro ma pani skłonności do tycia, niskokaloryczne potrawy powinny stać się pani sposobem na życie.

— To znaczy, że już zawsze będę musiała jeść sałatkę i takie rzeczy?

Lekarka uśmiechnęła się i oznajmiła Sharon, jakby to była świetna wiadomość:

— Zgadza się. Nie ma czym się martwić, pani Ferris. To znakomite, zdrowe i pełnowartościowe jedzenie.

Kiedy więc Sharon otworzyła wahadłowe drzwi Delikatesów Tesco, z Andrew drepczącym u jej boku, jej serce zaśpiewało... i zamilkło. Mogła patrzeć, ale nie wolno jej było dotknąć.

Dotknąć i nacieszyć się.

Dzielnie skierowała wózek do działu sałatek. Po drodze doleciał ją skądś zapach świeżo pieczonego chleba. Zakręciło się jej w głowie, a ślina wypełniła usta. Andrew wystąpił z jednym ze swoich słów.

— Melanik — powiedział.

— Słucham?

— Melanik.

— A co to jest, Andy?

Sharon patrzyła na dziecko z wysokości swego ciała, jak więzień z okna.

— Czarny — wyjaśnił Andy. — Ciemny.

Gdy patrzyła na niego, jej martwe serce znów ożyło. Miał sześć lat i tego ranka przypadła akurat wizyta u dentysty. To była tylko kontrola; dentysta nie miał nic do roboty. Ale Andrew bał się dentysty. Ona jako dziecko była taka sama, a do wizyt przywykła po wielu doświadczeniach. Jednak Andrew, pomimo strachu, zachował się właściwie i nie okazał zdenerwowania. Zawsze był grzeczny, od maleńkości.

Nie był dzieckiem pięknym, ale patrzyło się na niego z przyjemnością. Miał twarz o

regularnych rysach, okoloną miękkimi ciemnymi włosami, zupełnie innymi niż jego ojciec.

— Ciemny — powiedziała Sharon. — Melanik. Spróbowała słowa, jak ciemnego czekoladowego ciastka. Wayne przychodził pachnąc innymi kobietami i nie czynił żadnej tajemnicy z tego co robił. Tani, okropny zapach, a czasami drogi, okropny zapach. Nosił je na sobie jak cząstkę ubrania. Spał obok niej, śmierdząc. Śnił o nich. Nigdy nie kochał się z Sharon. Nie kochał jej.

Pomyślała o kawiarni w Tesco. Wchodziła tam kiedyś i zamawiała kremowe ciastko albo czekoladę na gorąco. Cóż, te czasy minęły bezpowrotnie. Ale sałatki robili tutaj o wiele lepsze niż bryjowate papki, pełne twardych kawałków, które sobie przyrządzała. Szynka z siekaną kapustą. To by nie zaszkodziło. A do tego filiżanka herbaty z cukrem. Kto by się dowiedział? A Andrew mógłby dostać coś specjalnego. Pieczone ziemniaki z fasolką i serem. Zasługiwali na to, zanim wyczekają się na przystanku i zaniosą torby pełne zakupów do domu.

Wtem odwróciła się i zobaczyła. Za nią stała skrzyniowa zamrażarka pełna żywności niskokalorycznej. Sharon natychmiast zrozumiała, jak podróżny na pustyni, że jest ocalona. Portfel Wayne'a wytrzyma ten wydatek. Patrzyła na istne cuda: *lasagne*, spaghetti po bolońsku, paszteciki, wszystko z napisami informującymi o oszałamiająco niskiej liczbie kalorii. Tesco nie zawiodły jej.

— Chwileczkę, Andy — powiedziała nieprzytomnie — mama zaraz wróci. Zanurzyła ręce i wyciągnęła paczki, podrzucając je z nieświadomym wdziękiem. Umieściła je w swym wózku z uczuciem radosnej ulgi.

Była dla siebie hojna. Sharon nareszcie mogła być miła dla Sharon.

Odwracając się, zauważyła Andy'ego przy ciastkach owocowych. Tak, to dobry pomysł — pomyślała łagodnie — trochę ciastek do herbaty. Przypomniała sobie dietetyczny napój czekoladowy, znajdujący się dwa rzędy dalej. Ale później zobaczyła, że dziecko przy

ciasteczkach to nie Andy, a inny chłopiec, starszy i nie tak interesujący.

Rozejrzała się wokół siebie. Andrew nie było. Poczowała przyływ irytacji, a potem długą, wznoszącą się falę paniki. Wokół nie widziała żadnego samotnego dziecka. Chwyciła wózek zdecydowanym ruchem i przemaszerowała wzdłuż rzędu stoisk, a potem zawróciła. O tej porze było niewielu kupujących, a dzieci, z uwagi na lekcje w szkole, prawie wcale.

Dwie małe dziewczynki bawiły się pluszowym niedźwiadkiem obok zamrażarki z fasolką. Sharon spytała je czy nie widziały małego chłopca, mniej więcej w ich wieku, ubranego w niebieski sweterek. Podeszła matka dziewczynek.

— Zgubiła pani swego chłopca? Oni bywają nieznośni.

— Tak — zgodziła się bezbarwnie Sharon.

Andrew nie był nieznośny. Był jej synem, zrodzonym ze słodkiego triumfu na polu pod gwiazdami. Natychmiast porzuciła swój wózek, zapakowany lśniącym złotem nadziei i z pustymi rękoma, sapiąc, rzuciła się naprzód. Mijała rzędy wysokich szafek, pełnych kolorowych opakowań z jedzeniem. Teraz wyglądały jak nocne mary, piękno zniknęło.

Pół godziny później Sharon znalazła kobietę w fartuchu w kolorze pomidorów, z personelu sklepowego. Robiła wrażenie kompetentnej, a na widok okrągłej i tłustej twarzy Sharon zalanej łzami, serce wyraźnie jej zmiękło. Przez megafon ogłoszono zaginięcie dziecka; małego chłopca w niebieskim pulowerze i džinsach. Niestety, nikt go nie widział. Nawet kamery pilnujące bezpieczeństwa.

Później wprowadzono ją do biura na zapleczu sklepu. W małym, ciepłym pomieszczeniu poczęstowano ją herbatą i „talerzem pocieszenia” — czekoladowymi ciasteczkami.

— Proszę się nie martwić, pani Ferris. Kierownik wezwał policję. To tylko na wszelki wypadek. Mały Andrew pewnie powędrował sobie na „zwiedzanie świata”. Chłopcy często tak robią, prawda?

Ci ludzie byli dla niej tacy mili. Ale była sama. Sięgnęła po czekoladowe ciasteczka i karmiła nimi wolno i systematycznie swe szlochające usta. Czowała, że nadają smak i barwę jej rozpaczy. Czekoladowe łyzy.

Im bardziej wilgoć ciekła po jej twarzy, a czekolada wkraczała do zakazanej bramy ust, tym mocniej narastało w niej przekonanie, że już nigdy nie zobaczy Andy'ego.

ROZDZIAŁ 5

W lipcu Elizabeth i Reg wyjechali na dwutygodniowy urlop do Glasgow. Dom wkrótce pokrył się całunem kurzu, w którym Rachaela, Althene, Anna i koty wydeptywali swoje własne ścieżki.

Zafascynowana Rachaela obserwowała, jak szybko góra kuchenki pociemniała od rozlanej oliwy, a w zlewie urósł stos brudnych naczyń. Nie miała szczególnej słabości do prac domowych, ale kiedyś utrzymywała w ładzie swoje mieszkania. Teraz zepsuła ją obecność służby.

W końcu zabrała się do porządków wieczorem, w przeddzień powrotu Elizabeth. Anna zapytała ją, co robi. Właśnie weszła do kuchni po rozmowie z Althene w języku holenderskim.

— Ale Elizabeth już jutro wraca.

— Wiem — odparła Rachaela. — Nie byłoby przyzwoite zostawić jej taki bałagan.

— Jaki bałagan? — spytało dziecko.

— Wiem, wiem, mam pewnie bzika.

Nie spojrzała na Annę a dziewczynka wróciła do Althene. Zasiadły obie w salonie przed magnetowidem, by obejrzeć *Dziesięć przykazań*, film, który Rachaela kiedyś uwielbiała. Teraz nie chciała go oglądać. Trudno jej było skupić uwagę, podobnie się działo z odbiorem muzyki. Najchętniej wkroczyłaby do pokoju i włączyła telewizję. Zwyczaj oglądania wiadomości wytworzył się u niej w czasie wojny. Nie wiedziała dlaczego to robi. Nie była w stanie pomóc nikomu; ani jednemu z tych nieszczęśników, tak brutalnie filmowanych ku uciechu milionów telewidzów.

Kuchenka nie była olśniewająco czysta, ale zrobiła co mogła.

Na drugi dzień Elizabeth i Reg pojawili się, choć później niż się spodziewano. Dzień był upalny, ospały, słońce panoszyło się w całym domu, dając za wygraną tylko w mrocznym holu.

Gdy rozległo się pukanie, Rachaela zeszła na dół, by otworzyć drzwi.

— Oto jesteśmy — powiedziała Elizabeth.

Reg tylko zsalutował Rachaeli na powitanie i poszedł prosto do szopy, gdzie trzymał kosiarkę. Elizabeth tym razem powiedziała z wyraźnym szkockim akcentem:

— Mieliliśmy być wcześniej. Niestety, ten stary samochód jest bardzo kapryśny i...

Elizabeth nagle zamilkła; coś sprawiło, że zaniemówiła. Nie zbladła, ale znieruchomiała, a dłoń przycisnęła do ust.

Rachaela nie spytała Elizabeth, co jej się stało. Odwróciła się natomiast i zobaczyła swą córkę, przechodzącą przez smugę cienia z kuchni do salonu.

Anna miała na sobie jedną z sukienek, które Elizabeth dla niej uszyła. Teraz znacznie krótsza, sięgała jej ledwie za kolana, chociaż pierwotnie prawie dotykała ziemi. Sukienka była biała i staroświecka, kojarzyła się ze średniowieczem. Jasne włosy dziewczynki, sięgające do bioder, poruszały się w powietrzu miękko jak dym.

Elizabeth, za plecami Rachaeli, wyszeptała jak starucha na wrzosowisku:

— *Awa' wi ye, my fair, owa' tae the hollo' hill.*

Rachaela zerknęła na gospodynię i zagadnęła rzeczowo:

— To jakaś stara ballada? Zaklęcie? Przypuszczasz, że ono pomoże?

— Przepraszam, pani Day. Anna mną wstrząsnęła.

— Ale dlaczego?

— Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że może tak wyrosnąć. Czy to naprawdę pani córka?

— Anno, przywitaj się z Elizabeth.

Anna jednak, choć zwykle uprzejma i miła dla ludzi, jakby nie słyszała.

W istocie — wyglądała jak szalona zjawą nawiedzająca szkocki zamek; z tych, co rzucały się ze szczytów murów, gdy odbierano im prawo do miłości. Z prawej dłoni Anny sączyło się coś ciemnego, co tworzyło ciemną smużkę na podłodze, znaczącą jej drogę.

— Elizabeth, przepraszam cię na chwilkę.

Rachaela podążyła za Anną, która weszła do dużego pokoju. Tam światło dnia okryło ją jasnością. Faktycznie urosła i lśniła urodą.

— Anno!

— Tak, Rachaelo? — dziewczynka się odwróciła.

— Co ci się stało w rękę?

Anna spojrzała w dół i automatycznie uniosła prawą rękę; rozchyliła palce tak, jakby to zrobiła za nią Elizabeth. Wypadły dwie kostki lodu wyjęte z lodówki, którą Rachaela pucowała zawzięcie ostatniej nocy.

— Co robisz, Anno?

— Nie wiem. — Wydawała się zdziwiona, ale nie przerażona. — Myślę, że chciałam wziąć sok pomarańczowy.

— Więc idź i weź go sobie. Nie wyglupiaj się.

Anna patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Była już tak wysoka, że wcale nie musiała unosić głowy, rozmawiając z matką. Ale oczywiście przed Elizabeth nie dało się ukryć prawdy. Widywała Annę stale, więc jej przyspieszony rozwój nie dawał do myślenia, ale dwa tygodnie zrobiły swoje. W ciągu tak krótkiego czasu nastąpiły niewątpliwe zmiany.

Anna była za dorosła. O wiele za dorosła. A ja jej nienawidzę, dodała w myślach Rachaela. To słychać w moim głosie. Znów mam rywalkę. Dogoni mnie, zanim skończy dwanaście lat.

W holu Elizabeth zdjęła letni żakiet i już wkroczyła do kuchni.

— Moje królestwo. Czyż nie jest czyściutko, pani Day?

Była wesoła i pogodna, ekspres już bulgotał na kuchence, a na stole pojawiły się owoce, mąka i odręcznie zapisana receptura lodów domowej roboty.

— Musiało to tobą wstrząsnąć — powiedziała Rachaela.

— No... — wzruszyła ramionami Elizabeth — tylko przez chwilę. Ale co tam. Teraz dziewczęta strzelają w górę jak rakiety.

— Niektóre, tak.

— To co pani usłyszała, to była taka stara piosenka. Ballada. Nazywa się *Elvinbrod* (Ludzie — czarodzieje).

— Ci, którzy żyją pod wzgórzami. Prawda? — zapytała Rachaela.

— *Pocałował różane usta Królowej Wrózek i wszedł pod wzgórze...* — zacytowała wesoło Elizabeth. — *Przepadł na dzień jeden, a kiedy wrócił znów, był starszy o lat siedem.*

— To właśnie jej dotyczy — zgodziła się Rachaela. — Taki magiczny pocałunek.

Elizabeth zaśmiała się. Czy grała? Jej oczy były szeroko otwarte, niewinne. Ale przecież ona i Reg mogli już wcześniej znać Scarabeidów.

* * *

Tego dnia w wieczornych wiadomościach poinformowano o małej dziewczynce, która zaginęła w Dyfeld. Jacyś ludzie przejeżdżający na rowerach widzieli ją w nieczynnym tunelu kolejowym, ale ona nigdy z niego nie wyszła. Mężczyzna, który zbierał okazy geologiczne na okolicznych skałach także jej nie widział, i choć policja poddała go drobiazgowemu przesłuchaniu, w końcu puszczono go. W historii tej było coś ponurego i tragicznego. Nawet rower zniknął.

— Może została wessana pod wzgórze — powiedziała Rachaela, ale Althene nie zareagowała.

Trzymała w dłoni list; nadszedł tego ranka, opatrzony holenderskim znaczkami.

— Dostałam go dzisiaj — powiedziała w końcu.

— Tak.

— Nie jesteś ciekawa zawartości?

— To twoja sprawa.

— Jeżeli to jest moja sprawa, Rachaelo, to również i twoja. Czyja cię w ogóle obchodzi?

Rachaela wzruszyła ramionami i milczała.

— Myślę, że będziemy musiały porozmawiać. Najpierw jednak uprzedzę cię o czymś. Jadę do Amsterdamu, ale tylko na kilka dni. Obawiam się, że muszę pojechać sama.

— W porządku.

— Nie chcesz wiedzieć, dlaczego?

— To zależy od ciebie.

— Stajesz się nieznośna — stwierdziła Althene. — Kreujesz się na coś w rodzaju poczwarki.

Ciekawe, co się z niej wyłoni...

— Chrabąszcz — odparła Rachaela. — Skarabeusz.

— I bardzo dobrze. Muszę wracać do Amsterdamu, żeby zobaczyć co wyrabia moja matka.

Mówią, że zachowuje się niezbyt mądrze.

— Mówią?

— Rodzina.

— Twój Scarabeidzi. Ci z kontynentu. I to oni zdecydowali, że musisz jechać.

— Niezupełnie.

— Nie rozumiem więc, po co to robisz. Nienawidzisz swojej matki, prawda? Suka, która biła cię rzemieniem!

— Tak. Nie kocham Sofie. Nawet jej nie lubię. Ale uważam, że powinnam być lojalna w stosunku do niej.

— Mistyczna, niewzruszona lojalność Scarabeidów.

Althene ubrana była w suknię koloru śmietankowego, odsłaniającą delikatnie umięśnione i pracowicie wydepilowane ramiona. Na lewe ramię spływał ciemny kosmyk włosów. Uniosła głowę. Czarne zwoje rozsypały się, a ona spojrzała uważnie na kochankę.

— Miałyśmy już taką rozmowę — powiedziała wolno. — Na początku.

— Ale to — odparowała Rachaela — może być nowy początek.

— Czyżby?

— Twój początek z Anną.

— Rozumiem. Anna jest moją córką.

— I co z tego?

— Nic — ucięła Althene. — Przedyskutujemy to, jak wrócę.

— Proszę bardzo.

— Adamus przecież nie żyje — zauważyła Althene.

— Co ty powiesz? Czy Ruth też nie żyje?

— Proszę cię, Rachaelo — powiedziała Althene. — Muszę zająć się czymś innym. Moja matka jest wytrącona z równowagi.

— A czy to twoja wina?

Czarne oczy Althene, podkrążone błękitnawym cieniem, błysnęły. Mogła nimi równie zabić jak pocałować. Magiczny pocałunek. Kim była dla Anny? Czy Anna kiedykolwiek się nad tym zastanawiała? Matka... ojciec... kochanek... jeszcze nie.

— To tak jak twoja matka — powiedziała spokojnie Althene. — Zwariowała dzięki awansom ojca.

— Kochał ją, a potem zostawił.

— Też, ale także coś dużo gorszego.

— Co jeszcze zrobił?

— Coś. Nie wiem. Począł mnie. Czy to nie dosyć?

— Nie sędzę — powiedziała Rachaela.

— Ale teraz jesteś zaintrygowana. Opowiem ci o moim ojcu, to znaczy to, co o nim wiem.

Widziałam go tylko raz. Dawno temu.

— Jak dawno? Czy to było czterysta lat temu? A może więcej?

Althene skrzywiła się.

— Wystarczy to, co powiem — nasze suknie sięgały ziemi.

— Wystarczy.

— Było to w mieście, w Amsterdamie. W starym domu. Bawiłam się w pokoju na dole.

— Opisz go.

— Po co? To był całkiem zwyczajny, zamożny dom z podłogą w czarne romby na białym tle.

Drzewo pomarańczowe w wielkiej donicy, które rosło wewnątrz i sięgało sufitu, rodiło twarde, zielone owoce. Miałam około dwunastu lat, bawiłam się z małym kotkiem. I wtedy wszedł on.

Ten mężczyzna.

— Jak byłaś ubrana, Althene? Jak chłopiec czy jak dziewczynka?

— Bystra jesteś.

— Nie. Wspomniałaś, że suknie sięgały ziemi.

— Tak, przekupywałam służącą, żeby pomagała mi przebierać się w kobiece stroje.

— Jak byłaś ubrana?

— Miałam czepeczek na głowie, a z tyłu rozpuszczone włosy. W miejsce biustu włożyłam zwinięte chusteczki. Wąska talia była moim atutem.

— I on cię zobaczył.

— Tak, zobaczył mnie. Wydał mi się wysoki i... taki faktycznie był. Naprawdę wysoki. Miał

włosy czarne jak skrzydło kruka, szesane do tyłu. Wyglądały jak narysowane jednym pociągnięciem pióra. Wysokie, szerokie czoło, oczy błękitne jak klejnoty, twarz piękna — odznaczał się urodą boga. Uśmiechał się. Nie znał mojego imienia, ale zawołał mnie, więc do niego podeszłam.

— To był twój ojciec.

— Człowiek, który pocałował mnie z Sofie, tak.

— Oczywiście był Scarabeidem.

— W istocie. Spytał, jak się nazywam. Miałam imię, którego używałam w tajemnicy.

Odsłoniłam się przed nim, powiedziałam mu. Każdym porem skóry pachniał, pachniał czymś... niebezpiecznym. Tak — niebezpieczeństwem i ciemnością.

— Rozumiem — Rachaela skinęła głową.

— Jasne, wiesz o co chodzi. Adamus jednak przy tym mężczyźnie był jak szept przy pieśni bojowej.

— A Malach? — nagle spytała Rachaela. — Spróbuj porównać go z Malachem.

— Och, Malach — Althene uśmiechnęła się. — Malach to Malach.

— Opowiadaj dalej. Co zrobił twój ojciec?

— Pieścił mnie. Bardzo delikatnie i przyzwoicie. Powiedział, że jestem bardzo ładna, że słyszał już o mnie, i że muszę być jego córką. Nazywał siebie Cajanusem. Zapytał mnie o wiek, pogłaskał po policzku. Wtedy moja mama zeszła ze schodów i zawyła. Jak pies. Przeraziłam się, ale on wstał i schował mnie za siebie, jakby chroniąc. W tym momencie fantazjowałam, że zabierze mnie ze sobą i wszystko będzie dobrze.

— Ale nie zrobił tego.

— Oczywiście, że nie. Mama wzięła go na bok. Poszli na górę. Odwrócił się i całując wnętrze swej dłoni posłał mi całusa, wchodząc po schodach. Światło odbijało się w jego oczach. Jak

widzisz, nie zapomniałam żadnego szczegółu.

Rachaela pomyślała ze złością: nie próbuj zwyciężyć mnie swoim cierpieniem. Althene znów ją intrygo wała, jak na początku. Wyglądało na to, że jej przyjaciółka w końcu Jest górą”.

— I twoja matka poinformowała ojca, że nie jesteś wspaniałą i pełną wdzięku dziewczynką, ale małym, perwersyjnie przeorany chłopcem.

— O, nie. Zrobiła coś znacznie perfidniejszego.

Althene patrzyła w dal. Ile to wieków? Scena, którą opisywała, była jak z holenderskiego obrazu: podłoga, kociak, nieużyteczne pomarańczowe drzewko.

— Co takiego?

— Wprowadziła mnie do komnaty i zamknęła drzwi. Rozebrała mnie własnoręcznie; wkrótce stanęłam przed nimi naga i ojciec... zobaczył swój błąd. Przypuszczam, że poczuł się bardzo niezręcznie. Jego twarz zatrzęsnęła się jak drzwi. Wyszedł i zostawił nas, już na zawsze. Ona zaśmiała się i uderzyła mnie.

— Mówiłaś, że była w tym świetna.

— Opowiedziałam ci historię.

Rachaela odwróciła głowę, zawstydzona.

— Przepraszam.

— Gorszego upokorzenia nie doznałam wcześniej. Ani później. To był... chrzest bojowy.

Usiadły w milczeniu. Na dole Anna włączyła aparaturę i Szostakowicz zapanował nad domem. Wspaniały muzyczny komentarz, dźwiękowe tło do filmu życia.

— Czy musisz jechać? — spytała Rachaela.

— Może to akurat sprawi, że będziesz za mną tęsknić jak dawniej.

— Anna też będzie tęsknić.

— Zatrószysz się o nią. Będzie bezpieczna z tobą.

— Mogę ją rozebrać do naga i wychłostać.

— Możesz nauczyć się kochać ją.

— Ona nie jest do kochania, nie w taki sposób. Nie jest typem maminej córeczki.

— Skąd możesz wiedzieć? — spytała Althene, a jej twarz była chłodna i daleka, dużo dalsza niż Amsterdam, miasto na kontynencie.

Regowi kupiono nowy samochód. Rachaela dowiedziała się o tym, gdy Elizabeth przyszła jej podziękować. Z pewnością załatwili to Scarabeidzi. Na podjeździe stał gładki, stalowoszary Citroen XM.

Tym pojazdem, kilka dni później, wieziono Althene na lotnisko. Anna odprowadzała ją sama, bez Rachaeli, i wkrótce powrócili z Regiem na wzgórze z cichym mruzeniem silnika.

Dziewczynka wystukała szyfr w domofonie przy drzwiach i weszła do domu.

Rachaela, pełna oporów, wyszła jej jednak na spotkanie.

— Widziałaś samolot?

— O, tak. Obserwowałam jak startuje.

— To dobrze. Będiesz mogła wyjechać po nią, gdy będzie wracać.

— A ty też pojedziesz?

— Może. Dzisiaj byłam zmęczona. Nie lubię długich przejażdżek samochodem.

— Reg cieszy się z tego nowego auta — powiedziała Anna. Cierpliwie stała w holu, aż

Rachaela zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zagradza córce wejścia. — Czy Jelka tęskniła za mną? — spytała dziewczynka.

— Tak. Szukała cię. Myślę, że one wszystkie nie będą mogły doczekać się Althene.

— Co Elizabeth zostawiła mi z obiadu? — spytała Anna.

— Kurczaka, *quiche* i sałatkę. I jakiś mrożony deser.

Anna skinęła głową.

Ruth chciałyby jeść natychmiast. Miała prawie zawsze wilczy apetyt. Jej druga córka jadła normalnie, w gruncie rzeczy raczej skromnie. Prawdopodobnie spytała o jedzenie jedynie dla zasady, by obniżyć napięcie.

— Chcesz herbaty czy coś zimnego?

— Dziękuję, tylko wody.

Rachaela weszła do kuchni i wzięła z lodówki butelkę wody mineralnej. Nalała trochę do wysokiego, zielonego kieliszka. Anna dostawała często do obiadu kieliszek białego wina.

Kiedy pomyślało się o jej wieku, było to absurdalne. Tylko że Anna nie była w swoim wieku.

Wieczór minął spokojnie, ale osobno. Anna bawiła się z kotami i słuchała preludium

Rachmaninowa z płyt. Później włączyła kasetę z filmem *Zbiegłe plemię*. Odwrotnie niż

Scarabeidzi z podlondyńskiego domu, lubiła stare filmy.

Rachaela malowała w piątym pokoju, którego używała jako pracowni. Zajęcie to jednak nie dawało jej spodziewanej satysfakcji.

Althene oznajmiła, że nie będzie jej sześć, może siedem dni. Rachaela nie zapytała jej o żadne szczegóły wizyty.

Nie rozdzielały się przez trzy lata. To musiało boleć, a przynajmniej dawać uczucie dotkliwej pustki. Ale tak naprawdę, już od wakacji były jakby osobno; Anna je rozdzieliła. Althene nie istniała już teraz wyłącznie dla Rachaeli, nie do końca. Ona rozdzieliła się, w sposób oczywisty a zarazem zagmatwany, jakby na dwie natury. Jej męskość, choć zawsze ukryta, wiodła przecież mocne i niepokojące życie.

A ja nie lubię mężczyzn, prawda? Pragnę ich, ale ich nie lubię, dumiała Rachaela. Nigdy ich nie zapominam, ale też nigdy nie pokocham.

Adamus całował ją w usta w nawie kościelnej. A ten, którego Althene nazwała Cajanusem, z oczami jak błękitne klejnoty, całował jej dłoń na schodach holenderskiego domu.

Anna poszła do łóżka o dziesiątej. Rachaela zajrzała do niej po cichu, chcąc spełnić swój obowiązek. Chciała sprawdzić, czy Anna czegoś nie potrzebuje, chociaż to było głupie. Anna nie jest dzieckiem, nawet jeśli nim być powinna. W każdym razie już spokojnie i cichutko spała. Czy akceptowała rodzinną sytuację? To było dla niej naturalne.

Anna pod wieloma względami była jeszcze bardzo dziecinna. Na jednym jej ramieniu spoczywał pyszczek lisa Urszuli, na drugim ramieniu spał pluszowy królik. Jak długo Ruth zachowała swego misia; do dziewięciu, dziesięciu lat? Potem nie miała żadnego żywego stworzenia. Jelka wkrótce przyjdzie położyć się na poduszce. Czarny aksamit jej futerka pięknie kontrastuje z lodową jasnością włosów Anny.

Czy pokój Anny, druga sypialnia wielkiego, obwarowanego domu, znajduje się w tym samym miejscu co dawne lokum Ruth w londyńskim mieszkaniu?

W nikłym świetle padającym z holu Rachaela rozejrzała się po pokoju. Pastelowe ściany i podłoga pokryta grubym, ciemnozielonym dywanem nadawały koloryt pomieszczeniu.

Staromodna rzeźbiona szafa rozparła się koło drzwi, a obok uzupełniała ją komódka z małymi szufladkami, służąca za toaletkę. Biblioteczki wypełniono książkami. Na podłodze nie było ani jednej lalki tylko pluszowe zwierzątka, ułożone starannie na nocny spoczynek. Obok pościania spoczywał stos książek; materac był pokryty migdałowym prześcieradłem i zaścielony patchworkową kołdrą. Na niej śpi teraz Jacob, jak w gniazdku, przed swą kolejną nocną wycieczką do ogrodu.

Ona musi bardzo tęsknić za Althene. Czy płakała na lotnisku, czy też próbowała powstrzymać łzy?

Ruth zawsze panowała nad sobą, do tego stopnia, że było to nieprzyjemne, zbijające z tropu. Tak było do tego ostatniego momentu, na schodach, gdy niesiono ją na górę wrzeszczącą:

Malach! Malach!

Włosy Anny były dokładnie tej samej barwy co włosy Malacha. Mogłaby być jego córką. Ale jest moja.

Anna poruszyła się przez sen, odwróciła trochę i Jelka miauknęła. Dziewczynka otworzyła oczy i, gdy wyciągnęła dłoń by popieścić kota, zobaczyła Rachaelę.

Czy pomyśli, że wślizgnęła się tutaj, żeby ją udusić? Podstępna macocha?

— Hej! — powiedziała Anna. — Chciałaś coś ode mnie?

— Tylko zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

— Tak. Dziękuję. Śniła mi się Althene, stała w Amsterdamie nad kanałem.

— Do tej pory już pewnie tam jest.

— Mam nadzieję, że u niej wszystko w porządku.

— Z pewnością. — Jak bardzo Althene była przywiązana do Anny? — Pewnie bardzo za nią tęsknisz, ale nie martw się. Wkrótce wróci.

— Wiem — odparła Anna.

I oto Rachaela miała przed sobą czystą jak sen, który odszedł na chwilę by zaraz powrócić, łagodną bezinteresowność i niewinność prawdziwej miłości. Anna nie płakała. Nie dręczyły jej wątpliwości. Althene ją kocha i Althene wróci. Ale na świecie nic nie jest aż tak pewne, Anno. Chyba, że dla Scarabeidów.

Rachaela wyszła zamykając za sobą drzwi. Ruth wolała prywatność. Zeszła na dół i otworzyła następną butelkę wina. Siedziała przed włączonym telewizorem popijając z zimnej szklanki i oglądając wiadomości z niepewnego świata.

* * *

W poczekalniach ostrzegano teraz przed czym innym niż dawniej. Przede wszystkim były fakty o AIDS. Na stołach leżały także ulotki o menopauzie, zdrowej żywności i wykorzystywaniu seksualnym dzieci. Przyciągający uwagę, kolorowy plakat uprzedzał, że więcej niż dwie lampki

wina dziennie mogą poważnie zaszkodzić zdrowiu kobiety. Nie było już ostrzeżeń przed gruźlicą, promieniowaniem czy zanieczyszczaniem wody płynącej z kranów. Wiele kolorowych ulotek ostrzegało przed skutkami palenia tytoniu. Rachaela pomyślała, że wie więcej i to powoduje, że staje się zła. A może tylko ironiczna?

Kwestionariusz, który przyszło jej wypełniać, był w stylu formularzy stosowanych przy przyjmowaniu do pracy w zawodach wymagających zachowania najwyższej tajemnicy. Nie udało się jej dokończyć ani jednej części. Wyglądało na to, że recepcjonistka nie bardzo się tym przejęła, może dlatego, że bardziej zajmowała ją rozmowa z koleżanką. Na liście lekarzy przyjmujących zaznaczono, że wszyscy są pracownikami Narodowej Rady Zdrowia i napisano, który z nich zastępuje lekarzy domowych z rejonu.

— Pani Day? Doktor Collins prosi panią, różowe drzwi!

Wstały i Rachaela posłusznie weszła do gabinetu z Anną ubraną w białą sukienkę o modnej długości.

Doktor Collins była atrakcyjną i zrównoważoną kobietą około trzydziestki. Trzymała w ręku ich kwestionariusz, który trafił do niej przez zakryte okienko. Nie poświęciła mu jednak zbyt wiele uwagi.

— W czym mogę pomóc?

— To jest moja córka, Anna — przedstawiła Rachaela.

— Cześć, Anno — uśmiechnęła się lekarka.

Z ruchów jej rąk, tonu, modulacji głosu można było odgadnąć, że zawsze zachowywała spokój, a przynajmniej wtedy, gdy chodziło o ratowanie życia.

Anna nie odpowiedziała. Czekwała.

— Anna ma jakieś problemy z prawą ręką — powiedziała Rachaela. — Czy mogłaby pani ją zbadać, pani doktor?

— Jakiego typu to są problemy?

— Ogólne. Trudno się zorientować. Wolałabym, żeby została gruntownie zbadana.

— Cóż, pani córka jest w takim wieku, że może mieć różne dolegliwości. Nie martw się, Anno. Badanie nie będzie bolesne. Rozbierz się do pasa.

Lekarka bardzo delikatnie zaczęła badać klatkę piersiową Anny, a potem osłuchiwała serce.

Wydawało się, że napięcie Rachaeli i Anny udzieliło się i jej.

W miarę jak badanie postępowało naprzód, pani doktor wydawała się coraz bardziej zadowolona. Rachaela przypomniła sobie Kate Ames. Doktor Collins była zadowolona, ponieważ wszystko było w porządku.

Na koniec, po obejrzeniu gardła i uszu, lekarka zbadła prawą rękę Anny.

— Nie ma powodów do niepokoju. Jesteś leworęczna, prawda Anno?

— Tak.

Anna znosiła sytuację z godnością. Nawet obnażenie ciała przed obcą osobą, lekarką i drugą obcą, jej matką nie wytrącało jej z równowagi?

Rachaela spojrzała raz, ale szybko umknęła wzrokiem. Widziała to. Teraz pani doktor bez przerwy powtarzała, że Anna jest w świetnej formie; że chciałyby widzieć wszystkie młode dziewczęta tak dobrze rozwinięte i w dobrym zdrowiu. No, może jest lekka anemia, ale wapno i żelazo szybko się z tym uporają. To normalne przy nagłych zmianach w funkcjonowaniu organizmu, w okresie dojrzewania.

— Ona jeszcze nie miesiączkuje — zaznaczyła Rachaela.

— Tak? W takim razie zalecę zestaw witamin. To nic niezwykłego. Czasami martwienie się o to opóźnia sprawę.

Usiadły teraz w kręgu, jak trzy konspiratorki.

— Obawiam się, że nie wypełniłam wszystkich rubryk formularza — powiedziała Rachaela

cicho, ale stanowczo.

— O, proszę się tym nie przejmować. Możemy to nadrobić w każdej chwili.

— Ile lat dałaby pani doktor mojej córce?

Doktor Collins podniosła wzrok, uśmiechnęła się porozumiewawczo do Anny.

— No, pomyślmy. Anna wygląda na... może... dobrze rozwiniętą piętnastolatkę?

— Pani doktor, moja córka ma mniej niż dwa lata.

Doktor Collins nie roześmiała się. Coś drgnęło w głębi jej kulturalnej, mądrej twarzy.

Wpatrywała się w Rachaelę ciężkim wzrokiem.

— Pani Day, mam dziś mnóstwo pacjentów; obawiam się, że jest już kolejka. Jednak wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać. Może mogłaby pani zajrzeć do mnie jutro, około pół do dwunastej, gdy Anna jest w szkole. Wtedy będę mogła poświęcić pani więcej czasu.

— Dobrze — powiedziała Rachaela wstając.

Wzięła z biurka receptę na żelazo i wapno. Wyszły, zostawiając panią doktor przy biurku z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

Rachaela oczywiście nie podała prawdziwego adresu.

Poszły spacerkiem brzegiem słonecznej ulicy. Spotykały po drodze samochody, mijały wielkie domostwa, które rozłożyły się wśród ogrodów ze strzyżonymi drzewami szpilkowymi i krzewami róż. Lato rozpoczęło swe panowanie; kot drzemał na ścieżce, słońce przezierało się przez liście.

— Wiem, że chciałabyś mi coś powiedzieć, Anno.

Anna milczała.

— Musisz być wściekła, zła na mnie. Przykro mi. Ale cóż, stało się. Rozebrano ją do naga, postawiono pod pręgierzem i wychłostano upokorzeniem.

— Dlaczego to zrobiłaś? — spytała dziewczynka.

— Dlaczego zabrałam cię do obcego lekarza, by cię zbadał? Nie wiesz?

— Ponieważ urosłam zbyt szybko?

— Tak, Anno. Zadziwiająco szybko.

— I mnie się tak zdawało. Czasami mnie bolało. Althene powiedziała... — Anna zaczęła i przerwała.

— Powiedziała, że to nic nie szkodzi, tak?

— Powiedziała, że jestem inna. Że wszystkie jesteśmy inne.

— Jesteśmy ze Scarabeidów.

— Tak — kiwnęła głową Anna.

— Myślę, że wzięłam cię do tego lekarza po to, żeby cię ukarać. A to jest bardzo nie w porządku, ponieważ nie ponosisz za nic winy; kimkolwiek, do diabła, jesteś.

— Jestem Anną.

— Czy rzeczywiście?

Szły, aż ulica skończyła się, krzyżując się z ruchliwą drogą. Tutaj zatrzymały się, patrząc na siebie, a wszystko inne przemykało obok.

Czy wkrótce dorówna mi wzrostem? — spytała Rachaela samą siebie.

Oto jej córka, Anna, w krótkiej białej sukience; absolutnie zdrowa, śliczna szesnastolatka — jak stwierdziła doktor Collins. Lekarka nie powiedziała nic o urodzie dziecka i o znaku na lewej piersi Anny — bladym duchu prawdziwej blizny po pchnięciu sztyletem w serce. Błękitne muśnięcie, a może tylko pamięć tego, co wydarzyło się z Ruth.

— Ktoś zrzucił cię z wieży — powiedziała Rachaela. — A ja jestem zamkiem, który nawiedzasz. Straszysz mnie.

Anna popatrzyła na nią; nie była przestraszona ani nawet smutna. Jej spokój przerastał nawet zawodowe opanowanie doktor Collins.

— Czy myślisz, że jestem Ruth?

— Tak. A co ty o tym sądzisz?

— Nie wiem.

— Czyżby? — ton Rachaeli przypominał przesłuchanie policyjne. — Czy pamiętasz cokolwiek?

— O, tak. Ale nie to.

— Więc co?

— Miejsca — powiedziała Anna w zamyśleniu. — Stare pokoje. Ale nie potrafię ich odmalować.

— A jego pamiętasz?

— Kogo?

— Malacha.

Anna spojrzała prosto w oczy Rachaeli a przez jej buzię, w ułamku sekundy, przebiegła fala

— bezbarwna i spokojna, choć niosąca ślad zaróżowienia.

— Althene wymieniła to imię. Znam je.

— Co ci o nim powiedziała?

— Niewiele. Mówiła, że był dla niej miły i ma mnóstwo psów. Mieszka w zamku.

— Który nawiedza.

Anna nagle zaczęła płakać. Woda tryskała z jej srebrnych oczu, jak z bezdennego źródła deszczu. Rachaela wpatrywała się w nią. Dziewczynka robiła to tak samo jak ona. Była jej córką. Niezdarnie wyciągnęła ręce, by dotknąć Anny, ale ona nie reagowała, wstrząsana bezgłośnym płaczem na skraju ruchliwej ulicy.

— O, Boże — jęknęła Rachaela — nie wiem co robić.

— Za chwilę przestanę — powiedziała Anna miękko. I przestała.

Przechodnie zerkali na nie z ciekawością. Uroczą blondynka, ze łzami ciekącymi po policzkach i piękna brunetka, zbyt młoda na jej matkę, z zaciśniętymi pięściami i spuszczoną głową. Może para kochanek? Czy to jakaś drobna sprzeczka?

ROZDZIAŁ 6

Dojazd pociągiem do Londynu zajął pół godziny. Na stacji znalazły taksówkę. Popołudnie minęło im bardzo szybko: gabinet figur woskowych, park, rzeka. Anna nie robiła wrażenia przestraszonej. Bardzo cieszyła ją podróż pociągiem, a podczas jazdy taksówką rozglądała się wokół jak dziecko.

Miała na sobie jasną sukienkę w bladopurpurowe i zielone kwiaty, na nogach zielone rajstopy i pantofle na zupełnie płaskiej podeszwie. Smukłą szyję zdobił srebrny wąż, prezent od Althene. Może talizman?

Taksówka wspięła się na wzniesienie.

Dom z witrażami jak karty tarota, zwieńczony wieżyczkami i otoczony parkiem, odbijał wyraźnie od sąsiedztwa. Zachodzące za nim słońce nadawało dramatyczny, filmowy nastrój całej scenie. Rachaela odwróciła się do Anny, by ją zapytać co sądzi o tym widoku. Wierzyła, że jej córka widziała ten dom wcześniej, w poprzednim wcieleniu, tyle że nie pamiętała go. Wsiadły potem i gdy Rachaela płaciła kierowcy, Anna stała na podjeździe rozglądając się.

Taksówka cofnęła się i ruszyła w dół wzgórza. Motyl sfrunął z wrzosu, którym obsadzono brzegi podjazdu. Dziewczynka wyciągnęła rękę i motyl przysiadł na koniuszkach jej palców.

— Czyż nie jest piękny, Rachaelo?

— Tak, jak to zrobiłaś?

— Co?

— Nieważne.

Rachaela podeszła ostrożnie by podziwiać motyla. Był barwy najbliższej cytryny, a jego

skrzydełka drżały życiem. Równie nagle, jak przysiadł, by odpocząć, zerwał się i... poszybował w stronę drzew za domem.

Rachaela zapukała do drzwi. Zielona twarz maskarona z kołatki spoglądała na nią znad wysuniętych warg, przypominających liście. Nie uprzedzała ich telefonicznie. Wizyta miała być niespodzianką.

Wyprostowany, niezbyt wysoki, starszawy mężczyzna otworzył drzwi.

— Dzień dobry, Michael!

— Dzień dobry, panno Rachaelo.

Powinna była się spodziewać. Oczywiście, Althene za jej plecami cały czas informowała rodzinę. Anna powiedziała:

— Witaj, Michael.

Weszli do wspianego holu, z kinkietami i kolumnami. Kobiety na witrażach były jak zawsze nieruchome, a bardowie tkwili na swoim miejscu, nad schodami. Tu, po stopniach w dół, skradała się Ruth ze swoją brzytwą. A potem, gdy mężczyzna już leżał martwy u podnóża schodów, w kałuży krwi, Michael i Kei wlekli ją na górę.

Jeszcze ktoś schodził. Zawsze wiedzieli, gdy miał się u nich pojawić gość.

— Przykro mi, że cię nie zawiadomiłam, Ericu. Przywiozłam Annę, żeby się z tobą zobaczyła.

Czyżby urosł ostatnio? Był bardziej wyprostowany, jędrny. To całkiem możliwe. Scarabeid mógł urosnąć, odmłodzić, stać się bardziej żywotnym... Włosy Erica zrobiły się mniej siwe, a właściwie był teraz szpakowatym brunetem. Oczy miał żywe i lśniące. W jednej ręce trzymał księgę, spomiędzy której kart spływał fontaż czarnej, jedwabnej zakładki.

Dotarł do końca schodów i zbliżył się do nich. Ujął dłoń Rachaeli i dotknął suchymi, zwartymi wargami. Ukłonił się Annie.

— To jest córka moja i Althene — powiedziała Rachaela. — A to jest Erie.

— Cieszę się, że przyjechałyście obie.

— Dziękuję za miłe powitanie — odparła Anna.

Nie było między nimi żadnego cichego porozumienia. A więc może nie wie, przemknęło przez myśl Rachaeli. A jeśli to tylko lekceważąca ironia wobec dawnego wroga, odzianego w nową skórę?

Weszli do białego salonu. Był bardzo porządnie posprzątany, wszystko lśniło. Na stole stały kwiaty w alabastrowej wazie. Przy telewizorze leżały kasety wideo w krzykących, jaskrawych okładkach. Na sofach porozrzucono książki; pokój wyglądał na zamieszkały, wręcz tchnął życiem.

Usiedli.

— Michael nam coś przyniesie — zarządził Erie. — Czy napijesz się herbaty, Rachaelo? A ty, Anno?

— Mogę prosić o kawę? — spytała grzecznie dziewczynka.

— Obawiam się, że nie mamy jej w domu — powiedział Erie z nutą żalu.

— Więc poproszę herbatę.

Zachowywała się jak doskonale wychowana, dziewiętnastowieczna panienska, składająca wraz z opiekunką wizytę bogatemu wujowi.

Ruth nigdy nie była taka.

Anna jednak zasadniczo różniła się od Ruth. Choć śliczna, prezentowała urodę dziwną; choć pełna wdzięku — uderzała obcością. Niezwykłość drugiej córki, jej oddalenie, nieziemskość różniły ją od skrytej, skierowanej na siebie i demonicznej Ruth.

Erie otworzył księgę i Rachaela zobaczyła stronę z zaznaczonym paragrafem. Na marginesie były odnośniki i uwagi drobnym pismem. Sylwian był stale pogrążony w książkach, w poprzednim domu, nad morzem. Ale nie wpisywał do nich własnych uwag.

— Muszę wnieść pewne poprawki — powiedział Erie. — Chodzi o historię. Zmienili ją.

— Oni? Masz na myśli Scarabeidów? — spytała Rachaela.

— Scarabeidzi... My jesteśmy historią. My jesteśmy prawdą.

Rachaela zerknęła na Annę.

— Więc Anna również jest prawdą.

— Oczywiście.

Anna uśmiechnęła się wyraźnie... do Erica. Nawet uśmiech miała inny niż Ruth, która tak cudownie promieniowała. Wyraz twarzy Anny był łagodny jak miękkie światło.

Erie skinął głową, a dziewczynka odpowiedziała mu tym samym.

Rzekł:

— Mirandy chyba nie ma w domu. Teraz ciągle gdzieś wychodzi, uwielbia miasto. Ale Sasha zaraz zejdzie. Musicie jej wybaczyć, jeżeli wyda się wam troszkę nieswoja.

Rachaela zastanawiała się: czy chodziło o to, że Sasha może odgadnąć, kim naprawdę jest

Anna?

— Dlaczego miałyby być spięta? — spytała Rachaela bez troski.

— W naszym wieku trzeba wybaczać pewną ekscentryczność — wyjaśnił Erie.

Rachaela zaśmiała się. Ale on był całkiem poważny. Chodziło mu zapewne o to, że można już być dziwakiem, gdy się ma dwieście lub pięćset lat...

Anna z Ericem rozmawiali o filmach. Ich gusty różniły się diametralnie. Scarabeidzi w tym domu lubili przemoc, żywą akcję, brutalne morderstwa, bezlitosną sprawiedliwość — słowem, gwałtowny zastrzyk adrenaliny. Anna mówiła o Vivien Leigh w *Cesarze i Kleopatrze* i o *Tramwaju zwanym pożądaniem*, o *Casablance* Bogarta i *Hamlecie* Oliviera, Alecu Guinnessie i *Człowieku w białym płaszczu*. Znaleźli wreszcie wspólny temat w postaci Claudette Colbert w roli Kleopatry.

— Szczegóły nie zawsze są istotne — powiedział Erie. — Ważny jest duch. Wspaniały film.

Kolorowe okładki przyciągnęły ponownie wzrok Rachaeli. Jakie to dziwne, pomyślała, Anna woli obrazy czarno–białe.

Cheta i Michael wnieśli herbatę. Błękitne chińskie filiżanki, biało–niebieski serwis. Wjechały patery z małymi ciasteczkami i kandyzowanymi owocami. Całości dopełniała niewielka karafka bezbarwnego likieru. Taki podwieczorek podano, gdy Malach po raz pierwszy przyprowadził Ruth do domu.

Ale Sashy wciąż nie było. Czyżby odmówiła przyłączenia się do nich?

Anna wzięła jedno ciasteczko i pojedynczą cząstkę pomarańczy. Wypiła filiżankę mocnej herbaty. Jak zawsze? Wtedy na schodach zadźwięczał wysoki dziewczęcy, a nawet dziecienny głos z lekkim, zmanierowanym akcentem.

— Najbardziej lubię truskawki, Nan–Nan.

Tak, to mogła być Tray, córka tego człowieka. Tego Nobbiego, któremu Ruth podcięła gardło.

Teraz jest przybraną córką Scarabeidów, najprawdopodobniej. Jej głos i sposób mówienia się zmienił. Nie był to już slang z przedmieścia; było w niej też znacznie mniej dorosłości.

Miała wtedy dwadzieścia lat, może dwadzieścia dwa. W tamtych chwilach krwi i krzyku schroniła się w dzieciństwo i stała się nagle dziewięciolatką, a może jeszcze mniejszym dzieckiem. Czy Tray, a raczej Terentia potwierdzi, kto siedzi tutaj w bieli? Demon?

Mordercy? Czy będzie to dla niej oczywiste?

Sasha i Terentia stanęły w drzwiach razem; dwie szczupłe sylwetki przepływające obok siebie.

Sasha nosiła nowoczesną sukienkę w kolorze dojrzałej śliwki, odpowiednią dla kobiety osiemdziesięcioletniej, na którą miała wyglądać. Nie upinała już włosów; kunsztownie obcięte sięgały do ramion. Styl niezbyt odpowiedni dla dojrzałej kobiety, a jednak pasowały do niej.

Terenia–Tray miała na sobie czarny strój przybrany cekinami. Ciemne włosy spływały jej nisko na plecy a błękitne oczy były szeroko otwarte.

Pod pachą niosła pluszowego lwa, którego sprawiono jej po śmierci Nobbiego. Wyglądał na zużytego jak żadna inna zabawka; wielokrotnie przyszywano mu uszy.

Starsza pani nie wyglądała na zdenerwowaną, a jej twarz, w przeciwieństwie do buzi Terentii, wyrażała spokojną wiedzę.

— Patrz, Nan–Nan — powiedziała radośnie Terentia. — Cheta zrobiła mi truskawkowe.

— Oczywiście, że tak, kochanie — odparła Sasha.

Miranda odgrywała rolę Nan–Nan trzy lata temu. Ale może teraz była znów za młoda na tę rolę i Sasha ją zastąpiła.

Dwie kobiety zbliżyły się po nieskazitelnym, mlecznym dywanie. Anna podniosła się, jak dobrze wychowana młoda dama. Terentia spojrzała na nią z dzieciennym zainteresowaniem, jakby była inną małą dziewczynką, która przyszła się z nią pobawić. Sasha natomiast wydała dziwny dźwięk, jakby cichy skowyt, po czym upadła na dywan. Była tak krucha, że ledwie było słychać jej upadek. Terentia przypadła do niej w panice.

Erie wstał i zbliżył się do Sashy. Cheta klęczała obok leżącej kobiety. Potem podszedł Michael, podniósł ją i położył na jednej z białych sof. Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Erica spojrzeniem sprzed wieków. Erie wziął ją za rękę.

Dotyk mógł być dla Scarabeidów nieznośnym doznaniem zmysłowym. Ale znosili go. Starzy i silni, odradzali się, lecz byli śmiertelni. Rachaela zerknęła na Annę, która zachowała powagę i była opanowana. Sasha wreszcie usiadła, a obok niej przycupnęła Terentia, uczepiona jej ręki.

— W porządku, kochanie — uspokoiła ją staruszka. — Sasha już czuje się dobrze.

Terentia pozwoliła jej wstać i przynieść sobie na pocieszenie talerzyk kandyzowanych owoców.

— Poczęstuj się także, Nan–Nan.

— Teraz dziękuję, ale może ty coś zjesz za mnie.

Terentia zaczęła jeść, nie łapczywie, prawie jak z obowiązku.

Zza drzwi wysunęły się dwa czarno–białe koty, dzieci Juliet. One też wyczuły wagę chwili.

Anna zawołała je i zwierzątka podeszły do niej. Podniosła je i usiadła obok Rachaeli ze zwierzaczkami na kolanach. Cheta przyniosła Sashy kieliszek brandy z szafki.

— Musisz mi wybaczyć, Rachaelo — powiedziała Sasha. — Trochę słabo się dziś czuję.

Nie. Właśnie znów zobaczyłaś Ruth. Tę, która zabiła prawdziwą Annę, przebijając jej serce drutem do ręcznych robótek, odparła w myślach Rachaela.

— Tak, rozumiem, Sasho. A to jest Anna.

Sasha znów spojrzała na Annę.

— Anno, bardzo się cieszę, że przyjechałaś zobaczyć się z nami. Mam nadzieję, że nie przestraszyłam cię.

— Nie. Przykro mi, że źle się poczułaś.

— Och, tylko przez chwilę. Już wróciłam do siebie.

Rozmowa nie była zdawkowa ani nawet sztywna, a to dzięki sposobowi kontaktowania się Scarabeidów i ich lekkiemu akcentowi cudzoziemskiemu. W ich mowie dźwięczała gdzieś, poza zasięgiem ucha, fonetyka stepów i zimnych gór.

— Dziękuję za moje imię — powiedziała Anna.

— O, moja kochana — powiedziała Sasha. — Moja droga.

— To imię rodzinne — wyjaśnił Erie. — Masz do niego prawo.

— Imiona biblijne są zawsze takie stosowne — kwaśno zauważyła Rachaela.

— Poczęstowano cię słodyczami, Anno? — spytała niespodziewanie Terentia.

— Spróbowałam trochę. Są naprawdę smaczne...

— Ja najbardziej lubię truskawki.

Rachaela obserwowała tę dwudziestotrzyletnią dziewczynę z pluszowym lewkiem na podółku, zachowującą się jak dziecko. Naprzeciwko miała dwulatkę, na oko szesnastoletnią, z dwoma kotami na kolanach.

Klucz do tajemnicy pojawił się przed Rachaela. Tray straciła pamięć, by wymazać ze świadomości upiorną zbrodnię dokonaną na jej ojcu. Ruth z kolei, ponownie narodzona jako Anna, straciła pamięć, by ukryć ten sam uczynek i jego konsekwencje. A Scarabeidzi? Dla nich Anna nie była Ruth. A jeśli była, potrafili to jej wybaczyć, jeśli nawet nie zapomnieć.

* * *

Po herbacie Erie oprowadził Annę po domu. Pokazał jej zielono–białe łazienki, ozdobne sypialnie z kolorowymi witrażami w oknach. W jego pokoju, z szybami pomarańczowymi i w kolorze likieru *chartreuse*, leżała jak za dawnych czasów rzeźbiona maska. Obok spoczywała na półgotowa rzeźba głowy, nad którą właśnie pracował. Wyglądało na to, że natchnął Erica kształt maski.

Terentia podążała za Anną, wyraźnie nią zainteresowana. Czasami na coś wskazywała.

Pozwalała Annie podziwiać a nawet potrzymać lwa. Potem Anna też dostała coś do zabawy.

W pewnej chwili Sasha zniknęła, by powrócić prawie po godzinie, gdy goście już zbierali się do wyjścia. W starczych, artretycznych dłoniach trzymała coś, co wyglądało na... pajęczynę.

Materia była podniszczona, okryta kruchymi łuskami przypominającymi zwiędłe płatki lub zasuszone ćmy...

— To jest bardzo stare, Anno. Szal, który Alicja zrobiła własnoręcznie. Chciałabym, żebyś go miała.

Włożyła go jak relikwię w białe dłonie Anny. Dziewczynka uniosła go, rozwinęła... przed jej oczami przesunęły się fragmenty poetyckiego krajobrazu, haftu jak wzorzysta mgła. Anna

ostrożnie okryła się szalem i stała się kobietą z dawnych światów. Następnie wyciągnęła ręce, a Sasha postąpiła w jej ramiona. Objęły się, Sasha i Anna, a potem puściły. Erie pocałował dłoń Anny i skłonił się Rachaeli. Michael otworzył drzwi i wyszły w gasnący dzień.

* * *

— Napijesz się kawy?

— Chętnie, poproszę.

— Zazwyczaj doprowadza mnie do szału, że w domu Scarabeidów nie częstuje się kawą — powiedziała Rachaela. — Peszy mnie też sposób, w jaki się goście to oznajmia. Ale potem wstępuję do kawiarni i napój ten smakuje mi jeszcze bardziej.

Weszły do lokalu, w którym ludzie — zanim metro i autobusy dostarczą ich do domu — starali się uciec od szarej rzeczywistości ich zawodów, racząc się omletami, egzotycznymi tostami, winem i wodą mineralną. Anna piła kawę ze śmietanką, a Rachaela białe wino.

Przy barze dwaj niezbyt atrakcyjni faceci w średnim wieku zaczęli się popisywać.

Wykrzykiwali dowcipne powiedzonka do kelnerek, które znosiły to cierpliwie. Rachaela zdała sobie sprawę, że usiłują przyciągnąć uwagę Anny. I nic dziwnego. Piękność Anny rzucała się w oczy.

Szal spoczywał bezpiecznie w zielonej torbie od Harrodsa, Cheta o to zadbała. A Anna? Anna wyglądała po prostu na cudownie młodą osobkę.

— Anno — spytała delikatnie Rachaela — ile ty właściwie masz lat? To znaczy, na ile się czujesz?

Anna zmarszczyła brwi (zastępcza matka znów się jej czepiała), ale odparła z właściwym sobie wdziękiem:

— W środku jestem dość dorosła — uśmiechnęła się. — A ty, Rachaelo?

— Mam czterdzieści pięć... Chyba tak? Nie pamiętam.

— Nie sądziłam.

Jeden z brzydali wykrzyknął wesoło:

— Czy włożyłaś sałatę do kuchenki mikrofalowej?

— Tak — odparła kelnerka — będzie pyszna, chrupiąca.

Anna wyszczerzyła zęby. Prawdziwy uśmiech; wyglądała z nim jak przystojny, bystry chłopak.

— Chcą, żebyś na nich spojrzała — zauważyła Rachaela.

Anna zaśmiała się i dopiła kawę ani onieśmielona, ani nadęta.

Po co ją tu przyprowadziła? Czy próbowała się do niej zbliżyć? Jej piękność była niepokojąca.

Czy Ruth była równie piękna?

Może zakochuję się we własnej córce? — zapytała samą siebie.

— Althene dzwoniła wczoraj wieczorem — powiedziała głośno.

— Wiem, słyszałam telefon.

— Szkoda. Myślałam, że śpisz. Chciałam ci powiedzieć wczoraj. Jutro będzie w domu.

— Mam nadzieję, że wszystko w porządku — Anna wyglądała na zadowoloną jak dziecko.

— Tak.

— Wyjdziemy po nią?

— Jeśli chcesz.

Anna pogrzyła się w sobie, oddaliła. Spuściła platynowe oczy; ciemne rzęsy (rzecz niespotykana u albinoski) ocieniły jej policzki jak w romantycznej powieści. Nie malowała się, ale miała z natury ciemno-różowe usta i fioletowo zacienione powieki. Gęste, ciemne jak węgiel rzęsy otaczały opalizujące oczy. Białe, wąsko zarysowane brwi nie wymagały żadnego retuszu. Na jej całym ciele — Rachaela teraz to wiedziała — nie było żadnego włoska, z wyjątkiem śnieżnej fali spływającej dziewiczą bielą na ramiona. Tak. Anna była godna najbardziej

poetyckich opisów.

Zakochałam się w niej, pomyślała. Ona jest moja, przede wszystkim moja.

— Mogłybyśmy iść do kina, dziś wieczorem — powiedziała Rachaela ochryple, jak podrostek na pierwszej randce.

— A co grają? — spytała Anna niewinnie, rzeczowo.

— Coś, co zanudziłoby Erica. To kino studyjne. Niemą wersję *Snu nocy letniej*.

— Och, chodźmy — powiedziała Anna ochoczo i słodko.

Słońce zachodziło za ponure miasto, z jego sadzą, smogiem i gruzami, złocąc wierzchołki domów sterczące jak kominy tonącego parowca. Ogień czerwonego słońca wypełnił kawiarnię i gdy dwie kobiety podniosły się, podstarzali chłopcy przy barze spoglądali za Anną z nieświadomą tęsknotą, ukrytą pod pozorami żądy. Ani jeden, ani drugi nie zamierzał jej ukrywać. Zajęci popisywaniem się, nie wykazali jednak dość refleksu. A poza tym w domu czekały żony z ciepłym obiadkiem, długim hipotecznym, zepsutą pralką. Łysiny „chłopców” powiększały się i było wesoło.

ROZDZIAŁ 7

Faran stał na drogim, błękitnym krześle. Wyglądał przez okno, patrzył na jesienny park ciągnący się po drugiej stronie ulicy. Za jego plecami drogie, błękitne mieszkanie trwało nieruchomo w oczekiwaniu na przyjście kobiety i mężczyzny. W wypolerowanej szybie Faran mógł ujrzeć w przelocie swe chude plecy siedmiolatka. Miał na sobie drogie, niebieskie džinsy i czarny podkoszulek z wizerunkiem słonia i czerwonym napisem: Kość słoniowa nie jest biała. Lubił słonia. Miał obrazki ze słoniami, matka pozwoliła je zawiesić w pokoju. Ale napis na koszulce martwił go. Oznaczał, że biali łajdacy obrabowywali słonie z ich kłów. Czarni także to czynili, jak powiedział mu ojciec z przykrością.

Świat był rujnowany; robili to ludzie głupi i bez skrupułów. Faran wiedział to od matki,

mówiła, że Faran odziedziczy zniszczoną ziemię.

Ten obraz pojawiał mu się w nocnych koszmarach.

Kiedy im o tym powiedział, stwierdzili, że wszystko jest w porządku. Był na tyle wrażliwy, by mieć nocne koszmary. Wszystko się zgadzało.

Cimmie i Wellington Objegbowie, rodzice Farana, mówili z akcentem wyższych sfer angielskich. Czasami jednak Cimmie wygłaszała zdanie, które — jak sama mówiła — pochodziło z języka afrykańskiego. Zajmowała się projektowaniem wzorów na tkaniny, czerpiąc inspiracje ze starej techniki batik. Twierdziła, że batik, choć pochodzenia jawajskiego, ma związki z jej etniczną kulturą.

Cimmie była ładną, szczupłą kobietą o skórze koloru kakao. Nosiła krótką fryzurę ze skręconych loczków, choć może mogłaby pozwolić włosom urosnąć. Ubierała się w europejską odzież i biżuterię, która, jak mówiła, pochodziła z Afryki. Miała na przykład kolczyki z bawolich rogów. Oczywiście, drobiazgiem był fakt, że bawoły musiały w tym celu oddać życie.

Wellington pracował dla rządu. Nie miał zwyczaju wiele o tym mówić. Poza domem ubierał się w garnitury Savile Road i jedwabne krawaty ze znakiem szkoły. Zimą, choć był już mężczyzną po czterdziestce i czarne włosy zaczynały mu siwieć, nosił swój stary szkolny szalik. W domu najczęściej zakładał dzinsy, a do pasa pozostawał nagi. Miał wspaniałe ciało, a nagi, ciemny, pięknie umięśniony tors był jego częścią pokazową.

Gdy Wellington chodził rozebrany — sprzyjała temu śnieżna pogoda — Cimmie nie potrafiła zostawić go w spokoju. Znikali w swej sypialni na małe pół godziny po kilkanaście razy dziennie, a do Farana dochodziły zza ściany jęki matki. Nigdy go to nie przerażało. W jakiś sposób wiedział, że okrzyki i westchnienia wiążą się z przyjemnością, a nie z bólem.

Uświadomili go seksualnie bardzo wcześnie. Zrozumiał wyjaśnienia. Był tylko zaskoczony, gdy matka oświadczyła mu, że będzie musiał poślubić białą dziewczynę.

Okazało się, że Cimmie i Wellington są rasistami. Nie lubili czarnych. A z drugiej strony byli zagorzałymi zwolennikami poglądu, że ich dziedzictwo kulturowe zostało zniszczone przez białe rządy. Mieli jednak wyłącznie białych przyjaciół. I gdy ci przyjaciele przychodzili na kolację, Cimmie podawała francuskie potrawy, a do nich włoskie lub niemieckie wina i szwedzkie likiery. Biali przyjaciele, co dziwne, także byli rasistami w stosunku do swoich białych znajomych. Czasami mogło to spowodować kłótnię. Raz czy dwa razy, gdy siedzieli w sześcioro przy dziesiątej butelce wina Hocka, ci biali wrzeszczeli, że wszyscy biali powinni zostać rozstrzelani, a para Objębów wyła, że czarni stracili honor i nic nie są warci. Pozwalano Faranowi w takie wieczory jeść i próbować drinki wraz z gośćmi. Szedł do łóżka zauważając pierwsze sygnały niebezpieczeństwa. Matka śmiała się za głośno, ojciec zachowywał się inaczej niż zwykle. Faran, nazwany na cześć afrykańskiego bohatera, wiedział, że właściwie nie zna swoich rodziców. Rozumiał już bardzo wiele, życie powoli układało mu się w całość, ale trudno mu było odnaleźć rodzinną jedność. We wczesnym dzieciństwie przepadał za Cimmie, ale nigdy jej nie ufał. Od kiedy skończył dwa lata, zostawiała go stale z (białymi) opiekunkami. Od czterech lat Faran miał także nauczycieli — białą panią Baldwin i czarnego pana Thorpe'a. Dlaczego pan Thorpe (wioska) tak się nazywał, Faran nie wiedział. Cimmie sugerowała, że zmienił sobie nazwisko. Traktowała pana Thorpe'a z wystudiowaną, płynną obojętnością, przesiadując z panią Baldwin przy winie czy herbatce. Faran przekonał się, że pani Baldwin jest w stanie zainteresować go arytmetyką i geografiami, ale pan Thorpe ucząc go angielskiego i historii uszczęśliwiał go. Pan Thorpe miał blisko sześćdziesiąt lat i potężną nadwagę. Był czarnoskóry jak Faran, a oczy skrzyły mu się czarnym światłem. Inni nie dostrzegali w panu Thorpe'em tego piękna, ale może nie patrzyli mu w oczy. W ramach lekcji pan Thorpe opowiadał o mitach i legendach. Znał się na wszystkich kulturach. Jego opowieści powodowały, że wełnista czupryna Farana podnosiła się na głowce

chłopca.

Kiedyś pan Thorpe był głodny, a Cimmie nie było w domu. Faran poszedł do białej, bielusieńkiej kuchni wysprzątanej przez (czarną) damę do nieskazitelności arktycznego nieba. Tutaj Faran przyrządził swojemu nauczycielowi kanapkę z pełnoziarnistego chleba z zimnym kurczakiem i wołowiną przybraną endywią, pomidorem, piklami i majonezem. Do tego dodał szklanekę chłodnego gewurztraminera.

— Och, nie, Faranie — powiedział pan Thorpe.

— Mój ojciec jest w Paryżu — zaznaczył Faran.

— Jeszcze jeden powód, żeby tego nie robić — stwierdził pan Thorpe.

Faran usiadł i miał smutną minę dopóki nauczyciel nie zjadł kanapki i nie wypił połowy wina. Wtedy chłopczyk wypił resztę. Wydawało się to ceremonią połączenia. Byli teraz braćmi w winie.

Różnica wieku nie onieśmiała Farana. Wolał towarzystwo dorosłych; zresztą nie pozwalano mu na zbyt częste kontakty z innymi dziećmi. Faran jednak nie zaliczał Cimmie i Wellingtona, ich przyjaciół czy pani Baldwin do dorosłych. Pan Thorpe był dorosły, niektórzy ludzie widywani w telewizji byli dorośli i inne postaci, o których czytał. Faran rozumiał, że on sam był starszy niż w rzeczywistości. I panu Thorpe też się to udało.

Potem nastąpił czas, gdy nauczyciel zaproponował, że zaprowadzi Farana do muzeów, galerii a nawet do kina. Cimmie, choć niechętnie, wyraziła zgodę. Gdy jednak Wellington wrócił z Kuwejtu, zakazał tego. Sugerowano przy tym, co Faran natychmiast wyczuł, że pan Thorpe jest seksualnie zainteresowany chłopcem. Faran wiedział, że to nie wchodziło w grę, ale nie miał prawa głosu odgrywając rolę dziecka. Pan Thorpe zatem zniknął z czystego, wygodnego i jałowego życia swego ucznia.

Teraz, stojąc w oknie, chłopczyk patrzył na park.

Cimmie czasami zabierała go tam na spacer, o ile nie szli po zakupy. Niestety, częściej wybierała to drugie. Kupowali wtedy specjalnie projektowane płaszcze z obrazami ciemnoskórych wojowników dzierżących broń. Kolczastą broń. Wędrowały także do domu książki do czytania przy śniadaniu z cudownymi fotografiami afrykańskich sawann, lwów i masajskich wojowników. Podkoszulki dla Farana, po czterdzieści dwa funty, ukazywały bajkowo wyglądające zwierzęta, które trzebiono w tropikalnych puszczech. Dlatego za każdym razem, gdy je zakładał, serduszko Farana pękało z bólu, a krew zastygała w żyłach.

Park był naturalny. Sprawiał prostą przyjemność, nie ścisnął serca, nie wywoływał łez. Można było kupić tu bułki, żeby karmić kaczki i brązowe gęsi z czarnymi, aksamitnymi językami — prawie tak wysokie jak Faran. Podpływały do nich dwa łabędzie, dostojne jak lordowie. Cimmie zawsze powtarzała synowi, że wiążą się na całe życie. Idealne pary.

Faran uświadomił sobie, że jego ojcu, w przeciwieństwie do łabędzi, zdarzało się pobłądzić.

Zawsze gdy się kłócili, Cimmie robiła aluzje do „kobiet” Wellingtona.

Teraz zaś park oddzielony od Farana niebezpieczną rzeką pędzących samochodów, taksówek i autobusów — snuł swój jesienny, kasztanowy sen. Przymglony blask wody docierał do chłopca przez rzednące liście. Poniżej, w ozdobnej bramie, jakiś człowiek spoglądał w górę; Faran widywał go z przerwami od kilkunastu dni.

Był to Murzyn — raczej gruby, ubrany w modny, ale niedrogi płaszcz przeciwdeszczowy.

Głowę miał odkrytą, jak to ostatnio czyniła większość mężczyzn.

Faran wiedział, że zostało mu jeszcze pięć minut, zanim Cimmie i Wellington wtoczą się do domu, podpici po obfitym lunchu w Savoy Grill. Podniósł więc rękę i pomachał mężczyźnie.

Człowiek stojący w bramie jesiennego parku, który nie był panem Thorpe'em, choć tak bardzo go przypominał, podniósł też rękę i odpowiedział gestem.

Wtedy Faran usłyszał windę.

Zeskoczył z krzesła i strzepnął aksamitne siedzenie. Postawił krzesło równo, tak jak inne.

Obrzucił wzrokiem salon i poszedł do swojego pokoju, by pisać wypracowanie o produkcji mięsa w Europie, zadane przez panią Baldwin.

ROZDZIAŁ 8

Z okazji drugich urodzin Anny znów wybrały się do Londynu, i tym razem pociągami, ponieważ Anna oznajmiła, że to się jej spodobało. Anna nadal wyglądała na szesnastolatkę, ale z pewnym doświadczeniem i rezerwą w zachowaniu. Często się też uśmiechała. Jej rodzice, dwie piękne młode kobiety, prawdopodobnie brane za ciotki lub przyjaciółki rodziny, siedziały z nią w wagonie.

Jesienna pogoda wyzłocona była ciepłym brązem; drzewa obsiadły gromady kruków. Gdy zbliżyły się do stolicy, zabudowa zaczęła się zacieśniać — domy połączyły się jakby w procesję. Anna wyznała, że chciałaby mieć czarną sukienkę i wśród prezentów od Althene znalazła się taka kreacja. Teraz dziewczyna włożyła ją pod czarny wełniany płaszcz, a do tego czarne rajstopy we wzór ze złocistych słońc. Na nogach miała buty do kostek ze srebrzystej skóry. Będą jej potrzebne w czasie spaceru po cmentarzu, jednym ze słynnych miejsc, które chciała obejrzeć. Na środkowy palec lewej ręki założyła pierścionek od Rachaeli, turmalin w srebrze, klejnot wagi.

Ranek był wesoły jedynie dzięki bójce pomiędzy Juliet a Jacobem. Ostatnio koty często atakowały się nawzajem... naśladując ogólną sytuację? W każdym razie program dnia był ułożony: najpierw cmentarz, potem obiad w jednej z restauracji, gdzie bywały jeszcze przed narodzeniem Anny, później film — coś zagranicznego z holenderskimi dialogami. Oczywiście Rachaela pozostawała na uboczu; nie mogła przecież zrozumieć tego języka.

Anna była wyraźnie dwujęzyczna. Nawet więcej, Rachaela słyszała ją śpiewającą po francusku, czystym wysokim sopranem i nucącą kołysanki Elizabeth w chropawym gaelickim

dialekcie dawnej Szkocji.

Wyszły z pociągu prosto w oświetlone przedpołudniowym słońcem miasto. Zjadły w winiarni; takiego wyboru dokonała Anna. Ona swoją sałatkę popiła kieliszkiem burgunda, a Rachaela sama wysączyła do dna butelkę macon.

Piję za dużo, bez względu na to czy jestem Scarabeidką, czy nie — pomyślała.

Ruszyły chodnikiem, w luźnej grupce. Mężczyźni spoglądali na nie, robotnicy budujący rusztowanie okazywali swój podziw gestami i spojrzeniami. Czasami Althene i Anna szły trochę z boku, ale nigdy nie trwało to dłużej niż chwilę.

Rachaela żałowała, że nie jest sama z Althene. Mogłyby pójść do luksusowego hotelu, wypić popołudniową herbatkę i kochać się w jakimś jasnym, eleganckim pokoju. Nie były z sobą już od kilkunastu miesięcy. Rachaela odmawiała; nie chciała tego od czasu Anny. Och, czyż nie mogła? Zażywała tabletki i nie miała żadnej wymówki.

A teraz, gdy jej libido obudziło się, może z powodu grzybów w *quiche*, a może z powodu wina, Anna akurat była z nimi. Lepiej być przygotowaną na wszystko. Czy Anna mogłaby ją zastąpić? Jest już całkowicie kobieca i fizycznie dostatecznie dojrzała, by zareagować.

Psychicznie zaś na tyle młoda, by nie dostrzegać krzywdy. Poczowała się zmieszana. Od czasu powrotu Althene bardzo się we trójkę zaprzyjaźniły.

Althene mówiła niewiele o swojej podróży do matki; z Sofie nie było zupełnie kontaktu. Nie dało się zbyt wiele zrobić w tej kwestii. Rodzina jednak stała w pogotowiu i w razie kłopotów wzięłaby sprawy w swoje ręce. O Malachu nie wspomiano. Rachaela nie poruszyła też tematu, że Anna to jednak Ruth. Prawdopodobnie Althene wiedziała. A może to wszystko zrodziło się w moim umyśle? — zastanowiła się.

Althene nie zapytała Rachaeli o cel badania dziewczynki u obcego lekarza. Rachaela nie poinformowała jej o tym także, a Anna zapewne też nie zwierzyła się, trzymając wstydlivy

sekret w tajemnicy. Wizyta u Scarabeidów natomiast została otwarcie przedyskutowana. Althene ucieszyła się, że Anna poznała Saszę i Erica; chciała też obejrzeć zabytkowy szal i z zainteresowaniem wysłuchiwała relacji o kotach.

— Nie wiem — powiedziała Rachaela, gdy zostały we dwie — czy zabrałam ją tam na test, czy na pokutę.

— Wygląda na to, że żaden z tych wariantów się nie sprawdził.

— Sasha zemdląca.

— Jest już stara.

— W obecnej chwili.

— Ale Annie podobała się wizyta — powiedziała Althene łagodnie. — Chce znów tam pojechać.

— Babcie i dziadkowie... — powiedziała Rachaela pamiętając słowa Ruth, sprzed wieków. O nią też była zazdrosna. Nie chciała, by Adamus ją miał; nie chciała, by Ruth miała Adamusa.

Rachaela podarowała Annie kompakt z koncertem fortepianowym Beniamina Brittena, a córka wysłuchiwała jej, jak zwykle, w natchnieniu. *Tańczące planety*, określiła utwór pod koniec. Rachaela podobnie odczuwała tę muzykę.

Koło trzeciej po południu dotarły pod imponującą bramę cmentarza. Tego dnia nie było wycieczek z przewodnikiem, jednak po chwili ktoś przyszedł i je wpuścił. Same, nie pilnowane przez nikogo, zapuściły się w złoty i zielony gąszcz.

* * *

Dziecię na grobowcu... Dlaczego robiło to tak złowieszcze wrażenie?

Zaglądając do mauzoleum przez zamknięte na skobel drzwi, zauważyły prostą rzeźbę u wezłowania grobowca. Młoda dziewczyna z marmuru, może trzynastoletnia, odwracała ze smutkiem głowę od anioła z szerokimi skrzydłami, który otaczał ją ramieniem. Czyżby nie

chciała udać się tam, gdzie latający posłaniec chciał ją unieść? W górę? W dół? Na dwór Śmierci...

Twarz anioła niknęła w cieniu; pojedyncze zaledwie nitki światła przechodziły przez kratę do wnętrza mauzoleum. Anioł nie miał twarzy i był przerażający.

Cmentarz oddziaływał na nie magicznie, bajkowo. Rozpleniły się tu rośliny niemal prehistoryczne. Wielkie dęby owinał bluszcz, a z gęstwiny nie koszonej trawy wychylały się krzewy dzikich róż.

W tym splątanym ogrodzie zanurzały się pomniki śmierci: obeliski, piramidy, skrzydlate kobiety. Zobaczyły lwa śmiejącego się połową pyska i marszczącego gniewnie brwi z drugiej strony; leżał z podwiniętymi łapami, jak zwierzęta towarzyszące bogini Sekhmet. Niektóre kolumny wywoływały obrazy ze starożytnego Egiptu. Na każdym portyku wyryto imię zwycięzcy; nadproża były zwieńczone gałęziami głogu i naznaczone krwią jeżynowy eh jagód, a schody prowadziły w dół kamiennych „domostw”.

Nocą polowały tutaj zapewne lisy, przemykały jeże i nornice. Teraz wiewiórki bawiły się na ścieżkach, a ważki błyskały nad matową wodą, zielone jak żaby.

W paru miejscach pracowali ogrodnicy. Tylko jeden zagadnął je, co tu robią. Althene uspokoiła go wymieniając jakieś nazwisko.

Rachaela odwróciła się od mauzoleum z figurą dziewczynki i zobaczyła swoją własną córkę na grobowcu z szarego kamienia ponad ścieżką. Słońce prześwitujące przez gałęzie oświetliło jej włosy, jak śnieżną zamieć. Obok stała Althene, mówiąc i wskazując coś... Wtedy, jak spod ziemi, ukazał się pomiędzy grobami borsuk; zwinięty szorstki chodnik, wprawiony w ruch tajemniczą siłą. Biała główka wyrastająca z ciemnego ciała potoczyła się w kierunku, gdzie stała Anna, naraz zawisła w zdziwieniu i zawahała się. Zwierzę oślepięte słońcem węszyło, wyczuwając bliskość człowieka.

Teraz położy głowę na jej łonie, pomyślała ironicznie Rachaela. Dzikie, leśne stworzenie, jak w micie czy legendzie, oczarowane jej niesamowitą córką. Ale borsuk tylko wciągnął powietrze, zawinął się i zaraz z powrotem zniknął w żywej ścianie zieleni.

— Och — westchnęła Anna.

— Miałyśmy szczęście, że udało nam się zobaczyć borsuka — powiedziała Althene.

Alejką nadchodził jeden z ogrodników, mężczyzna w średnim wieku ubrany w zniszczony kombinezon, ze szpadlem na ramieniu. Skinął głową Annie i Althene, podchodząc do nich.

— Za dnia często się ich nie widzi — zagadnął.

— To był borsuk — powiedziała Anna z dziecinnym podnieceniem.

— Tak — zgodził się mężczyzna i nagle... zamachnął się trzonkiem szpadla w przód, a potem, z całym impetem uderzył za siebie, w brzuch Althene.

Rachaela, jak na filmie grozy, widzi Althene blednącą przeraźliwie, a potem bezwładną, jakby pozbawioną kości i przechylającą się do przodu. Jej towarzyszka bezgłośnie osuwa się na dywan z trawy i kamieni i traci przytomność.

Anna stała nieruchomo w blasku słońca, jak pokryta złocistym szronem figura. Nie wiadomo skąd pojawił się drugi człowiek. Spojrzał groźnie na Rachaelę.

— Nie ruszaj się! — warknął.

Dwaj mężczyźni złapali Annę z obu stron za ramiona. Dziewczyna doznała wstrząsu, jakby straciła rozum albo duszę. Odwrócili ją bez kłopotów i cała trójka zesłała po zboczu, znikając za grobowcem, gdzie pochłonał ich gąszcz zdziczałych drzew.

Rachaela biegła za nimi, a serce waliło jej jak kanonada. Zdołała dotrzeć tylko do grobowca, do bezwładnego ciała Althene, i tu stanęła. Czas zastygł w miejscu.

ROZDZIAŁ 9

Lato wypełniły kłopoty. Connor był na to przygotowany, bo właśnie takie były poprzednie

lata z Camillem. Pierwsza wiosna minęła płynnie. Camillo rozjeżdżał się na swoim nowym motorze, 89 Electraglide Classic, który wyskakiwał wprost z kuźni nocy jak czarne ostrze. Red siedziała za nim, w kasku i goglach, jedyna w swoim rodzaju. Nigdy słowa kłótni.

Legion Connora w czasie podróży na północny zachód rósł w siłę i wkrótce było ponad dwudziestu chętnych. Najemna gwardia Camilla, związana milczącą przysięgą, podążała za nim bez pytania. Gdy ziemia zazieleniła się, ruszyli kwitnącym szlakiem do pełnej zamków Walii. Zmieniając ciągle kierunki — to oddalając się, to zawracając w stronę wybrzeża — znaleźli się w końcu w środku sezonu wśród wzgórz Derbyshire upstrzonych szarymi, kamiennymi wioskami i śladami rzymskich pochodów.

W tym czasie Camillo stał się już uparty, krnąbrny. Jego złość zwróciła się w stronę Red. Ograniczał się do słów, ale cięty jak nóż i każda inna kobieta tonęłaby już we łzach albo była chora z wściekłości. Tina czasami wrzeszczała słysząc jego słowa. Boże, ranił swoim językiem bardziej niż kto inny sztyletem. Camillo, stary kpiarz. Chociaż nie wyglądał aż tak staro. Gdy przybył mu rok, nagle odmłodniał. Connor zaakceptował to, ale niektórzy z ludzi odsunęli się od niego; wypowiedzieli lojalność. Armia wykruszała się.

Connor pamiętał dom z którego zabrał Camilla i kobietę, która miała lat 55, a wyglądała jak dziewczyna. Pamiętał film, oglądany tam na wideo, kilka miesięcy przed ukazaniem się na kasetach. Connor przyjmował to spokojnie.

Nawet nowy motor nie zajął Camilla szczególnie. Zajeździł swój poprzedni pojazd, trójkołowiec, jadąc na oślep przed siebie. Gdy go dogonili, zdejmował właśnie z niego nabitą na kierownicą, jeszcze dymiącą końską głowę. Wrak nie spłonął całkowicie, ani się nie stopił.

Zostawili go na poboczu drogi, jak tyle innych; ostrzeżenie dla kierowców. Po kilku godzinach, w pewnym zakładzie naprawczym pojawiła się nie oznakowana furgonetka. Camillowi dostarczono nowy pojazd, Electraglide Classic.

Gdy nadeszło lato z pierwotnej grupy zostali tylko Rose, Pig i jego Tina. Cardiff, po rozwaleniu nogi na swojej m—ce powrócił do babci w Birmingham. Panienska o imieniu Lou, uciekinierka z domu, oddaliła się z pewnym motocyklistą spotkanym na polu biwakowym, gdzie podeszli, by posłuchać muzyki. Z czternastu ludzi, którzy uformowali nowy oddział, najwybitniejszy był Shiva. Pół-Hindus, miał skórę barwy chmury gradowej. Mknął na swej maszynie jak demon na skrzydle burzy, a kruczoczarne włosy związane z tyłu były trzy razy dłuższe niż włosy Connora. Zapewne właśnie Shiva nakłonił Camilla, pewnej nocy w wiejskim pubie, do wyjazdu pierwszego lata.

Shiva rozmawiał akurat z Rosem o bogu religii hinduistycznej. Rose był bardzo zaciekawiony, stawiał pytania. Shiva wyjaśniał, jak rodziny zbierały się w świątyniach, przyrządzały jedzenie, a potem, wspólnie spożywając pokarmy, uczestniczyły w błogosławieństwie. Dostępowali łaski również ci, którzy wdychali żar ofiarnego ognia.

Camillo, który siedział cicho przez pięćdziesiąt dziewięć minut, powiedział w końcu:

— I wdychasz płomień, a wydychasz gorące powietrze.

Shiva tylko wzruszył ramionami, a Connor pomyślał, że był przyzwyczajony do reakcji kretynów. Camillo, król grupy, właśnie przemówił jak jeden z nich.

Viv, trójkolorowa suczka Connora nadstawiła swe jedyne stojące ucho. Motocykliści rozsiedli się wokół czterech stołów i poszli za jej przykładem. Tylko jedna Viv nie wyglądała na zrezygnowaną.

Camillo zagadnął Red:

— Powiedz coś mądrego o ogniach rytualnych.

Zawsze obraźliwie odwoływał się do jej znajomości historii. W Derbyshire zapytał ją, który rzymski wódz się tam odlewał. Red, siedząc z Tiną, Josie i Viv odparła spokojnie:

— Kartagińczycy palili żywcem dzieci ku chwale bóstwa zwanego Baal Melkart. Celtyckie

kobiety skakały przez ogień, by zapewnić płodność swemu łonu.

— A Joanna d’Arc — nie dawał za wygraną Camillo — została upieczona na stosie. A kiedy Lucyfer osobiście podpala ci papierosa — uśmiech, chłopaki! To takie mądre.

— Podobają mi się bogowie Hindu — powiedział łagodnie Shiva.

— Wszyscy bogowie to zera. Gównu. Kaka — ripostował Camillo.

— Tylko dla ciebie — odparł Shiva.

— No to mi powiedz — spytał Camillo — czy odpowiadają na twe modlitwy?

— Tak, choć nie zasługuję.

— Oprócz twoich modlitw, żebym się odpieprzył...?

Shiva zerknął na Connora, ten pokiwał głową. Shiva umiał się zachować, natomiast „król” tkwił uparcie w swoich błędach.

— Jutro jest festyn w Ludlow. Wybierasz się?

— Więcej muzyki czy wrzasków? — spytał Camillo. — Jestem za stary na to wszystko.

Stereo z jego motocykla wybuchnęło kaskadą dźwięków, które przetoczyły się nad wiejskim klepiskiem i poszybowały w stronę łupkowych wzgórz. Iron Maiden dawali czadu tak, że kolby niedojrzałej kukurydzy drżały na łodygach.

Red zamówiła sobie frytki z kurczakiem, ale nie miała apetytu. Szczerze mówiąc podkarmiła Viv i to suczce dostała się większa część jej porcji. Viv nie zwracała uwagi na Camilla, a w ostatnim miesiącu wyraźnie ignorowała go. On natomiast pozostawał pełen kurtuazji w stosunku do niej. Może wiedział, że to słaba strona Connora i wolał nie ryzykować.

— Stary, biedny człowiek. Za stary na to wszystko — powtarzał Camillo.

Connor uprzytomnił sobie, że Camillo w mrocznym, zadymionym wnętrzu pubu nie wygląda na więcej niż 30 lat, a były przecież dni, że dano by mu ze 40. Ale nie więcej.

Basher podszedł do szafy grającej, włożył kilka monet i *Hotel California* zespołu The Eagles

zabrzmiął pełnym głosem.

Camillo wyszczerzył zęby; jego oczy były stare, czarne, nieprzeniknione. Oczy mordercy.

— Czy Red chce wybrać się do Ludlow? — spytał.

— Wybieram się.

— Opowiedz mi o Ludlow.

Red wyglądała na zmęczoną. Wokół oczu miała cieniutkie, srebrne linie.

— Nie. Jesteś za stary.

— Proszę.

— W latach trzydziestych XVII wieku Milton wystawił tu maskaradę pod tytułem *Comus*.

— No to idź tam. Beze mnie. Wybieram się gdzie indziej.

Red spojrzała na swój talerz. Viv lizała jej palce z wielkim zapałem, żeby dodać kobiecie otuchy. W muskularnym ciele Connora serce waliło jak młot; potężny brzuch, wypełniony plackami z mięsem poruszył się nerwowo. Camillo uwierał go jak drzazga w bucie.

— Wiesz, Camillo — zauważyła spokojnie Red — sypiałam z mężczyzną po sześćdziesiątce.

Był prawie kaleką z powodu artretyzmu. Nie mogłam nawet położyć się na nim całym ciałem, ale był pięknym kochankiem i cudownym człowiekiem.

— I umarł — wtrącił Camillo. — Opowiadałaś mi.

— Ale ty nie umrzesz — odcięła się Red.

— O, mogłem wiele razy. Biedny, niedołączny stary, ramol.

— Ty nie umrzesz. Takie cholerne, samolubne przyjemniaczki nie umierają — odpowiedziała spokojnie, z właściwym sobie wdziękiem.

Wstała i poszła do toalety, a Tina i Josie pomaszerowały za nią. Viv obeszła stół, polizała Bashera, Shivę i Rose'a, a potem usiadła Connorowi na kolanach.

— Musimy się rozdzielić — stwierdził Camillo.

Connor nie powiedział nic.

Camillo podszedł do baru, kupił dwie kolejki. Szklaneczek było tak dużo, że Rats i Basher musieli pomóc mu je przynieść.

Gdy Red wróciła, oczy już miała suche i spokój w ruchach. Connor spojrział na nią żałośnie i z nadzieją. Szafirowe tęczęwki, świeża, różana cera i włosy w kolorze zardzewiałej miedzi.

Ale wtedy Camillo powiedział do niej:

— Ty i ja, nadobna damo.

— Dlaczego? — spytała.

— Ponieważ będziesz walczyć.

— Och, ja walczyć? Dlaczego miałabym to robić?

— Ponieważ ja tego pragnę. Dokąd się udamy? Red spojrzała na Connora, a ten skinął głową.

Tej nocy, gdy rozbijali swój biwak pod gwiazdami, Red odjechała z Camillem na electraglide, a smuga muzyki Iron Maiden ciągnęła się za nimi w ciemności. Dopiero gdy zamilkła, usłyszeli z grającej szafy w pobliskim pubie *Miłość jak krew*, stary przebój Killing Joke.

* * *

Na początku ich następnego wspólnego lata, pewnej nocy gdy popijali calsberga i wino z czarnej porzeczki wraz z Josie, Basherem i Connorem, Red opowiedziała im trochę o tym czasie, który spędziła z Camillem z dala od nich.

Jechali przez Szkocję, a potem na dół; kanał przepłynęli, gdy zima była jeszcze wczesna.

Pasażerowie wokół wymiotowali, ale Red i Camillo nie byli chorzy. Ich przeprawie na kontynent towarzyszyły: dźwięk silników statku, potężne ruchy morza, odgłosy wydobywające się z gardeł pasażerów męczonych przez chorobę morską.

Zimowali w Paryżu, w luksusowym hotelu z którego okien rozpościerał się widok na katedrę Nôtre–Dame. Pijali szampana do każdego posiłku, napój godny zdetronizowanych monarchów, a

znieawidzony przez Red.

Pod koniec wiosny ruszyli w podróż po Francji, trwającą całe lato i jesień. Mijali czarne góry i czerwone pola pod przefiltrowanym francuskim słońcem. Widzieli domy farmerskie z XIX wieku i miejsca, gdzie w 1793 roku stały gilotyny, upamiętnione specjalnymi kamieniami. Przesuwały się przed nimi prowincjonalne place, ptaszarnie, wsie wśród topoli, domy z niebieskimi okiennicami. Jaśminy kwitły pod oknem, owce wałęsały się po drogach, a jadeitowe tunele winorośli zapraszały do odpoczynku w porze wczesnego popołudnia.

Camillo nie rozmawiał po francusku, choć czasami Red udawało się usłyszeć, jak w łazience mamrocze do siebie w tym języku. We wsiach odzywał się w dziwnej mowie, wyglądającej na polszczyznę, wymachując rękami w gestykulacji obliczonej na zirytowanie rozmówcy.

Wrócili do Anglii zanim morze znów się podniosło i zamieszkali w wynajętym domu w Highgate. Willa liczyła dwadzieścia pięć pokoi. W większości z nich Camillo uprawiał seksualne igraszki z dwiema hiszpańskimi pokojówkami, podobnie jak z ponad trzydziestoma kobietami we Francji.

— Prawie mnie nie dotykał — poinformowała przyjaciół Red — od tamtej nocy, gdy powiedziałam mu o Anthonym, moim nauczycielu.

— Nie mogę z nim współzawodniczyć, prawda? — odparł Camillo w swoim stylu. — Może, gdybym stał się kaleką na wózku?

— Miałam wrażenie, że chce abym mu to załatwiła.

Nie podała więcej intymnych szczegółów, poza tym, że byli ze sobą tylko raz.

— Czasami mówił przez sen o swojej matce. To było jeszcze we Francji; mówił po francusku, ale prostymi zwrotami jak dziecko. *Maman, je t'aime*. Powiedział, że ojciec zabił ją, bo za mało go kochała.

Connor przypomniał sobie wtedy, że kobieta w starym — nowym domu (o nocnych oczach

Morgany, obiecujących seks i śmierć) powiedziała, że Malach o białych włosach był ojcem Camilla. Ten ostatni upodobił się do niego w tych dniach odmłodzenia.

Red wyznała, że w Londynie jej przyjaciel przepadał na całe dni i noce. Na początku lata wysłał wiadomość do Connora, że wracają z Red do jego świata metalowych rumaków na kołach.

* * *

I tak drugie lato wybuchnęło pełnią, a dziesięciu jeźdźców wraz ze swoimi kobietami dusiło się w ciasnej, krępującej atmosferze. W grupie pozostali: Connor, Rose, Pig i Tina, Basher i Josie, Rats, Shiva, Whisper, Owi, Blick oraz Cathy, Jas i Ray. Pojawiło się też więcej psów — Meato, kundel Fiend i Jezebel. One też czuły, że coś wisi w powietrzu. Mniej eleganckie niż Viv, warczały na Camilla i tylko dłonie Ratsa bądź Blicka zaciśnięte na obrozach powstrzymywały je. Nawet motocykle buntowały się.

Connor zrzucił wreszcie swe dobrowolne poddaństwo i nie było już drogi odwrotu. Jeżeli Camillo chciał odzyskać swą gwardię, musiał być w pogotowiu.

Camillo jednak zachowywał się jak stary, pełen złości człowiek. A może nim był? Teraz już stale wyglądał na lat trzydzieści siedem. Białe, skręcone w loki i bardzo długie włosy łączyły się ze splątaną brodą. Nosił pierścienie na mocnych, brązowych palcach. Jego twarz z całą pewnością zwracała uwagę kobiet, a czarne oczy mieniły się jak martwe, lecz pełne ognia morze. Trofeum z pierwszej kraksy, głowę konia, zatrzymał. Zatknięta na stalowym ciele electraglide'a przemierzyła z nim Brytanię i Prowansję.

Poruszał się zwinnie i dynamicznie jak wąż. Pewnej nocy więc uwiódł głupiutką, naiwną małą Tinę, po czym Pig uderzył ją i zostawił. Musieli zawieźć ją do matki, a gdy odjeżdżali, stała na ganku głośno szlochając.

Cholerny Camillo. Staruch. Diabelski, zepsuty stary skurwiel. Mógłbym poderżnąć mu gardło,

ale muszę pozostać wierny sobie — w ten sposób Connor poskramał własny gniew. Pozostać wiernym? Może dlatego, że kiedyś Camillo wydał mu się kruchym i antycznym facetem, gdy schodził w dół na plażę, w blasku ognisk. Szalony i zagubiony — jak postać z legendy. Connor czekał, aż Camillo zrobi coś naprawdę okropnego; wtedy wypieprzy całą swoją lojalność przez okno. Ale Camillo był chytry jak szaleni starcy. Śmiał się wysokim, beznadziejnym chichotem i ukazując się na wioskowych uliczkach sprawiał, że młode dziewczęta otwierały szeroko oczy i rumieniły się.

Rzeczywiście, wyglądał jak ten siwy. Jak Malach.

— Czy w ogóle tęsknisz za swym synem? — spytał pewnego razu, gdy jechali wolno wyboistą drogą do pewnego miasteczka.

— Nie mam synów.

— Och, więc to był twój ojciec.

Camillo nie spojrzał nawet, odpowiadając:

— *Mon pere est mort.*

Później Connor zapytał jej, Red:

— Czy on powiedział, że jego ojciec nie żyje?

— Tak powiedział, ale kto go tam wie.

Wyglądała teraz szczuplej, spalona słońcem jak trójkołowiec, który pozwolili Camillowi spopielić. We włosach pojawiły jej się siwe pasemka. Connor zauważył to pewnego razu w pełnym blasku dnia. Popatrzył na Red wzrokiem pełnym pożądania, pochylił się do przodu i delikatnie pocałował ją w usta. Nie opierała się.

— Dziękuję, Connor — powiedziała. — Sprawiasz, że znów czuję się człowiekiem. Ale... jesteś za młody dla mnie.

— Do diabła — westchnął Connor. — Nie możesz poczekać?

— Wtedy też będę za stara — powiedziała. — Nie tak jak on.

Po czym weszli do pubu.

W środku stały w gablotach wypchane ryby, a na ścianach migotały wstęgi światła; nie było grającej szafy. W rogu, w kąciu przy kominku — zapewne przy letnim palenisku — siedział stary mężczyzna z otwartą książką i butelką bristol cream. Nalewał sobie po kieliszeczku i popijał co chwila małymi łyżkami. Włosy miał posiwiałe ze starości, a twarz — nad pięknymi, mocnymi kośćmi policzkowymi — poźłobioną zmarszczkami.

— Spójrz... — zwrócił jej uwagę Connor — on jest wystarczająco stary.

Red spojrzała. Cicho przesunęła się przez salę i stanęła nad starszym panem. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Red, która miło wyglądała. Zerknął potem niespokojnie na potężnych motocyklistów. Connor podszedł, uklonił się i powiedział:

— Ona zastanawiała się, co pan czyta.

— Opowiadania Kiplinga — powiedział starszy pan. Miał głos mocny i dźwięczny. Był silny.

— Czy mogę panu postawić drinka? — spytał Connor.

— Nie — zaproponowała Red. — Pozwól mnie to zrobić.

Connor odwrócił się, obserwując dyskretnie. Prawdziwie stary mężczyzna wyglądał na uprzejmego, rozbawionego i zamyślonego.

Zostawił ich i tak samo uczynił Camillo. Ten ostatni nie skomentował sytuacji ani słowem.

Bonasker zrobił to za niego.

— Koleżko, poderwali ci panienkę.

Cathy i Ray zachichotali. Meato dosiadł Jezebel, ku konsternacji pewnej damy, popijającej obok drinka.

— Jej ojciec — powiedział Camillo — począł ją mając pięćdziesiąt siedem lat. Zmarł w wieku siedemdziesięciu dwóch. Ona miała wtedy czternaście lat. Zawsze szuka zniedołężniałego,

starego pryka. Ja się do nich nie zaliczam.

Connor zdał sobie sprawę, że Camillo nie mówi tak samo jak w czasie ich pierwszego spotkania. Czasami pojawiało się jakby wspomnienie przeszłości, cień. I to wszystko. Camillo był teraz kimś innym.

— Owi — powiedział Camillo — teraz ja stawiam.

Meato zostawił Jezebel by dopaść swego pana przy barze.

ROZDZIAŁ 10

Trochę przed zamknięciem pubu nowy staruszek Red poszedł do domu. Kobieta przysiadła na trawiastym zboczu, na którym rozłożyli obóz.

— Mogłam z nim zostać. Musiałabym powoli posuwać się naprzód. Jego żona zmarła tak jak moja matka, na białaczkę, a on wciąż ją kocha. Była od niego młodsza o dwadzieścia lat. Jaka szkoda!

Connor pomyślał, że to cała Red. Żałowała żony tego gościa wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Czyżby nie skupiała na nim całej uwagi?

— Ma na imię Mark — powiedziała jednak po chwili.

Wyglądała na onieśmioną, a w jej przypadku mogła to być jednak droga ucieczki.

Rano, około dziesiątej do obozowiska przysła sympatyczna, wesola kobieta. Zaprosiła ich na śniadanie w ogródku pubu. Był to obfity posiłek. Podano smażone kiełbaski — miejscowy przysmak i bekon nietłusty, ale kruchy. Marynowane grzybki, pomidory z własnego ogrodu oraz jajka — jakie kto chciał — stanowiły dodatki. Chleb został upieczony w domu.

Po uczcie nastąpił moment rozliczenia. Bardzo miło, a nawet wręcz błagalnie właściciel pubu zapytał Connora, czy nie mogliby przenieść swego obozu. Ich obecność może odstraszać zwykłych klientów.

Ze względu na Red nie odjechali zbyt daleko.

Ponad chmurą drzew sosnowych miejscami pozrastanych w prawdziwy gąszcz, znaleźli okrągłe wzgórze porośnięte krzakami. Kilka mil dalej rozciągało się miasto, które minęli wcześniej. Poniżej, w dolinie zasnutej tego dnia mgłą stał — nad wyschniętym stawem, otoczonym rozpadającymi się posągami — stary dom z rzeźbionym dachem.

Connor, Viv, Rose, Blick i Shiva zeszli na dół, zabierając ze sobą Cathy i Ray. Zamierzali obejrzeć ruinę. Pozostali nie chcieli iść. Red była zajęta myciem włosów — optymistyczny znak. Używała szamponu Boots i dużej butelki wody mineralnej Evian. Camillo, jak i cała reszta łącznie z psami rozłożył się na słońcu. Spali, nie bacząc na ostrzeżenia Camilla, że to się skończy rakiem skóry. Straszenie, jak zwykle, sprawiało mu wielką przyjemność.

Dwór okazał się skorupą częściowo pozbawioną dachu, z wielkim, pustym wnętrzem. Jego ściany z tajemniczych przyczyn były białe. Drewniana podłoga pozostała nienaruszona.

Drewniane schody z rzeźbionymi poręczami prowadziły donikąd. Nie wiadomo dlaczego, nikt ich dotąd nie rozebrał i nie ukradł, choćby na podpałkę.

Viv warczała na słoneczne cienie na ścianach odgrywając swoisty teatr.

Wrócili do obozu. Red suszyła włosy i czytała opowiadanie Muriel Spark. Viv biegała wokół, jakby chciała pomóc.

— Jeżeli chcesz wrócić wieczorem do pubu, ja i Rose możemy z tobą pojechać. To nikogo nie przestraszy — zaproponował Connor.

— Mogę jechać sama — stwierdziła Red.

— Cóż, Rose albo Whisper cię podrzuca. A ja zajrzę potem i zobaczę, czy nie trzeba cię odwiedzić. To wolny kraj.

— Potrafię sama zadbać o swoje sprawy.

— Jasne — zgodził się pojednawczo Connor.

— Z wyjątkiem sprawy Camilla.

Gdy popołudnie dobiegało kresu, do doliny poniżej wzgórza wjechało kilka samochodów i mikrobusów. Zaparkowały na zwirowanym Podjeździe przed ruiną dworu. Z obozu motocyklistów, ukrytego na wzgórzu, obserwowano ich z leniwym zainteresowaniem. Słońce zachodziło złocąc oślepiająco horyzont. Z wyrwy w dachu starego domostwa zaczęły wydobywać się promienie, wirując i kołysząc się jak spętane błyskawice.

— Oho — bąknął Basher — coś się dzieje.

Rozległo się głucho dudnienie i natychmiast zamilkło. Meato i kundel Fiend zawyły przeraźliwie.

— Jakaś impreza — skostatowała Cathy zadowolona.

— Nie, to *rave* — skwitował Connor. — Lepiej się zwijajmy.

Stał, wpatrując się w dół, w dolinę. Czuł się niepewnie. Muzyka to była jedna sprawa, a *rave* nie miało z nią niczego wspólnego. Do dzisiaj miał w pamięci noc, gdy on i pewna dziewczyna pojechali w ruiny w Calversham. Znaleźli ukryty w zaroślach czarny kuferek, a w środku miecze, szaty rytualne, kielichy liturgiczne i butelkę azotanu amylu. Uciekli oboje bardzo szybko; nie miały nic wspólnego z magią i niepokoiły go,

— Bierzmy motocykle — powiedział Connor.

Widok, który roztaczał się przed nimi jednak fascynował. Kolorowe płomienie lizały niebo; raz róż, raz chory pomarańcz i jeszcze zjadliwa zieleń. W tle słychać było uderzenia perkusji.

Dźwięki basów — barbarzyńska kakofonia — nie tworzyły żadnej melodii.

Gdy zmierzch wynurzył się z ziemi a niebo zmieniło się w piękną zasłonę — granat w gwiazdy, pociemniałą dolinę zaczęły najeżdżać hordy pojazdów. Ich białe światła przecinały ciemność, rozbłyskały i zamierały.

Connor pomyślał niestosownie o scenie z duchem z *Ryszarda III* w wykonaniu Laurence'a

Oliviera. Viv zadrżała i Connor wziął ją na rękę.

— Wynośmy się stąd; Whisper może potem podjechać z Red do baru.

Wtem odezwał się Camillo:

— Chcę tam zejść.

Connor odwrócił się.

Camillo stał w pozie pod tytułem: „Jestem biednym, małym staruszkim” — infantylny i groteskowy. Było to szczególne, przy jego wyglądzie przystojnego mężczyzny po trzydziestce.

— To nie jest dobry pomysł.

— Tak, banda świrów — skomentował Basher.

— *Rave* — nie dawał za wygraną Camillo. — Chcę to zobaczyć.

Po czym wyprostował się. Stał się znów stosunkowo młodym mężczyzną.

Poniżej wciąż rosło stadko coltgitsów i fiatów uno. Teraz walenie nie ustawało. Już drżało całe wzgórze. Viv zawyła.

— Już będzie ich tam w środku ze trzydzieści sztuk — powiedział Blick. — Żadnego alkoholu. Nie piją ani nie palą, pieprzone smarkacze. To niezdrowe.

— Aż cały chodzę — dodał Camillo wyraźnie rozemocjonowany. Red, idziesz ze mną?

Stała w cieniu, za nim. Jej włosy pachniały brzoskwiniami, położyła dłoń na ramieniu rudowłosej, a ta powiedziała do Kamilla:

— To mi nie wygląda dobrze, Camillo.

— Ojej, dam sobie radę. Myślisz, że jestem za stary?

I Camillo ruszył w dół wzgórza, w kierunku dworu rozbłyskującego światłami.

— Nie mogę mu pozwolić na wpakowanie się w gówno — krzyknęła Red.

W głosie kobiety brzmiał gniew i panika, jakby jej dziecko wybiegło na ruchliwą drogę.

— Nie możemy go zatrzymywać na siłę — stwierdził Connor. — Shiva, masz jakieś

pieniądze?

— Wystarczy, Connor.

— Rose?

— Gotów.

— No, to w porządku — powiedział Connor. — Idziemy z nim.

Reszta trochę szemrała, a Meato zawarczał przerażony, nie mogąc pokonać straszliwego warkotu z doliny.

— Basher, przejmujesz dowodzenie. Miej oczy otwarte. Jeżeli to jest jakieś cholerne gówno, to mogę potrzebować was wszystkich.

— Connor, masz kompletnego świra.

Connor nawet nie próbował się spierać. Wsunął Viv w ramiona Cathy, a suczka warknęła.

— Nie, malutka — powiedział uspokajająco — bądź miła dla Cathy. Jesteś dla mnie wszystkim.

Viv położyła po sobie sterczące ucho. Cathy pocałowała kosmaty łebek. Wyglądała na zdenerwowaną, tak samo jak wtedy gdy Blick urznął się w trupa.

* * *

W dolinę *rave*...

Camillo szedł z przodu. Jego gwardia — Rose, Shiva i Red pod wodzą kapitana Connora — szła z dziesięć kroków za nim. Wzgórze drżało w ciemności, a oni pokonywali wyrwy i kępy traw. Światła i dźwięki uderzały w niebo — prostopadłe, fragmentaryczne, kolczaste i wybuchające. Łup, łup, hip.

— To jak atak migreny — powiedziała Red. — Jeden z tych, które porażają wzrok. Jak to można wytrzymać?

Wyjęła okulary przeciwsłoneczne i nałożyła na nos. Connor pomyślał, że mogła pić

wiśniówkę w zacisznym barze ze swoim Markiem. Pomyślał, że może tamten stary siedzi teraz w pubie i czeka na nią. I poczuł się jeszcze starszy i porzucony, nikomu niepotrzebny. Wściekłość i smutek. Pierdolony Camillo.

Sosny tłoczyły się wokół zwirowego podjazdu. Samochody otaczały wyschniętą sadzawkę.

Grupa smarkaczy wyskoczyła z mini i pobiegła w stronę otwartych drzwi — raz białych, raz niebieskich wrót elektrycznego piekła. Camillo szedł za nimi, a potem Connor i jego porucznicy.

Connor zwrócił się do Red:

— Chcesz zostać na zewnątrz?

— Nie słyszę... — Red starała się przekrzyczeć muzykę. — Nie.

I Red minęła go, by stanąć przy Camillu. Położył dłoń na jej piersi.

— Ach, tutaj jesteś. Mój kosztowny koszmar.

— Czy chcesz wejść? — spytała. — Naprawdę chcesz?

— Aha! — odkrzyknął Camillo. — Zobaczmy co robią młodzi!

W środku, zza pozostałości wielkich drzwi wynurzyło się dwóch wysokich facetów, bramkarzy. Nosili białe koszule, z którymi światła wyprawiały różne rzeczy.

— Wszyscy? — spytał jeden z nich. — Nie jesteście odpowiednio ubrani.

— Ile? — spytał Camillo.

— Skąd wiecie o imprezie?

— Z radia, cwaniaczku — warknął Connor.

— No, dobrze — pojednawczo rzucił drugi wykidajło. — Nie ma sprawy.

Shiva wystąpił do przodu i rzucił na kulawy drewniany stół plik banknotów. Pierwszy z bramkarzy przeliczył je.

— Dobra. Policzek czy ręka?

— Ręka — Connor wysunął potężne przedramię i drugi mężczyzna siknął mu sprayem przez

szablon z wyciętym kwiatem.

— Chcę dwa — powiedział Camillo wystawiając obydwie ręce. Wykidajło tylko się uśmiechnął i zrobił to, o co go poprosił Camillo.

Weszli w strefę gęstego, atakującego falami dźwięku i strzałów krwawego, wywołującego migrenę światła. Do tego dołączył ostry, mentolowy zapach.

Cliv siedział na masce land-rovera u wylotu rzeźbionej klatki schodowej, prowadzącej donikąd.

Było mu wygodnie, czuł się świetnie na wysokościach. Z początku myślał, że nie da się wpakować tu land-rovera, ale chłopcy zrobili dobrą robotę.

Pod ręką miał srebrny kubek pełen topniejącego lodu, a w środku tkwiła butelka z pełnotłustym mlekiem. Co jakiś czas wznosił toast na cześć tańczących.

Miał dla nich poczęstunek, prawdziwe łakocie. Malutkie tabletki „E”, dziś wieczór za półdarmo; tylko dwanaście funtów.

Cliv miał brązowe włosy zebrane z tyłu w krótką kitę; rosły niestety wolno. Może warto byłoby je przedłużyć? Strój Cliva stanowiły szorty i nagi tors. Tego ranka pojawiła mu się krosta na środku piersi, pomiędzy okazałymi sutkami. Ale Zephie zalepiła ją plasterkiem i popsikała błyszczkiem. Wyglądała jak medalion.

Mniej więcej co trzy kwadransy Cliv telefonował do Zephie z aparatu w samochodzie.

Opowiadał jej co będą robić, jak skończy się *rave*. Tańczący musieliby się ostudzić. Ale Cliv i Zephie nie potrzebowali „E”. Podniecało go opowiadanie jej, co będą robić. Może nawet podniecało bardziej niż robienie tego. Wypalił skręta z krakiem tuż przed otwarciem drzwi i zrobił sobie powtórkę za godzinę. Krak daje ci szersze spojrzenie. Widzisz dokąd zmierzasz; żadnych ograniczeń.

Gapił się w dół, w hol dworku. To był wspaniały widok.

Facet od muzyki znał swoją robotę, umiał utrzymać nastrój. Stroboskopowe światła szalały i wirowały, muzyka uderzała w ściany i pędziła w górę, w niebo, żeby i Bóg zadrzał. Na ścianach też pojawiały się świetlne freski, czarno–czerwone fantastyczne obrazy generowane przez komputer; powyginane, poskręcane, rozszczepione jak spiralna klatka schodowa rozerwana przez wybuch. Jak korona cierniowa.

Zaraz za land–roverem był barek. Butelki zimnej lucozade, soki, francuska woda mineralna.

Śmiechu warte, chłopcy całe popołudnie napełniali butelki z kranu, soki też ochrzcili.

Dzieciaki jak zwykle suszyło. Tańczyli jak szaleni. Uwielbiali to. Ubóstwiali się nawzajem.

To było dla nich piękne.

Przez tłum tancerzy ktoś się przeciskał. Cliv wypatrywał poprzez orgię świateł.

— Hej, Hyreesh! Spójrz!

Ochroniarz Cliva wychylił się przez burtę samochodu. Był to potężny Hindus, w

ciemnokawowym garniturze, ale boso. Zephie powiedziała, że Hyreesh ma wspaniałe stopy, ale

Cliv jakoś nie mógł tego dostrzec. Pięści Hyreesha podobały mu się bardziej.

— Motocykliści — powiedział Hyreesh.

— Mhm. Czego szukają?

— Pewnie zapłacili.

Cliv przeciągnął się i warstewka clerasilu pękła na jego kroście. Mógł sobie pozwolić na ekspansywność, ale zakładając, że oni byli nastawieni przyjacielsko.

— Cześć! Jak widzicie, mamy tutaj świetny towar. Jak dla was po piętnastaku.

— To ekstaza, prawda? — spytał najstarszy.

Mógł liczyć czterdzieści lat, ale twarz miał jakąś odjechaną, a włosy siwe. Fryzurę piosenkarza rockowego. Pozostali byli w skórkach, a wśród nich szykowna laseczka.

— To jest „E”, koleś — potwierdził Cliv. — Najlepsza w środkowych hrabstwach.

— Rzuć się jedną — powiedział mężczyzna w nieokreślonym wieku. Stojący za nim wielki facet z ogromnym bandziochem i włosami dłuższymi niż Cliv położył mu ostrzegawczo dłoń na ramieniu.

— Nie, Camillo.

Siwowłosa odepchnął jego rękę. Wyglądał jakby już go brało. Wyciągnął dłoń ze srebrnym sygnetem na palcu. Czaszka, róże i miecze. Cliv skinął głową i Hyreesh przyjął pieniądze.

Cliv doszedł do wniosku, że jeden z motocyklistów wygląda na Pakistańczyka. Rozpuszczone włosy spadały mu do zasranego tyłka. Odwrócił się, otworzył drzwi land-rovera i Hyreesh sięgnął po białą tabletkę dla siwego popaprańca.

Tamci spojrzeli na Cliva, jakby zamiast świętego Mikołaja zobaczyli szatana we własnej osobie. Obaj, chłopcy jak tury.

— Nie widuję was tutaj często, chłopcy — rzucił Cliv.

Wszyscy podnosili głos starając się przekrzyczeć muzykę. Cliv uznał to za męczące. Odpuścił.

Nie wtrącał się do nich. Obserwował ich jak odchodzili, mieszając się z tłumem tańczących.

Skinął na Hyreesha:

— Weź Rhina i miejcie oko na to, co się będzie działo.

Hyreesh dał znak poprzez szalejącą orgię światła.

* * *

Camillo nie połknął tabletki ekstazy. Trzymał ją i oglądał.

— Biała jak dorsz — powiedział zamyślony.

Wokół niego kłębił się roztańczony tłum.

— Red — zawołał Camillo; jego głos wzniósł się nad hałasem miękko jak pomruk. —

Kojarzysz to z jakimś świętem?

— Nie.

— Właśnie, że tak. Powiedz mi.

Connor pomyślał, że zadręcza ją tak od godziny, pytając o historię. Od kiedy się zesłi, ciągle wbijanie małych szpilek.

— Może z Dionizjami — powiedziała Red do Camilla. — Ale bez seksu i wina. Chcą dostać się bliżej Boga. A może to jest szaleństwo bogini Cybele?

— Aha — powiedział Camillo. — Kastracje.

Powietrze było przesiąknięte zapachem rozgrzanej gumy kieszonkowych inhalatorów. Obok nich tańczył siedemnastolatek w niebieskich bermudach i podkoszulce. Wymachiwał w powietrzu jedną ręką i zadawał ciosy. W obu nozdrzach tkwiły mu inhalatory.

— Po co? — zainteresował się Camillo.

— To oczyszcza mózg — wyjaśnił Rose.

— Skażenie — skomentował Shiva.

Camillo odwrócił się i poszedł śladem jednego ze strumieni światła. Muzyka pulsowała; pozbawiona melodii, była samym rytmem. Camillo odpłynął. Zbliżył się do młodziutkiej, może piętnastoletniej dziewczyny. Miała lśniące, króciutko ostrzyżone włosy, minispódniczkę z lycry i białą, trykotową obcisłą górę, odsłaniającą gładki brzuch obwieszony koralikami. Tańczyła. Zobaczyła Camilla i nie przestając tańczyć objęła go ramionami. Jej twarz obmywało światło; to była dziewicza, pełna mocy i czysta twarz świętej.

— Kocham cię — powiedziała. — Kocham wszystkich; stanowimy jedność.

Trzymała go w ramionach, jak stu innych. Było tu mnóstwo mężczyzn, którzy czuli jej piersi, nawet dotykali jej sromu, gdy tańczyła z nimi w ten sposób. Ale jej to nie przeszkadzało. Miłość była miłością.

— Jak się nazywasz? — spytał Camillo.

— Mam na imię Miłość.

— A ja kim jestem?

— Miłością.

— Nie — zaprzeczył Camillo, poruszając się wraz z nią jak wąż pokryty czarną skórą.

— Tak. To jest prawda. Taka jest rzeczywistość.

— Sądysz, że będziesz żyła? — spytał Camillo.

— Wiecznie.

— Kto by tego chciał?

Dziewczyna roześmiała się. Miała słodką i delikatną buzię pod lśniącą czuprynką.

— Nie bój się — powiedziała całując Camilla w usta.

Odsunął się jak wąż.

— Mała dziewczynka — powiedział. — *Petite mignon*. Brałaś to? Jesteś w ekstazie?

— O, tak — zaśmiała się.

— Łakniesz zjednoczenia, chcesz stać się integralną częścią zbiorowej duszy — powiedział

Camillo. — Ale tutaj tego nie doświadczysz.

— Życie, śmierć, miłość — zadeklamowała dziewczyna.

— To pożera twój umysł — powiedział Camillo. — Teraz jesteś szczęśliwa, ale później

złamiesz się. Będziesz samobójcą. Jeżeli nawet znajdziesz Boga poprzez tabletkę, to w jaki

sposób znów do niego wrócisz? Czy myślisz, że Bóg cię kocha? Czy myślisz, że jesteś miłością?

Jesteś zgubiona, *ma belle*.

Potrząsnęła spowijającą ją lśniącą poświatą i popatrzyła na niego przez migocące światła,

które dla niej były oświeceniem.

— Posłuchaj — powiedział Camillo przyciągając ją do siebie. Szeptał jej do ucha.

Wokół pulsował tłum tancerzy. Ich twarze płonęły wewnętrznym ogniem. Wznosili swe

ramiona ku białemu sercu blasku, jak antyczni wojownicy ku jądry słońca.

Dionizos, Cybele... To było szaleństwo zmierzające do tego, by odnaleźć duszę i uwolnić ją od kajdan ciała. Niektórzy obejmowali się gdzie tylko mogli. Inni śmiali się ze szczęścia.

Stanowili jedność.

Camillo, z ustami przy uchu dziewczyny, powiedział jej ostrożnie, co „E” może jej zrobić.

Żywej albo umarłej. Nie uwierzyła. Odsunęła się, a on znów ją przyciągnął. Teraz już mu uwierzyła.

— Co on robi? — Red zacisnęła dłoń na ramieniu Connora. — Och, nie mogę znieść tego hałasu. Te światła... Connor...

— Rose. Wyprowadź ją — polecił Connor.

— Nie — zaszlochała rudowłosa. — Do cholery, co on powiedział?

Dziewczyna w bieli sunęła się na kolana. Po chwili wiała się na podłodze, a jej łańcuchy podskakiwały w rytm ruchów. Tancerze tłoczyli się wokół niej, niektórzy padali na kolana.

Wśród nich kręcił się Camillo. W stroboskopowym blasku jego czarna skóra wyglądała jak pancerz mitycznego wojownika. Przemówił do nich. Kupił ich.

Za rytmem pozbawionym melodii, jakby poruszyła się ziemia w cierpieniu, rozległ się dźwięk.

Zephie gadała przez telefon jak idiotka, ale wcale nią nie była. Miała wspaniałe ciało, a włosy ułożone gładko żelem, jak chłopak. Podługne, jasne oczy. Usta umalowała red revlon.

— Posmaruję cię bitą śmietaną, Zephie, a potem wszystko zlizę. Ale domieszam coś do kremu. Będziemy się całować i...

— Czy tam nie jest dwa razy za głośno? — zauważyła Zephie.

— Zawsze jest hałas — stwierdził Cliv na wszelki wypadek.

— Nie, nie. Chodzi mi o to, że to brzmi trochę... co to za muzyka?

Cliv nasłuchiwał przez chwilę.

— Nie wiem, kotku.

— Cóż — bąknęła Zephie.

Cliv powędrował w głąb ruin dworku z Hyreeshem, a Rhino i Bobby w tym czasie przejęli interes w land-roverze. Hyreesh zapalił świecę, a Cliv odpalił od niej szklaną fajkę. Wyglądała jak próbówka z laboratorium naukowego. Sztachnął się i wznosił się coraz wyżej, aż nawet Hyreesh wyglądał całkiem przyjemnie. Potem, żeby całkiem nie odlecieć, stonował to czym innym.

Kiedy Cliv wrócił do swojego wozu, otworzył kolejną butelkę lodowatego mleka i znów zadzwonił do Zephie.

— Brzmi jak wycie — stwierdziła.

Gdy wjeżdżali w dolinę, gdzieś zawarczał pies. Może o to chodziło? Cliv nasłuchiwał. Może nie w ten sposób, jak dziewczyna w bieli, ale w każdym razie uważnie. I usłyszał.

— Chryste, ja pierdołę, Zephie, przekręcę później.

Na zewnątrz land-rovera panował zwykły zaduch potu, dezodorantu i parującej wilgotnej licyry. Jak zwykle.

Ale był jeszcze inny zapach. Niemożliwy do zniesienia, mdląco-cierpki. Czyżby ktoś z nich się sfajdał, jak ten chłopak w Cleathorpes? Hyreesh zawlókł wtedy go na pole. Tam go zostawili. Czy miał szczęście i jakiś farmer go odnalazł? „E” czasami... nie wszyscy mogli to brać. Tamten chłopak wył, a teraz niektórzy z nich zaczęli wyc.

Widowiskowe efekty migających świateł wciąż jaśniały. Muzyka dudniła, aż drgała podłoga.

Ale DJ coś sygnalizował, a potężny Bobby szedł na ukos przez salę, wprost do niego.

— Doc — powiedział Hyreesh szczerząc zęby w uśmiechu.

— Przestań, ty brązowy gnojku. O co chodzi?

— Nie mogą tego wytrzymać.

— Czy coś nie tak z towarem?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

— Człowieku, tracimy wątek — dotknął spluwy, którą miał u boku.

Cliv zobaczył dzieciaki leżące na podłodze. Kiedyś już to widział, gdy ładunek podłożony przez IRA wybuchnął i... próbował zapomnieć. Mieli dopiero po siedemnaście lat. Wyglądało jak tutaj. Tylko teraz nie było krwi i wymiocin. Żadnego szkła. Tylko niesamowite światło. Cliv był odpowiedzialny za imprezę — jej sukces albo klęskę.

— Zbierz chłopców — powiedział. — Zamierzam to przerwać. — Wskazał na aparaturę. — Powiedz facetowi od muzyki, żeby kończył.

* * *

Jedna łąza zmienia smak oceanu. Tak było tutaj. Żaden człowiek nie był tu samotną wyspą. Nie tutaj. Później próbowali wytłumaczyć, że ludzie nie łapią tego wspólnego rytmu, bo odeszli zbyt daleko by sobie zaufać.

Byli młodzi i wiedzieli to; młodzi zawsze wiedzą. Wyczuwają więcej niż wiedzą, ale życie później wykuwa to z nich bezlitośnie.

Narkotyk to sprawił, wspólna radość i grupowy zanik świadomości. Bezgraniczna energia i kołysanie umysłu unosiło ich i miotało jak małe żyjątka na morskiej fali. To było bicie jednego, wspólnego serca.

Tańczyli godzina po godzinie. Nie potrzebowali odpoczynku. Nie potrzebowali żadnej innej podniety; alkohol by ich uniósł, nikotyna zaś zbyt uspokoiła. Stanowili jedno.

Ale wtedy zatruta łąza wpadła w złocistą wodę. Odkąd byli złączeni, to co poczuło jedno z nich, poczuli wszyscy. Zbiorowa dusza, całość. Jedno z nich zostało zranione i wszyscy odnieśli rany. Agonia szerzyła się jak napalm, parząc nie skórę lecz psyche. Leżeli wyjąć, milknąc tylko

po to, by zaczerpnąć powietrza przed następnym wyciem.

— Boże — powiedział Cliv — co ja zrobię?

* * *

— Będziemy musieli zejść — powiedział Basher.

Meato zaskomlał, a Jezebel schowała się pod motocykl Owla. Noc była absurdalnie głucha.

Hałas, obłądny rytm ucichły, a migające światła strzelały w niebo i kłębiły się w górze jak złamane skrzydło rzucone w ciemność.

Czuli się ogłuszeni, oślepieni.

— Mam nóż — powiedział Owl.

— Weź go — zgodził się Jas.

Dosiedli maszyn, zostawiając kobiety i zwierzęta na wzgórzu. Cathy była zła, a Ray wręcz wściekła. Nie miały zamiaru trzymać Viv. Suczka siedziała na trawie — wyprostowana, gotowa.

A gdy jeźdźcy ruszyli w dół wzgórza, pobiegła za nimi, nie wydając żadnych dźwięków.

Dojechali do zwirowej drogi i zatoczyli łuk, by znaleźć miejsce postoju. Teraz doszły ich nowe dźwięki. Krzyk, niski i głęboki. Taki krzyk może wznosił się z Egiptu, gdy rodzono pierwsze dziecko. Albo z Rotterdamu, gdy niemieckie bomby przestały lecieć z nieba.

— Boże, Boże, co to jest?

— Odjazd w złym kierunku, facet — krzyknął Whisper.

Powiedzieli mu, żeby się zamknął. A gdy szli w kierunku dworku, z poczerniałych drzwi wyszedł Camillo, żwawy i na obrotach. A za nim pozostali.

W samych drzwiach duży, łysy facet w szortach próbował zatrzymać Connora. Ale Connor kopnął go w krocze i facet padł. Pojawił się następny, śniady jak Shiva. Zobaczył Shivę, zawahał się. Obcy miał broń, Connor był tego pewny. Małą, niebezpieczną broń. A jednak odwrócił się i wszedł do budynku, jakby byli niewidzialni.

Każdy mógł zauważyć, że Red szlocha. Kryształowe strużki tryskały spod ciemnych okularów. Rose podrapał tatuaż na głowie, rysunek róży. Ręce mieli oznaczone na czarno, jakby stygmatami.

— Hej, Con — spytał Basher — wchodzimy? Basket też widział człowieka z bronią.

— Odjeżdżamy — zdecydował Connor.

— No, to do widzenia — powiedział Camillo.

— Tak? — Connor zerknął na niego.

— Tak. Wyzwalam cię ode mnie. Nie ma mnie. I od tej czerwonowłosej kobiety. Ona może zostać. Miałem cię dosyć. Zbyt przypominasz mi rodzinę, Connor. Ty i twój klan.

Red odwróciła się od nich. Pochyliła się do przodu i zwymiotowała na żwir. W absolutnej ciemności jej wymiociny były usiane gwiazdami.

Connor pomyślał wtedy, że jej mocz jest magmą a jej gówno złotem. Ona powinna odejść ze staruszką o imieniu Mark. Ale nie z Camillem.

Ten zaś podążył w górę zbocza, z dala od nich, w stronę swego wspaniałego motocykla. Viv nadbiegła a Connor ją złapał. Och, Boże — kochał ją jak nikogo innego. Z radości, że żyje, ugryzła go w ucho; tak go kochała.

A za ich plecami, z dworku, nadal dochodziły okropne hałasy. Wspinali się na wzgórze, prowadząc motocykle. Rose trochę podtrzymywał Red. Dziewczyna rzuciła przeszłość, w końcu miała dość Camilla.

Ponure niebo wyglądało na przerażone migającymi światłami.

Odjechali z tego miejsca i wkrótce miękkość letniej nocy objawiła się w zapachach pól, koni, gnoju i w gwiazdach jak klejnoty. Viv siedziała w swojej torbie z goglami na pyszczku. Meato i Jezebel jechały z Owlem i Ratsem. Byli wspólnotą. Red podążała z Rosem; opuściła głowę na jego ramię.

Jutro znów zabierze ją do pubu; poczeka i zobaczy. Red tymczasem będzie bezpieczna z Rosem.

Lecz w dali za polami był świat pochylony w kierunku odległego, żarzącego się jasnością miasta. Camillo zmykał. Jego electraglide sunął rozległą betonową autostradą dymiąc i przechylając się na boki. Z dala od wiecznie młodej, oświetlonej gwiazdami ziemi, Camillo uciekał do monotonnej ochrony nieczułych lamp sodowych. A muzyka ryczała z maszyny, aż zamilkła. Nie było już muzyki. Camillo odszedł.

ROZDZIAŁ 11

Chmura zakryła słońce. Rachaela klęczała na ścieżce, gdy Althene otworzyła oczy.

— Żyję — wykrztusiła, pogrążona w cieniu. — Musisz iść i zawołać kogoś.

Rachaela podniosła się. Althene odwróciła głowę, z jej ust pociekła purpurowa strużka.

— Telefon — z trudem wyszeptała. — Zadzwoń do domu.

— Do Rega? — zapytała Rachaela.

— Nie. Powiedz Ericowi. Będzie wiedział... co ma robić — Rachaela już chciała natychmiast biec, gdy Althene dodała: — Nie mów z nikim o Annie.

Rachaela pomyślała, że normalnie powinna biec jak oszalała na policję. Matka porwanego dziecka. Czy to zrobi?

Zawsze czuła obawę przed policją. Nie dlatego, żeby miała kryminalną przeszłość, ale nie ufała nikomu. A już z pewnością nikomu w mundurze.

— *Duizelig* — powiedziała Althene.

Rachaela biegła ścieżką wśród łąnów zielonych traw i porośniętych bluszczem szarych grobowców. Koło wysokiego pomnika, w cieniu, jakiś młody mężczyzna pielął, wrywając wysokie chwasty. Czy był prawdziwym ogrodnikiem? Rachaela podbiegła do niego.

— Moja siostra — powiedziała — moja siostra jest chora. Muszę zadzwonić.

Musiała wyglądać jak obłąkana, bo nie próbował niczego wyjaśniać, tylko zaprowadził ją do małego domku ukrytego wśród drzew i pozwolił skorzystać z telefonu. Prawdopodobnie wiedział, że jest jednym z tych specjalnych gości, których wpuszczano w dni, kiedy cmentarz był zamknięty dla zwiedzających.

Rachaela wyobrażała sobie, że Althene może zmarła wśród traw.

Telefon dzwonił dłuższą chwilę, po czym Michael podniósł słuchawkę. Z całą pewnością to on odebrał telefon.

— Michael, Althene jest ranna. Poważnie ranna.

Michael nie był roztrzęsiony. Zapytał, gdzie są, po czym Erie podszedł do aparatu i powiedział tylko:

— Karetka przyjedzie za dziesięć minut.

Był opanowany, spokojny. To wydawało się nieprawdopodobne. Rachaela uprzytomniła sobie w tym momencie, że byli Scarabeidami. Chyba za każdym razem musiała sobie przypominać, że to są „Oni”.

Wyszła z domku ogrodnika i nie mogła sobie przypomnieć, gdzie leży Althene. Stała na ścieżce ze skrzyżowanymi ramionami, wpatrując się w wierzchołki drzew i ptaki ponad nimi. Słońce przygasło, zebrały się chmury. Powinna była pobiec za porywaczami Anny. I co by to dało? Ją także by poturbowali.

Chudy, młody ogrodnik pojawił się i powiedział cicho:

— Nakryłem ją kocem. Ciągle jest jej niedobrze. Dzwoniła pani? To w porządku.

Wydawało się, że wszystko rozumie. Zaprowadził ją z powrotem na miejsce wypadku.

Althene była przytomna i cierpiała straszliwie. Trzymała się sztywno, hamując straszne konwulsje, które wstrząsały jej ciałem, podobne do reakcji seksualnych, które Rachaela tak dobrze знаła.

Młody ogrodnik odszedł.

— Co się z tobą dzieje? — Rachaela przysiadła na trawie przy rannej.

— Coś... Nie wpadaj w panikę, Rachaelo. Dam sobie z tym radę. Czy wezwałaś Erica?

— Powiedział, że przyśle karetkę. Jak ty... to znaczy chodzi mi o twoje ubranie...

— Nie martw się, dziewczynko — Althene nawet w cierpieniu nie traciła lekkiego, nieco ironicznego tonu. — To nie twój problem. — A potem powiedziała niewyraźnie: — *Mijn dochter*.

Moja córka, zrozumiała Rachaela. Nawet teraz troszczyła się o Annę. Boże spraw, żeby się pośpieszyli.

Przybyli szybko. Po kilku minutach ukazało się dwóch mężczyzn z noszami, tak niestosownymi w tej krainie zmarłych. Gdy podnosili ranną, Althene krzyknęła męskim głosem. Niewątpliwie. Ale to nie miało już być problemem.

* * *

Prywatny szpital działał kojąco i był ładnie urządzone. Ściany pomalowano w odcieniu gołębiej szarości i kremowego różu. Wszędzie stały kwiaty.

Pokój Althene miał osobną łazienkę. W wazonie stały białe goździki, białe róże, fiołkowo-różowe lilie i bladożółte chryzantemy.

— To nie przypadek — powiedziała Althene. — Czerwone i białe kwiaty to inaczej krew i bandażowanie.

A chryzantemy oznaczają śmierć, pomyślała Rachaela, choć nie dla Scarabeidów.

Były pewne obawy i podejrzenia o zapalenie otrzewnej. Ale potem już o tym nie mówiono.

Powiedziano Rachaeli, że jej siostra — choć już musieli wiedzieć, że ranny nie jest kobietą — jest silna i świetnie zniosła operację.

Osobliwe pielęgniarki w fikuśnych mundurkach, jakże inne od niewyspanych sióstr

miłosierdzia w zwykłych szpitalach, kręciły się wokół Althene, flirtując. Czy wszystkie wiedziały?

Althene czwartego dnia była już w ciemnopurpurowym szlafroku, z lekkim makijażem, z włosami ułożonymi i uperfumowanymi. Twarzy nie miała już sinej, tylko bladą.

Rachaela nie obawiała się już o chorą, tylko o jej reakcję. Nie rozmawiały o Annie aż do czwartego dnia. To Althene zaczęła.

— Przyniosłaś mi winogrona. Jakże trafnie.

— Wybacz. Nie pomyślałam. Wiedziałam jednak, że spodoba ci się kolor.

— Oczywiście, że tak. Będziemy jeść winogrona i popijać wino już za tydzień. Wtedy muszę pomyśleć także o Annie.

— Kazałaś mi nic im nie mówić.

— Tak. Jeszcze nie.

— Ale...

— Źle wyglądasz — stwierdziła Althene. — Taka zatroskana.

Rachaela odrzuciła w tył głowę; wpatrywała się w Althene jak w wierzchołki drzew na cmentarzu.

— O co chodzi? Jestem przerażona.

— Porwano ją.

— Ale dlaczego to się stało?

Althene odwróciła głowę na różowej poduszce.

— Ktoś życzył sobie ją mieć, a ja powinnam była to przewidzieć. Głupia byłam, że tego nie zrobiłam. To mój błąd, Rachaelo.

— Kto tego pragnął? Kto ją zabrał? Dlaczego?

— Tyle pytań. Nie wiem — Althene zawahała się i dodała: — Malach... może wiedzieć.

— Jest twoja — powiedziała z naciskiem Rachaela.

— I twoja.

— A więc twoja i moja. Nie jego. Odtrącił ją.

— A teraz ktoś inny ją złowił.

— Nie mogę tego znieść, Althene. Jestem taka zagubiona.

— *Mijn dochter is zoek.*

— Twoja córka jest stracona, tak?

— Nie, gorzej. Ja ją utraciłam — Althene zamknęła oczy pełne bólu, jak na cmentarzu wśród traw. — Chcę powiedzieć, że ona zgubiła samą siebie.

— Jak? Nie miała wyboru?

— Może.

— Althene...

— Posłuchaj, moja piękna, odejdz. Przychodzisz tu, siadasz i jesteś dla mnie bezużyteczna, Rachaelo. Idź do domu. Będzie ci wygodniej. Ja czuję się dobrze i wkrótce będę z tobą.

— Próbowałam...

— Nie wystarczy próbować... — Althene spojrzała na nią. — Teraz muszę się zdrzemnąć.

— Wrócę.

— Nie. Zrób, co powiedziałam. Idź do domu. Do domu na wzgórzu.

— I co im powiem? Elizabeth, Regowi...

— Co to za różnica?

— Dowiedzą się.

— Powiedz im, że miałam atak wyrostka, a Anna wyjechała do Francji, do swego przyjaciela.

Rachaela wpiła długie, nieumalowane paznokcie w dłoń.

— Do jej małego, dwuletniego przyjaciela, który wygląda na 17 lat? Odsyłasz mnie jak

niegrzeczne dziecko.

— Jesteś niegrzecznym dzieckiem.

Rachaela zastanawiała się, co czuje. Nic. Po prostu nic. Wzięła taksówkę do domu. Kierowca był gadatliwy, ale nie nachalny. Stworzyła na jego użytek nieprawdziwą historię o mężu, który pracuje w mieście i o dwóch dorastających córkach w średniej szkole.

Powiedział, że wygląda na to za młodo. A ona na to, że będzie miała miły dzień, dzięki jego komplementom. Gdy dojechała do miasta, poleciła mu stanąć przy supermarkecie. Tu miała zrobić zakupy na obiad dla wymyślonej rodziny. Zerknęła na kobiety chodzące po sklepie.

Gdy podchodziła pod wzgórze, torba z zakupami ciążyła jej straszliwie. Mówiła do siebie i nie mogła złapać tchu. Nie miała czym oddychać. Gdy doszła do domu, oparła się o ścianę i spojrzała w dół, na drogę, którą pokonała. Taka odległość, a jeszcze tyle do przejścia.

Dom był wypucowany i wywietrzony. Elizabeth jak zawsze pilnowała swoich obowiązków.

Sałatka z wędzonego łososia i *gateau* stały w lodówce. Dwie butelki białego, kalifornijskiego wina były w zapasie.

Rachaela weszła do sypialni, którą zajmowała z Althene, dopiero po czwartym kieliszku.

Rozebrała się i obejrzała w lustrze swe nienaruszone, dziewczęce ciało. O szóstej zadzwoniła do szpitala. Althene, czyniąc słusznie, spała. Powiedźcie jej, że jękoçam, pomyślała Rachaela, ale nie powiedziała nic. Powiedźcie jej, że jestem samotna.

Obejrzała w telewizji film. Opowiadał o kobiecie, która pragnęła mieć dziecko, ale nie mogła.

Rachaela roześmiała się. Śmiała się tak długo, aż zaczęła płakać.

* * *

Ktoś ze szpitala zadzwonił do Rachaeli w piątek o dziesiątej. Althene wypisała się i właśnie jechała do domu. Rachaela czuła się osobliwie; jak młoda wiktoriańska dziewczica, której odesłano narzeczonego z frontu do domu. Kokieteryjnie, ot co.

Była jeszcze w łóżku. Teraz wzięła prysznic i ubrała się; przypudrowała twarz, umalowała oczy i usta. Nie było zbyt wiele czasu — Althene mogła już nadjeżdżać.

O jedenastej Rachaela zjadła kawałek chleba i spróbowała napić się kawy, ale nie mogła.

Zamiast tego nalała sobie ostatni kieliszek wina, który stanowił reszkę z dwóch butelek wypitych poprzedniej nocy. Wcale jej to nie uspokoiło. Puls miała słaby i przyspieszony.

Samochód przyjechał w południe. Rolls. O tak, to zawsze był rolls, jakżeby inaczej?

Samochód Scarabeidów przeznaczony do wycieczek, ale także ucieczek.

Rachaela nie podglądała zza firanki. Przeszła przez salon i stanęła na środku chińskiego dywanu. Czy powinna podbiec do drzwi, gdy się otworzą i ostrożnie, ze względu na opatrunek, rzucić się w ramiona kochanka?

Usłyszała otwieranie drzwi. W holu kroki Althene nie były takie jak zwykle. Oczywiście, rekonwalescentka nie nosiła butów na obcasie. Torba stuknęła o podłogę. Potem te inne kroki przeszły przez hol i ktoś wszedł do ciemnego salonu, do którego słońce nie zaglądało aż do popołudnia.

Ostry ból za mostkiem targnął Rachaelę, potem bolesny skurcz przeszedł niżej skręcając kiszki. Gdyby wciąż jeszcze trzymała ostatni kieliszek wina, wypadłby jej z rąk. Na szczęście dla dywanu zdążyła wypić i odstawić.

Kto to był? Kim był ten mężczyzna? Adamus... ojciec Ruth? Pierwsza miłość. Pierwszy demon.

— Nie chciałam cię zdenerwować, przepraszam — powiedział.

— W porządku. To tylko... — Rachaela usłyszała samą siebie — dlatego, że nigdy nie widziałam ciebie tak... ubranej. Prawda?

Nie dowierzała własnym słowom, ponieważ miała przed sobą młodego i przystojnego mężczyznę. Był bardzo blady; nosił czarne spodnie i czarną koszulę. Czarne włosy były zebrane

z tyłu, więc nie mogła nic powiedzieć o ich długości.

Tak, wygląda jak Adamus. A więc rodzinne podobieństwo. Oni wszyscy wyglądali podobnie, nawet Rachaela. No, cóż — Althene, w cokolwiek byłaby ubrana, fizycznie zawsze była mężczyzną.

— Powinnam cię była ostrzec — powiedziała Althene.

— Usiądź.

— Nie wygłupiaj się. Nie będę mdlała. Po prostu zaskoczyłaś mnie, ale wyglądasz bardzo efektownie.

— Byliby tacy, którzy by wiele za to dali — wzruszyła ramionami Althene—mężczyzna.

— No cóż, to zależy od ciebie, prawda — powiedziała Rachaela. Figlarne, idiotyczne zdanko.

Włosy Althene, nawet spięte tak ascetycznie, po męsku, falowały. Nie tak, jak u Adamusa; ich twarze w istocie nie były aż tak podobne. Faktem pozostawało, że Rachaela nigdy nie widziała swej kochanki w męskiej wersji. Nawet w łóżku były jedwabie i koronki, piersi i dotyk pudru.

Wszystkie wabiki pięknej kobiety.

Althene przeszła przez pokój i usiadła na sofie. Na szczupłym, umięśnionym delikatnie ciele łatwo było dostrzec zebrowanie bandaża.

— Jeśli nie musisz usiąść... Ja muszę.

— Czy mogę ci coś podać? — spytała Rachaela.

— Jeszcze nie. Pozwól, że najpierw wyjaśnię.

— To nie jest konieczne.

— Naturalnie, że jest. Proszę, wysłuchaj mnie.

— Dobrze — Rachaela nadal stała na środku dywanu.

— Muszę szukać Anny i dotrzeć do różnych ludzi. W tym przebraniu będzie mi łatwiej.

— Anna.

— Anna — powtórzyła Althene. Mała dwuletnia dziewczynka, która wydaje się siedemnastolatką.

— Czy wiesz, gdzie jej szukać?

— Może. Dobrze nie wiem.

— A jaką rolę ja zagram w tych planach?

— Obawiam się, że będzie lepiej, gdy tylko poczekaasz. Wiem, że to może okazać się trudne.

— Ale... — powiedziała Rachaela — to jest cynizm. Althene—on spojrzała na nią z ukosa, w sposób, w jaki zwykł to czynić Adamus. Zimny kapłan. Jej przyjaciółka nie była taka nigdy.

— Twoja obsesja na własnym punkcie, Rachaelo, nigdy nie przestaje mnie zdumiewać.

Próbuję cię pocieszyć. Jeżeli nawet jesteś zazdrosna o Annę, ona jest twoja. Ktoś ją ukradł.

Będziesz zostawiona samej sobie i musisz poczekać. Mogą minąć tygodnie bez wieści o nas.

Zdaję sobie sprawę, że to nie jest miłe. Więcej jednak nie mam ci do zaoferowania.

— Cóż, pewnie zasługuję na to.

— Do obsesji na własnym punkcie dodajesz kompleks winy.

— Nie analizuj mnie. Sytuacja jest dostatecznie zła.

— To prawda — powiedziała Althene. Zaraz dodała: — Czy mogę dostać szklankę wody? To wszystko, czego mi trzeba.

— Z kranu? Czy otworzyć butelkę odświeżonego perriera?

— Wolę ustałą, a nie wprost z kranu.

— Podobnie jest z życiem, mam rację? Wszyscy wolimy, żeby było ono poukładane. Tacy już jesteśmy, oczywiście, poza momentami upadków i perfidii.

Althene podniosła się. Jak na mężczyznę nie była zbyt wysoka, choć wyższa od Rachaeli i mocniej zbudowana. Twarz, kości, włosy — wszystko miała solidniejsze. Nawet ręce, bez pierścionków, na których już pojawiły się nikle męskie włoski, wydawały się mocne.

— Chcę, żebyś mnie przytuliła — powiedziała Rachaela.

— Więc cię przytulę.

— Ale to nie jesteś ty.

— Jestem. Zawsze będę; to prawo fizyki.

— Twoje ramiona... pragniesz wypełnić je Anną.

— Nie chcę zrobić z Anny mojej kochanki.

— Jesteś pewna, Althene?

— Całkowicie pewna.

— Teraz wyglądasz jak mężczyzna. Może jej się to spodoba, gdy ją odnajdziesz.

— Jeżeli w ogóle ją znaję.

— Malach może ją uwieść. Dwóch rywali?

— Rachaelo, jestem zmęczona. Wszystkie te szpile, które mi wbijasz, męczą mnie w dwójnasób.

— W trumnie wampira — powiedziała Rachaela — przynajmniej nigdy nie piłaś mojej krwi, tak jak on to robił.

— Ani ty mojej. Dajmy temu spokój.

Ona—on wyszła z pokoju i w kuchni rozległo się ciurkanie wody. Rachaela, na pozór tak uważna, zapomniała jej nalać. Niewybaczalne.

* * *

Spały w ich łóżku. Nie — raczej Althene spała w zmęczonej ciszy, a Rachaela patrzyła. Gdy światło zaczęło sączyć się wzdłuż krawędzi zasłon, objęła kochanka jedną ręką za szyję.

Leciutko, żeby nie przeszkadzać. Kochać się z nim? Jak by to było? Wspaniale? Tak samo? A może jeszcze inaczej...? Nigdy się nie dowiem.

Rachaela zeszła na dół, usiadła na podłodze obok sofy i napiła się wina. Światło stawało się

niebieskie, a na zewnątrz topole o ciemnych liściach zappełniły się ptasim świergotem.

Kiedyś powiedziała do Althene: „Kocham cię. Nie opuszczaj mnie”. W tej przestrzeni ich dłonie już rozdzielały się; spadały osobno w przepaść. To było bardzo smutne, choć nie czuła jeszcze rozstania całym sercem. Jeszcze niezupełnie.

ROZDZIAŁ 12

Dzień był deszczowy i wietrzny, ale Cimmie ubrała się jak latem, w sukienkę barwy turkus, złote kolczyki i kościane bransoletki. Ogarnął ją także słoneczny nastrój, ponieważ wybierała się po zakupy i do fryzjera. Włosy urosły już na dwa cale i należało przywrócić im właściwą, jednocalową długość.

— Nie jedz ciasta, dopóki nie przyjdzie pani Baldwin. Wtedy możesz wziąć kawałek, gdy ona będzie się częstować.

Faran zgodził się. Zawsze okazywał rozsądek; odkąd skończył pięć lat, można było go zostawić samego w domu. Nie należał do dzieciaków, które wbijają sobie nożyczki w ucho czy podpalają dom.

Ciasto zostało z wczorajszego przyjęcia. Oprócz niego znalazł jeszcze ciemne winogrona i krem orzechowy.

Cimmie i Wellington tej nocy kochali się trzykrotnie, za każdym razem budząc synka hałasami. Gdy teraz Cimmie wyszła, Faran udał się do swego pokoju i wziął podręcznik do geografii oraz ćwiczenia arytmetyczne. Rozłożył je na dębowym stole. Potem przystawił sobie krzesło do okna.

Park niknął za ścianą wody ponad ruchliwą jezdnią. Gruby Murzyn już stał w bramie, ale nie było sensu machać, bo i tak nie zobaczyłby go poprzez deszcz.

Faran sięgnął po hebanową lampę stojącą przy oknie. Nacisnął wyłącznik, potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Może to poskutkuje? To pewnie przykre, stać tak na deszczu. Potem podszedł z

powrotem do stołu, przysunął krzesło i usiadł na nim, czekając. Pół godziny później wciąż czekał.

Pani Baldwin nigdy się nie spóźniała. Znała geografię miasta i matematykę czasu, nie zostawiała więc żadnego marginesu na błąd. Jej spóźnienie było zastanawiające. Jednak Faran nie martwił się o panią Baldwin. Nie życzył jej niczego złego, ale uważał, że świetnie potrafi sama zatroszczyć się o siebie.

W końcu wstał z krzesła i poszedł do lodówki spojrzeć na ciasto. Ale nie był głodny. Właśnie wtedy deszcz przestał padać i promień słońca, jak szklana strzała, przedostał się przez szybę.

Chłopczyk wrócił do okna, by sprawdzić, czy mężczyzna w bramie pozostaje jeszcze na posterunku. Gruby Murzyn stał tam i wyglądał tak jak zawsze: tani płaszcz, błyszcząca czarna twarz. Tym razem pomachał Faranowi. Chłopczyk, klęcząc na krześle, odpowiedział mu. I wtedy mężczyzna w bramie skinął na niego. Gest przelotny, ale czytelny. Najwidoczniej ten człowiek nie wiedział, że Faranowi nie wolno wychodzić z domu.

Faran potrząsnął głową przecząco. Zszedł z krzesła, wrócił do dębowego stołu i wypracowania na temat rybołówstwa w Skandynawii. Dziesięć po czwartej, gdy pani Baldwin nadal nie zdecydowała się pojawić, odsunął książki na bok.

Słońce zapanowało nad mieszkaniem, oświetlając skarby Objęgbów: koszyki, posążki słoni i krów, batikowane tkaniny Cimmie i maski na ścianach. Faran odwrócił się i rozejrzał po salonie.

Słońce świeciło okrutnie. Poszedł do swojego pokoju.

Na ścianach pokrytych ciemnożółtą farbą widniały obrazy zwierząt. Lubił stworzenia. Ale jego wszystkie „zabawki” były właściwie pomocami dydaktycznymi. Układanki, testy. Nie miał żadnego misia. Książki też musiały być pouczające, np. powieść o dzieciach, które żyły w Nagasaki, gdy zrzucono na miasto bombę atomową; albo o handlu niewolnikami. I o dziesięcioletniej Żydówce, w 1940 roku.

Słońce zapanowało także nad pokojem Farana. Zaczął już się niecierpliwić z powodu spóźnienia pani Baldwin; nauczycielka powinna już dawno przyjść. Jej ponure towarzystwo było lepsze niż niespodziewane rozdrażnienie.

Pani Baldwin nie popełniła pomyłki. Znajdowała się w ciemnym metrze, wraz z ponad tysiącem pechowych pasażerów. Nie miała szczęścia, to była jedyna linia dotknięta awarią w ciągu tygodnia.

Faran otworzył drzwi gabinetu swego ojca, popatrzył i wyszedł. Potem przespacerował się przez pokój gościnny, przygotowany dla podchmielonych gości, którzy zeszłego wieczoru jednak udali się do swoich domów. Na koniec odwiedził sypialnię rodziców.

Łóżko było tu przykryte bawełnianą, drukowaną kapą w ludowym stylu. Rozrzucano na nim aż siedem pasiastych, biało–czarnych lnianych poduszek. Wyżej, na ścianie były zawieszony włócznie i toporek, a kij do krykieta znalazł miejsce nad biurkiem ojca.

Faran zmarszczył brwi.

Na toaletce matki stały buteleczki Chanel i krem do twarzy w biało–złotym pudełku.

Skomponowano go specjalnie dla osób czarnoskórych; cena wynosiła trzydzieści pięć funtów. To go nie zadowoliło; ani jej ubranie w małej garderobie; ani pozostawiony zapach — ostry, atrakcyjny i obcy.

Kiedy pani Baldwin po raz piętnasty krzyżowała nogi i ocierała nerwowo pot z czoła, w nadziei, że nie wygłupi się i nie zemdleje, Faran znowu podszedł do okna i zobaczył, że mężczyzna wciąż tam jest.

Potem poszedł do kuchni, wyjął ciasto i odkroił wielki, szczodry kawałek. Włożył do plastikowej torebki najedzenie i zrobiło mu się przykro, kiedy krem pomazał orzechy. Ale wiedział, że i tak było pyszne. Wsunął do środka srebrny deserowy widelczyk ze swojego kompletu i dołączył dwie papierowe serwetki w kolorze lawendy i błękitnego nieba.

Niosąc wszystko bardzo ostrożnie, Faran wyszedł z mieszkania.

Pozwolił, by drzwi same zatrzasnęły się za nim. Cimmie i tak nie wróci przed wpół do szóstej.

Nawet jeżeli mężczyzna z parku znudzi się rozmową z nim, to Faran zawsze może wrócić do domu i poczekać na Cimmie w holu, pod drzwiami.

Od małego wpajano mu, że nie wolno rozmawiać z obcymi. Nigdy, pod żadnym pozorem, żadnych kontaktów z nieznanymi ludźmi. Ale kiedyś przecież jeden z ważnych białych przyjaciół Cimmie i Wellingtona przyparł Farana do ściany, w rogu kuchni. W jednej ręce trzymał kieliszek z chłodnym rieslingiem, a drugą położył chłopcu na genitaliach.

— Wkrótce będziesz mężczyzną — powiedział gość wesoło.

— Puść mnie — zachnął się Faran.

— Tylko żartowałem — odparł ze śmiechem biały, puszczając go.

A potem czarny pan Thorpe był posądzony o pedofilskie skrzywienie; rzecz tak odległa od niego jak Ziemia od gwiazdozbioru Andromedy. W każdym razie Faran, choć nie mógłby określić tego słowami, wiedział kto był obcy. Widocznie mógł polegać na czarnoskórym nauczycielu przez te wszystkie lata. A może zwyczajnie nie było innego wyjścia.

Przed eleganckim budynkiem chodnik był mokry, a okoliczne domy wyglądały jak zrobione z wilgotnej gazety. Przechodzenie przez jezdnię nie okazało się aż takim wyczynem. Ruch uliczny zmniejszył się, jak się to czasami zdarzało.

Faran spojrzawszy w obydwie strony przebiegł lekko przez jezdnię, wprost do bramy parkowej.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego.

— Cześć Faran. Miło cię widzieć.

Nie było nic dziwnego w tym, że obcy znał jego imię. W jakiś sposób było to nawet logiczne.

— Przyniosłem ci kawałek ciasta.

— O, dlaczego? Jak to miło z twojej strony. Dziękuję, Faranie.

Mężczyzna przyjął pogniecione ciasto i zaczął je jeść z wyraźną przyjemnością, używając srebrnego widelczyka. Faran przyglądał mu się. Zapytał:

— Kim jesteś?

— Nazywaj mnie Danny — odparł Murzyn. — Miałem nadzieję, że zejdziesz. Przypuszczam, że chciałbyś zobaczyć pana Thorpe'a, prawda?

— Tak — powiedział Faran z nieukrywaną szczerością.

— Więc zabiorę cię do niego.

Weszli do parku. Mężczyzna wytarł swą okrągłą twarz w serwetki, zwinął je i wyrzucił do kosza na śmieci wraz z pustą torebką i kosztownym widelczykiem. Faran widział to i wcale mu nie przeszkadzało. Już czuł coś, jakby... pieśń z oddali. Ale zaznaczył:

— Będę musiał wrócić z powrotem do domu przed wpół do szóstej.

— Nie zawracaj sobie głowy drobiazgami — powiedział Danny.

Na ulicy biegnącej wzdłuż parku, przy krawężniku, stał zaparkowany szary montego. Danny otworzył drzwi i wsiedli. Wtedy zdjął swój nieprzemakalny płaszcz. Pod spodem miał elegancki brązowy garnitur i krawat jak nóż z bladoniebieskiej wody.

Prowadził dobrze, a Faran siedział przypięty pasami do przedniego siedzenia, rozparty wygodnie, obserwując wszystko dookoła. Za parkiem ulice wypełniły się mgiełką po deszczu i słonecznym blaskiem.

Jechali wewnętrznym londyńskim szlakiem; wzdłuż ulic wyrastały wysokie wystawy oświetlone wszystkimi kolorami tęczy, a budynki sięgały szczytami hen, wysoko w niebo.

Faran zobaczył młode dziewczęta: czarne, białe, śniade i brązowe; z długimi włosami i krótko ostrzyżone; piękne i nieciekawe. Przechodzili też mężczyźni pod parasolami, z psami na smyczach. W bramach tłoczyli się ludzie, którzy wyglądali na inwalidów owiniętych w koce.

Zajechali przed wspaniałym hotel, z kamienną kobietą nad wejściem i kwiatami w kamiennych wazach.

Odźwierny uklonił się Danny'emu.

— Są w sali klubowej, proszę pana. Czekają na ciebie, młody człowieku.

Wewnątrz hotelu powitały ich barwy kasztanu i szaławii, ożywione złotem. Olbrzymie wazy pełne kwiatów kojarzyły się chłopcu z rogami obfitości.

Na ciemnozielonym dywanie stała pluszowa kanapa, a na niej siedział pan Thorpe w towarzystwie bardzo ładnej, pulchnej, młodej Murzynki. Faran nie pobiegł w jego kierunku.

Przez chwilę był wystraszony, napięcie jednak zmobilizowało go.

Pan Thorpe założył garnitur jeszcze bardziej elegancki niż Danny, a z pewnością piękniejszy niż wszystkie ubrania Wellingtona Objęgo. Tkanina miała odcień płowej szarości, a krój ani nie podkreślał, ani nie ukrywał ogromu ciała pana Thorpe'a, ale czynił zeń ważną osobistość. Był nauczyciel Farana wyglądał jak wielki mąż stanu. Wyciągnął teraz do niego wymanicurowaną dłoń.

Chłopczyk podszedł do pana Thorpe'a i ujął jego rękę. Czuł się szczęśliwy, jakby spotkał ojca. Sęk w tym, że Wellington nigdy nie wzbudzał w nim takich uczuć.

— Tęskniłem za tobą, Faranie — powiedział pan Thorpe.

— Naprawdę? Ja też.

A wtedy pan Thorpe pochylił się i pocałował chłopca w policzek lekkim, bezcielesnym muśnięciem. Potem wskazał na swą towarzyszkę.

— To jest Estelle.

Estelle roześmiała się. Wyglądała na pełną śmiechu. Miała na sobie cukierkoworóżową garsonkę i długi, różowo-czarny szal z frędzlami. Była pulchna i bardzo, bardzo ładna. W uszach pobrzękiwały jej srebrne kolczyki. Pachniała jakimś lekkim, frywolnym, kwiatowym zapachem.

Ona też wyciągnęła do chłopca rękę i poprosiła Farana o pocałunek.

Gdy pocałował uróżowaną czerń jej policzka, powiedziała:

— Jest pan szarmancki, *monsieur*.

Spodobało się to Faranowi. Naprawdę tak myślała. Miała francuski akcent.

Wstali i już za chwilę pan Thorpe, Estelle i Faran wznosili się górę, w lśniącej windzie z lustrami. Potem udali się korytarzem o zwierciadlanych ścianach do pokoi w tonacji miodu i orchidei.

Podano wspaniały hotelowy podwieczorek. Niezliczone mnóstwo małych kanapek z ogórkiem, serem brie, łososiem; gorące bułeczki wprost z pieca, ciastka z kremem, czekoladowe ekierki i maliny.

A Faran był bardzo głodny. Gdy Estelle nalewała herbatę ze złoto-srebrnego dzbanka, powiedział:

— Muszę zadzwonić do mamy.

— To już załatwione — odparł pan Thorpe.

— I nie ma nic przeciwko temu? — spytał Faran.

— Z pewnością — pan Thorpe uśmiechnął się.

— Zatroszczymy się o to. Nie martw się, Faranie. Nie martwisz się, prawda?

— Nie — powiedział Faran wolno.

Nie martwił się. Nie martwił się odległymi sprawami. A Cimmie wydawała się oddalona o lata świetlne. Jak zawsze.

— Idziemy do kina, chłopcze — oświadczyła Estelle. — Co powinnam włożyć? Zieleń czy czerwien?

— Czerwien, proszę — powiedział Faran. — Będziesz świetnie wyglądała.

— Tak — zachichotała Estelle. — A więc czerwien, dla ciebie.

— Na co idziemy? — zainteresował się Faran.

— Stary film, mówiłem ci kiedyś o nim — odparł pan Thorpe. — *King Kong*.

Faran przypomniał sobie, że Cimmie nazwała *King Konga* szmirą. Ponizał podobno Murzynów. Faran chciał go zobaczyć.

Podczas gdy czekali na Estelle, która zmieniała swój nieskazitelny strój, pan Thorpe rozmawiał z Faranem tak jak dawniej, jakby nic ich nie dzieliło. Popijał whisky, a Faran coca-colę. Wróciła Estelle, wprost nadzwyczajna w burgundzkiej czerwieni i zeszli na dół.

Danny tym razem prowadził inny samochód. Faran nie wiedział jaka to marka, ale był duży i wygodny. Miał kierownicę po lewej stronie i francuską rejestrację. Gdy wysiadali na parkingu pod kinem, podszedł do nich żebrak, biały mężczyzna. Cimmie zignorowałyby go, ale Danny włożył mu kilka monet do ręki.

— Moja mama mówi — powiedział Faran, gdy mężczyzna odszedł — że wydaję na narkotyki i alkohol. — Powiedział to bez zastanowienia.

— Może. Albo najedzenie i mieszkanie. To ich wybór — powiedział pan Thorpe. — Żebracy byli zawsze, u bram Rzymu i u wrót piekieł.

Faran przypomniał sobie inwalidów w kocach. Byli bezdomni. Wiedział, że świat jest okropnym miejscem, gdzie ludzie cierpią. Czasami całun bólu bywał jak chmura gradowa, ale nie teraz. Weszli do kina i zajęli miejsca, by obejrzeć *King Konga*.

* * *

Głupawe opinie o filmie nie liczyły się. Faran wierzył głęboko, że jest cudowny. Cudowny i mądry. Olbrzymia mała napełniła jego serce miłością. Była wspaniałym i nadzwyczajnym stworzeniem, promieniującym wiedzą i osobowością aż do chwili, gdy zrobiono jej krzywdę. Wtedy zmieniła się i stała się podobna bogom w gniewie.

Gdy wreszcie King Kong umierał, zabity z samolotów, Faran szlochał. Pan Thorpe trzymał go

za ręką. Bestia umierała pięknie. Całą drogę powrotną, a potem jeszcze w pokoju hotelowym Faran rozmawiał o filmie.

— Wielkość prawie zawsze jest przerażająca, Faranie — powiedział pan Thorpe. — Geniusz zaś osiąga doskonałość, gdy zamyka się w ramach.

Zjedli obiad w pokoju. Estelle, jak się okazało, była wegetarianką, jednak nie terroryzowała tym nikogo. Pan Thorpe zamówił solę z limonkami i rzodkiewkami, Faran sałatkę z kurczaka na ciepło. Pan Thorpe i Estelle pili wino, które proponowali także Faranowi, ale chłopczyk wybrał sok.

Nie zastanawiał się głębiej, co spowodowało zmianę nastawienia Cimmie do jego byłego nauczyciela. Może dowiedziała się, że pan Thorpe jest bogaty?

Gdy doszli do deseru i podano truskawki, Faran powiedział:

— Kiedy muszę wracać?

Pan Thorpe przestał jeść.

— Teraz ci powiem. Nie musisz wcale wracać.

Jego słowa oszołomiły Farana; wiedział przecież, że nic co dobre nie trwa wiecznie.

— Czy wierzysz, Faranie, że nigdy cię nie skrzywdzę? — spytał pan Thorpe.

— Tak.

— Więc musisz mi trochę zaufać. Wkrótce coś ci powiem. Czy jesteś w stanie trochę poczekać?

— Nie — powiedział chłopczyk. — Ale zrobię to.

Estelle znów się roześmiała. Powiedziała: *pikanini induna*, co oczywiście nie było po francusku, tylko w jakimś afrykańskim języku. Wyglądała tak uroczo i przyjaźnie, że Faran nie zwrócił na to uwagi.

Po skończonym posiłku pan Thorpe usiadł z Faranem na kanapie.

— Chciałbym — powiedział — wysłać cię do pewnych ludzi. Są twoimi przyjaciółmi.

— Nie mam żadnych przyjaciół — powiedział Faran szczerze, zrobił pauzę i dodał... — oprócz ciebie.

— To są ludzie, którzy znają cię od dawna. Przyjaciele, którzy znali cię, jeszcze zanim się urodziłeś.

— Ale w jaki sposób? — chłopczyk wyprostował się, zaintrygowany.

— Tylko oni mogą ci to wyjaśnić, Faranie. Oni cię chcą; należysz do nich.

Faran popatrzył pod nogi, na kwiecisty dywan.

— Co się stanie?

— To bardzo proste. Rano ktoś przybędzie, ktoś miły. Pojedziesz z nim. Polecisz samolotem.

— Samolotem? Dokąd?

— Daleko stąd. Najpierw musisz chcieć lecieć.

— Nie wiem — powiedziało dziecko.

— Chodź ze mną — pan Thorpe wstał.

Faran poszedł z nim do sąsiedniego pokoju. Pan Thorpe otworzył czarną skórzaną aktówkę.

Wyjął fotografię i podał ją Faranowi.

— Oto kobieta, która chciałaby, żebyś do niej przyjechał.

Była to kolorowa fotografia, świetnie zrobiona, formatu dziesięć na osiemnaście. Faran trzymał ją pod lampą i patrzył. Kobieta nie była upozowana, po prostu siedziała przed obiektywem i patrzyła. Jej spojrzenie było pozbawione dystansu czy wylewności, spokojne jak głęboka noc. Ubrana była na czarno, w suknię na której tu i ówdzie błyszczały punkciki, jak krople deszczu. Podługne białe dłonie były splecione; paznokcie miały głęboki czerwony kolor. Nosila jeden pierścionek, owalny, matowy.

Jej twarz. Szerokie brwi rysowały się nad oczami o kształcie migdałów; długie rzęsy i

teczówki czarne jak środek nocy gasiły czerń sukienki i oczka pierścionka. Nos miała długi, jak u wielkiego kota. Usta zaś ani zbyt cienkie, ani zbyt pełne, były miękkie i czerwone, jak... — skądś przyszło porównanie — jak owoc granatu.

Faran poczuł, że krew krąży w nim szybciej i skupia się w środku ciała. Miewał już nikłe poruszenia tam, w cienkim palcu chłopięcego penisa. Ale teraz napełniony, królewski i płonący stał się gotów; twardy jak skała i obolały. Widok tej kobiety ranił go.

— Nazywa się Lillith — powiedział pan Thorpe.

Wtedy zaczął płakać. Łzy trysnęły z niego a gdy to się stało, przerażająca erekcja zniknęła, jakby cofnęła się. Zwrócił fotografię, żeby jej nie poplamieć.

* * *

Cimmie powiedziała, że musi poślubić białą dziewczynę. I, co dziwne, zdawało mu się, że to się właśnie urzeczywistnia. To była katedra. Osaczały go rozległe pajęczyny z kamienia, a okna przypominały rozcięte owoce. Stał z nią przed ołtarzem, a nad nimi unosiły się złote krzyże i postacie świętych.

Kobieta odziana była w barwy swego domu. Burgundzka czerwień i, nad czarnym jedwabiem włosów, wianuszek czerwonych róż. Już ją posiadał. To było w ogrodzie jej ojca. Ale może to wcale nie był ojciec? Rosły tam białe kwiaty. Nie była dziewicą, ale lgnęła do niego.

Włożył starą, złotą obrączkę na jej palec. Był smagły, ciemny jak odrzutowiec; wyższy od niej. Mógł objąć jej talię dłońmi. Umarłby dla niej.

— Jesteś taki szarmancki.

Potem znajdował się na rzece, której woda przybrała barwę ciemniejszą niż piwo. Zobaczył dziewczynę w małej chatce z trzciny, z kolumnami z alabastru. Nie. Siedziała na środku łódki, na jego lędźwiach.

Nie był czarny. A więc był Arabem? Pocałował ją w usta.

A później znalazł się w okopconym, wąskim pokoju z niskim sufitem poprzecinanym belkami; wymalowano między nimi małe kwiatki.

Jego smagła dłoń spoczywa na piersi dziewczyny białej jak śnieg. Blask ognia migocze na malowanych kwiatkach i belkach. Ona jest sową; sową zrodzoną z płatków. Gdy siedzi na nim okrakiem, on wpycha się w jej wnętrze. Potem ona przytula go jak dziecko.

— Wróć do mnie — powiedziała — wróć do mnie.

Jej usta są czerwone jak granat, oczy czarne jak noc. Włosy spływają po plecach jak czarna rzeka do katarakty. Oboje znajdują się na jakimś placu za domem, w małym miasteczku.

— Zabiją nas.

— Nie opuszczaj mnie — powiedział.

— Więc chodź ze mną, ale ja ciebie zgubię — powiedziała.

Kogut zapał i weszło słońce. Oni udali się do swego łoża, ponieważ nie lubili dnia. W dniu, w którym go poślubiła, nosiła czerwień. Jej krew naznaczyła prześcieradło, choć nie była dziewczicą...

Gdy jeszcze było ciemno, Faran obudził się i usiadł. Hotel pulsował swoim nocnym życiem.

Coś skrzypiało i powarkiwało; pełno tu było nowoczesnych gadżetów, cudów techniki. Ale on był daleko.

Pan Thorpe powiedział, że może będzie pamiętać tę kobietę. Faran znał tę Lillith, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd... A jeszcze te sny. Wydawały się gotykiem, średniowieczem... W tym ostatnim, rozgrywającym się w chłodnym miejscu, na północy, on był mężczyzną.

A ona? Czy była ciągłym trwaniem? To jego matka...

Faran na tym poprzestał. Siedmioletni malec wiedział już, pozostając w hotelowej rozmamrotanej ciemności, że to jego miłość. Mógł teraz zapomnieć o mężczyźnie i kobiecie.

Zapomnieć całkowicie. Rano powie panu Thorpe „Pojadę”. I może, w ten sposób, powróci do

niej.

ROZDZIAŁ 13

Anna leżała na boku. Dziewczyna pochyliła się nad nią.

— Anno? W porządku? Za kwadrans lądujemy. Czy chcesz pójść do ubikacji?

— Tak — odpowiedziała Anna.

Usiadła i poczuła brak ciężenia w głowie. Dziewczyna pomogła Annie wstać i poprowadziła ją przejściem między fotelami do małej toalety. Pozwolono jej zamknąć się na zasuwkę.

Przypuszczalnie drzwi można było w razie czego wyważyć bez wysiłku.

Anna skorzystała z ubikacji, umyła ręce i twarz w umywalce. W lustrze jej twarz była jak zwykle blada; miała cienie pod oczami. Została tam jeszcze chwilę, ale żaden pomysł nie przychodził jej do głowy.

Narkotyk podali jej jeszcze w domu. Podziałał na nią, ale nie było czym się przejmować. Po zaatakowaniu Althene i jej upadku, gdy mężczyźni przebrani za ogrodników uprowadzili Annę, była w szoku i prawie nic nie czuła.

Prowadzili ją szybko w dół cmentarza, mijając groby ukryte w zielonych zaroślach. Potem aleją pod drzewami, z której wydostali się na zewnątrz małą furtką. Odsunięto w niej siatkę.

Obok czekała już niebieska łada, do której wsadzono ją nie popychając, ani nie robiąc krzywdy, ale pośpiesznie.

* * *

Dźwięk silnika nie zabrzmiał jak w żadnym innym, znanym jej samochodzie. Ruszyli bardzo szybko. Jeden mężczyzna usiadł z tyłu, obok niej, a drugi z przodu, przy kierowcy. Ten z tyłu zachowywał się przybicie, nawet jej nie dotknął przez całą podróż. Gdy wjechali w ulicę, gdzie były sklepy i inne publiczne zabudowania, Anna szarpnęła się; nagle oprzytomniała.

— Co robicie? — spytała.

— Nie obawiaj się, proszę — powiedział mężczyzna z przodu. — Nie zrobimy ci krzywdy.

Nic ci się nie stało, prawda?

— Nie? A dlaczego mnie porwaliście?

— Ktoś chce się widzieć z tobą, Anno. Pogodziła się z pierwszą rzeczą, że znali jej imię.

— Po co? — zapytała.

— Tylko oni mogą ci to wytłumaczyć.

— Ktoś z rodziny — dodał drugi człowiek, ten siedzący obok niej. Rodziną byli Eric, Sasha...

No tak — była jeszcze holenderska linia.

Dlaczego załatwialiby to w taki sposób?

— Scarabeidzi? — spytała.

— Zgadza się — potwierdził człowiek siedzący obok niej.

Anna wciąż myślała jak dziecko. Była przecież dzieckiem; czasami jedenastoletnim, potem znów sześcioletnim, kiedy indziej znacznie starszym. Myślała mniej więcej tak: oni kłamią, choć to jest prawda.

Mknęli ponad godzinę w ciszy, słyhać było tylko szum podrasowanego silnika, aż wjechali za wysokie ogrodzenie, gdzie stał duży dom. Nie przypominał domu Scarabeidów na przedmieściu. Miał oszklone drzwi i wysokie, nagie okna pozbawione kotar.

Kiedy uprzejmie wprowadzono ją do środka, Anna zobaczyła, że dom jest pusty. Nieliczne meble pokryto pokrowcami, podłogi były nagie, a ogród zarośnięty.

Weszła dziewczyna, mniej więcej dwudziestoletnia. Była ubrana elegancko, lecz konwencjonalnie — w kostium z czarną spódnicą zakrywającą chude kolana. Miała krótkie ciemne włosy, a cały jej makijaż stanowiła czerwona pomadka na ustach. Wyglądała na Europejkę z kontynentu i faktycznie odezwała się po hiszpańsku do człowieka, który szedł za nią. Anna nie znała hiszpańskiego.

Mężczyzna był równie postawny jak dwóch rzekomych ogrodników, ale ubrany w ciemny garnitur. Pod marynarką odznaczała się wypukłość broni.

Dziewczyna podeszła do Anny.

— Czy potrzebujesz czegoś?

— Chciałabym wrócić do domu.

— Tam właśnie się udajesz.

— Mam na myśli dom... — Anna zawahała się i powiedziała bezbarwnie — moich rodziców.

— Obawiam się, że musisz najpierw pojechać z nami — powiedziała dziewczyna. — Podróż będzie wygodna. Twoi krewni niecierpliwie czekają na ciebie.

To nie mógł być Erie. I z pewnością nikt z Holandii. Ale istnieli jeszcze inni Scarabeidzi,

Anna wiedziała o tym. Odebrała zatem drugą lekcję, że po wiedzę jej tylko tyle, ile zechcą.

Potem było coś w rodzaju pikniku w nie umeblowanym pokoju. Jakieś zimne ostrygi, bułki —

Anna tego nie lubiła, więc nawet nie tknęła. Napiała się tylko kawy.

Narkotyk oczywiście musiał być rozpuszczony w kawie. Nagle ściany pokoju zaczęły się

wybrzuszać. Świat rósł, a Anna była zamknięta w kryształowej tubie, utrzymującej siew

równowadze na środku podłogi. Nie czuła senności, tylko bezwład. Uniosła ręce, by zobaczyć czy się jej to uda.

— Nie bój się — powiedziała Hiszpanka. — To tylko po to, żebyś się zrelaksowała; wkrótce przejdzie.

Ale nie przeszło. I gdy wyprowadzano ją do następnego samochodu, Anna zorientowała się, że ma kłopoty z poruszaniem się. Mężczyzna w garniturze podtrzymywał ją za ramię.

Na zewnątrz panował teraz ciemny wieczór. Anna spróbowała powiedzieć: „Proszę,

pozwólcie mi odejść”. Nie była jednak w stanie panować nad swoimi ustami, tak samo jak nie

kontrolowała ruchów. Czuła się tak jak w pierwszym roku życia. Znała już słowa, ale nie była w

stanie nad nimi panować. Potrzebowała wtedy Althene, która pomagała jej, wskazywała wszystko i przekonywała. Była przy niej cały czas.

Annie zbierało się na płacz. Co się stało z Althene? Czy Rachaela się nią zajmie? Ale to nie miało sensu. Nawet uczucia nie miały do niej dostępu.

Wydawało jej się, że widzi wszystko z oddali, z wysokości czy z głębi, choć była przecież przyzwyczajona do nieuporządkowanego, zmiennego odczuwania upływu czasu. Zgodziła się na wszystko i weszła do samochodu.

Była to limuzyna z przyciemnionymi szybami i dyplomatyczną rejestracją. Ogrodnicy im nie towarzyszyli, ale szofer był uzbrojony. Jechali na lotnisko. Wkrótce była pogrążona w półśnie i kiedy ułożono ją na eleganckim wózku do przewozu chorych, łatwo jej przyszło zaniechanie wszelkiego oporu.

Nie musieli przepychać się przez tłum. Szli pustym korytarzem do małego biura, gdzie jakiś urzędnik rozmawiał po francusku z mężczyzną w garniturze. Potem były dalsze korytarze i przejścia, aż do samolotu; cały czas droga była wolna, specjalnie dla nich.

Stewardesa w jasnym mundurku z kremowo-różowym przybraniem przyniosła im kanapki i napoje. Byli przypięci pasami, Annę obsługiwała dziewczyna o czerwonych ustach.

— Proszę spróbować wina — powiedziała. — To będzie długi lot.

Anna nie zapytała, jak długi i nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

Po wypiciu wina otulił ją całun snu. Po starcie czerwonousta odpięła jej pasy i zachęciła do położenia się na trzech siedzeniach, z poduszkami pod głową. Anna spała w takt ryku odrzutowca, w kołysce z nieba i żelaza.

* * *

Łądowanie okazało się niespokojne. Anna już wyglądała przez okno. Otworzył się przed nią niesamowity widok. Nagie, brązowe góry, wyrzeźbione jakby w stwardniałym karmelu, pocięte

były białymi drogami i zaschniętymi wyciekami solanki. Lądowali na pustyni. Gdy wyszli z samolotu dzwoniło jej w uszach nie z powodu narkotyku, lecz panującej ciszy.

Przez naturalny płaskowyż poprowadzono szeroki pas startowy. Stali w środku areny otoczonej brunatnymi skałami, nad którymi rozpościerało się złociste niebo; jedynie nad głowami mieli odrobinę błękitu.

Następny samolot, bliźniak odrzutowca którym przylecieli, stanął o sto jardów dalej. Annie wydawał się biały; nie mogła odczytać oznakowania, gdyż powietrze wibrowało w upale. W istocie wcale jej na tym nie zależało.

Przy końcu pasa stały dwa dziipy w kolorze brązowego piasku. Z boku przyczepiono do nich maczety, a anteny radiowe sterczące w górę przypominały srebrne czułki. Zamontowane z tyłu wozów M16—tki celowały jak armatki.

Wokół samochodów kręcili się mężczyźni ubrani na brązowo, których Anna wzięła za żołnierzy; mieli Rugery P855 przewieszane przez ramię. Byli sprawni, zwinni, młodzi i przystojni. Dwóch z nich podeszło przywitać się z konwojentką Anny i jej towarzyszem. Jeden mówił po francusku, wspomniał coś o opóźnieniu. Potem odwrócił się do Anny i spojrzał na nią spod oka.

Powiedziała wtedy:

— *Comment allez-vous, monsieur!* — Jej mowa była wciąż trochę bełkotliwa, ale zrozumiała.

— *Tres bien, mademoiselle* — odparł z uśmiechem. — *Enchanté faire votre connaissance.*

— Co to za broń? — spytała po angielsku.

I on także odpowiedział jej w tym języku, dotykając długiej lufy M16.

— Co to za miejsce? — spytała.

— Pustynia, mademoiselle.

— Jak długo musimy czekać? — wtrącił się mężczyzna w garniturze.

I dalej rozmawiali po hiszpańsku.

Anna rozejrzała się dookoła siebie, popatrzyła na brązowe góry. Wydawały się znacznie bliżej niż znajdowały się w rzeczywistości. Narkotyk, który jej podano, zmniejszył odległości, ale nie powodował żadnych zaburzeń motorycznych. Zapewne podano jej mniejszą dawkę. Mogli w każdej chwili powtórnie ją naszpikować. Ale dokąd teraz mogłaby uciec?

Żołnierz zaprowadził ich w cień brązowej markizy. Z miejscowego bufetu przyniesiono hamburgery w bułkach, polane gorącym sosem i butelki wody Perrier.

Anna zjadła. Była głodna. Jej strażniczka nie zjadła swojej bułki do końca. Widocznie dbała o figurę.

Po posiłku — śniadaniu, kolacji czy co to tam było — Anna znów zasnęła, na materacu pod markizą. Śniła, jak zawsze, fragmenty pomieszczeń, jakieś głosy, dźwięki, labirynty. Gdy się obudziła, przyniesiono więcej jedzenia. Hamburgery, tortillę, owoce.

Słońce zaczęło zachodzić. Było niezmiernie, jak bywa tylko na ziemi. Płonące głązy chmur kładły się na zielonym ekranie nieba, otoczone świecącymi obwódkami: raz były to barwy topazu, raz tęczy, a jeszcze potem fiołkowo-różowe zygzaki na tle brązu skał.

Wzdłuż zarośli, które obramowywały scenerię lotniska, przemykały jaszczurki. Dziewczyna wskazała Annie ślad węża, który nie zauważony przemknął obok nich.

Przerwa w locie dobiegła końca i wsiedli do drugiego samolotu — W kabinie „opiekunka” w czarnym kostiumie wręczyła Annie pastylkę.

— To pomoże ci znowu zasnąć. Inaczej zanudzisz się na śmierć. Ja też zażyję — nienawidzę długich lotów.

Na dowód tego połknęła środek nasenny na oczach Anny. A może tylko — udawała. Ale Anna nie wzięła tabletki.

Obserwowała przez okno jak odrzutowiec wzbijał się w niebo, a postać miasta na dole

błyskały światłami, niczym roje gwiazd. Gdy na — stała noc, Anna usnęła. Śnił się jej mężczyzna w tunelu z ciemności, Włosy miał białe, tak samo jak ona, a oczy... jak szlachetne, zimne kamienie. Coś poruszyło się w Annie. Może jej serce, a może coś głębszego.

* * *

Uzupełniali gdzieś paliwo. Poczwała jak pompują je do samolotu. Ssał aż do końca, wampir.

Może dzień nadszedł i skończył się? Albo i nie. Chyba jednak strażniczka nakłoniła senną Annę, by wzięła pigułkę. Przepadło.

Znów pochyliła się nad nią.

— Lądujemy za kwadrans.

Anna poszła do ubikacji. Czwała się tak, jakby nie kąpała się od tygodni. Chciała umyć włosy i wyszorować zęby.

To było dziwne. Pomyślała sobie, że Scarabeidzi w opowieściach Althene wydawali się tacy uważni. Z niechętnych napomknien Rachaeli też wynikało, że byli w stanie dostarczyć takie dobra jak szczoteczki do zębów czy szampon.

Samolot schodził do lądowania. Chmura zaćmiła okna. Anna niewiele widziała, dopóki nie ukazała się równina. Zarysowały się wzgórza w oddali, niepodobne do gór na pustyni, pokryte darnią wytrawioną przez wiatr. Niebo było wysmagane wiatrem. Po otwarciu drzwi wionęło zimnem.

— Gdzie jesteśmy? — spytała.

— To szczyt świata — powiedziała jej towarzyszka. Anna nie pytała dalej.

* * *

To był długi barak. Znajdował się w nim prymitywny, ale zdatny do użytku prysznic, z którego ciekła bardzo gorąca woda. Czekwały już: mydło, szampon, pasta i szczoteczka do zębów — wszystkie produkcji amerykańskiej. Nic więcej.

Obok pomieszczenia z prysznicem Anna znalazła stos ubrań. Powiedziano jej, że musi się w to ubrać. Była tam ciepła bielizna, jednoczęściowy granatowy dres, wełniany płaszcz, parka, spodnie, izolacyjne taśmy do zabezpieczenia szyi, głowy, rąk i nadgarstków, specjalne skarpetki, buty, kaptur i czapka. Gruba kurtka wyglądała, jakby już ktoś był wewnątrz.

Na zewnątrz, pośród omiatanego wiatrem krajobrazu, czarna bestia samolotu IL-76 kołowała, gotowa do drogi. Następny mężczyzna podszedł do Anny. Był ubrany bardzo podobnie do niej, tylko przez plecy miał przewieszony automat.

— Miss Anna? Proszę zająć miejsce w transportowcu.

Poszła za nim. Jej dotychczasowi konwojenci gdzieś zniknęli.

Na drugim końcu lotniska, gdzie rozwodnione niebo dotykało wzgórz, stał mały kamienny obelisk. Przypominał jej cmentarz. Grobowiec? Pomnik dziewczynki, klasyczna rzeźba... Twarz kamiennego dziecka była zimna i zacięta, a u jej stóp ktoś położył wiązkę krwawoczerwonych kwiatów.

Samolot był pozbawiony okien. Panowało w nim podwodne, błotniste światło. Mały chłopiec, siedzący w przejściu, bawił się wielką pluszową lamą. Spojrzał na Annę — miał podobne ubranie, ale malutkie i czerwone.

— Jestem Andy. Andrew — poprawił się.

Anna spojrzała na niego. Dziecko, ale także dojrzała kobieta nie zareagowała na miłą, dziecianną buzię. Spodobała jej się lama. Miała delikatny, bladopopielaty kolor; była miękka, a na szyi nosiła ozdobny chwaścik ozdobiony dżetami.

— Dokąd jedziemy, Andrew?

— Czy ty też jedziesz? Dobrze — stwierdził chłopczyk ostrożnie. — Jedziemy do mojego wujka Kaya. — Andrew przerwał, jakby próbując dodać coś do imienia, ale nie był w stanie.

— Po co? — spytała Anna, choć wiedziała, że to nie ma sensu.

— Będzie wspaniale — odparł Andrew.

Czasami mówił z południowolondyńskim akcentem. Jego włosy były miękkie i ciemne.

— Dlaczego?

— Świetnie się bawiłem — powiedziało dziecko. — Oglądałem śmieszny film, grała muzyka.

Dostałem lamę, jest ekstra, a teraz piję wino. — Po czym powiedział: — Bielejący. — I jeszcze:

— Królewna Śnieżka.

Człowiek w polarnym ubraniu wszedł do samolotu. Powiedział im, że powinni teraz usiąść na swoich miejscach. Sprawdził pas Andrew i lamy też, gdyż chłopczyk zażyczył sobie, by i ona została bezpiecznie zapięta.

To nie była długa podróż. Nie było już daleko.

— Mój wuj Kay ma ogromny dom — paplał Andrew. — Mama przyjedzie później.

IL-76 uniósł się jak ciężka konserwa z brzęczącego metalu, a oni w środku czuli się jak zapuszkowane groszki.

— Czterdzieści pięć minut, to wszystko — poinformował eskortujący ich mężczyzna. — A potem krótki przelot. Może pół godziny. Wszedł ktoś z lemoniadą i ciastkami.

Zanurkowali w dół, na śnieżną połąć. Lód, chmury, niebo i woda; niebiesko — zielone tło mieszało się z białymi płaszczyznami lodu.

Malec ulepił śnieżki, ale nie rzucał nimi.

— Lato nadchodzi — powiedział mężczyzna uśmiechając się pod palącym pocałunkiem zimna.

Anna pomyślała: *Gdziekolwiek ty pójdziesz, pójdę i ja.* Kto to powiedział?

Niebo pulsowało. Srebrzysty śnieg rozciągał się bez kresu, dalej i dalej.

ROZDZIAŁ 14

Cmentarz obsadzono cedrami, ostrokrzewami i drzewami iglastymi, więc nawet na początku

zimny był królestwem ciemnej zieleni. Pod murami rosły wawrzyny w donicach, upstrzone szklistą żółcią. Groby przybrały kolor pociemniałego żelaza albo przypominały białe, wyemaliowane zęby. Kamienne płyty poprzeryzały liczne smugi, świadectwo opadów. Brązowe posągi jakby się kuliły pod gęstym bluszczem.

Roman zamiatał liście opadłe z brzoź. Nad nim, na tle błękitnego nieba, olbrzymie opuszczone gniazda odcinały się czarnymi plamami.

Mężczyzna podszedł do marmurowego grobu z napisem *Hier rust Magdalena Einer*.

Zatrzymał się i sprawdził czy duży porcelanowy pies trwał w całości na swoim posterunku, strzegąc martwej Magdaleny. Pies miał smutny, lecz nietragiczny wygląd. „Rozumiał” obowiązek, który miał do spełnienia. Ogrodnik schylił się i dotknął jego łba.

— Dobry przyjaciel.

Roman miał siedemdziesiąt lat. Wyglądał na pięćdziesiąt; oczy to sprawiały. Umieszczone w brunatnej masce twarzy, miały kolor drewnianego instrumentu na którym grywał. Tragedię wypisaną miał na twarzy. Odwrotnie niż ceramiczny pies. Żadnej mimiki — tylko ból, który zastygł.

Krocząc po żwirze Roman odszedł od grobowca Magdaleny, by zaraz znów się zatrzymać.

Obserwował wiewiórkę buszującą pod krzakiem. Ogród śmierci był ciągle pełen życia, a gdy przyjdzie wiosna, rozkwitną na nowo kwiaty: żonkile, tulipany, bratki, kiście hortensji.

Wiewiórka pomknęła na drzewo, lżejsza niż ptak. Roman poszedł dalej.

Za cedrami, gdzie cmentarz opadał w stronę rzeki, stały wysokie trzciny, zastygłe w zimowej barwie umbrzy. Oparł swą miotłę o obrosnięte mchem drzewo. Wyciągnął z kieszeni płaszcza paczkę gauloise'ów i przypalił papierosa zapalką. Zaciągnął się patrząc przed siebie; na gładkim lustrze wody pokazały się małe fałdki od kropli deszczu.

Brzegiem rzeki zbliżał się mężczyzna, którego wołano Vonk. Był gruby i zawsze wyglądał na

brudnego, choć wcale nie było do tego powodu. Jego nie ogolona twarz, przypominająca świński ryj, jaśniała uśmiechem.

— Roman, ty diable.

Roman wzdrygnął się; jego holenderski zawsze był kiepski i niewiele mówił. Gdy wyciągnął dłoń po kopertę, którą przyniósł Vonk, tatuaż na ręce naciągnął wysuszoną skórę. Zrobiono mu to w młodości.

— Dla niego? — spytał Roman.

— Dla niego. Dla księcia.

— On nie jest księciem — sprostował Roman.

Vonk wzruszył ramionami. To było wszystko, więc Vonk odszedł brzegiem pogwizdując.

Roman wziął z powrotem miotłę, papierosa rzucił i zgniótł na błotnistym brzegu. Poszedł z powrotem na cmentarz i schował miotłę do budynku za nagą, kamienną boginią. Tam też trzymał swój rower. Wyciągnął go i odjechał.

Na wierzchu koszyka miał ciemny płaszcz przeciwdeszczowy. Założył go, a potem wyciągnął beret spod spodu i włożył na długą głowę. Teraz w koszyku została tylko samotna katarynka. Dobrze naoliwiona i starannie owinięta.

Dzisiaj jego *vrouw* byłaby cholera. Bo padał deszcz. Dla niego wszystkie katarynki i kobzy były jak ludzie. Orzechowo-brązowe, zrobione z kawałków starych mebli... Jej struny, koło i klucze znajdowały się w pudełku. Ale suka!

Roman wsiadł na rower. Spod płaszcza, w którym pieczołowicie schował kopertę, widać było jedynie stopy poruszające się na pedałach. Śmignął jak stara ćma za cmentarz, w górę malowniczego wzgórza. Potem skręcił w stronę masztów drzew, na betonowy most. Pies zawarczał na łodzi.

* * *

Tylem do morza, odwrócony w stronę otaczającego go półkola kanałów, rozłożył się Amsterdam. Atlantyda, AmstereDam, miasto Amsterdam.

Roman, na swoim rowerze, jednym z miliona takich samych pojazdów, przeciął wijącą się linię tramwajową. Potem podążył w dół prostych ulic, między nadbrzeżnymi sklepami, francuskimi kawiarniami, barami, pod kolorowymi szyldami (*cineac*, Marlboro). Filigranowa, ciemna wieża Vestertoven grała swoją melodię, brzmiąc jak szafa grająca: *Waar de blanke top der duinen*.

Podskakując na granitowym bruku, Roman pedałowal w stronę sieci kanałów. Pod nagimi już drzewami, przed kwiaciarniami, stały wiadra późnych, pachnących dymem, kwiatów.

Rozległ się dzwonek wodnego tramwaju. Mosty, jak zawsze od wieków, przeglądały się w wodzie, a ich przęsła, łącząc się z odbiciem w nurcie kanału, tworzyły koliste figury.

Potem, tańcząc i klucząc wśród żółtych tramwajów, posłaniec oddalił się w stronę wilgotnych, krętych ulic biegnących z centrum.

Teraz deszcz zaczął lać strumieniami, drogi więc wkrótce miały upodobnić się do kanałów.

Samochody przyśpieszyły, woda tryskała spod kół niby skrzydła anielskie w sprayu. Na zimowym, trawiastozielonym niebie pojawiła się różowa poświata.

Przygarbione plecy Romana ciągle pracowały, a przed nim w koszyku na kierownicy tkwiła katarynka, jak zapasowa część ciała. Kilka kilometrów dalej Roman skręcił w aleję obsadzoną kolumnami drzew.

„Książę” — przypomniał sobie. Roman irytował się, gdy Vonk czy inni tak go określali, ale przecież wyrażali tylko swój szacunek.

A kim dla niego był „Książę”? Może... demonem.

Ten pierwszy obraz... Roman nigdy go nie zapomni. Teraz, gdy wilgoć przeszkadzała mu oddychać i naciskał szybko pedały, miał go też przed oczami. Widział ogień, ścianę płonących

domów i jakiś kształt odrywający się od ciała niemieckiego żołnierza, czarny na tle rubinowej czerwieni.

Roman pomyślał wówczas, że jeden z nich targnął się na swoich towarzyszy — postać nosiła mundur niemieckiego oficera wysokiej rangi. Ale ten mężczyzna, zabójca, odezwał się do Romana najczystszy holenderskim. Zza kołnierza jego płaszcza, który podniósł dla ochrony przed chłodem, wysunął się trupio blady kosmyk włosów, jak wąż.

Postępował w następujący sposób: polował na nich korzystając z osłony pożaru, który sami wznieśli. Potem chronił go mrok nocy. Załatwiał jednego po drugim, jak lampart. Wyglądał jak jeden z nich — Aryjczyk najczystszej krwi, białowłosy, niebieskooki. Jego niemiecki był bez skazy.

Uspokajał ich, prawie uwodził... Po czym łamał im karki albo podcinał gardła. I natychmiast znikał. Tamtej nocy wziął Romana ze sobą. Taki był właśnie początek ich zażyłości, jeżeli o czymś takim w ogóle można mówić.

Dotarł do następnych połaci traw. Rozległe, zielone jeszcze łąki upstrzone były nieprzemakalnymi biało–czarnymi krowami. Kanały wrzynały się w ten krajobraz, nad wodą zwisały witki wierzb.

W końcu pokazały się kasztany, a za nimi sosny.

Sroka, białe — czarna jak krowy, usiadła na konarze kłócąc się z deszczem. Roman przejechał pod starym kamiennym łukiem, mijając tablicę zabraniającą wejścia. Na dalekim polu przecisnął się pomiędzy drzewami i znalazł się na płaskim pastwisku przed zamkiem.

Kraaienslot. By uzasadnić tę nazwę kruki ściagały się ponad nim. Zamek wieńczyły cztery okrągłe baszty, wieżyczki i stożkowata czapa stróżówki, boleśnie niebieska na przekór burzy. Ściany, które latem czy jesienią nabierały malarskiego, soczystego blasku, teraz straszyły szarym cieniem, a okna wyglądały jak oczodoły w czaszce.

Pół mili za zamkiem — przed kępą sosen — widać było wiatrak — zjawę, nazwany imieniem Miny. Posiadłość otaczała szeroka fosa, w której wrzało dziś, w porze ulewnego deszczu, jak w kotle alchemika. W spokojne dni dwie albo trzy srokate kaczki z czerwonymi dziobami pływały po wodzie. Teraz ich nie było. Do zamku nie prowadził przez fosę żaden zwodzony most ani droga.

Roman postawił rower pod dorodnym drzewem, wyjął swoją *vrouw* z koszyka. Na skraju lasu sterczał pniak porośnięty bluszczem. Nikt go nie ruszał od zeszłej wiosny. Uklęknął w poszukiwaniu ukrytego pod bluszczem przycisku. Nacisnął i lekki dreszcz wstrząsnął drzewem, po czym mężczyzna bez trudności odsunął pniak, otwierając wejście do tunelu; sprytny szwajcarski mechanizm.

Gdy był już na schodach prowadzących w dół, zaświeciło się nikłe światło elektryczne; odwrócił się i przesunął pniak na dawne miejsce. Niosąc swój instrument Roman szedł tunelem; na jego dnie zbierała się woda z fosy, a ściany były wilgotne. Po trzech minutach osiągnął drugą klatkę schodową, oświetloną już dziennym światłem wpadającym przez żelazną kratę.

Automatyczne światła zgasły.

Roman wynurzył się z tunelu i poślizgnął trochę, zanim pchnął szerokie wrota. Siedział w nich jak Cerber czarny, podpalany pies jakiejś nieprzyjaznej rasy. Człowiek przywołał psa delikatnie. Zwierzę nosiło skórzaną obrozę nabijaną srebrnymi ćwiekami.

— Jesteś jego psem — powiedział Roman po polsku. Zwierzę z pewnością nie zareagowałoby na obce dźwięki, więc dodał po holendersku:

— Ja też jestem jego psem.

Zwierzę po prostu usiadło i słuchało go. Roman przeszedł, nie wykonując żadnego gwałtownego ruchu.

Dzielnice zamku był wybrukowany, a na środku znajdowała się studnia, zwieńczona czymś

w rodzaju metalowej klatki na ptaki. Ze wszystkich stron patrzyły z gmachu w dół prostokątne ślepe okna zakończone łukami. Główne komnaty znajdowały się w głębi, a prowadzące do nich schody miały poręcz rzeźbioną w kruki.

W górze żywe kruki zaczęły walczyć ze sobą. Pióro barwy atramentu spadło na ziemię. Zły znak.

Deszcz ustał. Roman wyciągnął katarynkę z zawiniątka i usiadł pod ścianą. Instrument lśnił mgiełką wilgoci. Będzie miała wilgotny głos, dzisiaj kontralt.

Ona i jej siostry były zakazane w XVI i XVII wieku. Kręcenie korbką mąciło ludziom umysł.

Położył instrument na kolanach, odwrócił go prawą ręką, a lewą nacisnął guziki. Brzmienie jej było głuche, chrapliwe, a przede wszystkim boskie.

Wiedziała, dokąd przybyła. Grała starą melodię, może tysiącletnią: *Moja miłości, odchodisz*.

Tak, brzmiała jak syrena. Jak czarodziejka, Kirke...

Suka. Nie starała się dla swego męża tak, jak dla niego. Dla demona.

Czarny pies podszedł blisko, jak baryłka na czterech nogach. Widać było, że cieszy go muzyka. Futro miał jak szorstki aksamit; pod obrozą zaznaczały się jasne blizny, jakby został poraniony kiedyś przez innego psa.

Roman grał. Jak zwykle, z jego instrumentu sączyło się szaleństwo. Wreszcie usłyszał jak drzwi otworzyły się na oścież.

ROZDZIAŁ 15

Malach stał na schodach. Skinął.

Roman przerwał granie a *vrouw* wydała jęśliwe brzęknięcie jak kobieta powstrzymana...

zanim zdążyła dojść na szczyt. Mężczyzna pospieszył za Malachem na górę, do wspaniałej kwadratowej komnaty niosąc katarynkę na ramieniu; czarny pies szedł za nimi.

— Nie pozwól, by Kraai ci się narzucał. Już teraz jest zbyt przymilny — usłyszał.

Roman obejrzał się na psa, nazwano go Kruk na cześć zamku.

— Pamiętam jaki był, *Mijnheer*. Był wściekły.

— Wciąż jest agresywny, ale nie stosunku do moich przyjaciół. Roman skłonił się.

Porządnie położył instrument na dużym stole z politurowanego drewna przykrytym starym czerwonym kilimem. Spoczywał na nim cynowy talerz, a obok wysoki kielich z zielonego szkła, XVI-wieczny wyrób. Roman miał odczucie, że zamek na jego oczach cofnął się do 1300 roku. Znajdowali się w wysokiej sali, której sklepienie przecinała masywna, czarna belka; do tej konstrukcji przytwierdzono mosiężny, kolisty świecznik. Oczywiście w zamku była elektryczność, ale rzadko jej używano.

Na białą — czarnej lśniącej podłodze stały stary sekretarzyk i komoda z szufladami malowanymi w wizerunki Wenus i Merkurego. Bogowie byli ubrani w XIV-wieczne holenderskie stroje. Meble złościły się jak melasa.

Rozmieszczono też szable na białych ścianach; XVII-wieczne malowidło obok nich jak zwykle rozstrajało Romana. Przedstawiało dziwne pole w trakcie żniw, gdzie zamiast zboża zbierano ludzkie głowy.

Kilka przedmiotów było rozrzuconych w pokoju na chybił trafił. Lśniący globus zwisał z okapu nad kominkiem, który obudowano kaflami w białe i niebieskie zwierzęta — kozice, niedźwiedzie i zające. W mosiężnych świecznikach połyskiwały grube, białe świece. We wnęce okna wyłożonej zielonym aksamitem rozłożył się jeden z irlandzkich wilczarzy. Okno zaś, przeszklone małymi szybkami w kolorach mlecznej bieli, dymnego błękitu i chłodnej zieleni, wychodziło na wiatrak Miny i sosny.

Malach podszedł do sekretarzyka, otworzył drzwiczki i nalał Romanowi kieliszek francuskiego koniaku. Doskonały gospodarz, lecz jakże niebezpieczny.

Zapach nieskończoności, który zwykle bił od Malacha, teraz wydawał się żywszy.

Wiosną tego roku wyglądał na umierającego. Roman zastanawiał się nad tym. Tak, oni rzeczywiście umierali, choć gatunkowi Malacha zajmowało to gaśnięcie co najmniej wiek. Czasami ich nachodził... ból duszy; to samo cierpienie, które zabija zwykłych ludzi. Swoisty urok właściciela zamku wywołałby w Romanie tylko śmiech, gdyby to nie był Malach.

Jego twarz była przecież absurdalna. Rysy, choć prawdziwe, zastygły jakby w rzeźbioną maskę, a błękitne oczy skrzyły się lodowo. Nosił dzisiejsze ubrania; niegdyś bardzo kosztowne, ale obecnie zużyte. Koszula, spodnie, buty — nie było w nich nic klasycznego, z epoki. Nie chroniły też przed zbliżającymi się chłódami. A włosy Malacha — mroźna aureola — przywodziły na myśl samą zimę. Żadna kobieta nie mogła się takimi poszczycić, chyba, że należała do Scarabeidów.

— Jeszcze jeden koniak?

— Dziękuję, *Mijnheer*. Najpierw muszę ci to dać.

Roman wyciągnął kopertę.

— Usiądź proszę — powiedział Malach.

Podszedł do okna, pod którym leżał pies i nieuważnie pogładził łeb zwierzęcia. To był Enki, ten jaśniejszy pies. Kraai, Kruk, wskoczył na siedzenie, a Malach pogłaskał także jego.

Pierścienie na lewej ręce Malacha błysnęły, gdy zapalał cygaro.

Przeczytał w milczeniu, po czym odwrócił się. Wydawało się, że nie zaszła w nim żadna zmiana.

— Należy ci się jeszcze jeden koniak.

Napełnił kunsztownie rżnięty, szary kryształ liczący chyba setki lat.

Innymi drzwiami weszła reszta psów. Oskar, drugi irlandzki wilczarz; Tarash i Firs, dwa wilkopodobne mieszańce. Podeszły do Mala — cha i tak zostały. Enki też oderwał się od okna;

tylko Kruk pozostał na fotelu, ale po chwili i on zareagował. Oto jego straż przyboczna, gotowa bronić swego pana, zabijać, pocieszać.

A więc musiało być coś strasznego w tym liście. One wiedziały.

Ręka na butelce koniaku była opanowana. Malach nie zbladł, tylko jego twarz napięła się wokół kości policzkowych. W świetle wpadającym do zimnej, rozległej komnaty, gdzie kiedyś zasiadały rady i ferowano wyroki, wyglądał na człowieka, który przetrwał już stulecia — pomimo odmłodzonego oblicza. Na tysiąc lat. Czaszka o białych włosach i zamrożone oczy...

Malach przeszedł między psami do sekretarzyka, zdjął czarny kluczyk z żelaznego pręta i otworzył stary zamek. Wziął garść pieniędzy, wiele nowych 50–guldenowych banknotów.

— To za dużo, Mijnheer. Zawsze za dużo.

— Nie, zrób mi przyjemność.

Banknoty z rąk Malacha były zimne, może sprawił to chłód zamku.

Roman musiał teraz odejść. Miał przed sobą długą podróż powrotną. Czasami Malach zapraszał go do pozostania, wtedy jedli, pili wino. Katarynka grała, pomrukiwała, a psy przychodziły, kładły się u ich stóp i grzały przed kominkiem albo szukały chłodu w letni wieczór.

Ale nie dzisiaj.

— Jestem na twoje usługi... — powiedział Roman. — ...zawsze, kiedy mnie potrzebujesz.

— Wiem o tym. Dziękuję ci. Uważaj na siebie.

Roman odszedł.

* * *

Gospodarz energicznie ruszył przez „warownię kruków”, ale jego myśli zastygły w kamiennej otoczce mózgu. Psy podążyły za nim, ogarnięte instynktownymi przeczuciami. Mijał drewniane krzesła zdobione surową snycerką, arraszy przedstawiające służbę i rycerzy, kredensy z tajemnymi skrytkami. Dalej przesunęły się przed nim płaskorzeźby z polerowanego granitu na ścianach i

średniowieczna twarz kobieca; pąsowe usta i czepek jak połówka jabłka.

Kamienne posadzki i podłogi w czarno — białą szachownicę. Zasłonięty kominek w kolejnej wielkiej komnacie wyposażony jest w rożen, na którym można by upiec całego świniaka. Żelazne łańcuchy, którymi jest okolony i marmurowe, wyszczerbione kariatydy noszą piętno czasu. W korytarzu stoją szklane gabloty z chińską porcelaną — blady błękit, jak morze zmieszane z mlekiem. Są tam również żałobne wachlarze, mały domek dla diabelskich lalek, krwisto — zielone kielichy. Dalej spoczywają stare, oprawne w skórę tomy, zapinane na klamerki z brązu upiększone rubinami.

W sypialni rozpiera się łoże z baldachimem; na jego skrzyni wymalowano kruki żerujące na wiśniach, ryby symbolizujące płodność oraz białego psa — strażnika wierności. Dalej jest pokój przeznaczony dla kobiety; adamaszkowe zasłony łoża, haftowane poduszki. Obok czeka malowana kołyska. Łoże i kołyska są oczywiście puste. Pokój pachnie suszonymi kwiatami, ziołami. Na ścianie wyobrażono złote słońce w towarzystwie srebrnego księżyca.

Malach przeszedł też przez zbrojownię, gdzie wisiała kolczuga oraz buzdygan o wdzięcznym imieniu „Dobranoc”. Dalej stała postać w metalowej zbroi. Psy postępowały za nim krok w krok. Czasami Firs czy Kraai pobiegły coś obwąchać; były jeszcze młode. Reszta szła sztywno, skupiona.

Niżej, w kuchni wyłożonej czerwonym kamieniem, lśniły miedziane czajniki, rondle, chińskie misy. Jutka zostawiała dla niego w nowoczesnej lodówce gotowane kurczaki i szynkę, wędzoną rybę, trochę sera i wino. Beczki na piwo podwieszono wzdłuż ściany. Na talerzu leżały zimowe jagody, które gospoia sama zebrała.

Jutka była już bardzo stara i mieszkała w przemiłym współczesnym domku, przy pastwisku. Jej ogród latem stawał się bukietem barw. Staruszka zjawiała się w zamku regularnie, gdy Malach spacerował z psami wśród drzew albo spał. Cicho zabierała się wtedy do roboty — myła

podłogi, polerowała drewno. Piekła chleb i jak dawne kobiety przynosiła go w szerokim koszyku.

Jej mąż dostarczał piwo i wino. Rodzina ta od wieków służyła panom zamku.

Po wejściu do kuchni Malach nakarmił psy mięsem. Enki zawył.

— Tak, nie będzie mnie dzisiejszej nocy.

Po tym stwierdzeniu Kraai zawył, a Oskar odwrócił się i polizał swego towarzysza. Kraai wynurzył się spod ziemi, z otchłani. A teraz Malach miał znów zejść do piekieł.

Drzwi z kuchni wiodły do przejścia podziemnego, którego używała Jutka. Prowadziło pod fosą tak samo jak pierwsze, ale miało wyjście w mrocznym ogrodzie nad wodą, na drugim brzegu.

Kiedyś ogród był dumą kogoś, kto już dawno nie żył. Strzyżone drzewa i zarośla, sad, kanał.

Teraz płatanina wiecznej zieloności nachylała się nad wodą, obejmując ją wyschniętym szmaragdem. Sad trwał jak Malach, też martwy, ale ciągle istniejący z powodu jednego drzewa zdziczałej pigwy, która rodziła co trzy, pięć lat czarne i gorzkie parodie owoców. Na ścianie były rozpięte kraty do pnączy, nagie jak kości. Właśnie tutaj Malach otworzył drzwi do świata zewnętrznego; świata którego nie pragnął i rzadko odwiedzał. Drzewa i pastwiska spowił całun deszczu. Młyn Miny stał jak mrowisko skrzyżowane z żaglowcem. Starzec poszedł w kierunku drewnianej szopy, gdzie w ukryciu czekał samochód, zawsze lśniący i z pełnym bakiem. Mąż Jutki o to dbał.

Wśród sosen panował mrok. Malach uniósł głowę i coś krzyknął bez słów czy myśli, w gałęzie i nieskończoność nieba. Kruki zakrakały. Od drogi doszły odgłosy ruchu ulicznego.

Malach dotknął przycisku w ścianie szopy.

* * *

Miasto nocą. Filigranowe wieże, ciepłe okna. Lampy i czerwone neony. Na tle ciemniejącego nieba rysują się równe szeregi fasad, wycięte w zawile koronki architektoniczne. Linie

tramwajowe rozjarzyły się, a kanały zamigotały płynną cyną.

Boliwijscy muzycy grali na placu. Stanął, żeby posłuchać, a gdy skończyli i podeszli zebrać pieniądze, dostali i od niego guldeny. Wszedł potem do baru, napił się piwa i zamówił jenever, dwa kieliszki ostrego ginu, którego nie wypił.

Nad barem wisały pogięte miedziane kufle, głowa byka, czaszki z rogami. Terakotowe butelki stały pod czerwono — żółtymi oknami. Zjadł izraelską pomarańczę z koszyka.

Przed barem, na długiej ulicy nazwanej na cześć królowej, zgrzytały tramwaje. Usiadł pod oknem, które traciło pomału swą zieleń i czerwień. Na ścianie była przytwierdzona głowa kozy z wełny, obramowana wełnianymi liliami i winogronami. Spodobałaby się jej, a szczególnie te czaszki z rogami.

Usiadł przy kominku, pokrytym czarno—białymi kafelkami — z obrazkami kościołów, zamków, portowych nadbrzeży. Kasztanowy wyżeł przyszedł, by popatrzeć na niego, ale nie został.

Malach zamówił posiłek. Dla siebie chciał gotowanego tuńczyka z tłuczonymi ziemniakami, dla niej zupę z zielonego groszku z wędzoną parówką, krewetki, *haché* z jabłkami, a na deser małe naleśniki z cukrem.

Przyniesiono dwie butelki białego wina z piwnicy. Oczywiście nie tknęła jedzenia, nie wypiała wina, nie ruszyła swego jeneveru. Nie było jej tutaj.

Przyszedł kelner i spytał, czy wszystko było smaczne. Malach potwierdził.

— Ona nie przyłączy się do pana? — spytał.

— Nie.

Stary mężczyzna wziął z wazonu na stoliku kwiat. Ostatnią białą różę. Gdy zapłacił za posiłek, zabrał ją ze sobą w jaskrawość nocy. Tam, gdzie ulica zwężała się, przekrwione neony obiecywały różnorodność wrażeń. Malach poszedł za światłem.

— O, dobry wieczór. Czy ma pan ochotę zobaczyć występ?

— Żydówkę.

Twarz mężczyzny zmieniła się.

— Czy ona spodziewa się pana?

— Przyjmie mnie.

— Proszę iść prosto. Ostrzegam, nie życzę tu sobie żadnych kłopotów.

Malach roześmiał się krótko. Wszedł po schodach, wąskich i skrzyżowanych jak złamany kręgosłup dziecka. Gdy zapukał, usłyszał ją od razu. Mówił jej chrapliwy głos, strój, biodra.

— Kto?

— Malach.

Otwarto drzwi.

Pokój był brudny i śmierdzący. Jedno otwarte okno, jakby w desperacji, wyglądało na ulicę z oświetlonymi szyldami prostytutek, reklamami piwa, hot dogów i indonezyjskiej kuchni. Wśród wyściełanych mebli walały się talerze z lepкими okruchami, wysokie szklanki z resztkami wina.

Wręczył jej różę.

— Płoniesz — powiedziała. — Zawsze płoniesz. Usiądź tutaj. Twój ogień pożre moją komnatę.

— Nie, kochana. Tylko mnie.

— Nie tylko ciebie, ty diable — przez chwilę mówiła w jidysz, jakby układając coś sobie. — Ale lubię na ciebie patrzeć.

To honor dla mnie — powiedział Malach. — Patrz.

Żydówka roześmiała się w odpowiedzi. Była obrzydliwa, tłusta i poskręcana, jakby jedzenie fermentowało w jej ciele. Twarz otoczona podbródkami topiła się w pulchnych ramionach.

Nawet jej oczy, ciemne jak stare drewno politurowanych komód, zapadły się w worach

woskowatych poduszek. Stanowiła wspaniałe medium i kiedyś z powodzeniem używał jej talentu. Pamiętał, jaka była w młodości; talia jak różdżka, czarne włosy do bioder. A teraz jest jak posiwiąta, postrzępiona słoma.

— Czego chcesz, mój *wit minnaar!* Czy pragniesz ostatni raz mojej krwi? Napij się jej, plagi na ciebie i uczyni mnie znów dziewczyną.

— Jesteś zbyt użyteczna, pani — powiedział Malach.

Żydówka uniosła swe grube ramiona okryte bezkształtnym, poplamionym swetrem.

— Więc?

— Mówiłem ci o kobiecie.

— Straciłeś miłość, znowu straciłeś.

— Opuściłem ją — powiedział — a ona umarła.

— Umarła z miłości? Wszystkie umieramy z miłości do ciebie, Piękny.

— Nie — powiedział. — Dostała nożem w serce. Już ci mówiłem.

— Tak. Pamiętam. Widziałam ją. Kobieta ją zabiła. Czy nadal chcesz jej?

— Powiedziałaś, że ona powróci.

— W innym ciele? — powiedziała Żydówka. Sięgnęła po odstawiony kieliszek zwietrzałego wina i wypila, oblizując wargi.

— Zrobiła to — stwierdził. — Ma teraz na imię Anna.

— Dobrze — powiedziała Żydówka.

— Teraz ktoś ją zgarnął.

— Zanim ty zdecydowałeś się to zrobić? Och, powinieneś był się śpieszyć, Białowłoso.

Trzeba było wziąć ją szybko.

— Była dzieckiem.

— Nie — zaprzeczyła wiedźma. — Nie. Była dorosła i... dążyła do ciebie.

— Powiedz mi, gdzie ona jest? — zażądał — ...albo skrećę ci kark. Żydówka przyjęła godną pozę.

— Ty nie krzywdzisz kobiet. Nie boję się ciebie. Wstydziłbyś się, oszuście.

— Tutaj są pieniądze — powiedział.

— Chcę twojej krwi — ciągnęła. — Tak jak ostatnim razem. Nie po służyła mi co prawda, ale tym razem może spełni swoje zadanie.

— Może... — rzucił Malach leniwie. — Jeżeli się dowiem. Odsłonił nadgarstek i wyciągnął w jej kierunku. Żydówka wstał i poruszając się ciężko podeszła do zagraconego stołu. Leżał tam taro kwarcowa kula, tablice astrologiczne, *paraphernalia*. Odsunęła wszystko na bok i pochyliła się do przodu. Jej skołtunione włosy cuchnęły pajęczynami i błotem.

— Ach — powiedziała. — Ach.

Nie mówił nic.

— Pozwolisz mi pić z twej żyły przez całą minutę?

— Jak chcesz, ale otrujesz się moją krwią.

— Nie jesteś aż tak zepsuty, mój Książę. Posłuchaj, jej włosy są białe jak twoje.

— Wiem. Ktoś mi o tym mówił.

— Cóż zatem, ukochany? Jej włosy okryły wzgórze... — wiedźma schwyciła ukrytą butelkę.

— Oto biała brandy. Chcesz lodu?

ROZDZIAŁ 16

Wiał chamsin, wiatr pięćdziesięciu dni, choć nie była to odpowiednia pora roku. Okna szybko zamykano i zaciągano role — ty, mimo że do pokoju hotelowego o śladach dawnego luksusu wdarł się już piasek. Paul–Luc Lebas z irytacją wymiół go spod biurka. Poprzez szum wentylatora od czasu do czasu słyszał jak kaszle jego córka z drugiego pokoju. Wściekał się wtedy, że nie ma ciszy.

Ukończył właśnie odręczną notatkę pisaną piękną, nienaganną francuszczyzną. Zamknął oprawny w cielejącą skórę zeszyt i sięgnął po teczkę.

Na zewnątrz trwała miejska wrzawa: krzyki, przekleństwa, samochody, wyścigi wózków, porykiwanie osłów. Na krańcach wąskich uliczek, przy których stał hotel, tkwili ciągle, mimo późnej pory, sprzedawcy owoców i słodyczy, bransoletek i przyborów do seksualnych perwersji, nawołując z nadzieją do swych towarów. Drogą wzdłuż rzeki jechały pojazdy i krążyli wieczorni spacerowicze. Hałas nie milkł aż do ostatnich godzin przed świtem. Nawet bicz pustyni, wiatr skorpionia Seta, nie był w stanie ich powstrzymać.

Paul–Luc Lebas otworzył walizeczkę i sięgnął do tajnej przegródki. Wyciągnął mapę i rozłożył ją przed sobą na biurku. Była nie większa niż fotografia, zdjęcie migawkowe; zrobiona z cienkiego papieru — nie pochodziła stąd. Wykonano ją jak przypuszczał, około roku 1900. Nie była podrobiona, ale jako wyrób europejski, a więc dosyć współczesny, niewiele wyjaśniała. Mogła zmylić go w poszukiwaniach lub pokazać prawdę.

Z początku był podekscytowany, na swój chłodny sposób. Potem jednak zwątpił. Zawsze istniały opowieści...

Paul–Luc parał się archeologią od dwudziestu lat. Gdy pojawiał się w miejscach odkryć innych uczonych, przysparzał sobie zaraz wrogów.

Nie, żeby im zazdrościł sukcesów; chodziło raczej o to, że wierzył w całkowitą dyscyplinę i poświęcał wiele uwagi arabskim robotnikom zatrudnionym w wykopaliskach. Nie ufał też informacjom i danym niejasnym, nie uzasadnionym do końca i matematycznie nieściśłym.

Teraz miał szansę, uzyskał ją swoim sposobem, płacąc za nią dostatecznie drogo. Sprzedawca szybko zniknął razem z francuskimi frankami i amerykańskimi dolarami (czegóż można się spodziewać po mętach?).

Paul–Luc podróżował ze swą malutką córeczką, wożąc ją po kraju. Opieka nad dzieckiem w

takich warunkach bywała kłopotliwa. Jednak kiedy podrośnie, może spłaci dług. Przewidywał, że przyjdzie czas, gdy zacznie mu pomagać jako sekretarka; powierzy jej wtedy głęboką wiedzę, której nie należy dzielić z obcymi.

Byłoby też wygodnie mieć pod ręką kobietę, która przepisywałaby jego rękopisy, artykuły i polemiki na temat literatury i klasycznego teatru. Będzie musiała nauczyć się łaciny, może greki, i choć odrobinę poznać hieroglify. Kobiety osiągają mizerne rezultaty w tych językach. Angielski Berenice też nie posuwał się naprzód, choć skończyła siedem lat i uczyła się tego języka już od dwóch lat.

Paul–Luc ostrożnie studiował mapę. Jutro...

Łódź była gotowa, choć przerażały go kłopoty z niestabilnym prysznicem i podłogą kabiny, wiecznie nasiąkającą wodą od dna. Ale podróż nie potrwa długo. Jednak ten cholerny wiatr, który przyszedł przed czasem... Brudni Arabowie są tacy przesądni — mogą z tego powodu odmówić podróży, albo zażądać wyższej zapłaty.

Cichy, miękki szelest doszedł z pokoju Berenice, pomimo kakofonii ulicznego hałasu.

Co to dziecko robiło?

Paul–Luc wstał i przeszedł po cudownym, nieco podniszczonym dywanie, utkanym w jakimś południowym warsztacie. Hotel był staroświecki i wspaniały. Nawet latem nie używano niezdrowej klimatyzacji, co Paul–Luc popierał.

Zapukał ostro do drzwi Berenice.

— Tak, tato? — odezwał się po chwili cieniutki głosik.

— Co się tam dzieje, Berenice?

— Nic, tato.

— Mogę wejść?

Wkroczył do środka. Wentylator był wyłączony. Powiedziała, że jego ruch, jakby wielkiej

muchy, przerażał ją w nocy. Jednak o tej porze nie było szczególnie ciepło; tylko wiatr przynosił duszne powietrze.

Berenice usiadła na brzegu łóżka. Odsunęła na bok prowizoryczną moskitierę.

Dostała imię na cześć królowej. Na nieszczęście. Gdy Marthe, ta wilczyca, wydała ją na świat, on wybrał imię dla dziecka. Powinna była wzrastać zgodnie z posłannictwem tego imienia. Lecz Berenice była zwyczajnym dzieckiem, nawet czasami wydawała się brzydka. Szykowna, ładna Marthe trzy lata temu zostawiła go. To też mu nie posłużyło. Jej nieśmiałą próbę zabrania ze sobą córki stłumił w zarodku. Więcej nie słyszeli o Marthe.

Berenice miała puciołowatą buzię i lewe oko wyraźnie mniejsze niż prawe, co, zdaniem Colette, czyniło jej twarz bardziej interesującą. Miała też krótkie nóżki i brzusek pękaty jak mały balonik. Delikatne włosy dziewczynki były długie. Pilnował, żeby je codziennie szczotkowała, ale zwisały jak strąki kolor błota. Nie mógł być z niej dumny. Nie był w stanie.

— Dlaczego nie jesteś w łóżku?

— Przepraszam, tato.

— Jesteś niegrzeczną dziewczynką. Wiesz, że musisz iść spać. Jutro wstajemy wcześniej.

— Tak, tato.

— Idź do łóżka. Pośpiesz się.

Mała, w białej koszulce nocnej, wgramoliła się z powrotem pod koc. Żadna zabawka nie dzieliła z nią poduszki. Miała kiedyś wełnianego kota, byle jaką brudną zabawkę, ale pokojówka w poprzednim hotelu ukradła go dla własnego, rozpaskudzanego bachora. Paul–Luc zrobił scenę, ale bez rezultatu. Awantura w takiej sprawie była dla niego żenująca. Pokojówka, zresztą, wszystkiemu zaprzeczyła.

Teraz Berenice oczywiście pochlipywała, a gdy kazał jej przestać, umilkła. Zawsze go jednak słuchała. Nigdy nie uderzył córki, nawet nie tknął.

— Teraz uspokój się. Powtórz sobie lekcję angielskiego. Mówiłem już, że to pomaga zapamiętywać słówka i uspokoić się przed snem.

— Tak, tato.

Wykonała śmieszny, nieświadomy gest w kierunku wolnego od przytulanki miejsca na poduszce. Z niechęcią to sobie uświadomił. Przez pierwsze wieczory po odejściu Marthe on też... Ale nie był idiotą czy słabeuszem. Marthe była panną puszczalską. Czasami, doprowadzony do ostateczności, informował córkę o tym fakcie. W końcu, gdyby nie była taka rozkoszna, nie skorzystałaby ze sposobności zdrady. Córka pozbawiona urody będzie zatem bezpieczna od pokusy.

Berenice obróciła się na bok. Włosy na białej poduszce, zaplecione w cieniutki warkoczyk, przypominały ogonek szczura.

— Dobranoc, papo.

* * *

Na dole w jadalni wentylator nie poruszał się. Wysokie okna wychodziły na rzekę, która migotała światłami rozlanymi we mgle.

Paul–Luc usiadł przy marmurowym stole nakrytym serwetą z frędzlami i zajrzał do menu. Zje coś lekkiego i napije się francuskiej wody mineralnej. Koniecznie butelkowanej. Ten nikczemny motłoch nie mógł przynajmniej dolać do niej wody z Nilu.

Meczetowe światelka w restauracji prześwietlały czerwoną poświatą wypukły deseń na szkłe.

Przez odgłosy ulicy przedzierało się gwałtowne wycie chamsinu.

Pomieszczenie świeciło pustkami. Rozejrzał się, znudzony. Wtem coś przyciągnęło uwagę Francuza.

Przy stoliku po drugiej stronie sali, pod zieloną palmą w mosiężnym pojemniku, siedziała młoda kobieta. Europejka.

Może jej jasne włosy nie były naturalne, ale miała ładne, duże, ciemne oczy i szczupłą, lekko opaloną twarz. Biały, lniany kostium harmonizował z kolorem włosów; pod spodem miała bluzeczkę z jedwabnej dzianiny, dla ochrony przed wieczornym chłodem, który nadejdzie. Na płatkach uszu drżały dwie srebrne krople. Nóg nie mógł dokładnie obejrzeć, ale obciążone przezroczystymi nylonami wydawały się zgrabne.

Chwyając jego spojrzenie uniosła do góry w zamyśleniu kieliszek absyntu. Dawała mu subtelne przyzwolenie. Nie odpowiedział na ten sygnał, jeszcze nie. Pomyślał, że nadal tu będzie mieszkać, kiedy wróca z pustyni. Jeżeli nie, no to cóż... było to mu obojętne. Dziecko bywa krępujące, ale później... może zostawi Berenice po prostu w pokoju. To już się zdarzało.

Blondynka nie wydawała się ani łatwa, ani pospolita. Miała postawę arystokratyczną, która — mimo dwustu lat republiki w jego kraju — ciągle urzeka mężczyzn i ma swoją siłę przyciągania.

Nie uklonił się jej, ale bawiąc się menu znów zerknął spod oka. Nadal go obserwowała (pozwolił jej na to; oceniał, że jest wart tego spojrzenia) a potem spokojnie odwróciła głowę.

Miała styl. Nie była Francuzką; może raczej francuską Szwajcarką albo turystką norweską?

Podszedł kelner w szkarłatnej czapeczce kłowna i Paul–Luc wskazał mu jedno z francuskich dań w menu. Powiedział:

— Poleć to madame.

— Zamówiła kuskus, proszę pana.

— No to jej strata.

ROZDZIAŁ 17

Życie zmieniło się po odejściu Althene i przestało znaczyć cokolwiek. Rachaela przesypiała całe dni. Budziła się późnym popołudniem, albo o zachodzie słońca. Zegary spóźniały się, ale do piero wiadomość w TV w końcu zaniepokoiła ją na tyle, że przestawiła niektóre z nich na właściwy czas. Pozostałe nadal wskazywały czas letni, jakby oddając mu salut.

Elizabeth i Reg, znając teraz szyfr zamka w drzwiach wejściowych, przychodzili i wychodzili jak zwykle. Czasami Elizabeth, ciągnąc swój odkurzacz po schodach, budziła na chwilę Rachaelę, ale w domu nie było zbyt wiele dywanów.

Rachaela zostawiała wiadomości na kartkach. Najpierw powiadomiła Elizabeth, że ma grypę; potem, że ciasto było cudowne, albo, że zabawka któregoś z kotów potoczyła się w jakieś niedostępne miejsce i... czy Reg mógłby ją wydobyć? Czasem prosiła o uzupełnienie zapasu kawy lub wina, albo kociego jedzenia.

Althene zostawiła zapas gotówki, a rachunek bankowy Rachaeli zawsze był pełny. Zdawała sobie jednak sprawę, że kiedyś trzeba będzie zejść na dół i wyciągnąć jakieś pieniądze, żeby zapłacić Elizabeth i Regowi. Ale jeszcze nie.

Czasami obchodziła ogród o zmierzchu. Był zarośnięty i nie stały w nim żadne posągi.

Dziwne, nie przypominał zielonej przestrzeni wokół domu Scarabeidów. W przeciwnym razie Rachaela nie spacerowałaby po nim.

Koty, stworzenia ruchliwe jak zawsze, spały w ciągu dnia z nią, w razie potrzeby używając okna od ogrodu. Schodziły po drzewie, a w ciągu dnia Elizabeth wpuszczała je z powrotem.

Czasami Juliet siedziała w nocy z Rachaela na podłodze salonu, Juliet wypijała miseczkę śmietanki lub goździkowego mleka, a Rachaela butelkę wina, kieliszek po kieliszku. Później, w ciągu nocy często jeszcze jedną. Jacob natomiast czaił się w trawie, przed domem.

Starsze koty już nie walczyły ze sobą. Jętka najbardziej zachodziła za skórę. Wyrosła na dzikuskę. Fruwała po ścianach, ogrodzie, dachu domu. Miauczała do księżyca i toczyła boje z każdym obcym kotem, który zbliżył się do ogrodu. Czasami z własnym ojcem.

Czy kotka tęskniła za Anną? A ja? — zapytała Rachaela samą siebie. Althene odeszła, by odnaleźć Annę. Ale ona... on nie odnajdzie przecież Anny. I nigdy nie wróci. Czy w głowie Rachaeli rozwijała się paranoja? A może ją zawsze miała? Ale czy tych dozorców cmentarnych

sama sobie wymyśliła? Przecież oni naprawdę tam byli.

Miała też rację co do Althene. Wiedziała, że już ją straciła. Althene stała się mężczyzną.

Przedtem była samotna trzydzieści długich lat. Lubiła to.

Przywołała w pamięci swoją prywatną egzystencję, opieszałą namiastkę życia. Miała własne rutynowe zwyczaje: mycie włosów co trzy dni, golenie perłowych nóg. Chodziła do pralni w miarę potrzeb, gotowała to, na co miała ochotę; małe jałowe danki, butelka wina raz na tydzień, starczająca na dwa, trzy dni. Już nie jestem tą Rachaelą, pomyślała. Nie tą, którą byłam.

Jadała teraz posiłki pozostawione przez Elizabeth, a kiedy ta miała „wolne”, ograniczała się do stosu grzanek z masłem, trójkąta brie czy cheddaru i puddingu z puszki, ociekającego melasą.

Nie zmieniła się fizycznie — czas nie zostawiał na niej śladu. Miała nadal gładką skórę, szczupłą talię. Żaden włos nie rósł jej na nogach; może okrutne golenie zniszczyło cebulki.

Włosy na głowie nie myte przez pięć — sześć dni nie przetłuszczały się.

Raz na tydzień zmieniała pościel, prała bieliznę — to było wszystko. Piła bladioróżowe wino i patrzyła w telewizor przez różowe okulary. Nie czuła się nieszczęśliwa, zła ani osierocona. Czuła się nierealnie. Gdy włóczyła się po domu o trzeciej w nocy — w porze wilka i cienia — postępowały za nią czasami Juliet, czasami Jacob.

Zaglądała do pokoju Anny. Elizabeth pościeliła łóżko. Urszula–lis leżała na nim owinięta czule wokół białego królika. Czasami spała tutaj również Jelka, wtulona w królika i lisa, które musiały pewnie zachować resztki zapachu utraconej pani.

Niekiedy Rachaela kładła się na podłodze salonu z poduszką pod głową i puszczała sobie Prokofiewa, Rachmaninowa i Czajkowskiego.

Nie była jednak w stanie poświęcić pełni uwagi dźwiękom muzyki. Wspaniałe frazy, złociste melodie napełniały ją na chwilę, ale później wyslizgiwały się z niej.

Kiedy słuchała znanej sobie muzyki, z jakiegoś powodu przychodziła jej na myśl matka i

własne życie, jeszcze przed Scarabeidami. To były nudne, często nieprzyjemne wspomnienia.

Pewnego dnia znów oglądała późną nocą horror w telewizji. O czwartej nad ranem, idąc do biblioteki, zastanawiała się czy zastanie tam czarnowłosego mężczyznę wiszącego na linie. Fala strachu przepłynęła przez nią. Mściwy cień Ruth skradał się wśród drzew z płonąca pochodnią, by zniszczyć dom i usmażyć Rachaelę w środku. Ale Ruth nie mogła być cieniem. Powróciła w nowym ciele.

Pewnej nocy Rachaela skusiła się na trzecią butelkę sauvignon, po czym spała jak nieprzytomna do dziewiątej rano. Gdy wyszła spod prysznic, ubrała się i wytarła włosy usłyszała, że wchodzi Elizabeth. Rachaela zeszła na dół, ciekawa jak Elizabeth teraz wygląda i co zrobi, gdy ją zobaczy. Gospodyni wzdrygnęła się lekko, choć ona wyglądała tak jak zwykle, z płomienną fryzurą.

— Jak się pani ma, pani Day?

Rachaela odparła, że świetnie. Podeszła do lodówki, ale Elizabeth wyręczyła ją. Podsmażyła szynkę, wbiła jajka, posmarowała kromki chleba, który sama upiekła poprzedniego dnia. Zjadły razem przy kuchennym stole. Trzy koty, zadowolone, dostały swoje porcje jajek, po czym bawiły się gumową myszką na plamach słońca pod oknami.

— Nie powinna się pani tak zamartwiać — powiedziała Elizabeth. — Reg też raz mnie zostawił, ale wrócił.

— Och, myśli pani, że o to chodzi?

Elizabeth zaczerwieniła się.

— Wiem, że to nie moja sprawa. Chciałam tylko, żeby pani wiedziała. Rachaela zastanawiała się czy ona uważa, że ja i Althene jesteśmy dwiema zakochanymi kobietami czy też wie, że ona jest mężczyzną?

— To miło z twojej strony — powiedziała. — Ale powiedziałabym, że to inna historia.

— Wszystko się ułoży. Poczekamy, zobaczymy.

Tego dnia Elizabeth zmieniła pościel na jej łóżku. Rachaela usiadła przed lustrem i „zrobiła” sobie twarz. Puder, róż, cienie do powiek, tusz do rzęs i pomadka do ust.

— Teraz mogę wyjść.

— To pani dobrze robi — powiedziała Elizabeth, układając poduszki wokół Juliet, która zechciała uwić sobie gniazdko w sypialni.

Kolejny banał. Słowa Elizabeth pochodziły wprost z mydlanej opery, ale dały Rachaeli poczucie powrotu do kobiecych spraw i ludzkiej nadziei. Zaśmiała się.

Spontanicznie zeszła ze wzgórza, doszła do miasta, a potem na stację. Kupiła bilet do Londynu. Znała Londyn. Co, u diabła, robiła tutaj?

W pociągu usiadła i pomyślała o ostatniej podróży z Anną i Althene. W Londynie byli Scarabeidzi. Wiedziała co robi. Uczynili ją bogatą, więc miała dość pieniędzy, by od nich uciec.

Poogląda sobie ogłoszenia w oknach biur sprzedaży nieruchomości. Znajdzie mieszkanie wystarczająco duże dla niej i trójki jej towarzyszy — Juliet, Jelki i Jacoba.

Kiedy wysiadła z pociągu w Londynie, weszła do winiarni z szybkami barwy ogórka w oknach. Jedzono tam późny lunch; podpici kochankowie patrzyli sobie w oczy i trzymali się za ręce pod stołami, płacili firmowymi czekami.

Rachaela zamówiła makaron z serem i grzybami, a do tego butelkę vermicelli. Potem weszła do innego baru i zamówiła dwa kieliszki wytrawnego, czerwonego cierpkiego wina. Tutaj jakiś mężczyzna usiłował ją poderwać. Co zrobiłaby przed laty? Zrobiłaby unik? Uciekła? Odtrąciła?

— Świetnie — powiedziała. — Biorę sto funtów. Pasuje?

— Jezu — bąknął i odszedł czerwony jak wino, cuchnąc potem spod drogiej wody kolońskiej. Co by zrobiła, gdyby się zgodził? Poszłaby do toalety, wdrapała się na okno i uciekła? Wciąż była szczupła jak Ruth, pomimo puddingów z melasą.

Chodziła po ulicach. Patrzyła w okna pośredników mieszkaniowych. Mieszkania okazały się wstrząsająco drogie, ale mogła sobie pozwolić na każde z nich. Tylko że nie była przygotowana na podejmowanie decyzji.

Tu i tam zachodziła do baru, a nawet pubu i wypijała kilka drinków. Nikt jej już więcej nie podrywał.

Ulice były zabłocone; miasto pokryte kurzem i czasem. Przed jej oczami przesuwały się białe kolumny gmachów, dźwigi i dźwigary, wysokie kamienne ozdoby. Pierwszy mróz zwarzył pelargonie w koszykach. Gołębie dreptały wśród poruszających się stóp, aż poczuła szarpnięcie żalu nad ich nietrwałym życiem. Zawróciła wzdłuż ulicy obrzeżonej domami.

Zbliżał się zachód słońca, zaskakująco żywy odcień moreli w puszcze, syropowy zmierzch.

Wreszcie znalazła park czy wrzosowisko i poszła ciemnym, zielonym wzgórzem.

Tutaj, pomimo że niebo zasnuło się szklistą osłoną, fruwały latawce. Spacerowały wśród zieleni osoby, które lubiły patrzeć w górę i obserwować jak kończy się kolejny dzień.

Daleko w dole, jak na pływającej wyspie, strzelały w górę najwyższe wieże miasta — fantastyczna scenografia do filmu o jakimś „Metropolis”. Gdy pomarańczowy blask zmętniał, lampy świata zapłonęły. Lesiste wzgórze wkrótce zostało otoczone linią światła.

— Anna! — ktoś krzyknął.

Rachaela odwróciła się. Przestraszona czy rozbawiona? Ale było to tylko zwykłe dziecko, biegnące do przytomnej, czuwającej matki.

Rachaela usiadła na ławce w popiołach dnia. Tęskniła za trzema kotami tak bardzo, że łzy stanęły jej w oczach. Będzie musiała wracać. Czekala ją cała droga powrotna. Opuściła wzgórze i znalazła pub, w którym zamówiła podwójną brandy. W następnej kolejności zlokalizowała w eleganckiej dzielnicy poniżej wrzosowiska firmę taksówkową, gotową odwieźć ją do domu na wzgórzu. Dzięki Bogu, taksówkarz nic nie mówił.

Pomyślała o wszystkim, czego doświadczyła tego dnia. Nie zrobiła nic. Nic nie osiągnęła.

Zdarzyły jej się tylko dwa wybuchy uczuć — z powodu gołębi i kotów.

* * *

Dwa dni później, po zmroku, ktoś zapukał do drzwi domu. Jacob skoczył, by je otworzyć i oczywiście nie udało mu się. Rachaela pomyślała:

— Jakiś bandyta? Człowiek z siekierą? A może ktoś od nich? Od Scarabeidów?

Gdy podeszła do drzwi, Jacob odskoczył. Otworzyła je. Głupio. Może.

Na zewnątrz stało małe dziecko. Dziewczynkę spowijał od stóp do głów czarny zwój materii.

Połowa twarzy była zakryta białą maską; usta miała uszmkowane, lecz nierówno i bez wprawy.

Uśmiechała się, wyszczerzając żółte kły kupione w jakimś sklepie z osobliwościami. Mały wampir. Mała dziewczynka — wampir.

— Tak? — spytała głucho Rachaela.

— Kawał czy okup?

Było akurat święto Halloween, jeden z nowych obyczajów importowanych zza oceanu. Dotarło nawet na strome wzgórze. W dole, pod topolami ktoś się poruszył. Dorosły, którego wampirzyca miała w odwodzie. Rachaela mogła ją odprawić. Zamknąć drzwi. Zamordować. Gorzej...

— Wolisz okup, prawda?

Rachaela lekkomyślnie zostawiła drzwi nie zamknięte. Dorosły mógł mieć siekierę. Weszła do kuchni i wzięła kilka czekoladowych ciastek Elizabeth, naląła kieliszek czerwonego wina, wyciągnęła około dwóch funtów ze słoika z drobnymi. Zniosła wreszcie okup cierpliwemu wampirkowi.

— Uważaj, żebyś nie połamała swoich kłów na ciasteczkach — tak mogłaby pewnie powiedzieć Elizabeth. — Napij się, a potem poczęstuj tatusia.

Mały wampirek był szczęśliwy. Zbyt szczęśliwy, żeby być grzecznym. Pobiegł w dół

podjazdem, wino lśniło w świetle padającym z holu.

— Dziękuję — zawołał ochrypły, zmarznięty męski głos. Pomyślała, że mogła otruć ich oboje. Zwabić ich i wypić ich krew.

Zamknęła drzwi, a następnego ranka znalazła kieliszek porządnie ustawiony na poidelku dla ptaków, w połowie pełny. To nie był pijak. I nie Scarabeid. Ot, doczesne życie — trudne, ale spokojne.

ROZDZIAŁ 18

W delikatnie zarysowanej linii dachów i domów w kolorze gołębiej szarości jeden budynek odcinał się intensywnym ciepłym różem. Tego chłodnego dnia jego odbicie lśniło w kanale jak ciepłe słońce.

Jakże mylne wrażenie. To był zimny dom. Kiedy przed trzydziestu laty modernizowano go, Sofie nie życzyła sobie centralnego ogrzewania. Pokoje ogrzewały elektryczne kominki, ale inne pomieszczenia pozostały lodowate.

Wnętrze domu zachowało pewien urok. Dawne jednak podłogi, sufity, schody i podesty uczyniono dziwaczными, pokrywając je kosmatym, czarnym dywanem. Czerwone i fiołkowo — różowe ściany pokryto nowoczesnymi freskami — czymś w rodzaju rozbitych jajek i poszarpanych arterii. Sofie uznawała tylko jadowite kolory. Dom był „na czasie” — jak się snobistycznie wyraziła.

Młody mężczyzna wysiadł z samochodu i stał na bruku, gdy auto odjeżdżało. Gołe drzewa usiłowały schwytać pazurami gałęzi dawno odeszłe lato. Wkrótce woda zamarznie. Na kanałach pokażą się łyżwiarze. Amsterdam pachniał zimnem, spalinami samochodów, jakimś nieokreślonym szeptem od morza.

Wszedł na niczym nie osłonięte schody, postawił torbę i zadzwonił do drzwi. Czekał bez ruchu. Podejście do drzwi zajmie Grete, służącej Sofie, na pewno dłuższą chwilę. Była stara i

wrzaskliwa. Opowiadała Sofie plotki, a czasami tłukła naczynia. Pani domu tylko się śmiała.

Zawsze można przecież dokupić.

Rozległy się jednak ciężkie kroki inne niż Grete i... drzwi otwarto. Stał w nich mężczyzna w dżinsach, pulowerze w szachownicę i skórzanym płaszczu. Był dość wysoki, mocno zbudowany — choć mięśnie ciała już traciły formę. Żółtawe włosy, sztywne jak szczotka okalały twarz o nieokreślonych rysach. Życie jednak koncentrowało się w jasnych, niewielkich oczach.

— Cześć. Kim jesteś?

— Kto ja jestem? Amerykanin (wzruszenie ramionami).

Gość spytał:

— Gdzie jest Sofie?

— Sofie? A, Sofie. Właśnie idzie.

Przybysz zlustrował osiłka w drzwiach i wyłożony czarnym dywanem hol ze statuetką z brązu przyprawiającą o skręt kiszek. Sofie stała na schodach.

— Johanon — powiedziała. — Dlaczego wróciłeś?

— Później ci powiem.

Była zaskoczona, ale wiedziała kim jest. Bez wątpienia, bez śladu niepewności, choć nie widziała go, w pewnym sensie, przez całe jedno życie. Albo dłużej. Jej syn. Syn Sofie, który ostatnio odwiedzał ją w kobiecym stroju, z damskimi kosmetykami na twarzy. Nazwała go więc imieniem, które mu dała na początku. Johanon. Już dawno zrezygnował z powtarzania jej, że nie tego imienia używał. Ale ona nigdy nie upadła tak nisko, by nazywać syna Althene. Nie zanurzyła się w bagnie, w którym tkwił.

— A więc nie chcesz rozmawiać przy Busie?

— Nie, matko.

— Musisz, Bus jest ze mną.

Johanon spojrział na Busa, dla którego wytrzymanie spojrzenia zimnych, czarnych oczu przybysza okazało się pewnym problemem. Tyle, że Amerykanin był całkiem dobrze uzbrojony — Sofie o to zadbała.

— A więc ty jesteś ten pedał, co?

— Zejdź mi z drogi.

Bus niechętnie cofnął się o krok, po czym zaczął grać ważniaka.

— Pewnie dziecinko, pewnie. Nie chcesz sobie wyszczerbić paznokci.

Sofie, opanowana, utrzymała swą pozycję.

Była małą kobietką z ciałem zmysłowej tancerki, wydatnym biustem, szczupłymi, delikatnymi rękami i długą, giętką szyją. Wyglądała na trzydzieści lat, może trzydzieści jeden. Włosy, kunsztownie rozjaśnione, z pasemkami w różnych odcieniach sięgały jej do ramion.

Jasnoturkusowe oczy były podkrążone. Nosila prostą granatową sukienkę i nowoczesną biżuterię, coś w rodzaju kolekcji srebrnych szponów.

— Dlaczego on wciąż jest tutaj? — spytał Johanon po holendersku.

— Proszę, mów po angielsku, Johanon — powiedziała Sofie. — Bus nie mówi po holendersku.

— Czy mówi po angielsku?

Sofie zrobiła minę. Jej okrągłe oczy zaokrągliły się jeszcze bardziej.

— Bus jest moim przyjacielem — zaznaczyła po angielsku.

— Oni chcieli — powiedział syn po angielsku — byś sobie wybrała innego przyjaciela.

— Hej, hej — wtrącił się Bus.

— Wejdzmy do salonu — rozstrzygnęła Sofie.

Weszli — Sofie, Johanon i Bus. Bus pogwizdywał bez melodii i wygłupiał się udając, że powstrzymuje się od uszczypięcia Johanona w pośladek.

Salon, duży pokój z dwiema szkarłatnymi ścianami a pozostałymi w kolorze brzoskwini i czerni, znajdował się na parterze. Z sufitu zwisał tam wielki, nowoczesny żyrandol w kształcie sowy.

Bus rzucił się na wielką, czarną skórzaną kanapę obłożoną jaskrawożółtymi poduszczkami o kształcie rombów.

Elektryczny kominek z dziwnym obramowaniem z czarnego marmuru był włączony.

Punktowe reflektorki wydobywały kształty rozstawionych rzeźb, samotna cieplarniana lilia w wazonie wyglądała jak zaszuszone.

— Usiądź — zaprosiła Sofie.

Sama usadowiła się obok Busa, wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Pozwolił na to, chichocząc.

Wtedy zawołała Grete. Nie, raczej ryknęła.

— Chryste, jak na małą dziewczynkę masz nielichy głos.

Johanon usiadł w fotelu z nierdzewnej stali. Ten pokój nie był już „na czasie” — pomyślał o gustach matki. Teraz już był historyczny.

— No, Johanon, czego chcesz?

— Chciałbym pomówić z tobą na osobności, matko.

— Mówiłam ci, że nie ma mowy. Chcę, żeby Bus tu był.

— To nie dotyczy spraw rodziny i nie ma nic wspólnego z twoim związkiem z tym mężczyzną.

— Ej, ej — powiedział Bus.

— Próbowali mnie truć swoimi kłamstwami — oświadczyła Sofie. — Teraz muszą zostawić mnie w spokoju.

— Ta rodzinka — wtrącił się Bus — to te stare, hm, wampiry, co? — uśmiechnął się. Miał ładne koronki.

Johanon milczał. Weszła Grete. Spojrzała na Johanona. Czy jednak rozpoznała go?

— *Ja...* — powiedziała Grete.

— Przynieś nam herbatę.

— Jest piwo? — spytał Bus.

— I zimne piwo dla Busa. — Tak, proszą pani — odparła Grete. Wpatrywała się w Johanona, po czym jej brwi uniosły się. Dotarło do niej. Tak. Jeżeli Sofie była sową, Grete była tłustym szakalem. Odwróciła się i odeszła.

— No, opowiedz mi coś, gagatku, o tych Scarabeidach — powiedział Bus do Johanona.

Wymówił przy tym nazwisko niewłaściwie.

Johanon siedział nieruchomo, spojrzał na Amerykanina, ale małe oczka tamtego uciekły w bok.

— Powiedziałaś ci prawdę — odezwała się Sofie. — Mają setki lat. Żywią się krwią i brakiem uprzejmości. Mam tylko połowę ich zepsutych genów, ale jestem starsza niż wyglądam.

— Wyglądasz po prostu świetnie, dziecinko.

— Och, ale to jest cecha rodzinna. Nigdy nie zaatakowałam ciebie, Bus, prawda?

— Nie pozwoliłbym ci na to, koteczku.

— Nigdy nie próbowałam, Bus — powtórzyła z naciskiem.

— Domyślałam się, że opowiedziałas mi te wszystkie rodzinne historyjki, matko — powiedział Johanon. — Wiem też, że ofiarowałaś mi pierścień, a on zastawił go na Amstelstraat; rodzina z trudem ten klejnot odzyskała. Wiem też, że rozsiewa twoje historyjki w zaplutyh dzielnicach, gdzie chodzi na porno i dziewczynki, a także w spelunach, gdzie pali trawkę z innymi Amerykanami. Może to jest do wybaczenia, ale reszta nie. O tym rozmawialiśmy już przedtem.

— Powiniennem ci powiedzieć, ty dupku... — zaczął Bus.

— Powinieneś powiedzieć, że wychodzisz.

Bus wstał. Pochylił swe zwiotczone nieco ciało, zbliżył się i stanął nad Johanonem.

— Chcesz się ze mną spróbować, cukiereczku?

— Bus, zostań tu przy mnie — powiedziała Sofie.

— Pewnie, pewnie. Domyślam się, że ten facet nie potrafi nic poza gadaniem.

Bus miotał się po pokoju. Stanął przed metalową szafką wewnątrz której znajdowały się trzy bezcenne skrzęty.

— Sofie, jestem tutaj, by porozmawiać o moim ojcu — powiedział Johanon po holendersku.

Twarz matki w jednej chwili stała się bezbarwną maską. Nawet oczy nagle wyblakły, zapadły się. Wyciągnął rękę, a ona złapała się za gardło.

— Bus, Bus, nie zostawiaj mnie — zawołała.

Amerykanin znów rozejrzał się wokół i spojrzał na Johanona.

— Hej, chyba chcesz narobić kłopotów. Cóż, mam pomysł — uśmiechnął się. — Dlaczego nie miałbyś zabrać stąd tyłka?

— Pozbądź się go — rzucił Johanon po holendersku.

Sofie wstała i wybiegła z pokoju. Jej miękkie satynowe pantofelki nie wydały najcichszego dźwięku na dywanie. Już jej nie było.

Bus wzruszył ramionami. Przeszedł przez pokój, usiadł na skórzanej kanapie.

— Niezła histeryczka z twojej mamy. Dlatego mnie lubi i potrzebuje. Dajmy spokój kłótniom.

Wygląda dobrze, jak na swój wiek. Ile ma? Czterdzieści sześć? Świetna operacja. Dobrze nam ze sobą.

Johanon wstał. Bus oblizał wargi i też się podniósł.

— Hej.

— Rzeczywiście, dajmy spokój kłótniom, skoro ona tego chce. Tam są drzwi.

Bus pochylił się do przodu. Powiedział bardzo wolno:

— Dlaczego po prostu nie wstaniesz i nie odwalisz swojego słynnego wyczynu, o którym mi mówiła? Nie ubierzesz się w kieckę? No, jazda, chciałbym cię zobaczyć. Założę się, że wyglądasz prima sort. Rozpuść plerezę, trochę szminki tu i ówdzie...

Lewa ręka Johanona wystrzeliła. Pięść wylądowała na środku twarzy Busa. Krew z rozbitego nosa ciekła gęsta jak malinowy sok.

— O Jezu! O Chryste!

— Teraz wynoś się i trzymaj się z dala przez trzy dni. Do tej pory wyjadę. A co wy oboje zrobicie później, to już wasza sprawa.

— Och, mój biedny nos! Złamałeś go! — Bus szlochając klęczał na czarnym dywanie, krew skapywała i wsiąkała weń, niewidoczna.

Weszła Grete. Popatrzyła na Busa, potem obeszła go dookoła i z brzękiem postawiła tacę ze srebrną, ośmiokątną zastawą do herbaty i piwem w pojemniku z lodem.

— Chcę pieprzonego lekarza — wyjęczał Bus.

— *Ja* — Grete wyszczerzyła zęby. Nie ruszyła się.

— Nie spodoba jej się, gdy cię zabiję, Amerykaninie — powiedział Johanon. — Ale ja to zrobię. Teraz wiem, że na jej dywanie nie widać śladów krwi.

Bus macał swój opuchnięty, pulsujący nos. Był przerażony.

Grete zagdakała: — *Ja*.

Bus stanął na nogi gramoląc się z trudem. W przeciwieństwie do Sofie strasznie hałasował opuszczając salon. Potem jeszcze usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych, które odbiło się echem w starej, drewnianej konstrukcji domu.

Zostawił tacę z herbatą i piwem; przemierzył zimny, różowy dom, kierując się do jej sypialni, mieszczącej się za zakrętem korytarza.

Pod drzwiami Johanon wymienił swoje imię.

— Nie — odpowiedziała ze środka.

— Więc poczekam w twoim salonie.

— Odejdź. Wystraszyłeś go. Chcę mojego mężczyzny, mojego Busa.

— On nie jest twój, matko. On należy do kilkunastu. Rozdaje im twoje pieniądze i biżuterię, którą nie masz prawa nikogo obdzielać.

— Były moje!

— Żeby je trzymać, albo rozdać w rodzinie.

— Idź do diabła, ty głupi potworze. Ty...

— Sofie, odejdę z ochotą. Ale jest kilka pytań, które muszę ci zadać.

— Nie, nie!

Znów przeszedł korytarzem, wypił herbatę w salonie. Grete stała w rogu, koło wyschniętej lilii. Sprawiała wrażenie manekina.

— Czy możesz przygotować mi pokój na poddaszu? Ten, który mi wyznaczyła?

— *Ja.*

Najpierw nie poruszyła się, a potem przeszła przez salon i wzięła puszkę piwa przeznaczoną dla Busa. Lód zdążył zamienić się w wodę. Otworzyła i wypila. Wyszła.

* * *

Talenty dekoratorskie Sofie nie dotarły do poddasza. Sufit w tym pomieszczeniu był nachylony w kierunku okien wychodzących na ciemniejące kanały. Powyżej głowy Johanona migotały na ścianie lampy odbijające się w wodzie. Umeblowanie tego białego, zimnego pokoiku sprowadzało się do materaca i poduszki bez powłoczki. Sophie straciła zainteresowanie tym miejscem i tam umieściła swego syna. Leżał więc na posłaniu, we wnętrzu ciemności i obserwował odbicia światła na ścianie.

Ciało nie wróciło jeszcze do formy po ciosie, który uszkodził mu wyrostek i przedziurawił

jelito. Powrót sprawności był możliwy, ale na razie zbierał siły.

Leżał i patrzył w górę. Obecny stan był gorszy niż poprzedni. „Althene—ona” była jego zbroją, jego uzewnętrznioną duszą. Nosił ją jak żelazny kwiat. Biedna lilia... Althene wyciągnęłaby ją i umieściła w jakiejś zielonej butelce. Ale on nie był Althene, nie teraz. Sofie uspokoi się. Bywała bardzo dzika. Zwykle jednak, po tych napadach dzikości robiła się łagodna jak baranek. Biedna, cholerna dziwka. Zmęczony, zamknął oczy i zdrzemnął się trochę.

* * *

Około dziewiątej Sofie zastukała do drzwi.

— Johanon, czy zejdziesz na dół i zjesz ze mną? Nie, Grete nie gotuje. Posłałam po włoskie dania.

Powiedział jej, że zezjdzie i wszedł do łazienki połączonej drzwiami z sypialnią. Nie było ręczników ani mydła. Użył swojego nesesera, umył się i wyczyścił zęby. Rozpuścił swe czarne włosy i nie patrząc w lustro odgarnął je, związał z powrotem.

Zawsze dzieje się to samo. Z rodzica dziecka stajesz się na nowo dzieckiem, mając trzydzieści albo trzysta lat. Odwagi, powiedział do siebie.

Przypomniała mu się jedna z póź Althene, ale wyrzucił ją z pamięci. Nie miał zamiaru myśleć o niej, ani o Rachaeli czy Annie. W żadnym wypadku. Nie ma na to czasu.

Sofie czekała w jadalni. Było to niewielkie pomieszczenie bez okien — niegdyś wspaniały gabinet. Teraz salka utrzymana była w tonie ostrego różu. Jej ekscentryczności dopełniał gargulec nad szklanym stołem, wsparty na kolumnach z brązu.

Jedzenie podano proste, ale aromatyczne. Świeże bułeczki, spaghetti, sos z bazylią i orzechami zapoczątkowały posiłek. Potem pojawiły się naleśniki ze szpinakiem, bursztynowe sery i czerwone wino. Wielka karafka w kształcie pośladek była bardzo nieporęczna. Wino zaś, nalane w kieliszki o kształcie rurek piło się bardzo dobrze.

Sofie miała wieczorową sukienkę. Wyglądała ślicznie, może z powodu włosów zaczesanych do góry, a może białego szala na ramionach, który zsunięty, ukazywał szczyty piersi. Althene nigdy nie mogłaby sobie na to pozwolić.

Matka nie przekomarzała się z nim, ani nie chciała mu dokuczyć. Była nastawiona pokojowo, a nawet górnolotnie. Wzniosła toast po łacinie, stare życzenia:

— *Niech bogini usiądzie u twego boku.*

Skinął głową. Odpowiedział po holendersku:

— *Zalóż swą girlandę wróżko, z róż i winnych gron.*

Jedli w milczeniu, nie licząc opowieści Sofie, jak straszne były wyczyny kulinarne Grete.

Wspominała sądny dzień, gdy służąca przypaliła kawałek wieprzowiny i dom nappełnił się smrodem spalonego mięsa; zerkano w ich kierunku nawet z barek na kanale. Roześmiał się. Gdy przeszli do serów i świeżych fig, powiedziała:

— Proszę, postaraj się zrozumieć tę sprawę z Amerykaninem.

— Spróbuję.

— Tak, zdradzał mnie. Ale... jestem samotna. A rodzina...

— Nienawidzisz ich albo też nie ufasz im.

To był ten sam przypadek co Rachaeli. Obie były pół-Scarabeidkami. Spędzała więc życie Ignąc do nich i uciekając jednocześnie.

— Cóż, nie zawsze traktują mnie dobrze. Tak wygląda sprawa. Gdy byłeś tu ostatni raz, wściekałam się. To okropne, że przysyłają tu mojego własnego syna z poleceniem, żebym zmieniła styl życia. Ale pozbędę się Busa. Obiecuję — po czym spojrzała na niego kokieteryjnie przez rubinową, rzeźbioną soczewkę wina. — Teraz patrzę na ciebie z przyjemnością. Czy to sprawiła ona, twoja ukochana?

— Nie, mammo. Jest inny powód.

— Cóż, to dobrze, Johanon, dobrze.

Nie wyjaśnił, a ona nie nalegała. Po chwili powiedziała tylko jeszcze raz:

— Bus mnie nudzi, pozbędę się go.

Po posiłku weszła Grete; na jej grubej szyi pęczniały pierścienie tłuszczu. Sprzątnęła naczynia i ustawiła na stole jenever, brandy, herbatę i małe czekoladki w srebrnych papierkach.

Gdy służąca odeszła, odezwał się:

— Nie chcę cię zranić.

— Och, czyżby? — zostało to powiedziane bez napastliwości, tylko ze zdziwieniem.

— Sofie, nigdy tego nie zrobię.

— Nie? To cieszę się. Czasami się bałam.

— Sofie, potrzebuję teraz twojej pomocy. Muszę, muszę cię prosić żebyś opowiedziała mi o nim.

— O kim? — spytała jak naiwna, niewinna dziewczynka.

Ta mała dziewczynka mogła sprawić, że znów stanie się dziewięcioletnim chłopcem, drżącym z bólu, uderzonym... nie, nie wolno mu myśleć o tym. Czasy się zmieniły, tak jak i układy.

— Sofie, mam na myśli Cajanusa. Człowieka, który, jak powiedziałaś, był moim ojcem.

Spuściła oczy i zacisnęła dłonie na kwadratowej butelce brandy.

— Proszę, nie. Nie!

— Porwano moją córkę, Annę. Mówiłem ci o niej. I, z tego co wiem, i jak wierzę, on to zrobił.

Ale ja nic o nim nie wiem. Gdzie on jest? Przydałyby się jakiegokolwiek informacje. Błądzą po omacku i nie mam punktu zaczepienia. Ja potrzebuję twoich wyjaśnień, matko. Daj mi je.

Rzuciła spojrzenie, błysnęły jej turkusowe oczy.

— Musiałbyś mnie do tego nakłonić.

— Muszę to zrobić.

— Dlaczego?

— Wskazówka, matko. Nitka w labiryncie.

— Ale to było... setki... tyle lat temu.

Wyciągnął rękę przez stół i ujął jej drobną, trzydziestoletnią dłoń.

— To wszystko co mam. Nie odmawiaj mi.

— Nie mogę.

— Sofie, jesteś jedną ze Scarabeidów.

— Nie. Odrzucam ich.

— Nie możesz, Sofie — powiedział łagodnie. — Twoje piękno pochodzi od Scarabeidów.

Twoja młodość. Powiedz mi.

— No, dobrze. Ale najpierw muszę opuścić cię na chwilę. Wrócę. Obiecuję.

To był jej odwieczny sposób usprawiedliwiania się z powodu naturalnych funkcji organizmu.

Skinął głową i pozwolił jej odejść. Zastanawiał się, czy wpadnie do swojej sypialni i zamknie drzwi na klucz; w całym domu tylko jej pokój miał zamek.

Jakoś rzeczywiście wierzył, że powróci. Ona wiedziała przecież, że syn nie zostawi jej w spokoju, póki mu nie odpowie na nurtujące go pytania. To było gruboskórne, ale konieczne.

Oboje znaleźli się na kole tortur.

Wziął jedno ze srebrnych zawiniątek i otworzył. Ciemna czekolada, a w środku wiśnie i migdały. Odłożył. Nie było nic słodkiego w tym co miał teraz do zrobienia.

Sofie wróciła po pięciu minutach. Przyniosła dwa wysokie kieliszki z czerwonego szkła, francuski wyrób secesyjny i małą czerwoną kryształową karafkę.

— Spójrz, to ci się bardziej spodoba. To armagnac, ale ja wiem, że ty nie przepadasz za moim szkłem.

Odstawiła na stół kieliszki i karafkę.

— Musiałam to ukryć przed Busem. On jest, jakby to powiedzieć, idiotą, nie zna się na niczym. Ale podpytuje ludzi. Czy wiesz, że Turek omal nie kupił jaspisowego sygnetu, ale rodzina wysłała człowieka, który go podkupił. Turek był w szoku, wysłał mi sto orchidei.

Zwiędły na drugi dzień. Dom jest za chłodny.

Posunęła kieliszek w kierunku Johanona i napełniła go. Potem naląła sobie. Uniosła czerwony kieliszek i pociągnęła łyk.

— Raczej wytrawny, ale przez to szlachetny. Przysunął sobie kieliszek, ale nie wypił. Johanon poczekał.

— Pamiętasz go? — spytała. — Cajanusa?

— Tak. To był pamiętny dzień.

Spuściła znowu wzrok.

— Nie obwiniaj mnie.

— Nie. Kontynuuj.

— Przyszedł do mnie, wiele lat temu, z ciemności. Byłam sama, a nocą pod drzwiami przybył jeździec. Dysponował ich władzą, Scarabeidów. A może zdobył ją?

— Rozumiem.

— Wieczerał ze mną. Och, nie w ten sposób... Czy przypominasz sobie... oczywiście, że tak. Ten stary stół, dębowy. Jadł króliki, a ja towarzyszyłam mu. Piliśmy reńskie wino. On był...

— rozejrzała się wokół, jakby materializowała się przed jej oczami ulotna wizja. — Był przystojny.

Sofie nie piła. Położyła dłonie na stole. Puste i swobodne.

— Zalecał się do mnie. Powiedział, że był żonaty z kobietą, która nie mogła dać mu synów.

Mówił, że się rozwiedzie. Miał w sobie tyle delikatności; jego głos był taki dźwięczny, z nutką wahania, jakby rzeźbił słowa w aksamicie, zanim je wypowie.

— Miał czarne włosy — powiedział Johanon. — I niebieskie oczy.

— Tak. Wydawał mi się wtedy wysoki. Ale teraz... Bus będzie wyższy. Ty również.

— Może urósł. My rośniemy. Potrząsnęła głową. Powiedziała:

— Pozwól, że się odwrócę od ciebie. Nie mogę ci powiedzieć tego w oczy.

Po czym odwróciła się. Odwróciła głowę.

— Uwiódł mnie. Słowami, poezją i czułym dotykiem. Pragnęłam go. Pewnej nocy przyszedł do mego pokoju.

Johanon poczekał.

— Powiedział mi, że jest jednym z najstarszych z naszego rodu. Dodał też, że nie wolno mi nazywać go Cajanusem. Dla mnie ma być Cainem. Zaśmiałam się, jego imię brzmiało jak z Biblii. Roześmiał się także, ale nie powiedział nic więcej. Potem kochał się ze mną.

Sofie wstała. Podeszła do szkarłatnej ściany i stanęła wpatrując się w nią.

— Był czuły, dopóki świeca nie wypaliła się. A wtedy w ciemności, w ciemności, w ciemności...

Johanon poczekał.

Sofie, jego matka powiedziała:

— Odwrócił mnie na brzuch i rzucił się na mnie. Nie mogłam się ruszyć. Wziął mnie jak tygrys. Miłość maniaka. Rozdarł mnie, posiniaczył, poranił w środku; moje plecy były poszarpane aż do kości. Krzyczałam, a on wyrwał mi garść włosów i zatkał nimi usta. Pił moją krew. Był jak diabeł, lodowato zimny. Albo gorący jak lawa. Nie wiem, kiedy odszedł. Myślałam, że umarłam od tego. Znaleźli mnie. Scarabeidzi zatroszczyli się o mnie. Tak, Scarabeidzi. Jestem silna jak oni — przeżyłam. Miałam blizny na plecach przez sto trzydzieści trzy lata. Wszystkie już zeszyły. Ciągle jednak są w mojej duszy. On to zrobił. Cajanus. Cain.

Johanon poczekał. Zapytał:

— Dokąd się udał?

— Nie wiem. Nic nie wiem.

— Nie rozmawiał z tobą o żadnym miejscu?

Sofie krzyknęła pod ścianą:

— Nie obchodzi cię, co mi zrobił?!!

— Tak. Obchodzi. Pozwól, że go znajdę.

— Nic mi nie powiedział. Tylko o swojej żonie, że ją zostawi dla mnie. Odszedł. Wypij — powiedziała. — Wypij za moją krzywdę. Wypij.

Johanon uniósł kieliszek armagnacu i przełknął. Był bardzo wytrawny, jak mówiła.

— A potem — powiedziała — spodziewałam się dziecka. Wydałam cię na świat. Cztery dni się trudziłam, męczyłam się cztery dni i cztery noce.

— Wiem, Sofie. Wiem.

— Jesteś mężczyzną, a małpujesz kobietę. Co ty wiesz o kobietach? Ty, mężczyzna.

— Sofie. Nie chciałem cię zranić.

— Nie, ani wtedy, gdy rozerwałeś moje łono. Jego bękart. Krew i brud z jego zgniłego, wrzącego nasienia!

Odwróciła się. Jej twarz znów stała się szalona. Teraz nie krzyczała. Powiedziała:

— Idź do łóżka. Grete przygotowała pokój. Weź armagnac ze sobą.

— Nie, dziękuję.

Wtedy uniosła czerwoną, kryształową karafkę i rzuciła nią o ścianę. Jak krew na czarnym dywanie — nie było innego śladu, tylko wilgoć; jak łzy.

* * *

Gdy doszedł na poddasze, wiedział już, że powinien z nią porozmawiać jeszcze raz. Gdy będzie spokojniejsza; może przypomni sobie coś więcej. Ale nie, to się nie uda. Powiedziała mu

już wszystko, co wiedziała. Jak musiała pragnąć rzucić ten cierniowy bukiet w jego ręce!

Johanon czuł się wyczerpany, w uszach mu dźwięczało, trząsł się i miał mdłości. Białe poddasze, które nie miało światła elektrycznego ani ogrzewania, uciekało mu spod nóg. Padł na łóżko, tym razem już zaścielone.

Sufit pulsował światłami znad kanału. Teraz miały kolor krwi. Zakrwawione białe koło...

Tak, pomyślał. Jego matka oczywiście dosypała coś do kieliszka. W końcu udało się jej go zamordować. Z głębi serca napłynęło wstydlive ukłucie, że nie może zrobić nic więcej.

ROZDZIAŁ 19

Oddech Seta zamarł tej nocy, po pięćdziesięciu dniach wiania. Poziom wody był całkiem niski. Gdy wiosłowali w górę rzeki, przez przedmieścia wielkiej metropolii, olbrzymie grobowce na wschodnim brzegu kryły się za zasłoną anten telewizyjnych. Potem ujrzeli czerwone sześciany cegielni i sandałowe łódki u nabrzeży, pióropusze palm przypominające zielone tarantule, akacjowe zarośla. Czasami kobiety podchodziły do wody w chłodny ranek, by napełnić aluminiowe garnki i plastikowe wiadra szarobrązową cieczą z Nilu. Łatwo było uwierzyć, że ospała woda, wyglądająca jak folia aluminiowa, kiedyś mieszała się z krwią. Ale tego dokonała wojna, nie gniew Boga.

Lebas, ateista, stał zadowolony z siebie na pokładzie. Dawno minęło południe. Obserwował mijane brzegi, napuchłe od szlamu akacjowe zarośla, kobiety. Raz zakłócił im spokój hałaśliwy motorower. Poruszali się wolno. Arabowie, których mieli na łodzi, byli oczywiście leniwymi kanalami, brudasami, niczemnikami. Ich zwykle nieufny stosunek do Europejczyków został zwielokrotniony przez wojnę. Miasto stawało się za drogie dla ubogich turystów — nieokrzesanych Amerykanów, bezdusznych i wiecznie cierpiących na zaparcia Anglików i tych bestii — Niemców. Jakże ich Paul–Luc nie znosił! Ale to okazało się dla niego błogosławieństwem — dostarczyło miejscowych robotników.

Wprowadził Berenice do kabiny i poinstruował, że ma tam siedzieć. Wiedział, że nie należy ufać Arabom, gdy chodzi o dziecko. A poza tym mała łatwo zapadała na piekielny ból gardła, a dzień był chłodny. Miała swój angielski i lekcje literatury do odrobienia; powolniejsza niż ta szalupa dziewczynka będzie miała zajęcia aż do obiadu.

Posiłek był okropny. Ryż i jakieś pomyje. W każdym razie łódź wciąż posuwała się naprzód.

Odmawiali płynięcia nocą, ale on będzie nalegał, powiedzieli, że to jest nielegalne. Pomyślał o mapie. Wiedział dokładnie, gdzie należy przycumować łódź i w którym miejscu muszą wyruszyć na pustynię. Jego agent obiecał, że osły będą czekać w wiosce, ale nie można być niczego pewnym w tym kraju, absolutnie niczego.

Zerknął na kapitana stojącego koło sternika. Miał ciemne oblicze potomka starożytnych Egipcjan. Potem przez sekundę powrócił obraz blondynki z hotelowej restauracji. Wyszła wcześniej niż on. Jej nogi w jasnych pończochach i w sandałach na wysokich obcasach były tak nęcące, jak przewidywał. Potem zapomniał o niej, znów myśląc o mapie. O tym co mapa ukazywała.

W tamtym miejscu musiało wystąpić lekkie trzęsienie ziemi. Wskazywałoby na to przesunięcie skalnego wzgórza i wielkie ilości piasku. To wydarzyło się wcześniej, zapewne w zeszłym stuleciu, ale później tubylcy, miejscowi chłopcy, zasłonili otwór. Na razie nikt tym się nie zainteresował. Współczesne życie zepchnęło na dalszy plan sprawy ponadczasowe. A może strach? Nad tym miejscem unosił się nastrój niesamowitości i przesądów, jak nad wszystkimi grobami starego świata.

Skalny grobowiec jest położony na niskich wzgórzach — za wioską, której nazwa brzmi „Gołębica”. Bardzo dziwna lokalizacja — pomyślał. Mogła to być mistyfikacja, bo Paul–Luc Lebas miał wrogów... Ale nie mógł przecież ryzykować utraty szansy, gdyby mapa była autentyczna. Jeżeli tak, odkrycie rozślawiłoby jego nazwisko i stałoby się największym

wydarzeniem od czasu ukazania światu grobu chłopca–króla, Tutanchamona. Zresztą, przereklamowano ten fakt w prasie. Trąbiono o tym wszędzie, miał okazję obejrzeć wystawę w Paryżu w latach sześćdziesiątych, ale nie poszedł. Wołał uniknąć obejrzenia jej.

Nie. Tutaj miał do czynienia z czymś zupełnie oryginalnym. Jedynym. Tajemniczym.

Odwrócił się i zobaczył, że Berenice wyszła na pokład.

— Wracaj! — krzyknął. — Nie masz tu nic do oglądania. Poziom wody jest za niski.

— Tato — jęknęła. — W kabinie jest tak duszno.

— Nic nie szkodzi. Wracaj tam.

* * *

Zachód słońca był jak pożar i Nil zmienił się w krew. Wysuszone zimną kwiata, zwane różami Nilu, mieniły się czarno i purpurowo. Na obiad znowu podano pomyje. Paul–Luc połknął kilka tabletek penicyliny.

Gwiazdy pojawiły się na niebie jak sztylety; jak błyszczące ostrza. To była nieco inna konstelacja niż nad Dolnym Egiptem. Teraz bóg podróżował w łódce przez nocny Nil śmierci, skąd Khperi uniesie go wraz ze świtem. Poruszony Paul–Luc napisał kilka linijek poezji w swoim notesie. Zdecydował, że łódź jednak popłynie — legalnie lub nie.

Żeglowali przez wioski jakby zastygłe w antycznym czasie z popękkanymi brunatnymi oknami w domostwach i dymem unoszącym się w górę. Ale wkrótce ukazała się inna osada, rozjarzona neonami, z wieżą ciśnień i antenami telewizyjnymi sterczącymi w niebo. Kramarze z nocnego bazaru biegli na brzeg, oferując niedojrzałe banany i małe pomarańcze. W jakiejś chwili pojawiła się samotna kobieta z antyczną amforą na głowie. Światło łodzi wyłuskało z mroku jej atramentowo — czarne ubranie, po czym zniknęła wśród palm, jak zjawa.

Gdyby zdecydował się pójść spać, zapewne przycumowaliby łódź do brzegu. Czuł się teraz taki zmęczony, więc jutro mogliby wyruszyć wczesnym rankiem. Berenice spała na swojej koi,

zawinięta w cztery koce jak gąsienica w kokonie. Posapywała troszkę ze zmęczenia. Miał nadzieję, że to nie będzie mu przeszkadzało.

* * *

Obudzili go muezini, wznosząc śpiewne modły do nieba w minaretach, w mieście do którego łódź przybiła w nocy. Lebas przeklinał ich. Ciemność dopiero się rozpraszała. Na szczęście dzień wstawał czysty a Khperi podnosił powoli dysk słońca w górę.

Berenice mamrotała przez sen.

— Co? Co mówisz?

— Powstanie z ciemności — wyszeptała po francusku. — Zdobywca nocy.

Wciąż nie mógł pojąć sensu.

— Odchrząknij i mów wyraźnie — polecił.

— Nie wiem, tato, zapomniałam.

Poranek zastał na rzece wielkie dwumasztowce, przewożące z kamieniołomów położonych na południu białe wapienne bloki. Paul–Luc pokłócił się ze swoim kapitanem, nie chciał bowiem tracić czasu w mieście, z którym nic go nie wiązało. Kapitan wyjaśnił mu, że musiał, pod groźbą kary, wykonać polecenie policji rzecznej.

Paul–Luc zaklął. Popłynęli w górę rzeki.

Odwiedził raz okazałą piramidę za miastem, ale nie podszedł zbyt blisko. Wziął ze sobą dziecko. Gdy nadeszła noc, oświetlona metropolia zajaśniała szmaragdową zielenią, żółcią i bielą, tworząc na niebie nieprawdopodobny spektakl. Światła reflektorów wokół piramidy wybrzuszały się ku olbrzyiemu ostrosłupowi, który przypominał... złamany herbatnik.

Paul–Luc poczuł wzdgarę. Nie poszedłby nigdy sam na taki spektakl. Czasy, gdy to robił, skończyły się raz na zawsze.

Gdy dopływali do wioski o nazwie „Gołębica”, nadchodził dzień. Tym razem nie czerwony,

ale płowy. Dzika kaczka poszybowała przez rozległą orbitę słońca. Małą wysepkę na kanale otaczały wysokie trzciny liczące może około dziesięciu stóp. Nie były to papiirusy, ale jakiś inny, bardziej pospolity gatunek.

Sama wioska była zbiorowiskiem chałup ulepionych z bryłek mułu, poprzegradzanym wąskimi pasami pól trzciny cukrowej, ryżu, grochu i koniczyny. Drzewa figowe, wyglądające jak po torturach, rosły sporą grupą. Nie było wieży ciśnień. Oświetlenie uliczne stanowiły żarówki na pajęczynie drutów; z niektórych zabiedzonych dachów sterczały anteny telewizyjne.

Spali na łodzi, co jakiś czas budzeni śmiechem żeglarzy, grających w karty i palących nargile z mieszkańcami wsi.

Kiedy słońce wstało, oznajmił Berenice, że musi zostać pod pokładem.

— Ależ, papo! Powiedziałeś...

— Wiem, co powiedziałem. Jesteśmy już spóźnieni. To będzie męcząca wędrówka. Gdy znajdę to miejsce i zaczniemy kopać, wrócę po ciebie.

— Naprawdę?

Spojrzał na nią. Okropne jedzenie — tego ranka rzadka owsiana breja — wydawało się dobrze jej robić. Buzia była blada, ale świeża, a spojrzenie stało się żywsze. Przyglądał się dziewczynce, nie zdając sobie sprawy, że jej dziwne oczy staną się efektowne w przyszłości — żywoszare, rozświetlone złotymi plamkami. Ponętne oczy o różnym kształcie; każde jakby kryło inną myśl. Czy wątpiła w niego? Jeśli powiedział, że coś zrobi, tak będzie.

— Berenice, nie bądź głuptaskiem. Wracaj do lekcji. Zostań w kabinie. Przed zachodem słońca będę z powrotem.

— Tak, tato — dziewczynka zmarkotniała.

Wysiadł z łodzi i odszedł ulicą. Kobiety po kolei wynurzały się z chałup z cynowymi naczyniami. Wychodziły jak szczury. W głębi ulicy stał Arab w białej galabii i turbanie.

— Monsieur Lebas? Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż — mężczyzna świetnie mówił po francusku.

— Okropną. Bardzo uciążliwą. Czy osły są gotowe? A ludzie?

— Ludzie spotkają się z nami na miejscu. A osły czekają.

Ledwie to powiedział, u wylotu ulicy — między dwoma domami koloru ochry — ukazał się jak na zawołanie osioł. Na grzbiecie miał przymocowany duży kolorowy telewizor, zrównoważony kawałkami pumeksu.

Paul–Luc zagapił się. A wtedy, jakby wystawiając go jeszcze bardziej na próbę, za osłem ukazała się kobieta w niebieskim woalu; na głowie miała szwedzką kuchenkę mikrofalową.

— Co...?

— To nie jest ważne, monsieur. W miejscach takich jak te bogactwo przychodzi i odchodzi.

Dwa wierzchowce czekały pod palmą, trzymane w gotowości przez małego, prawie nagiego chłopca.

Paul–Luc sięgnął wzrokiem ponad zbiorowiskiem chat, na dalekie pole pocięte rowami nawadniającymi i dalej, na brązowy pył rozległej pustyni. Wzgórza wydawały się bardzo bliskie; przywodziły mu na myśl lwy leżące tyłem pod zimnym, niebieskim niebem.

Jechali nie rozmawiając. Arab próbował wciągnąć go w uprzejmą pogawędkę, ale zrezygnował. Lebas był tu szefem i to on płacił. Osioł najwyraźniej był zapchlony.

Mijali łagodnie zaokrąglone pagórki po lewej stronie, a ostro zakończone wzgórza po prawej.

Światło słońca było ciężkie jak szkło. Lebas popijał wraz z najętym Arabem wodę Evian z butelki. Minęły dwie godziny, zanim dotarli do celu. Towarzyszył im pot, suchość w ustach, wyciskający łzy wiatr. Znakiem rozpoznawczym okazała się samotna palma, która wyglądała jak wypalona kolumna ubrana w liść. U jej podnóża siedziało pod markizą czterech ludzi, których wynajął — paląc i popijając kawę.

Wstali, gdy zbliżył się, i pozdrowili go po arabsku. W końcu znali swoje miejsce, albo tylko udawali. Mały stos narzędzi leżał na plastikowych workach.

— Zapytaj, czy ktoś ich o coś wypytywał.

— Oni wszyscy mówią po francusku, monsieur.

Jeden z robotników, człowiek z trzema bardzo białymi zębami z przodu, powiedział:

— Nikt nas nie zauważył, monsieur. Wyszliśmy na jakiś tydzień. Wszyscy myślą — wyszczerzył zęby — że znamy jakieś miejsce z chłopcami i tylko udajemy, że idziemy na pustynię.

Pozostali zaśmiali się.

Paul–Luc obruszył się i nie uczynił żadnej uwagi.

— Więc cóż — powiedział.

— Pokażę, monsieur — powiedział człowiek z trzema zębami. — Odgarnęliśmy trochę piasku.

Czując dziwny niepokój Paul–Luc zeskoczył z osła; był zeszywniały i obolały, ale starał się nie okazywać tego. Ten z trzema zębami poszedł w kierunku najbliższego wzgórza, odległego zaledwie o dwadzieścia pięć stóp. Lebas podążył za nim.

Mężczyzna minął kilka głazów poprzecinanych białymi i różowymi żyłkami. Szedł pod górę spokojnym krokiem, prawie na czworakach. W końcu zniknął wołając zwycięsko:

— Tutaj, monsieur.

Lebas dotknął pistoletu w kieszeni kurtki. Ale to był nonsens. Pieniądze dla nich mogły przybyć z miasta jedynie na jego rozkaz. Wspinał się niezdarnie, obchodząc większe głazy. Tak. Ten nie istniejący Bóg był jednak tutaj.

Piasek przykrywał wzgórze jak pokrowiec. Przypomniał sobie bez sensu córkę zawiniętą w koce. Nad nim rysowało się podłużne cięcie czerwonych drzwi... To był różowy granit, gładki

jak perła. Niewielkie wiry, ślady po trzęsieniach ziemi; wcześniejszych i późniejszych.

Ponad piaskiem, na drzwiach, wyryto ramiona mężczyzny z głową chrząszcza, skarabeusza. A więc to jest Khperi. Właśnie to pokazywała mapa.

— Ej, ty! Wracaj i przyprowadź ludzi. Muszą usunąć cały ten piach. Arab z trzema zębami zsunął się ze wzgórza, jakby miał łyżwy na nogach i już go nie było.

Lekko i bez najmniejszych trudności, Paul–Luc odgarnął i zdmuchnął pył pustyni.

Płaskorzeźba egipskiego boga — człowieka ukazała się w całej krasie. Lebas spojrział w górę.

Brzeg drzwi okalały skarabeusze — znak wskrzeszenia. Dziwne było wyobrażenie tych owadów — chrząszcze ze skrzydłami, ludzkimi ramionami i nogami. Studiował hieroglify. To dwudziesta pierwsza dynastia, prawdopodobnie nie różniąca się specjalnie od innych. *Nikomiu nie wolno tu wejść. Strzeż się.* — taki był napis. Niech ci podli Arabowie się strzegą. Ostrzeżenie mogło oznaczać, że trucizna została wsączona w zawiasy drzwi. W momencie sforsowania drzwi niebezpieczeństwo uaktywniało się. Powiadomił zatrudnianych przez siebie robotników przez pośrednika, żeby nałożyli na twarze maski i rękawice ochronne.

Stracił zainteresowanie tym. Dlaczego... co to było? Obraz pisma był jasny. Papirusowy liść, latawiec, sznur do mierzenia długości; ten symbol miał coś wspólnego z podziemnym światem... Połączył wszystko w całość, jego usta poruszały się. Fonetyczny dźwięk Khau. Ten dźwięk mógł oznaczać wstyd lub naczynie z ołtarza, albo koronę króla — ale to... to była Ciemność. *Khau–Khera.*

Ciemność skarabeuszowego boga. Ten, który wznosił słońce... i konstrukcja z pozostałych słów, coś musi być wypełnione. Odczytywał napis z nadproża nad drzwiami. Lebasowi zajęło to trochę czasu. Badał symbole pieczołowicie. Ostateczne przesłanie brzmiało: *Ja jestem tym, który wyjdzie z pustyni. Ja jestem niebieskookim...*, a kończyło się tajemniczym muśnięciem dłuta tego, kto wykuł powyższe słowa.

Niebieskooki? Nie. Bywali tu barbarzyńcy, ale Egipcjanie nie miewali niebieskich oczu, aż do czasów przybycia Aleksandra z Grekami. Musiały więc być jakieś wcześniejsze wpływy; wystarczające, by wznieść grobowiec.

Lebas pomyślał o Józefie, Hebrajczyku, który wprowadził swych ludzi do Egiptu: czas rozkwitu, później szła rozpacz i niewolnictwo... dopóki nie uwolni ich dziesięć plag (bogactwo przychodzi i odchodzi — tak mówią Arabowie?). Ale Józef nie trafiłby tutaj. Nie byłby nazwany Ciemnością.

Paul spojrział ponad drzwi z różowego kamienia i w skale, jeszcze wyżej, zobaczył nikłą siatkę hieroglifów. Przeliterował. *Ukha na*. Poniżej była szczelina.

I wtedy coś spowodowało, że się cofnął. Odwrócił się, arabscy robotnicy zebrali się posłusznie w dole zbocza.

— Wybrać piasek.

— Monsieur — powiedział ten, którego spotkał na ulicy osiedla zwanego „Gołębicą” — czy możemy najpierw skończyć pić kawę?

— Nie, nie możecie. Chodźcie tutaj i uprzątnijcie ten piasek.

— Jest czas na modlitwę — powiedział ten z trzema zębami. — ...jeszcze nie możemy pracować.

Lebas poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Przeklinał ich po arabsku; to były ohydne przekleństwa obrażające do żywego. Wiedział o tym. Gdy skończył, dodał:

— Ma być tak, jak powiedziałem!

Grobowiec był faktycznie rewelacyjnym znaleziskiem. Nie został oszukany, tym razem.

Wtem spoza skały wyłonił się wielbłąd barwy miodu, jak prehistoryczna owca. Na jego grzbiecie siedziała piękna kobieta z blond włosami. Miała na sobie białe spodnie i białą koszulę, a ze słomkowego kapelusza spływał długi biało-zielony woal.

Zawołała do Paul–Luca:

— Monsieur Lebas. Proszę mi wybaczyć to wtargnięcie!

Jej francuski pochodził wprost z Francji. Wpatrywał się w nią badawczo.

— Och, drogi monsieur — powiedziała — proszę być wspaniałomyślnym i wybaczyć mi.

ROZDZIAŁ 30

Jak ona tu przybyła? Pociągiem z miasta do jakiegoś miasteczka w górze rzeki, a potem na wierzchowcu? A może całą drogę przemęczyła się na wielbłądzie? Dla kogo pracowała? Z kim była w zмовie? Z jego wrogami? Z jakimś muzeum? W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat poczuł się jak dziecko. Nie podobało mu się to.

— Proszę mi to wyjaśnić — powiedział zimno.

— Zrobię to, monsieur Lebas. Za chwilę.

Odezwała się do wielbłąda po arabsku, a ten uklęknął; jego dumny króliczo — owczy pysk miał wyraz dystansu godny pozazdroszczenia. Kobieta zsunęła się wdzięcznie z grzbietu wierzchowca.

Arabowie zebrali się wokół, a ona uśmiechnęła się i włożyła pieniądze w dłoń człowieka w białej galabii. W ich własnym języku poprosiła, żeby zdjęli z grzbietu zwierzęcia kosz z pokrywą, co też skwapliwie uczynili. Wtedy oddalili się, a gdy zniknęli za skałą, usłyszał ich męski śmiech.

— Nalegam... — powiedział.

— Och, jestem bardzo zakłopotana — spuściła swoje wielkie, piękne oczy. — Muszę wyznać...

— Wyznać co? Skąd pani wie o tym miejscu?

— Nie wiedziałam, monsieur. Znalazłam kogoś, kto dowiedział się, dokąd pan się udaje. Małe przekupstwo. Śledziłam pana. Wie pan, na tej ziemi ludzie wszystkiego się nauczą i sprzedadzą

wszystko.

— Czy pani jest Francuzką? — spytał ostro.

— O, to za dużo powiedziane — odparła. — Może trochę.

Ramiona Paula wyprostowały się — wbrew sobie samemu dał się wciągnąć w męsko–damską grę.

— Więc skąd to zainteresowanie mną i miejscem do którego się udaję?

Popatrzyła na niego i zarumieniła się. A może tylko jemu tak się wydawało.

— Sprawia pan, że staję się nieśmiała, monsieur. Ale muszę być szczerą. Nie daje mi pan żadnej szansy.

— A więc?

— Zobaczyłam pana w hotelu. Ale wtedy... pan odjechał. Postanowiłam sama pana odnaleźć.

Czy zachowałam się okropnie?

— Zachowała się pani zuchwale. Czy wie pani, co to jest? — machnął ręką w stronę drzwi za sobą.

Spojrzała uważnie i powiedziała cicho:

— Myślę, że tak.

— Więc rozumie pani konieczność tajemnicy.

Szepnęła miękko, ale usłyszał ją:

— Najlepszym sposobem powstrzymania ust jest... pocałunek.

Paul–Luc patrzył na nią, aż wreszcie ocknął się. Użyła dwuznacznego zwrotu. Pocałunek może znaczyć znacznie więcej niż... pocałunek.

— To jest absurd — powiedział.

— No to niech pan pozwoli się przekupić. Obiecuję nie zdradzić pańskiej tajemnicy. To pańskie miejsce, sam je pan znalazł. Jestem pańską wielbicieleką... monsieur Lebas. Zawsze

czytałam pańskie teksty, o Antygonie, Elektrze, Bachanaliach, Petroniuszu. Znałam pana...

zanim pana zobaczyłam. A teraz — znów się uśmiechnęła — a teraz, czy mogę już powiedzieć?

Strzeliło w niego jak grom z jasnego nieba. Zagubił się w słowach, a dawno przecież przestał być dzieckiem. Była całkiem, całkiem efektowna. Około trzydziestu pięciu lat. Szczupła, prawie chłopięca sylwetka — dokładnie w tym samym typie co Marthe. Tylko, że żona nigdy nie czytywała jego prac. Słońce oświetliło włosy przybyłej jak jedwab.

— Nazwę cię Medeą, przebiegła czarownico. Zaśmiała się. Wskazała kosz.

— Przywiozłam ci ucztę. Jeżeli zgodzisz się zostać moim Jazonem.

— Jestem na to o wiele za stary.

— Ty? — jej oczy były jak ciepłe, ciemne kwiaty. — Ach, monsieur.

Otworzyła wieko kosza. Zobaczył złocisty praśny chleb, jedną z niewielu egipskich rzeczy do jedzenia, która mu odpowiadała. Rosyjski kawior na lodzie sąsiadował z miedzianą piersią kaczki w otoczeniu mahoniowych daktyli. Dwie butelki lekkiego wina spoczywały w przenośnej lodówce.

— Wiem, że nie wierzysz w snobistyczne zasady doboru win. Uznasz więc te smaki za harmonijne.

— Nie znoszę głupoty win. Rzadko piję.

— Ale teraz, ze mną?

— Któż mógłby oprzeć się Medei? — roześmiał się. — Ale jak się nazywasz?

— Nazywaj mnie Medeą, dopóki nie poznamy się bliżej. Imiona są magią.

— Ale ty moje znasz.

— Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym.

— Okadzasz mnie dymem pochlebstw, pani.

Usiadła pełnym wdzięku ruchem, wprost na piasku. Pod naciągniętą tkaniną białych spodni

dostrzegł linię szczupłych, zwartych ud i łydek. Dłonie miała drobne, wąskie, lekko opalone.

Dłonie Francuzki z południa. Białe zęby i nieuszminkowane wargi koloru śniadej śliwki poddawały myśl o pocałunku.

Usiadł obok niej, a ona zaraz się podniosła. Podała mu butelkę w serwetce, żeby otworzył.

Sama inną białą szmatką wypolerowała mu kieliszek.

Lód go zaintrygował. Gdzie go zdobyła? W pobliskiej wiosce? Cóż, jeżeli dotarła tam telewizja, to dlaczego nie lód... albo nawet kawior i wytworne wino.

Kobiety w przeszłości uwodziły, ale nigdy z taką śmiałością i finezją. Musiał przyznać, że mu się to podobało. Minął już rok odkąd, obarczony opieką nad Berenice, pozwolił sobie na flirt. Ta kobieta była w nim zakochana, mógł być tego pewny. Dlaczego nie miałyby być Medeą?

Starożytni Grecy byli przecież rasą blondynów w przeciwieństwie do czarnowłosych łajdaków, którzy ukradli im wyspy. Byłaby lojalna. Pomagałaby mu. Może miał do czynienia z przypadkiem równie rzadkim jak jednorożec, z inteligentną kobietą?

Jedli. Był głodny, ale ona nie miała apetytu. Bawiła się widelcem, grzebała w swojej porcji, brała minimalne kęsy. Raczej udawała, że je. Może była wytrącona z równowagi. Obawiała się jego reakcji i to odbierało jej apetyt.

Nie przeszkadzało to żadnemu z nich dwojga.

Wyobraził ją sobie, siedzącą u jego stóp w jakimś chłodnym pokoju; jej mała dłoń spoczywała na jego bucie. Skosztował wina. Było wspaniałe i lekkie, choć dojrzałe, świetnie poza tym dobrane do kawioru i bogatego aromatu kaczki.

— Czekałem kilka miesięcy, zanim upewniłem się co do tego grobowca.

— Wiem — mruknęła. — Dowiedziałam się.

— Bystra z ciebie osóbka. Ale co o tym wiesz?

— Mówili o tym grobowcu. Pogłoski.

— Może wiesz więcej niż ja.

Roześmiała się na tę sugestię. Ponownie napełniła jego kieliszek, ale swój własny już nie.

Ucieszył się widząc, że pije wstrzemięźliwie. Nie tak jak Marthe, z jej upodobaniem do koniaku i zadymionych pomieszczeń.

— Coś niecoś wiem o tym człowieku w grobowcu. Kim on jest. Za kobietą było widać zbocze wzgórza; wielbłąd stał spokojnie, jakby śpiąc.

Paul–Luc rozprężony winem, zrelaksowany, posunął się do przodu. Faktycznie, kierując się kobiecą intuicją, mogła natknąć się na jakieś fakty, ślady faktów — nie negował tego z góry.

— No to opowiedz mi, blond Medeo.

— To był mag. Nazywano go Khan, Niosący Ciemność. Człowiek z niebieskimi oczami był bardzo straszny. Jego ciało przyniesiono z Men–Nefer do Białego Miasta i pochowano tutaj.

Może to jest drugi pochówek — prestiżowy.

— Brzmi to jak opowiadanie tego szarlatana, Ridera Haggarda.

— Och, czy uważasz pana Haggarda za szarlatana?

Powiedział wymijająco:

— Gdybyś studiowała tam gdzie ja, byłabyś tego samego zdania.

— Och, ale dla kobiety, monsieur — powiedziała wdzięcznie — to pisarz o dużym uroku.

Lebasowi wino uderzyło do głowy, nie zwrócił więc uwagi na odrobinę ironii, która wślizgnęła się do jej tonu. Bardziej fascynowały go jej wargi niż to, co mówiła.

Za skałą panowała cisza. Cholerni, podli Arabowie uciekli bardzo daleko. Zastanawiał się, czy byłoby możliwe osiąść ją tutaj, za chwilę?

Jego własna gotowość przeraziła go, ale nie zważał na to.

— A Khan, ten mag, co wiesz o nim? — spytał.

— Niewiele — odparła.

— Więc powiedz mi.

— Był królem, lecz wymazano jego ślady ze wszystkich świątyń i ścian Memfis. Ciało wrzucono najpierw do fosy, by pożarły je krokodyły, ale później kości przyniesiono tutaj. Nawet martwy, bez imienia i choćby jednej szansy na nieśmiertelność — przerażał ich. *Neshenti* — Wściekłość Seta. To też jest napisane na drzwiach grobowca. Albo tak tylko mówią.

— Wciąż tajemniczy „oni” — powiedział Lebas. Podchmielony oparł się o zbocze, gdzie piasek nagromadził się przez wieki u stóp grobowca *Khau-Khera*, niebieskookiego. Coś uderzyło go w plecy, ale nie zwrócił uwagi.

— Och, może to i głupoty — zastrzegła się. Napelniła jego kieliszek. — Czy opowiadać dalej?

Powiedział z uśmiechem:

— Moja Szeherezada, nie Medea.

— Och, wszechmocny Khan był instrumentem Boga. Tak samo jak jego lud. Jest taka przypowieść o zaginionym Szczepie Izraela. W historii tej lud zagubił się jeszcze przed Eksodusem. Zabłądzili na pustyni, ale potem zostali wezwani do powrotu — mieli towarzyszyć Mojżeszowi. Temu chłopcu zostawionemu w trzcinach dla kapłanów Słońca.

— Dla córki Faraona — sprostował Paul-Luc.

— Nie, tutaj są błędy w historii. W Memfis — dawnym Men-Nefer — był zwyczaj zostawiania niechcianych chłopców w naczyniach z gliny, wśród zarośli papirusów. Kapłani wybierali spośród nich. Niektóre dzieci brano do Świątyni, inne zostawiano na rzece. Gliniane kołyski rozpuszczały się i Nil pochłaniał maleństwa. Ale Mojżesz został wybrany. Czy kiedykolwiek zwróciłeś uwagę, jak stare teksty określają pewne świątynie? *Syn Faraona* i *Córka Faraona!*

Skinął głową. Może i pamiętał. Był śpiący, choć ociężały z pożądania. Twarda wypukłość

skąły była prawie wygodna dla jego pleców — za chwilę przyciągnie ją bliżej do siebie. Lecz na razie pozwoli jej kontynuować grę. Słońce było ciepłe, stare jak antyczny dysk, dawny ateński dawca zdrowia i radości.

— Faraon, jak wiesz, opierał się żądaniu Mojżesza, żeby wyzwolić niewolników. I wtedy na jego państwo spadło dziesięć plag.

— Nil we krwi — powiedział. — To wszystko jest nie do wyjaśnienia.

— Och, tak. To wszystko da się wyjaśnić, mój panie. Ale historia, mój panie, historia mówi, że trzy pierwsze plagi były nieudane; plaga wody zmieniającej się w krew, żab spadających na ziemię i robactwa. I wtedy wezwano czwartą plagę.

Paul–Luc zamknął oczy. Poczul się podekscytowany w jakiś niemal religijny, czysty sposób.

Wino. No cóż, dlaczego nie. Zobaczył pod powiekami obrazy roztaczane przez nią w barwach czerwieni, starego złota, czerni.

— Wiatr przyszedł jak skorpion, gorący wiatr pustyni — ciągnęła. — Kurz pustyni zaatakował miasto. Słońce przykrył szary tuman. I wtedy, wraz z kurzem i piaskiem w wietrze nadjechali oni. Nie było dla nich żadnej świętości.

— Tora — powiedziała — podaje, że byli *Arov*. Uczeni spierali się co do tego określenia.

Jedni uważali, że to dzikie bestie. Drudzy mówili, że muchy zaatakowały miasto Faraona, albo węże. A jeszcze inni twierdzili, że *Arov* to inaczej skarabeusze, krwiopijcy.

Pustynię przeszli w kłębach pyłu gołą nogą, lecz nie czuli żaru rozpalonego piasku. Ich szaty były czarne. Czarne włosy powiewały wokół twarzy. Oczy przypominały rysunki na ścianach grobowców; obwiedzione na czarno, z tęczęwkami czarnymi jak głębia nocy.

Skarabeusze. *Arov*.

— Weszli na ulicę, a wiatr okrył ich jak płaszcz. Ptak Słońca oślepl w gnieździe cienia. Bo oni nie lubili słońca.

Wślizgiwali się do pałaców i chat. Byli... zbyt wspaniali — powiedziała mu — by im się opierać.

A tam wysysali ludzką krew. Rozdzierali gardła, zaciskali zęby na szyjach, osuszali Men–Nefer, którego białe ściany, przytłumione cieniem, zostały ochlapane czerwienią. Rzeka spłynęła wtedy szkarłatem śmierci, która zanurzyła się w niej.

— Wampiry? — spytał rozbawiony. Bełkotliwe brzmienie własnych słów zirytowało go.

— Tak, monsieur. Wspaniałe wampiry. Kochane, do momentu ataku. W Men–Nefer niektórzy umierali z przerażenia, a inni z upływu krwi. Tych, którzy nie chcieli się poddać, zabito. Ulice spływały czerwienią, i rzeka była czerwona, i słońce stało się czerwone w dniu czerni nieba. Ujrzał to; było straszne i sprawiedliwe.

— I co wtedy? — chciał zapytać.

— To nie wystarczyło. Faraon był nieubłagany. Więc inne plagi spadły na Men–Nefer. Były to choroby, które wampiry *Arov* zaszczepiły swymi ukąszeniami. Płonący grad. Szarańcza pożerająca zbiory. I wtedy nadeszła Ciemność. Ciemność, którą można było dotknąć!

Paul–Luc poczuł twardość pod piaskiem jakby wrosła w niego jakaś tajemnicza „sodomia”.

Krawędź grobowca naciskała na jego ciało. Powinien się odsunąć.

Chciał powiedzieć: Teraz tylko jeszcze potwierdź, że dziewiątą plagą była Ciemność, *Khau–Khera*. Twój król–mag.

I tak, jakby usłyszała jego niewypowiedziane słowa, opowiadała dalej:

— Przyszedł, jak każdy z jego ludu, z pustyni. Egipcjanie myśleli, że był to sam Set, jadący na ośle, czarnowłosy. Ale on miał oczy jak z lapis–lazuli, jak niebo o zmierzchu, zaprzyjaźnione z gwiazdą o zachodzie.

Paul–Luc nie odpowiedział ani też nie poruszył się.

— Spytasz, co z dziewiątą plagą — powiedziała. — Odpowiem ci. Chau zabierał im to, co jest

u źródeł wszystkiego. Okradł ich z dzieci.

Paul–Luc nie poruszył się. Pomyślał: tylko ta rzecz pod moim plecami. Zdał sobie sprawę, że kobieta wstała. Była teraz jak biały cień obrzeżony starożytnym słońcem. Wszystko jest takie jasne, a zarazem tak ciemne.

— Zabrał ich dzieci i zostawił miasto osierocone. Paul–Luc dalej nie poruszał się.

— A wtedy wrócił na pustynię, ze swoim ludem, jego ludźmi — skarabeuszami i z dziećmi Men–Neferu. I tylko Żydzi byli bezpieczni, ponieważ naznaczyli krwią swoje drzwi.

Paul–Luc tkwił nieruchomo.

— Anioł Śmierci jest innym, trafniejszym określeniem dla niego, monsieur.

Poczekwała, spojrzała na Paula — Luca Lebasa, który siedział oparty plecami o piaszczyste zbocze. Trzymany w dłoni kieliszek opierał na kolanie. Oczy miał otwarte, jakby utkwione w obrazach, które przed nim roztaczała. Trucizna wtarta w kieliszek zabiła go wreszcie. Wtedy kobieta kopnęła archeologa w bok, a on przewrócił się i potoczył do podnóża wzniesienia, w piasek. Wielbłąd prychnął i pierdnął. To było szydercze requiem.

Na plecach mężczyzny, pod kurtką, odcisnęły się hieroglify — lustrzane odbicie: *Neshenti*.

Kobieta odwróciła się i zawołała po arabsku. Mężczyźni czekali. Teraz mogli przysypać z powrotem grobowiec i dokładnie go ukryć. A w wiosce, którą zwano „Gołębicą” już czekała ich nagroda — anteny telewizji satelitarnej umieszczone wysoko, na chatach ulepionych z błota.

* * *

Berenice bała się. Początkowo słyszała załogę z łodzi ojca krzyczącą na siebie, muzykującą, a także inne hałasy — dochodzące z miasteczka. Teraz nastała cisza. W końcu nie usłuchała przestrogi ojca i wyszła na pokład, ale tam nikogo nie znalazła. Dom na wodzie był pusty. Na ulicach wioski nic się nie poruszało. Niebo zasnuwały chmury o kolorze i spoistości dymu. Otaczał ją miły chłód, jak w mieście.

Odeszła na bok i popatrzyła w dół, na wodę. Nie była już tą dziewczynką jaką pamiętała. Ale co właściwie miała na myśli?

Miała pewne wyobrażenie Nilu, może z filmu czy z książki, jasnego jak piwo, zatłoczonego hipopotamami. A ta woda ku jej rozczarowaniu była błotnista, lepka i brudna. Spojrzała w górę, na wysoki brzeg z figami i małymi domkami z błota. Dalej kłębiło się coś niewyraźnego, jak brunatny duch.

Nie lubił jej, wiedziała o tym. Jej ojciec. Trzymał ją przy sobie tylko dlatego, że matka dziewczynki była wariatką i latawicą. Może już się znużył Berenice? Jej głupotą, która go irytowała. Jej wyglądem. Zaczęła płakać.

I dziwne, gdy szlochała miała wrażenie, że wszystko płacze razem z nią. Demony lądu i wody. Kobiety szlochały przez wiele wieków. Ich łzy wypełniały Nil.

Zwinęła się w swoim łóżku, pod kocami, wpół śpiąca, wpół świadoma. I wtedy weszła pani.

Pani miała cudowne, złociste włosy. Berenice widziała ją w hotelu.

— Nie bój się maleńka. Wszystko jest w porządku. Biedna mała dziewczynka.

Berenice usiadła.

— Gdzie jest tata?

— Musiał wyjechać do następnej wioski. Przyszłam więc, by troszeczkę zaopiekować się tobą. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Berenice tylko wpatrywała się w nią.

Pani była śliczna. Piękna jak ktoś dawno temu. Uśmiechała się do Berenice prawdziwym uśmiechem, w którym nie było żadnego fałszu. To był uśmiech zaspokojonego pragnienia.

ROZDZIAŁ 21

Cofnęli się do życia wśród drzew. No, niezupełnie. Może do tego, co powstało z tych drzew w wyniku przetworzenia — do tekturowych pudeł.

Wzdłuż pustyni szarego cementu pstrzyły się namioty sporządzone z odpadków. Rusztowania, żerdzie, nadpalony brezent, wózki piekarzy; kiedyś ciepłe od świeżego pieczywa, teraz zimne. Krajobrazu dopełniały małe bębunki, stare kosze na śmieci. I tekturowe pudła z napisami ELECTROLUX, winogrona CAPE i pokarm dla psów.

Tu i ówdzie płonął ogień. Pies, który może nigdy nie spróbował w życiu psiej karmy szykował się na codzienną porcję szynki i jajecznicy.

U podnóża szerniałych budynków, obojętnych jak stare skały jedni leżeli, inni siedzieli w śpiworach, ukradkiem przeczesując włosy żółtawymi palcami.

Niedaleko snuła się metaliczna ciecz rzeki, ujęta w wały pełne sfinksów i obelisków. Dalej rozciągało się miasto ze stali i kamienia, pod którym legły krypty, rzymskie łaźnie z XVII wieku i świątynie Mitry, bóstwa słońca.

Światło rozpraszało surowość zimowego dnia.

Gdy amerykańska kobieta wyruszała szlakiem pudeł i papierowych toreb w każdy poniedziałkowy poranek — słońce czy deszcz — głowy podnosiły się, by węszyć jedzenie.

Amerykanka przytaszczyła wózek pełen gorących parówek w miękkich bułeczkach, kartoników soku, babeczek z jabłkami i (jak na ironię) bananów. Na ruchomym straganie były też termosy z kawą i małe plastikowe kubki.

Chuda i schludna w ciemnoszarym płaszczu i z włosami w tym samym odcieniu, miała około siedemdziesiątki. Upudrowaną, miłą twarz kobiety pokrywały bruzdy smutku. Miała na imię Adoreen — powiedziała to komuś, kto ją pytał. Wyglądała na bardziej przygnębioną niż oni, bo nie akceptowała ich losu.

— Proszę, kochanie — mówiła. Mimo czterdziestu lat spędzonych w Londynie wciąż miała miękki, nowojorski akcent. — Weź to. Nie lubisz jabłkowego, dziecinko? Cóż, może mam tu truskawkowy.

A głosy, zardzewiałe jak puszkę z fasolką znalezione na ulicy, ochrypnięte od mrozu (dwadzieścia stopni Fahrenheita zeszłej nocy), dziękowały temu aniołowi poranka. Niektórzy starali się jej przypochlebić, inni niezmiennie utrzymywali dystans.

— Bóg niech cię błogosławi, kochaneńka.

— No. Taa.

— Mhm.

Adoreen krążyła wokół rogu ulicy zagłębiając się w ciemny tunel utworzony przez Eastern House i Thurlough Centre.

— Cześć kochanie, jak się dzisiaj miewasz?

— Świetnie — powiedziała Lix siadając w śpiworze; oczy dziewczyny miały ostry niebieski odcień, jak potłuczone szkło.

— To dla ciebie — powiedziała Adoreen podając jej smakołyki. Lix wzięła je.

Nie potrzebowała czesać włosów — były ostrzyżone króciutko, na ćwierć cala. Robiła to regularnie w lustrze publicznej toalety używając małych nożyczek. Kiedyś wbiła je w rękę jakiegoś napastnika.

Lix ugryzła kawałek placka z jabłkami.

— Świetny.

— Cieszę się — powiedziała Adoreen i podeszła do mężczyzny, który leżał owinięty w koc pięć stóp dalej. Nie poruszył się.

— Myślę, że on nie żyje — powiedziała Lix.

— Och, Boże... — szepnęła Adoreen; jej delikatna twarz zapadła się pod wpływem cierpienia. Wyciągnęła delikatną dłoń.

Gdy Amerykanka pochylała się nad martwym mężczyzną, upodobnionym przez mróz do grafitowej laseczki, Lix wciąż jadła. Wóz policyjny pojawi się później i znajdzie go. Nic więcej

nie dało się zrobić.

Adoreen chodziła dalej ze swoim wózkiem, ponure światło dnia wciskało się w kąty.

Lix przełknęła ostatnie okruchy i oblizała usta. Wypiła sok z kartonu i ogrzała dłonie, obejmując plastikowy kubek z kawą. Leżący obok mężczyzna pozostawał w spokoju śmierci. Jakiś skłębiony cień przemknął przez drugi otwór tunelu. Może to świnię? Nie. Lix siedziała napięta, bez ruchu. Trzech starszych mężczyzn, stałych bywalców domów noclegowych, zbliżało się wąskim przejściem. Rozpoznała jednego z nich. Facet, którego nazywano Dwa Kapelusze, pił wprost z butelki. Płyn do zmywania twarzy, niewątpliwie kradziony, smakował jak znakomita stara brandy. Drugiego Lix widywała tu i tam, żebrzącego na ulicach albo palącego papierosy nad brzegiem rzeki.

Ten z przodu nie pasował do nich. Był młodszy, wyglądał na czterdzieści pięć, może czterdzieści osiem lat. W praktyce znaczyło to, że ma około trzydziestki.

Lecz to nie wiek sprawiał, że nie pasował. Nosił płaszcz z paskiem, sztywny od brudu. Skóra na twarzy, wyłobiona przez brud i pogodę jak u reszty, czyniła z niej jakby rzeźbioną w drewnie maskę. Spojrzenie czarnych oczu przeszywało: zbyt skupione, zbyt bystre, zbyt żywe.

On też miał włosy obcięte krótko, ale ulepione w strzępiasty ptasi czub. Włosy były białe.

Wynurzyli się tuż przy Lix, ciągnąc za sobą znany odór starych, nie pranych ubrań, dymu, smaženin i ludzkiego brudu.

— Spójrz, umarlak — powiedział Dwa Kapelusze. Zachichotał przykucając i taksując wzrokiem nieboszczyka.

— Chcę jego zęby — wyłowił protezę z otwartych ust, wytarł rękawem i wrzucił do kieszeni.

Nad Lix odezwał się białowłosy mężczyzna:

— Ja chcę jego oko.

Dwa Kapelusze znów zachichotał.

Lix siedziała sztywno. Kątem oka obserwowała jak młodszy mężczyzna pochyla się nad ciałem i wydłubuje oko z oczodołu. To było prawdziwe szkło.

— O, przyjemniutkie — stwierdził Dwa Kapelusze.

Razem z tym drugim przeszukali legowisko zmarłego wyciągając i rozrzucając rzeczy.

Lix skończyła swoją kawę. Mogą być kłopoty, więc lepiej wlać ciepły płyn do środka, stąd nie będą mogli go jej zabrać.

Białowłosy przyglądał jej się z góry.

— A cóż z twoimi oczkami? — spytał nagle.

Lix wysunęła się ze swego śpiwora i stanęła na nim. Lecz on dodał tylko:

— Są bardzo niebieskie, prawda?

— Odpieprz się — mruknęła.

— Nie mówisz tak jak pozostali — stwierdził. — Słyszałem, jak rozmawiałaś z Amerykanką.

Miły akcent klasy średniej.

Lix schyliła się, zgarnęła swój śpiwór i zapleśniałą poduszkę, którą trzymała pod głową i uklepała w toból.

Nagle zachichotał. To był ostry, sopranowy głos. Przypominał... rzenie szalonego konia z nocnego koszmaru.

Zarzuciła swój majdan na ramię i odeszła. Poszedł z nią.

Wkroczyli ramię w ramię na zatłoczony chodnik, gdzie urzędnicy pędzili właśnie do starannie wyszukanych, nudnych prac, do biur pełnych komputerów, nękani przez migreny.

Lix przemknęła w bok, ale mężczyzna trzymał się jej nadal.

Inni kandydaci na jej konkurentów nie byli tacy zdecydowani. Pozostała dwójka też podążała za nią.

Na rogu mieściła się publiczna toaleta. Skręciła do wejścia oznaczonego „Dla pań”.

Tradycyjne zwyczaje teraz powinny go powstrzymać. I rzeczywiście, nie wszedł za nią.

Lecz w pół godziny później, gdy wyszła, wciąż tkwił na miejscu, siedząc na ławce pod biurowcem i wyciągając dłoń co jakiś czas w kierunku mijającego go tłumu.

Pozostała dwójka stała po drugiej stronie wejścia do biurowca; dołączyła do nich Janice ze swoim kundlem o prezencji starej ścierki.

Wzdłuż chodnika kroczył tam i z powrotem człowiek — reklama. Plakaty pokrywały go do brody i do karku, otaczając mężczyznę czymś w rodzaju domku z kart. Spomiędzy warg wystawał zwyczajowy już, nie palący się pet. Na tablicy wypisano starannie:

KONIEC JEST BLISKO.

Przeszedł uroczyście. Lix poszła za nim przyznając się tylko do Janice. Nie obchodził jej już natręt, dlaczego miałby?

* * *

Krótki dzień wyparowywał powoli. Na ulicy czas był bez znaczenia, tylko brzask i zmierzch przyciągały uwagę, i wtargnięcie neonu nocy.

W alejach bezdomny, może szesnastoletni, chłopiec został pchnięty nożem; oddalili się stamtąd na wszelki wypadek.

Ci z psami radzili sobie lepiej. Kobiety np. patrzyły w dół i mówiły:

— Proszę, nakarm mojego pieska, jest taki głodny.

Wpadało czasem pięćdziesiąt pensów, czasem pięćdziesiąt funciaków.

Byli ostrzeżeniem, do czego możesz dojść. To proste jak równia pochyła. Najpierw traci się pracę, potem dom, wreszcie traci się rodzinę. Bramy piekieł stoją otworem dniem i nocą.

Wieczorem zbierali się wokół garkuchni.

Clad, wyznawca Hare Kriszny odziany w nagietkowy pomarańcz dostarczał dania pikantne i gorące. Natomiast samotny prawnik w garniturze chodził wzdłuż ulicy z kanapkami, sokiem i

herbatą.

Odwieczna rzeka też wprawiała ich w ruch. Jej przyprływy i odpływy zawierały w sobie więcej życia niż śmierci. Wzdłuż niegościnnego, nabrzeżnego błota pod łukami mostu jaśniały punkty pomarańczowego światła, naszyte na ciemną toń leżącą poniżej.

* * *

Podszedł do jej ogniska, gdzie siedziała wśród innych, ciemną nocą. Iskry wystrzeliły w górę, a on powiedział:

— Wypierdoliłbym cię.

— I co z tego — wzruszyła ramionami Lix.

— Jak sądzisz, ile mam lat? — spytał jakiś starszy facet siedzący koło niej.

Nic nie odpowiedziała; patrzyła w giętkie płomienie nie poruszając się.

— Masz tylko trzydzieści, kochaniutki. Patrz, mój pies go lubi — powiedziała Janice spieszczając słowa.

Białowłosa mężczyzna głaskał dalej szaroburego kundla, który tego dnia zarobił dla Janice dziesięć funtów.

Mężczyzna nie cuchnął. Pachniał tylko błotem, zimmem i nocą. Rzeka była w nim.

Lix ukradkiem rzuciła mu spojrzenie. W jakiś sposób skłonił ją chyba, żeby na niego popatrzyła, ale jato nie obchodziło.

— Jestem stary — powiedział do Lix.

Do ogniska podszedł Dwa Kapelusze i tamten drugi. Przypomniała sobie, jak na niego wołali, Tom Vinegar, od jego ulubionego napoju, najpodlejszego sikacza*.

Lix wpatrywała się w ogień. Ashy szturchnął białowłosego pod żebro.

— Camillo, widzisz te korki płynące rzeką? Wiesz po co?

— Nie — odparł białowłosa Camillo.

Zrobili przegląd ich „barku”. Było nim wiadro wypełnione butelkami czerwonego i białego wina, heinekenem, pepsi i ćwiartką white satin, dzinu znalezionego w koszu na śmieci.

Każdy sięgnął po plastikowy kubek, sprzęt podstawowy. RH, Lix i Camillo także.

Ashy powiedział:

— To są korki z butelek, które utonęły. Raz widziałem młodą dziewczynę. Pochodziła z Vauxhall Bridge. Włosy do tyłka a buziak jak u lalki z wystawy. Obcisła czarna kiecka, ledwie do połowy pupci i buty na obcasach. I miała butelkę margoks...

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Widziałem.

— Założę się, że ona wie, jak to wymówić — stwierdził Camillo, ale Lix nie zwróciła uwagi.

— Odeszła, gdy przyszedł przyptyw — ciągnął swą opowieść Ashy. — Weszła do wody jak do kąpieli. Leżała na niej popijając wino. A gdy skończyła butelkę, poszła pod wodę. Przepadła.

A butelka popłynęła sobie. I korek. Widziałem dziewczynę później. Nieżywą. Te chemiczne świństwa w wodzie zmyły jej farbę. Włosy były takie mysie, ledwie brązowe. A skórę miała zieloną.

— Ofelia razem z Margaux — podsumował Camillo.

— Ale bez oplakiwania śmierci ukochanego — dodała Lix. Nie wiedziała dlaczego odezwała się do niego, ale zrobiła to.

— A więc nie żyje — zauważył Camillo, ale ona się już nie odezwała.

— Mogłabym pójść do siostry — powiedziała Janice. — Ale ten jej mężulek — nigdy nie zostawia mnie w spokoju.

Przez chwilę zadumali się w ciszy, a chłód stał jak żelazne przesła mostu nad nimi. Tam cywilizacja szła do przodu; autobusy, ludzie w prawdziwych ubraniach. Lecz jak długo jeszcze?

Tom Vinegar czknął.

— Pójdź tam ze mną, Niebieskooka — powiedział Camillo.

— Dobrze, jeśli muszę — powiedziała Lix wstając.

Lecz Camillo tylko się zaśmiał. Wysoki chichot, jak końskie rzenie. Usiadła z powrotem.

Zapytał:

— Ile mam lat? Dwanaście? Trzysta?

Napiła się ze swojego kubka i powiedziała:

— *Miłość jak krew.*

— O, tak. Znam tę piosenkę — odpowiedział Camillo.

— Mój syn ją grywał — powiedziała.

To było wszystko. Przypływ natarł na błotniste wybrzeże, a potem wzniósł się w powietrze.

Dwa Kapelusze powiedział:

— Kawałek stąd, pod łukiem mostu, jest wielka skorupa. Taki kadłub statku jak stalowe jajo.

Niemcy go opuścili. Bang!

Wpatrywali się w ognisko. Ogień był wieczny. Ognie płonęły tu od zawsze. Świat może skończy w ogniu. (Koniec jest blisko?)

Camillo położył dłoń na rękawie Lix. Pozwoliła mu. Położył swą białą głowę na jej ramieniu.

Powiedział:

— Jesteś jak moja matka, Niebieskooka.

ROZDZIAŁ 22

Może kiedyś były tu inne, podobne pokoje. Ale czy wciąż istniały? Dziwne pomieszczenie bez prostej linii. Pełne fresków i ozdobnych przedmiotów.

Na ścianach wyobrażono zarośla wysokich trzcin, miejscami kwiaty lotosu — białe, różowe i gołębioblękitne miseczki. Przez trzciny kroczyły czapla i ibis. Powyżej, na niebieskim tle, fruwały ryby pomalowane w biało–czarną szachownicę. W zaroślach kwitły kwiaty, a ludzie o

skórze koloru ochry zarzucali sieci. Płowe koty czatowały, by odnaleźć ptaki zastrzelone przez łuczników i porwać je.

Słońce nad tym wszystkim było zrobione z prawdziwego złota startego do mialkości — wciąż z zamglonym połyskiem. W jego tarczy tkwiło czarne oko z antymonu.

Sufit w komnacie był ciemnoniebieski; miejscami papirusowate trzciny zachodziły nań.

Podłogę sporządzono z czerwonego kamienia — pożyłkowanego, wypolerowanego i z licznymi rysami, jak słońce na suficie.

Przejrzyste białe zasłony w blasku lamp zmieniły kolor na chłodnożółty. Łoże stało na złotych kocich łapach. Było lekko nachylone. U wezłowia — wyżej o pięć cali — leżał zagłówek spowity purpurowym jedwabiem.

Przed łóżkiem postawiono złocisty podnózek, też opatrzony w kocie łapy. Wszystko przysłaniał krwisty jedwab. Po drugiej stronie pokoju stał długi stół w kształcie czarnego kota ze złocistymi uszami i oczami. Na stole piętrzyły się zwierciadła, buteleczki z matowego zielonego szkła i kremowego alabastru. Lampy na długich nóżkach zrobione z alabastru, świeciły właściwym sobie bogactwem blasku — od topazu po rubin.

W większości były to prawdziwe antyki. Do nich należała także okrągła marmurowa wanna na podwyższeniu, do której zaglądał złocisty krokodyl, pluszcząc wodą. Zwierciadła oczywiście były późniejsze; w tamtych czasach jeszcze nie wynaleziono lustrzanego szkła.

Styl też nie był jednolity, może naczynia były greckie, a grzebień rzymski? Ciepło też było z innej epoki... A za malowanymi drzwiami, na których widniała służebnica w złotych kolczykach, znajdowała się luksusowa toaleta, godna wschodniego możnowładcy. Wyposażono ją jednak nowocześnie — z muszlą klozetową, papierem, mydłem i umywalką, nad którą wodę wypluwał tym razem delfin.

Podano posiłek niezbyt tradycyjny, ale i nie za bardzo nowoczesny. Były oczywiście pewne

ustępstwa — czarne figi i zielone winogrona na srebrnym talerzu. Filetowi z piersi kurczaka, chudemu i bez przypraw, towarzyszył talerz ryżu z zielonym groszkiem. Do tego dołączono butelkę wody mineralnej o nieznanym nazwie. Kielich był asymetryczny, z ciemnego szkła w punkciki. Rzymski wyrób albo jego imitacja.

Większość wystroju stanowiły zapewne imitacje, choć pomalowane ściany wydawały się stare i wypelzłe, a tu i ówdzie prześwitywała plamka nie pasująca do reszty.

W pokoju cały czas słycać było nikły dźwięk, rodzaj brzęczenia, działającego prawie hipnotycznie. To był hałas generatora.

W końcu przyzwyczai się. Nie będzie tego słyszeć. Ile jej to zajmie? Jak długo tutaj zostanie? Anna stała bez ruchu w białej sukience, którą przyniosły jej dwie kobiety. Sukienka była klasyczną grecką tuniką, jak z Homera. Tylko fałdy były zaszyte i miała — Anna roześmiała się, gdy to dostrzegła — zamek błyskawiczny.

* * *

Kiedy drugi, mniejszy samolot wylądował — czerwona biedronka na lodowej pustyni — ona i mały chłopiec zostali wyprowadzeni na zewnątrz przez opiekunkę czy też strażniczkę.

Kobieta powiedziała przedtem, że znajdą się na „szczycie świata”. Tutaj z pewnością był koniec świata.

Biel rozpościerała się na wszystkie strony, jak w poprzednim miejscu postoju. Ale teraz była jeszcze bardziej krańcowa, absolutna.

Nie było widoku na wpół zamrożonego morza; żadnych zamków z gór lodowych dryfujących po szkle. Tak jasnego nieba, opalizującego i zielonkawoniebieskiego, Anna nie widziała nigdy wcześniej.

— Jest lato i nie ma go. Słońce wcale nie zachodzi — powiedział mały chłopiec.

— Prawie racja — zgodził się mężczyzna.

Wtedy coś ciemnego pojawiło się na białej płaszczyźnie. Wyglądało tak, jakby nie przybywało z dala, lecz krystalizowało się w zetknięciu z kryształowozieloną atmosferą. Powietrze w istocie przypominało zamarzającą ścianę.

— Miss Anno, proszę włożyć maskę na twarz — powiedział mężczyzna.

On również znał jej imię. Lecz teraz była zupełnie bezsilna. Udawali się do siedziby wujka tego dziecka. Wuj Kay, jakby z bajki. Królowa Zima wydawała się ujarzmiona przez Kaya — teraz on odziedziczył wszystko. Czy była tu także ciocia Gerda? I Andersen?

Ciemność panowała za saniami, ciągniętymi przez rozpędzony, pracujący równo łapami psi zaprzęg. Czarno-białe, z pyskami wilków, były zarazem ładne i dzikie. Sanie zatrzymały się. Psy pomerdały ogonami.

Dziecko o imieniu Andrew wyrwało się do przodu, wołając:

— Wilk! Wilk!

Mężczyzna zatrzymał chłopca.

— Lepiej nie. Mogą ugryźć.

Wtedy człowiek kierujący saniami, ubrany tak jak oni w maskę i kaptur dla ochrony przed zimnem, zarzucił na śnieg kotwicę, by zatrzymać zaprzęg. Zwrócił się do małego chłopca:

— Wszystko w porządku. Chodź, przywitaj się z przywódcą stada. I zaprowadził Andrew do zwierzęcia umaszczonego jak panda; pies pozwolił chłopcu pogłaskać się po ładnym, niebezpiecznym łbie.

— One są w połowie wilkami — wyjaśnił człowiek, który przyleciał z nimi. — To daje im miły charakter.

Pies ważył około stu funtów. Otarł się o rękę dziecka. Wtedy Anna też podeszła i dłonią w rękawiczce dotknęła bryły bujnego futra, sadła i pełnego życia ciała.

Wsiedli do sań, a człowiek z samolotu wraz z nimi.

Prowadzący zaprzęg wciągnął z powrotem kotwicę i zawrócił pojazd. Niektóre psy wysikały się w śnieg, pozostawiając parujące plamki. Mocz pachniał rybami, zapach dochodził do twarzy nawet przez maskę.

— Czy to daleko? — spytało dziecko.

— Nie, niedaleko.

To nie była prawda. Albo też wydawało się daleko, ponieważ widok w czasie jazdy nie zmieniał się, tak jakby nie posuwali się naprzód.

Krystaliczna linia nieba, biały ogrom lodu i śniegu. Żadnych znaków na ziemi. Nic. To nie był koniec świata tylko inna planeta.

W końcu zaczęło się coś w rodzaju nocy. Ale kiedy? Poprzedził ten mrok turkusowy zachód słońca, gdy niebieskie niebo wydawało się topnieć. Ale po tym niebo wciąż było jak kryształ, choć przybrało barwę granatową z brzegami podświetlonych chmur widocznych na horyzoncie.

Andrew spojrzał do góry, na gwiazdy.

— Strzelec — powiedział. A potem może trochę niestosownie dodał — Mama jest spod Bliźniąt. — A po chwili jeszcze — Ona wkrótce przyjedzie. Ale nie spodoba się jej zimno.

Była to prawda. Zimno okazało się okropne. Komu by się spodobało? Wszechobecne, bezlitosne, nieustanne. Anna często zamykała oczy, by je zaraz otworzyć. Ta kraina sprawiała, że musiała patrzeć na nią.

Zwolnili, gdy zapadła ciemność, ale nie zatrzymali się. Spodziewała się, że staną. Resztki narkotyków w jej organizmie, a może tylko stres powodował, że zasypiała co chwilę. Gdy się budziła, człowiek z samolotu podtrzymywał ją swoim ciałem. Odsunęła się zaniepokojona. Dotąd nigdy nie zetknęła się z męskim ciałem tak blisko, poza swym ojcem — matką, Althene. Pamięć sprawiała, że zachciało jej się płakać. I, jak zdarzało się wcześniej, Annie wydało się, że to pierwszy raz. Płakała całą sobą, ale krótko. Wypłakała wszystkie łzy.

Nadchodził świt świetlisty jak zielony bursztyn. W jego blasku, nad dywanem lodu, wyjrzały głowy trzech śmiertelnie białych gór; wyglądały jak narysowane grubym ołówkiem.

Szczyty dymiły.

— Czy to już? — spytała.

— Wulkany — wyjaśnił człowiek z samolotu. I dodał — Nie ma ich na żadnej mapie.

Wjeżdżali między białe wzgórza; śnieg rozsuwał się przed nimi jak skrzydła. Pluszowa lama Andrew zamarzła. Psy wydały z siebie chóralny zew, gdy słońce wzeszło kolumną światła.

Powyżej śnieg padał jak błyszczący niebieski welon. I wtedy przed nimi pojawił się ostatni szczyt. Wiedziała od razu; dziecko także, choć nikt im o tym nie mówił. Andrew wymachiwał rękami i podnosił lamę, by też zobaczyła.

— Tutaj mieszka wuj Kay!

Był to zaiste niezwykły widok. Góra o kształcie antycznego grobowca, biała piramida rozszczepiona stopniami ciemnej skały, wznosiła się w niebo, które teraz było ciemnogrnatowe.

Gdy zbliżyli się do lodowych zboczy, Anna zobaczyła poniżej piramidy szklistą powierzchnię rzeki odbijającą promienie.

— Ależ rzeka powinna być zamrznięta — zauważyła głośno.

— Tam dalej zamarza. Tutaj nie, z powodu ciepła płynącego od generatora — wyjaśnił mężczyzna.

Podstawa piramidy, na pustyni śniegu, powyżej płynnej toni, była czarna. Anna miała wrażenie, że zaraz zobaczy egipską łódź z przechylonym żaglem i zadartym dziobem sunącą po rzece. Lecz nie było żadnej łodzi, ani żadnego znaku życia poza ich własnym. To mógł być tylko kaprys natury.

Psy, teraz niecierpliwie powarkujące, wiedząc, że droga dobiega końca, pędziły w dół doliny poniżej góry, wzdłuż zimnej niebieskiej rzeki. Widać było na niej kawałki białego lodu.

Dalej rzeka była już zamarznęta. Przedostali się na jej drugą stronę wjeżdżając w tunel, jak w szczelinę lodowca. Psy zawarczały, a w odpowiedzi widma psów odwarknęły.

Żelazne drzwi, przypominające wrota do fabryki, bardzo wysokie, opalizujące od zimna, zagroziły im drogę.

Nigdy nie widziała czegoś takiego. Nigdy w życiu. Nawet w snach. Niczego takiego nie pamiętała. Lecz tak naprawdę nic nie wiedziała. Ktoś ją tutaj przywiózł. Ktoś znał tak dobrze, jak ona sama siebie nie знаła.

Drzwi otworzą się i wejdą do środka. A może wrota pozostaną zamknięte? Otworzyły się na mrok. Brama wiodąca do śmierci, piekła... podziemnego świata.

Potem jednak oczy oswoiły się i Anna dostrzegła nikłą poświatę z zewnątrz. Generator Hadesu zaopatrywał lampy elektryczne.

* * *

Pierwsze wnętrze nie było ani magiczne, ani ezoteryczne. Metalowa hala z torowiskami, jak w prymitywnej fabryce zamykanej na stalowe drzwi — śmierdząca gumą, ozonem i parafiną.

Szybko ich stamtąd zabrano, jakby żaden z przybyszów nie powinien tego oglądać.

Nagły wzrost temperatury był trudny do zniesienia; kobieta zdjęła z nich wierzchnie ubranie.

Psy pobiegły swoją drogą ciągnąc sanie. A kobieta, ubrana w zwykły ciemny kostium, coś w rodzaju munduru, wprowadziła Annę, An — drew i lamę do windy, i nacisnęła guzik.

Winda nie wznosiła się. Opadała. Ależ oczywiście. Piekło leżało niżej.

Gdy drzwi ponownie otwarły się, znaleźli się w innym świecie. Było to takie dziwaczne, że

Anna uśmiechnęła się. Ponownie wypogodzi się dopiero na widok zamka błyskawicznego.

W korytarzu stała inna kobieta. Wszystko odbywało się jakby poza czasem. A przynajmniej w innym czasie.

Korytarz nie miał ścian z metalu, ciepłe światło zalewające go nie było światłem lamp, lecz

ognia. Pochodnie płonęły na ścianach, wydając woń kadzidła, słodką i intymną. Przypominały zapach Bożego Narodzenia, połączenie woni choinki, świeczek i perfum używanych przez Althene.

Błada kobieta nosiła szatę owiniętą wokół bioder, wyraźnie egipską w stylu. Jedną pierś odsłonią, a szyję miała okoloną obrozą ze złotych płytek, zdobioną czerwonymi paciorkami.

Włosy równo przycięte, w kolorze indygo, opadały na ramiona. Równie dobrze mogła to być peruka.

Skrzyżowała dłonie na piersiach i pochyliła do ziemi w głębokim ukłonie. Anna i mały chłopczyk wyszli z windy, drzwi za nimi się zamknęły, winda odjechała. Wydawało im się, że nie należy oglądać się za siebie, jakby to mogło wywołać eksplozję. Służebnica nie odezwała się ani słowem, tylko gestem wskazała kierunek i odwróciła się. Gdy Anna nie poruszyła się,

Andrew przynaglił:

— Mamy iść za nią. No, chodź.

Chłopczyk wcale nie bał się.

Potem zaczęło się wkraczanie jakby w wielki telewizor, a bardziej w krainę snów.

Przeszli już kawałek, gdy na ścianach korytarza pojawiły się malowidła. Niebieskie hipopotamy i czarne szakale — Tauret, Anpu–Anubis. Pismo obrazkowe, hieroglify, wachlarze i oczy, drzewa i słońca.

Przekraczali kolejne drzwi, które kobieta otwierała jak w Biblii, pukając do nich.

Pierwsze zapewne były automatyczne, bo za nimi nie było nikogo. Następne otworzyło dwóch mężczyzn w płóciennych tunikach, z ogolonymi głowami. Podobnie jak kobieta, wyglądali jak filmowi statyści. Nie byli autentycznymi Egipcjanami, nie odznaczali się egzotyczną urodą. Mieli jasną skórę, lecz ich oczy były czarne jak noc; stare czarne oczy — jakby ślepe. Anna pomyślała wtedy o Michaelu, służącym w domu Scarabeidów w Londynie. Ci dwaj też byli Scarabeidami.

Korytarz wiódł dalej, rozgałęziając się w coraz to nowe odcinki, daleko odchodzące od głównej arterii. Wszystkie były oświetlone pochodniami i ozdobione egzotycznymi malowidłami.

W pewnej chwili znaleźli się w korytarzu z lampami z alabastru, znanymi jej z książek. Jak na ilustracjach, stały na postumentach z brązu, a płonący wewnątrz nich ogień rozświetlał rumieńcem mleczny minerał.

Wreszcie drzwi otworzyły się na szeroką przestrzeń; cóż za ulga po wąskich korytarzach, dusznych od żaru płomieni.

W środkowej części podwórza czy raczej dziedzińca umieszczono kamienny zbiornik. Blask alabastrowych lamp odbijał się w ciemnej wodzie, na której kołysały się kwiaty nenufarów, a może lotosów. Brzeg zdobiły cztery posągi: Anubis z czarnego obsydianu, bogini Bastet — kocicy z zielonego kamienia; dalej, rzymskiego bohatera z białego marmuru i kolorowej, zapewne greckiej bogini z głową w kamiennych lokach.

Anna podniosła wzrok. Można było oczekiwać, że dziedziniec będzie otwarty na niebo.

Przykrywał go jednak sufit ozdobiony mozaiką.

Wzór z drobnych kamieni w przeciwieństwie do innych dekoracji wyglądał na antyczny i częściowo był zniszczony. Przedstawiał wyścig rydwanów. Z boku zauważyła dwoje czarnych drzwi.

Druga kobieta w egipskim stroju zbliżyła się do Andrew i podała mu rękę. Chłopczyk bez wahania podążył za nią wyjaśniając tylko:

— To jest moja lama. Trochę się zabrudziła, ale wystarczy ją wyprać.

— Tak, paniczu Andrew — odparła zgodnie kobieta.

Wszyscy mówili po angielsku, jak w najlepszym amerykańskim serialu. A w dodatku to „Paniczu Andrew”. I tak, chłopiec otoczony przez służącą, zniknął za drzwiami.

Pierwsza z kobiet poprowadziła Annę do dalszych drzwi, które łatwo się otworzyły. W

krótkim przejściu stał jakiś egipski posąg, przedstawiający człowieka czy boga, Anna tego nie wiedziała.

Postać ta trzymała włócznię, która przesywała twarde, płaskie ciało. To było stare jak czas.

Nad rzeźbą unosił się zapach stuleci, tysięcy lat.

Służąca okrążyła rzeźbę i dotarła do drzwi, na których wisiała gliniana tabliczka.

— Przełamie pieczęć — powiedziała kobieta.

Anna stała i patrzyła. Po raz pierwszy poczuła pierścionek z turmalinem, dar Rachaeli, który nosiła na środkowym palcu lewej dłoni.

Kobieta stłukła glinianą tabliczkę. Weszły do apartamentu wyglądającego jak dekoracja na planie filmowym. Hebanowe krzesło, okrągła wanna, łoże ukryte za lśniącymi draperiami.

— Oto pani pokój, Anno. Przydzielono do obsługi dwie służące, które zaraz przybędą.

Otrzyma pani wszystko, czego pani sobie życzy.

Kobieta mówiła z obcym akcentem, lecz chyba nie z egipskim. Zielonkawe oczy były przygaszone i martwe, jak u wcześniej spotkanych mężczyzn. To były oczy Michaela, choć może bardziej nieprzyjemne.

Wkrótce zjawily się dwie kobiety. Skłoniły się przed Anną krzyżując ręce na nagich piersiach.

Dziewczyna nigdy przedtem nie widziała nagich piersi, z wyjątkiem własnych; Rachaela była powściągliwa, a Althene... jej piersi były sztuką, nie ciałem.

Służące miały czarne oczy i czarne włosy do ramion. Nosily imiona Mesit i Shesat.

— Jesteście Egipcjankami? — spytała. Tylko spojrzaly na nią. Odwróciła więc wzrok.

Podaly jej filizankę kawy i jakąś wykwinną kanapkę z wędliną, czymś w rodzaju szynki.

Zaśmiała się, jak przy sukni z zamkiem błyskawicznym.

Rankiem (może wieczorem?), gdy obudziła się na lekko pochyłym łóżku, znów przysły służebnice i wykapały ją. Pozwoliła im na to z bardzo głupiego powodu. Dwa lata wcześniej była

jeszcze niemowlęciem i kapano ją. Umyły i uczesały jej włosy, wpinając na końcu małe srebrne paciorki. Ubrały ją następnie w białą grecką sukienkę z ekspresem. Pod spodem miała jedwabne białe figi i stanik z paryskimi metkami.

Anna pomyślała wtedy o Cecilu B. de Mille, który żądał, by nawet bieliznę do filmu wybierano zgodnie ze stylem epoki. Lecz to nie był film kostiumowy, tylko nowy świat, skomponowany z wielu różnych epok — tak komuś się podobało.

Meble były współczesne, ponieważ antyki rozpadłyby się już dawno. Sporządzono też nowe posągi, by zastąpić te, które zniszczył czas lub których nigdy nie odnaleziono w wykopaliskach. W takim otoczeniu przebywała Anna.

Tego ranka czy wieczoru Mesit, która wyglądała tak samo jak Shesat (może były bliźniaczkami), nazwała Annę innym imieniem.

Rozdział 23

To był sen.

Przyszedł, gdy się ubrała i zjadła kurczaka. Usiadła w hebanowym krześle i ułożyła stopy na podnóżku w kształcie przycupniętego lwa. Miała na nogach sandały zdobione srebrem i czerwonymi kamykami.

Anna znów pomyślała: oto jestem. Lecz śniła. Wyprostowana i cicha, czuła się jak martwa królowa na aleksandryjskim tronie.

Rzeka lśniła złociście jak drogocenny ładunek ich barek. Wiosłowali zgodnie z nurtem. Pod zieloną markizą, jak w wiosennych trzcinach, dziewczyna Ankhet czekała, w zadziwieniu i strachu bojąc się poruszyć.

Kapłanka spoczywała na środku łodzi, na wysokim, prostym siedzisku ze złota i kości słoniowej. Wyglądała jak królowa, lecz była kimś więcej.

Mijali rozmieszczone wzdłuż brzegu rzeki posągi. Nie zmieniała pozycji, służąca sprawiała jej

ulgę, odganiając wachlarzem żar i kąśliwe owady znad rzeki.

Rzeka wydawała się niepokonana, gdy jej płynne mięśnie to unosiły rufę łodzi, to ją opuszczały. Żołnierze w metalowych spódniczkach stali na odkrytym pokładzie — wydani na żar z nieba, na moc Ra. Nad nimi gong nadawał rytm wiosłowaniu.

Służebne śpiewały. Piersi miały nagie i boginie. Ich dziwna pieśń wydawała się ciągiem słów pozbawionym sensu.

Wiosna, wiosna. Narodziny, wezbranie.

My, matka lwa.

Matka i królowa

My, wiosna, kot, my....

Ankhet zadrzała. Zabrali ją daleko, daleko od wioski. Nic więcej nie wiedziała. Teraz strach narastał i opadał, jak wiosła.

Pokryte łuskami grzbiety ukazywały się w rzece i znikwały pod wodą. Ptaki wylatywały spomiędzy zielonych trzcin jak strzały.

Wiosna, wiosna, złoto i srebro.

Zbliżał się zakręt, sternik uciszył gong. Wiosła w pierwszej, płaskodennej łodzi i w tej drugiej za nimi uniosły się w górę jak skrzydła. Zatrzymali się, choć pracowite fale szarpały nimi niecierpliwie. Dryfowali. Za zakrętem rzeki Ankhet zobaczyła koszyki kolebiące się na skraju trzcin. W każdym leżało dziecko. Niektóre spały; inne kwiliły i kopały nóżkami. Pasy zabezpieczały je, by nie wpadły do wody. Dzieci mieniły się brązowo i wyglądały jak lalki. — Tam — powiedziała kapłanka, wskazując złotym palcem. Paznokiec miała długi i niebieski. Jeden z żołnierzy poszedł do dziobu łodzi i krzyknął rozkazująco:

— Tamten. Inny żołnierz na dziobie pośpieszył, by wydobyć z nurtów rzeki wskazany koszyk.

Dziecko w środku nie płakało, ani nie spało; leżało spokojnie. Wyglądało na jakieś dwa miesiące.

— To wszystko. Już więcej żadnego nie bierzemy — zarządziła kapłanka.

— Już więcej nie — krzyknął żołnierz do tych z przodu. Wtedy sternik pochylił się i wiosła opadły z ciężkim, jedwabistym plaśnięciem.

Poruszając się żwawo, minęli niezgrany chór niemowlęcych zawiniątek i ruszyli rzeką między palisady zielonych trzcin.

Lwica, srebro i złoto...

Ankhet miała sześć czy siedem lat. Dla niej dzieci wyglądały dość abstrakcyjnie, nie interesowały jej. Znała zwyczaj i tyle. Ten chłopczyk będzie przeznaczony do świątyni Ptah, Artisan i Maker. Reszta utonie. Chyba, że inne kobiety, bezpłodne, wyłowią je. Mały nie płakał. Ona też nie.

— Pani Nefertun mówi, żebyś wstała. Przy następnym zakręcie dopłyniemy do miasta.

Wszystkie służące wstały.

Wyciągnęły w górę ramiona — ich piersi wtedy podniosły się, a pieśń stała się radosnym, drżącym dzwonieniem. Rzeka pobrązowiała w zachodzącym słońcu i mgła legła na brzegach; dalej rozciągały się połacie mroku.

Okружиłi zatokę i Ankhet, stojąca w łodzi kapłanki Nefertun, zobaczyła przed sobą miasto; lśniący brzeg w masie powietrza, utworzony z niewiarygodnych zboczy, choć niewyraźny z powodu odległości i światła. To miasto, Men–Nefer białe jak nic na świecie, było wyspą.

Nefertun wstała ze swego tronu unosząc ramiona w hołdzie tonącemu słońcu. Ankhet też wstała ze swego siedzenia, podniosła ręce i... obudziła się.

Oto jestem. Pokój wyglądał surowo, jak za swej historycznej młodości.

Posmakowała imię miasta na języku. Men–Nefer. Piękne białe mury.

W drzwiach ukazała się kobieta zwana Shesat jakby tylko czekała aż dziewczyna skończy śnić.

— Proszę za mną, lady Ankhet. Nadano jej nowe imię i nie nazywano już panną. Ale pozostało pytanie.

— Czy ten dom nazywają Białe Ściany? — spytała Anna. Shesat miała zakłopotaną minę. Najprostszym rozwiązaniem było pójść za nią.

* * *

Nigdy nie znajdzie drogi w tych korytarzach, chyba, że ktoś ją poprowadzi, tak jak Sekhmet. Ściany barwy piasku migotały w świetle płomieni lamp. A potem weszły w szeroki pas ciemności. Pasaż wkrótce rozszerzył się w potężny przedsionek o kamiennych ścianach — jak w pałacu czy świątyni. Czarne kolumny wspierały sufit hen, w górze. W dole lśniła posadzka. Przeszły przez majestatyczną salę. Dalej, za czarnym mrokiem rozpościerał się podłużny kształt, jakaś różano — czerwona przestrzeń. Otwierało się wejście do kolejnej, monstrualnej sali.

— Nie wolno mi iść dalej — wyjaśniła Shesat.

— Dlaczego?

— To centralne miejsce. Dopóki tam nie służę, nie wolno mi wchodzić.

— Co tam się znajduje?

— Sala Nuit. I Shesat wskazała w górę.

Anna spojrzała. To co zobaczyła, było zdumiewające.

Sufit był olbrzymią żelazną blachą, przedstawiającą wypukły wizerunek Nuit, bogini początku na niebie. Bogini wyglądała na Egipcjanę czystej krwi; twarz pokazana z profilu była czarna, lecz na czole Nuit lśniła złota gwiazda. Na piersi widniały złote słońce i złoty księżyc, dysk i sierp spoczywały na jej brzuchu. Olbrzymia postać obwiedziona była złocistymi gwiazdami i, jak w micie, dotykała stopą i ręką ziemi, rozpięta łukiem na niebiosach.

Kolumny ze żłobionego krwawnika wyglądały, dzięki płonącemu światłu, jak wielkie

czerwone świece i miały swe przedłużenie w lśniącej posadzce. Obok odbijały się i iskrzyły kwiaty stojące na podłodze. Czy były z minerałów? Możliwe. Zielony jaspis, błękitne szkło, mleczny kryształ...

Wszystko razem grało jak punkciki ognia, jak morze świetlików. Anna znów podniosła wzrok na Nuit wygiętą w łuk. Złote światło lejące się z jej brzucha; to gwiazdy.

— Musisz iść dalej — powiedziała Shesat.

Żeglowanie jednak po tym płonącym bezmiarze wydało jej się straszne. W cieniu za filarami coś stało i obserwowało ją. Anna nie ruszała się.

— Ona czeka — powiedziała Shesat.

— Kto?

— Matka.

Po tym Shesat odwróciła się i odeszła w ciemność przedsionka. Były tylko dwie możliwości — stać nieruchomo albo iść naprzód.

Anna zaczęła posuwać się drogą z refleksów i świateł, przypominającą rzekę. Nie, to nie było jak na planie filmowym. Kroczyła ponad klejnotami, a one wysuwały się jakby w górę i mrugały jak tysiące oczu. Kolumny — świece były ogromne.

Sześć albo siedem osób mogłoby je objąć wzięwszy się za ręce.

Odbicie Anny prześlizgnęło się pod nią. Wśród kolumn zobaczyła posągi starych bogów.

Grupy z czarnego granitu, Izis w koronie z księżycem, Ozyrysa z diademem z trzcin, dziecko z głową jastrzębia, Horusa na biodrze jego matki. Dalej byli Nepphyts i Set. Ten ostatni dźwigał łeb wieprza; czerwone światło migotało na nim wilgotnie.

Byli i inni, których nie umiała rozpoznać. Jedni prymitywni, drudzy antycznie piękni.

Pokazały się także bestie; asyryjski lew, kobra. A w jaskini czerni przycupnął grecki sfinks, żółtobiały jak kość. Pierś miał strzaskaną, ale szponiaste łapy całe.

Sala ciągnęła się bez końca.

Pod lędźwiami Nuit Anna minęła boga cmentarzysk, Sokara. Jego sokoła głowa była z gruba ciosana, odmienna od delikatnej głowy dziecka–Horusa i zwieńczona skrzydłami owada.

Wreszcie z mroku wynurzyła się Sekhmet, kamienna kobieta ze złotą czarką w dłoni i w złotej masce o kształcie lwiego pyska. Nad Sekhmet była szeroka pusta nisza i ostatnia ciemność, tym razem błękitna.

W pulsującym łonie sali majaczyło odległe okno; akwamarynowe, w kolorze szklanych kwiatów, świecące, lecz ślepe. Biegły do niego schody wydłużające się w nieskończoność, poza zasięg światła. Coś tam siedziało, a teraz poruszyło się na tle błękitnego okna.

Dwa ciemne cienie, ledwo widoczne, przemknęły przez niespójną przestrzeń. Pierwszy zmaterializował się w świetle lamp, nieprawdopodobny jak duch. Był to tygrys–albinos, w pełni wyrośnięty, długości przynajmniej dziesięciu stóp. Miał kremowe futro w brązowe paski, ślepia niebieskie jak okno i szklane kwiaty.

Warknął cicho i miękko; cały zresztą był miękkością. Olbrzymie łapy ukrywały szczelnie pazury, jak u Sfinksa i bogini Sekhmet.

Potem z mroku wynurzyło się drugie, nieco mniejsze zwierzę, lodowobiałe a może raczej mleczne. Paski na grzbiecie tygrysa były wyraźniejsze, prawie czarne. Oczy miały odcień ostrego błękitu.

Anna wyciągnęła przed siebie ręce i pozwoliła, by tygrysy obwąchały je. Głowy zwierząt zbliżyły się do jej piersi. Gdy ją obwąchały, pozwoliła sobie na dotyk. Jaśniejszy odskoczył, cały drżąc. Drugi nie ruszył się; poczuła jego szorstkie, żywe futro. Oddech zwierzęcia pachniał lekko rybą. Mógłby bez trudu odgryźć jej ramię. Na szyi nosił srebrną obrozę wysadzaną ciemnymi szafirami. Mniejszy miał złotą obrozę z czarnymi kamieniami.

Koty odwróciły się od Anny i potruchtały na schody prowadzące do niebieskiego okna. Postać

siedząca tam wyciągnęła ręce i pogłaskała je. Tygrysy położyły się pod krzesłem na którym siedział cień. Postać milczała.

Anna podeszła w jej kierunku. Okno było duże — szerokie na sześć stóp, owalnego kształtu. Po drugiej jego stronie była pewnie lodowcowa pokrywa, a może woda pod lodem — nieruchoma, zimna, nieskończenie pusta.

Cień trwał w opozycji do błękitnego promieniowania i miało się wrażenie jego... boskości. Anna także milczała. Cień, który był kobietą, zmuszał ją do zachowania ciszy.

Na schodach biały ogon stuknął ciężko, raz, dwa razy.

Potem ręce kobiety — blade jak futro tygrysie, przyciemnione tylko obrączką poruszyły się. Płomień zabłysnął między nimi jak błyskawica. Jakże niestosowne, musiała zapalić zapałkę. Jednakże ten gest uczynił wszystko jeszcze bardziej magicznym.

Niska, alabastrowa lampa przesłaniała wijący się płomień. Oświetlił kobietę po prawej stronie, a po lewej był tylko akwamarynowy cień. Tak. Ona była Sekhmet. Kobieta–Sekhmet miała twarz lwicy, niskie szerokie czoło i długi nos, ludzkie gładkie usta, pomalowane przezroczystą czerwienią. Wydłużone brwi były przyciemnione, czarne włosy opadały na ramiona, podcięte na sposób egipski i przystrojone małą złotą zapinką.

Suknia nie miała egipskiego kroju; przylegała ściśle do wiotkiej figury. W głębokim dekolcie w kształcie V zwisał łańcuch jakby z żarzących się węgielków, połączanych i zielonych paciorków z dodatkiem w kształcie skarabeusza ze skrzydełkami ze zmatowiałej czerni i złota. Kobieta oglądała Annę w pełnym świetle. Sprawiała, że światło oświetlało dziewczynę, ją pozostawiając niewidoczną. W półmroku paznokcie wydawały się opalowoczerwone. Czyżby pazury Sekhmet zanurzone były we krwi? A granat na jej wargach?

Postać przemówiła.

Jej głos był niski i posępny, matowy, ciemny.

— Ty jesteś Anna. Ale on dał tobie nowe imię. Czy ci powiedziano? Ankhet Persephone.

Dziecko życia — ukradzione i sprowadzone w dół do podziemnego świata.

— Nazwano mnie Anną.

— Tak już dłużej nie będzie.

— Właśnie, że tak.

— Jesteś krnąbrna — powiedziała kobieta. — Jemu będzie się to podobało. A może jesteś tylko przestraszona?

— Oczywiście — powiedziała Anna. — Każdy byłby na moim miejscu.

— Naprawdę? Zapomniałam co to strach. Cóż to takiego?

Anna nic nie powiedziała, a kobieta nadal jej się przyglądała. Była piękna w ten sam sposób jak jej wisiołek. Bez skazy i niedotykalna. Była może twarda, albo chciała zrobić takie wrażenie

— krucha pod spizową powłoką.

— Nazwali ciebie matką — powiedziała Anna.

— A to są moje dzieci — odparła kobieta. Wskazała na dwa tygrysy. — Wiesz dobrze, jak długo możemy żyć.

— Wiem?

— Oczywiście. Czasami ginimy i powracamy. Tak jak ty to uczyniłaś.

Anna pochyliła głowę.

— Zakłopotana reinkarnacją? — spytała kobieta. I zaraz ciągnęła dalej. — Najwyraźniej jesteśmy nieprzyzwoite. Nasz rodzaj. A ty najstarsza. Ankhet, Ankhet Persephone. Czy nie pamiętasz?

— Ale dlaczego nie mówisz starożytnym egipskim? — zapytała Anna.

— Językami semickimi albo średniowiecznym rosyjskim, francuskim z XVIII wieku?

Zapomniałam je wszystkie. Podobnie zapomina się strach.

— Pamiętam dzieciństwo — mówiła dalej kobieta. — Bawiłam się w mule, a moja siostra przyniosła mi małe kolorowe zwierzątka, które sama zrobiła — hipopotamy i krokodyle.

Pamiętam też trzy rzeki.

Dodała coś w języku, którego Anna nigdy nie słyszała. Był silny, gardłowy jak ostrze noża i zarazem rytm płynącej wody. Kobieta powiedziała w zwykłym angielskim:

— Nauczyliśmy się waszej mowy, obyczajów. Co jeszcze? Na imię mam Lilith. Czy słyszałaś moje imię? Jest demonką z ksiąg babilońskich i hebrajskich... i jeszcze gdzieś, i w alchemii, która powołuje się na moje imię. Są inne wersje tego imienia. Lilith jest chyba najprostszą.

— Czy ja tak ciebie wzywałam? — spytała Anna.

— Tak, ale rzadko się spotykamy.

— Czego chcesz?

— Nic, chociaż... — kobieta o imieniu Lilith spoglądała w dal, za Annę. — On mówi, że ktoś przychodzi do mnie. Jedno z tych dzieci. On mi to powiedział. Może jednak kłamał. Chłopak jest dla niego, i ty jesteś dla niego.

— Dla kogo? Kim on jest?

— To mój pan — powiedziała Lilith. Nieruchomy uśmiech uniósł łuk jej warg, ale tylko troszkę. Zapomniała chyba, czym jest uśmiech, a to był nagły odruch. — On już ciebie dostrzega, ogląda. Zwróci się do ciebie, kiedy będzie chciał. Tak jak Bóg — zniecka. Tak. Masz wszelkie powody, by się obawiać.

— Tego człowieka zwał Kayem.

Lilith zaśmiała się głośno. Chłodny mechaniczny dźwięk. Kremowy tygrys podniósł się, a ona położyła rękę z pierścieniem na jego gęsto porośniętym łbie. Zanurzyła palce w tygrysie futro.

— Czy chłopiec tak go nazywał? Cóż, on ma wiele imion. Kiedyś był faraonem, czy to robi na tobie wrażenie?

— Nie wierzę, by to była prawda.

— Tak. Czarnoksiężnik i faraon. Czyni noc. Sprowadza ciemność i zgubę. Ma czarny kamień w swoim apartamencie. Na nim jest wyryta inskrypcja w starożytnej łacinie. *Tenebrae sum*.

Czego cię nauczyli? Czy rozumiesz to?

— Wiem, co to znaczy.

Lilith poruszyła się, szepnięcie, skuliła się jak grecki sfinks.

— Wobec tego co to znaczy? Powiedz.

— Ja, Ciemność — powiedziała wolno Anna.

— To o nim — odczekała. — Lub o nas wszystkich. Co pamiętasz, Anno—Ankhet?

— Nic?

— Ile masz lat?

— Nie wiem. Siedemnaście.

— Nie. Dwa lata. Obserwował cię na długo przedtem, zanim zostałaś zabrana. Zanim się urodziłaś. On wie o tobie wszystko.

— Wie, kim jestem? Kim naprawdę jestem?

— Może nie. Wiele jednak na to wskazuje. A ty jesteś taka mała i smukła. Będzie z ciebie zadowolony. Chodzi o jego wzrost, rozumiesz. On żyje tak długo. Kiedyś był wysoki, dużo wyższy...

W pozbawionym błękitu oknie nastąpiło jakieś poruszenie. Lilith odwróciła się od Anny, by zobaczyć co się dzieje.

Coś przemknęło przez jaskrawoniebieskie, bezduszne oko tygrysie. Ale Anna nie mogła pojąć co.

— Siadam tutaj bardzo często — powiedziała Lilith. — Płyną miesiące. Ale dzisiaj coś przepłynęło przez wodę. Ryba, foka lub coś straszego. Na twoją cześć, jak myślisz?

— Dlaczego on sprowadził mnie tutaj?

— A co ty o tym myślisz?

Anna zastanowiła się. To samo przydarzyło się jej matce — Rachaeli. To samo. Odgadła niemal natychmiast. Nic nie powiedziała.

Lilith powstała. Możliwe, że była wysoka, ale wrażenie mogło zostać wywołane przez światło albo perspektywę. Zeszła po schodach i minęła Annę jak nocny powiew bryzy, a dwa tygrysy kroczyły za nią w swoich kołnierzach ze srebra i złota.

— Zostań albo idź, jak chcesz — powiedziała Lilith.

— Nie wiem, jak odnaleźć drogę — odpowiedziała Anna.

— Wobec tego zostań, to jest serce jego świata.

Światło lampy okryło Lilith; poruszała się w lwiej boskości, promień złota wylał się na nią jak podmuch.

Anna weszła po schodach i obejrzała czarne krzesło z lwimi poręczami, na którym siedziała Lilith. Jej niedawną obecność znaczył zapach perfum — dymny, zmatowiały, wytrawny jak niektóre wina. Nic nie istniało w błękicie okna.

Kilkanaście następnych dni upłynęło Annie w jej mieszkaniu — tak nazywała pomieszczenie, które jej wyznaczono. Pokój uderzał ją ponurą prostotą.

Wracając na dół z alkowy Lilith i przez salę kwiatów — klejnotów, Anna dostrzegła Mesit.

Czekała widocznie na moment, gdy dziewczyna będzie wracać. Mesit zaprowadziła ją z powrotem do mieszkania.

I wszystko było tak samo. Uderzająco tak samo.

Posiłki pojawiały się trzy razy dziennie, jak w dobrze uporządkowanym gospodarstwie domowym. Dom Rachaeli i Althene był w stanie funkcjonować w ten sposób pod opieką Elizabeth. W dniach, kiedy Elizabeth nie było, tak się nie działo.

Tu posiłki były zachodnie i... proste. Kurczak, ryba, warzywa, ciasto, chleb. Niekiedy ziemniaki. Kawa i herbata. I, teraz zawsze, kieliszek czerwonego wina w połowie i na końcu posiłku. Anna została uznana za osobę dorosłą.

Pojawiły się także książki. Przynieśli je służący, którym towarzyszyła jedna z kobiet. Książki były zapakowane w pudełka wypchane słomą. Najwyraźniej odwijanie ich sprawiało Annie przyjemność. W większości były to powieści, współczesne powieści z różnych czasów. Żadnych prac historycznych. Było też kilka tomów o zwierzętach. Lwach i słoniach, a także lisach.

Niektóre z nich były duplikatami książek jakie Anna miała w Anglii. Kiedy poprosiła o muzykę, Shesat nic nie powiedziała, tak jakby ograniczenia były uzgodnione z góry. O tym, kiedy jest poranek, a kiedy wieczór, dowiadywała się tylko z kąpieli.

Zachowywały się z dystansem. Tylko raz, kiedy flakonik z mydłem wysunął się z rąk Mesit a Anna złapała go, kobiety zaśmiały się. Kiedy jednak Anna się nie śmiała, one też wstrzymywały się.

Codziennie przynosiły świeże ubrania; bielizna i suknie były identyczne. Wszystkie staniki i majtki miały paryskie marki. Suknie pozbawione były naszywek, ale miały zamki błyskawiczne.

Czwartego wieczoru Anna zaznaczyła swoją sukienkę drobnym nacięciem. Dali jej nożyczki do paznokci i inne akcesoria. Dwa dni później ubranie do niej powróciło. Suknie więc nie były w nieskończonej liczbie.

Niekiedy Anna wędrowała najbliższym korytarzem, przechodząc obok ciemnego, kamiennego strażnika, na dziedziniec z czterema różnymi postaciami. Shesat powiedziała jej, że te figury przedstawiały Ba — styet, Anpu, Herkulesa i Astarte. Spodziewała się, że w basenie będą pływały ryby, ale żadnej nie widziała.

Nie zakazywano jej wychodzenia na dwór, spacerów. Mogła się zgubić, więc nie robiła tego.

Pewnego dnia, po południowym posiłku, Anna była na dziedzińcu; przyprowadzono także

chłopca, Andrew.

— Hello — przywitał się zwyczajnie Andrew.

— Gdzie byłeś? — spytała.

— Z wujkiem — powiedział Andrew (czy to było jeszcze jego imię?). Śmiesznie lub żłowieszczo, Andrew ubrany był w stylu piramidy wujka Kaya. Nosił ściśle przylegającą do ciała bluzę z brązowego materiału i białą spódniczkę, opasaną złotem. Na piersi miał złotą kryzę. Na ogolonej głowie, po prawej stronie pozostały kępki ciemnych włosów, z wplecionym złotym pasemkiem.

Był teraz małym księciem — być może synem Ramzesa, z *Dziesięciu Komendantów*. Nie wydawał się rozczarowany albo uradowany takim ubraniem. Nie zauważał go jakby.

Był „z wujkiem”.

— Jak wygląda twój wujek? — powiedziała Anna.

— Och, on jest niesamowity — powiedział Andrew z najbardziej południowolondyńskim akcentem.

Potem, już znudzony dziewczyną, poszedł sobie — służący wpuścił go przez drzwi.

Czy Andrew ciągle myślał, że mamusia przyjedzie? Może już się tym nie przejmował.

Anna przyglądała się opaleniźnie chłopca. Potem, gdy wróciła do swojego mieszkania, zaczęła poszukiwać tajemniczych otworów. Kay podglądał ją i podglądał, zanim jeszcze się urodziła.

Zaciekawiło jato.

Rachaela została zabrana przez Skarabeidów do ich domu; sprowadzono ją dla kogoś zwanego Adamusem. Tam poczęła dziecko Adamusa — tak zaplanowano.

Anna nie przypominała sobie, żeby Rachaela lub Ałthene mówiły o tym. Jakoś, mimo wszystko, Ruth rzucała cień na dzieciństwo Anny. Ruth i uwiedzenie Rachaeli przez pierwszego mężczyznę z rodu Skarabeidów.

Adamus był pierwszy, Althene druga. Trzecim jest Malach, ten nieznany, którego włosy są białe jak u Anny. Czwarty dopiero nadszedł. Podglądacz. Ciemność.

Postawiła hebanowe krzesło pod ścianą i przeszukiwała cal po calu scenki z myśliwymi i trzciniami, namalowane na niej. W którym miejscu mogło spoglądać oko?

Sprawa była prosta, więc i odnalezienie dziury powinno być proste. Wreszcie dotarło do niej, gdy jeszcze stała na krześle: on tam był z nią w pokoju. Wtedy się odwróciła i spojrzała na pokój ze swojej perspektywy. Człowiek, który sprowadził ją tutaj stał całkiem nieruchomo.

* * *

Anna zeskoczyła na dół lekko jak kot. Wysokość nie grała żadnej roli. Chciała mocno stanąć na nogach.

Stojąc na podłodze odkryła, że jest wyższa niż Lilith. Ale nie za bardzo, tylko kilka cali.

On zbudowany był szeroko jak na jego wzrost, ale sylwetkę miał zwartą, krępą. Nosił długą czarną tunikę sięgającą kostek. Wszystko było na nim proste, nawet pasek podtrzymujący materiał wokół talii — skóra ze sprzączką z matowego srebra.

Włosy czarne jak noc, gęste i z połyskiem na kosmykach okalały twarz, spadając na plecy poniżej pasa.

Spod włosów wyzierała twarz na wyniosłej szyi. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Skórę i mięśnie miał naprężone jak u znacznie młodszego mężczyzny.

Nos był krótki a usta szerokie; wysokie czoło przypominało otwartą książkę. Oczy władały twarzą. Były wielkie i lśniące jak szlachetne kamienie w oprawie. Niebieskie jak oczy tygrysiich dzieci Lilith. Mógł być ich ojcem. On był także tygrysem. Czarnym tygrysem — esencją jakiejś starożytnej nocy.

On był rdzeniem i podstawą rzeczy starych i nowych, które tworzyły ten podziemny świat.

Grecki sfinks, którego chciał zobaczyć Aleksander, był dzieckiem w porównaniu z nim. A

krzesło hebanowe ukształtowane w jakimś sprytnym warsztacie w 1920 albo 1970 roku... było przez niego podrapane, wysiedziane.

Wszystkie czasy i ponadczasowość. Ta kobieta też nosiła zamię wieczności, ale była pozbawiona ruchu, jakby zamrożona. Była cudownym pajakiem tkwiącym na zawsze w pajęczynie snów. Ale czy on śnił sen o wieczności, czy też może żył w niej?

Szerokie usta poruszyły się w łagodnym, przyjacielskim uśmiechu. Był bardzo czarujący, prawie niewinny. Przemówił do niej.

Miał tak czarujący głos z charakterystycznym zaciniem się, jak gdyby myśl była zawarta w każdym słowie.

— Anno — powiedział. Nie Ankhnet, choć nakazał, żeby wszyscy pozostali mówili tylko tak.

A potem:

— Przyniosłem ci podarunek.

I widziała, jak wyciąga ku niej piękny puchar z niebieskiego nefrytu. Miał zręczne ręce rzemieślnika.

Stojąca postać dziewczyny w stylu egipskim stanowiła nóżkę tego pucharu. Po obu stronach wyrastały z misy głowy kaczek, a brzeg kielicha był cięty we wzór liści.

Nie wzięła go.

— Dla ciebie — powiedział. — Jest bardzo stary i dość cenny. Spójrz, zostawię go dla ciebie tutaj. — I postawił na stole.

Nie wydawał się niecierpliwy, nieuprzejmy, zdziwiony czy rozbawiony. Nie było w nim nic groźnego. Potem powiedział:

— Mam na imię Cain.

Kiedy to uczynił, potężny, lecz zupełnie cichy i pozbawiony echa grom przebiegł przez pokój i przez ciało Anny. Dlaczego? To było tylko imię z Biblii. To dlatego Skarabeusz wydał jej się

całkiem stroniczy.

— Mały chłopiec powiedział, że nazywasz się Kay — odpowiedziała Anna.

— Tak, ale on nie rozumiał.

— Ja mam za to oczekiwać, że nazywać mnie będą Ankiet–Persphone. Ty jednak tak mnie nie zwołałeś.

— Nie musiałem. Inni muszą. Pod tym imieniem masz być im znana.

— Wolę Anna. To moje imię.

— Wobec tego nazwę cię Anną.

Powiedziała:

— Dziękuję za puchar, mogę go używać?

— Oczywiście. Jest twój.

— Powiedzmy... że go rozbiję — mówiła.

— Przyniosę ci inny, ale nie będzie taki sam.

Anna podeszła do krzesła i usiadła.

On nadal stał, najwyraźniej całkowicie rozluźniony. Lecz oczywiście, jeśli on żył tak długo, był przyzwyczajony do tych wszystkich rzeczy — życia i śmierci, troski i wściekłości, miłości siedzącej i powstającej.

Powiedziała cicho:

— Nie pozwolisz mi odejść.

— Czy tak rozpaczliwie chcesz wyjechać?

— Czuję się jak więzień.

— Jesteś moim gościem.

— Sprowadzono mnie tutaj dla ciebie — powiedziała.

— Byś była moją radością — powiedział. — I już nią jesteś.

Spuściła oczy.

Potem usłyszała go mówiącego jakiś poemat dla niej. Wahanie w głosie Caina było aż nadto wyraźne. Mógł przekładać na angielski z języka, w którym myślał.

— *Jest jedna wśród miliona.*

Jej piękność jest większa. Spójrz, jest jak gwiazda wschodząca w dzień święta. Paląco biała jasność skóry; z pięknymi oczami, by patrzyła i z wargami jak owoce. Wargami przeznaczonymi do rozmów i pocałunków.

Anna zarumieniła się.

Przestraszyło ją to.

Czuła galop krwi w swoim ciele.

— Jak ogień unoszący się w alabastrze. Myślę, że jesteś ukochana. Myślę, że jesteś najukochańszą kobietą na świecie, Anno. Ale ja już tak myślałem wcześniej.

Zamarła w niej krew. Pobladła.

Patrzyła wprost na niego, w niebieskość jego oczu, które obiecywały wszystko i niczego nie odsłaniały, jak powierzchnia rozległego morza.

— To jest sprawka Skarabeidów, nieprawda? Żyjemy przez setki lat albo powracamy reinkarnując się.

— Jesteś tutaj — powiedział podobnie jak ona, do siebie.

— Kim byłam?

— Sobą.

— Czy byłam więc tą inną Ruth?

— Och, ta mała morderczyni — powiedział. — Sekhmet, Pani Czasu, przynosząca ogień.

Gdybyś była nią, nie przeszkadzałoby mi to.

— Nie pamiętam — powiedziała.

— Pamiętaj o innych rzeczach. Tutaj to będzie proste.

— Ale jeśli to prawda, jeśli byłam Ruth? Będę musiała znów zacząć tutaj.

— Nie — powiedział. — Ruth była dużym błędem. Kobieta szalona z bólu zasztyletowała Ruth i pozostawiła ją w ciemnym, mokrym lesie.

— A Malach? — zapytała Anna. Nie wiedziała, dlaczego wymieniła to imię. A może sprawdzała go.

Ale Cain, pan góry i bóg Hadesu zmarszczył brwi przez jedną sekundę. Powiedział potem miękko, jakby musnął ją pukiel włosów:

— Zapomnij o Malachu. On jest przeszłością.

— Więc opowiedz mi o nim.

— Nie, Anno. Nigdy. Teraz musisz skupić się na mnie — Cain uśmiechnął się ponownie.

ROZDZIAŁ 24

Miranda wpatrywała się w skupieniu w rozpadającego się na kawałki potwora. Szczyrzył długie na cal zęby, ociekające krwią. Zaśmiała się miękko, gardłowo, ale pod wełnianym płaszczem zadrżała. Nie ze strachu. Delikatne światełka mrugały i nieciły efektowne ognie na maleńkim drzewku postawionym na kontuarze. Właściciel „Bonanza Videos” dobrze poradził sobie z bożonarodzeniową choinką.

Grubawy młody człowiek podążył za Mirandą w głąb lokalu.

— To jest całkiem, całkiem. Tylko zakończenie ma słabe.

— Dlaczego? — Miranda była zaskoczona.

— Wysadzają go dynamitem. Tego nie da się zrobić z wampirem.

— Nie?

— No, daj spokój. Przecież znasz się na tym, tak jak ja. To musi być kołek albo ogień...?

Miranda spuściła oczy. Długie czarne rzęsy, pokryte tuszem marki Boots nr 7 (firma

deklarowała, że nie testuje swych wyrobów na zwierzętach), rzuciły cień na policzki.

Nie była już dziewczyną, a przynajmniej nie wyglądała na to. Chłopak pomyślał, że może mieć czterdziestkę, ale jest bardzo seksowna. A przy tym tajemnicza.

Zostawiał dla niej filmy o wampirach. Przepadała za nimi. Byłaby dobra w jednym z nich, niechby do tego doszło. Czarne włosy do ramion, z siwym pasmem. Ciemna bielizna, bardzo czerwone paznokcie i białe zęby.

Miała na imię Miranda, sama mu powiedziała. Flirtowała z nim, a wtedy nie czuł się gruby.

Czuł się kimś.

— Cóż, wezmę go pomimo wszystko. I ten, który dla mnie zostawiłeś.

Wrócili do kontuaru. Powtórzył nie pierwszy raz:

— Założę się, że jesteś aktorką. Zaprzeczyła.

Ma bogatego męża, pomyślał. Samotna? Nie, nie miałby aż takiego szczęścia. Była taka opanowana, spokojna, spełniona. Jak kobieta w ciąży... z samą sobą.

Przy kontuarze stał szczupły młodzieniec, miłośnik filmów dokumentalnych o przyrodzie i podróżach. Grubasek nigdy nie lubił tego ciemnookiego człowieka. Teraz spostrzegł, że chudy młodzieniec zerka na Mirandę.

— Dzień dobry panu. Czy podobał się panu film o Indiach?

— Tak — odpowiedział chudy. — Zawsze jednak przeszkadzają mi te okropne amerykańskie komentarze.

— Wyłączyłem już dźwięk.

Miranda wyjęła kilka funtowych monet z kieszeni eleganckiego płaszcza. Nie miała torebki, choć jej skórzane buty były nieskazitelne.

Godzinę wcześniej była w sercu miasta. Popijała tam koktajl z szampana w posępnym, eleganckim hotelu. Grało pianino, a Miranda wychylała kolejne drinki, za które płaciła sięgając

do kieszeni.

Nie lubiła torebek. Przeszkadzały jej. Lubiła za to skrzyżować przed sobą długie nogi w pantoflach koloru rdzy i pończochach z lycry o czerwonym połysku.

Mężczyźni zauważali Mirandę. Gdy stała w chłodzie na Trafalgar Square, pewien elegancki Hindus podszedł do niej. Przewyższała go o głowę, a on błyskał coraz to złotym zębem.

Zaproponował mieszkanie w Knightsbridge. Odmówiła z uwodzicielskim uśmiechem.

Taksówka przywiozła ją z powrotem na przedmieście Londynu, ale nie była jeszcze gotowa, by wrócić do nich, do domu.

Czuła się teraz taka młoda. Czyż nie była figlarna, zalotna? Widziała już wcześniej tego chudego chłopaka. Taki cichy, zatopiony w nauce. Wyobrażała go sobie w ciemnej wieży, otoczonego książkami. Był przystojny, bez wątpienia.

Wzięła kasety w szczupłe, blade dłonie. Manicure, tak, lecz paznokcie pozostały bez lakieru, upiękzone jedynie pierścionkami. Jeden z nich pamiętał dwory XVI-wiecznych Włoch.

Filmy o wampirach oglądała potajemnie w swoim pokoju. To było porno. Bawiły ją. Jeszcze nie dorosła do działania. Nie była jeszcze gotowa. Chociaż...

— Przepraszam — odezwał się szczupły młodzieniec w drzwiach. — Upuściła pani to.

— Czyżby? — wiedziała, że nie. To była dwudziestopensowa moneta.

Miranda miała przy sobie tylko banknoty, co najmniej funty. Drobniejsze wyrzucała.

Pomyślała, że jest skąpy, albo przezorny. Nie straciłby na nią więcej.

— Tak, widziałem jak to upadło. Drobiazg — przyznał — ale wszystko się sumuje.

— Rzeczywiście — przyjęła monetę. Przytrzymał jej drzwi.

Miranda wyszła na zimną, jakby kruchą ulicę. Fiołkoworóżowy zachód słońca kładł się na dachach domów, cienki jak szkło. Pasował do niej.

— Idzie pani w tę stronę? Ja też.

Znowu kłamie — pomyślała Miranda. — Jakie to śmieszne.

Wędrowali wzdłuż domów, w kierunku placu. Obszerne budynki z szerokim drewnianym oszalowaniem wynurzały się nad rozległymi trawnikami, powoli szarzejąc. Błysnęło gdzieś oświetlone okno.

— O, tamten dom — wskazał — uprawiam ich ogród.

— Och, jest pan ogrodnikiem. Jezus też był uważany za ogrodnika, pomyślała zaraz.

— Mam na imię Sam — to była jedyna odpowiedź.

— Tak? A ja Miranda.

— Mieszkasz w tym wielkim domu, prawda? Fantastyczny budynek z witrażami w oknach.

— Tak.

— Widziałem kiedyś, jak stamtąd wychodziłaś.

— Tak?

— Wspaniała architektura.

Uśmiechnęła się. Czy aby nie myśli w tym momencie o mnie?

Szedł obok niej. Pomyślała: czy jestem już gotowa? Wiedziała, że jeszcze nie.

Piękny dom ukazał się na zboczu, na tle dzikich drzew. Za nim niebo zaczynało już płonąć.

— Wygląda jak z filmu — stwierdził chudy chłopak.

— Doprawdy?

— Nie przypuszczam, byś potrzebowała kogoś do ogrodu... A jestem dobry. I nie przepłacisz, bo nie wyrzucam forsy na podatek.

— Ile masz lat? — spytała Miranda.

Spojrzał na nią ukradkiem, a może nieśmiało.

— Dwadzieścia trzy.

Pomyślała, że sama wkrótce będzie miała dwadzieścia trzy.

— Może rzeczywiście potrzebujemy kogoś do ogrodu — powiedziała. Cichą drogą dotarli do podjazdu. A tam, przed frontem domu stał wspaniały motor, harley, czarny i mocny jak rzeźba. Mężczyzna stojący obok maszyny wyprostował się. Miał włosy czarne jak smoła, związane z tyłu. Mocny jak jego pojazd, z potężnie umięśnionym brzuchem i ciałem napiętym wydawał się twardy jak stal.

— Kto to? — spytała. Towarzyszący jej młody mężczyzna spojrzał pytająco, nagle przygasły. A wtedy ten drugi przemówił z cienia harleya.

— Nie będziesz mnie pewnie pamiętać. Byłem z twoim Camillem, ale teraz już nie jesteśmy razem.

Z cienia dobiegło miękkie, ciche warknięcie.

— Connor — odezwała się Miranda. — I Viv.

* * *

Usiedli w złotobiałym pokoju — Miranda, Connor i Viv — popijając różowe wino marki Alsace. Nie było nikogo oprócz starszawego mężczyzny, którego Connor pamiętał z poprzedniej wizyty. Ten przyniósł dwie butelki i zniknął. Chłopak, który towarzyszył Mirandzie rozpląnął się w mroku jak młody wilk. Connor dosłyszał tylko słowa ogród i jutro, ale właściwie nie był tym zainteresowany. Czy chłopak był kochankiem Mirandy? Może. Connor nie poświęcił mu dalszej uwagi; z pewnością miałaby lepszy gust.

Miranda miała teraz włosy krótsze i ciemniejsze; była też zdecydowanie młodsza, co go nie zaskoczyło. Bardziej zainteresowała go nowa fryzura.

Nie powiedziała mu wiele. Camilla nie było w domu od dawna. Tego dowiedział się wcześniej od starszej kobiety, która otworzyła drzwi. To była Cheta? Miranda zawołała starszego mężczyznę, już nie Michaela. Pozostali domownicy, których Connor zapamiętał — Erie, Sasha i ta głupiutka, ładna dziewczyna... Tray — byli nieobecni. On oczywiście także odszedł. Malach,

białowłosy ojciec Camilla.

— Ale ty jesteś sam — zauważyła Miranda, gdy kończyli pierwszą butelkę.

— Tak. Jestem sam.

Odpadli od Connora przy bocznej drodze. Nie, to niezupełnie prawda. Tylko jeden. Pozostali rozproszyli się. Red odeszła pierwsza, do swego faceta z pubu, Marka. Miała pomagać mu w badaniach, czy coś w tym rodzaju. Taką wymówką ludzie zasłaniają się, gdy nie podjęli jeszcze decyzji, że będą razem. Basher udał się gdzieś w mniej tajemniczym celu, podobnie jak Josie, Cathy i Rats. Shiva powrócił do matki; jego hinduski ojciec zmarł, a europejska matka została sama z trzema córkami. Stał się więc głową rodziny. Nie wydawał się tym zrażony.

— Ożenię się — powiedział w końcu. — Chciałbym uczynić jakąś dziewczynę szczęśliwą.

Moja matka jest naprawdę prawowierna, choć uznaje wszystkie obrządki i święta.

Pig odszedł. I Whisper też. Cardiff powrócił z kolei. A ta noc na północnych wzgórzach... rozmyślał dalej.

— Widzisz, z jego nogą nie było zbyt dobrze — wyjaśnił Connor. — Po złamaniu nie jeździł miesiącami. Może z nami jest tak jak z końmi? Musisz być na jakiejś wodzy.

Otworzyli nową butelkę. Miranda siedziała w fiołkowej sukience zasłuchana i bardzo spokojna.

Connor opowiedział o ich wielkiej wędrówce w wilgoci i czerni nocy. I o tym, jak Cardiff pełen piwa, głośno pierdząc (o czym Connor nie zdawał relacji) ścigał widmo motocyklisty wprost w śliską ciemność.

Jechali za nim i jakby w lustrze czy dziwnie oświetlonej szybie — złudzenie, igraszka wyobraźni — Connor spostrzegł Cardiffa biorącego zakręt jak straceńczy woźnica rydwanu. W chwilę później zobaczył go na motocyklu w wysokim locie, przed upadkiem.

Uderzył maszyną w drzewo, wbijając się w pień głową. Potem motor się obrócił i legł na

drodze.

Connor i Owi ruszyli do Cardiffa, zsiadli z motorów i stanęli nad nim. I wtedy zobaczyli, że choć kask ochronił czaszkę, głowa była prawie oderwana od ciała. Nie żył już, choć jego ciało wydało z siebie pożegnalny zew — cudowny i okropny w nagle ucichłej nocy.

Wtedy pies Meato, który jeszcze z nimi był, zawył ostro, dojmująco. Viv zachowała milczenie. Ray bąknął coś o policji. Pozostali zignorowali to.

Przenieśli okaleczone ciało Cardiffa i to, co zostało z jego motocykla za samotne wzgórze, pod starą latarnię morską. Tam spalili Cardiffa i motor. Płomienie buchały w niebo i śpiewały do wtóru trzaskającym kościom.

Tydzień później Connor i Owi pojechali do domu babci Cardiffa w Birmingham i dali jej rzeczy wnuka, które udało się uratować z katastrofy i wyczyścić.

Nie płakała. Stara kobieta o suchych oczach widziała takie rzeczy co najmniej dwa razy.

Powiedziała, że mili z nich chłopcy, że pofatygowali się do niej. Zupełnie tak, jakby Cardiff został zatrzymany po lekcjach. Poczęstowała ich smolistą herbatą i plackiem ze śliwkami, które wmusili w siebie. Poczęstunek jako czuwanie przy zwłokach. Frontowy pokój staroświeckiego domku z tarasem, który przetrwał wojnę i ciężko chorego męża, stał teraz niemy w obliczu cienia umierającego Cardiffa i jego ostatniego pierdnięcia, o którym nie wspomniano. Miranda westchnęła.

— Taniec śmierci — powiedział Connor.

— Przykro mi — odezwała się Miranda.

Camillo wzgardził nimi za bycie rodziną. Teraz Miranda połączyła się z osieroconym Connorem w jego cierpieniu. Wypili.

— Muszę wyjść — powiedział Connor wstając.

Żałował, że nie może znów jej zaproponować, by z nim pojechała, ale przecież rozmawiali o

tym jak umierają motocykliści.

— Wpadnij, gdy będziesz tędy przejeżdżał — powiedziała kobieta. Ot, głupia formułka, która dała mu jednak nadzieję.

— Wyjeżdżam do Szkocji. Wiosną... nie będziesz mnie chciała.

— Cóż, musisz spróbować i przekonać się.

Viv wylizała resztki swojego wina z miseczki, która może była jakimś cennym chińskim eksponatem. Uśmiechnęła się po psiemu do Mirandy, a ta podniosła ją do góry nie zważając na drogą sukienkę i pocałowała w czoło, między stojącym a oklapłym uszkiem.

— Dobranoc — powiedział Connor. Chciał uciec od pragnienia pozostania.

Lecz na zewnątrz była noc; świat grożący zniszczeniem i załamaniem. Jak długo jeszcze będą musieli jechać, pić, śpiewać i całować? Cóż, przynajmniej do wiosny.

Gdy zamknęły się drzwi za Connorem i Viv, a harley wystartował z rykiem, Miranda poszła do swego pokoju i zaczęła oglądać wypożyczony film o wampirach.

ROZDZIAŁ 25

Dokładnie w drzwiach... stała Rachaela. Zmieniła się. Włosy były krótsze i blond, a oczy zielonkawe. Nie Rachaela. Spróbował odezwać się do niej, ale imię, które teraz nosiła nie chciało mu przejść przez gardło. Sofie...

— Obudziłeś się? — spytała.

Mówiła po holendersku i przez chwilę nie mógł zrozumieć. Myślał po angielsku. Albo po łacinie. Czasami.

— Johannon — powiedziała. — Odpowiedz mi natychmiast.

— Jestem... tutaj.

— W porządku. Teraz jest pora na twoje lekarstwo. Zapytał, a może spróbował zapytać:

— Czy zachorowałem?

Oczywiście był chory; ból w środku, gdy porwali Annę. Tylko, że to było w Anglii i już wyzdrowiał.

Pomyślał, że nie jest dobrze. Poruszył się lekko i przypomniał sobie czas, gdy był jeszcze Althene. Lecz przyjechał tu jako mężczyzna, by ułatwić sobie zadanie.

— Bus wrócił w południe — poinformowała go Sofie — lecz odesłałam go. Nie potrzebujemy tu Busa, prawda? Wolimy być sami.

Johannon poczuł na swoim męskim, pozbawionym piersi ciele nocną koszulę z czystego jedwabiu. Znaną i zarazem obcą. Z pewnością nie pochodziła z garderoby matki, byłaby na niego za mała. Musiała gdzieś znaleźć jedwabną koszulę nocną na dużą, chudą kobietę.

Odwrócił głowę. Miękkie włosy rozsypały się na poduszce. Ona (on) pachniała perfumami Diora.

— Jak długo? — spytał wyraźnie.

— Och, noc, dzień. Coś ci dałam.

— Wiem, że coś mi dałaś. Czemu?

— Dla twego dobra.

Sofie była szalona, o czym zawsze wiedział. Teraz w tym szaleństwie truła go narkotykiem.

Podeszła bliżej.

— Dałam ci tylko małej zastrzyk. Bus mi kiedyś pokazał. To całkiem niegroźne.

— Co mi dałaś, na litość boską?

— Tylko coś, co pozwoli ci się odprężyć. Całkiem miłe, sama to lubię.

Pokój poruszył się lekko, jak leniwy żaglowiec w okresie bez wiatru. Nie drażnij jej. Nie alarmuj.

— W porządku Sofie. Dobrze spałem.

— Podoba ci się koszula? Zamówiłam trzy czy cztery specjalnie dla ciebie. Wiem, że wolisz

takie ubranie. Pamiętam w starym domu... Tak zwykle się ubierałeś.

— Tak, mamó. Powstrzymywałaś mnie.

— Ale ty, Johannon, byłeś bardzo sprytny jako dziecko. Przekupywałeś służące, one ci pomagały. I paradowałeś po domu w czepku i sukience.

— Tak, mamó.

— Zwykle ostrzegały cię, gdy zamierzałam wyjść ze swoich apartamentów, a wtedy miałeś czas się schować. Tak bardzo chciałeś być dziewczynką — ton Sofie zabrzmiał pieszczotliwie.

— Chociaż biłam cię za to.

Od strony łóżka nie padło ani słowo. Sofie powiedziała uspokajająco:

— Dostaniesz teraz lekarstwo, a potem zatroszczymy się o twoją twarz i paznokcie. Zrobimy cię na bóstwo.

Johannon powstrzymał się od obraźliwych słów. Czy to była zemsta? Czy też tylko szaleństwo?

Sprawdził, jak reaguje jego ciało. Jedynie minimalnie. Poczł nacisk w pęcherzu, zapowiedź bólu.

— Obawiam się, mamó, że potrzebuję udać się do łazienki.

— Nie — odpowiedziała — nie będziemy się tym martwić.

— Ale mogę posiusiać twoje piękne prześcieradła.

— Nie są piękne. I nie dbam o nie.

A więc chciała, by leżał w swym własnym brudzie. Może uda mu się dotrzeć do łazienki, gdy go zostawi. Wydawało się to zadaniem przerastającym jego możliwości.

— Proszę, to dla ciebie — pachniała jakimś słodkim pachnidłem. To pewnie jakiś amerykański prezent od Busa. W dłoni miała mały kieliszek.

— Co to jest, matko?

— Coś pysznego.

— Co? Powiedziała rzeczowo:

— Albo to grzecznie wypijesz, Johannon, albo wstrzyknę ci to między palce u stopy, jak ostatnim razem.

Spróbował wziąć kieliszek, co dałoby mu złudzenie panowania nad sytuacją, ale nie mógł uczynić nic, by szyja i całe ciało były mu posłuszne.

Przystawiła kieliszek do jego warg. Poczował smak wina. Ulał kilka kropel, jakby nie mógł sobie poradzić. I naprawdę nie mógł.

Sofie zachichotała jak mała dziewczynka.

— Wszystko w porządku — powiedziała po angielsku z amerykańskim akcentem. —

Wymieszałam to porządnie.

Położył się z powrotem i czekał, aż euforia pełna strachu prześlizgnie się w ciele, ustępując miejsca fali odrętwiającej obojętności.

Żaglowiec odpłynął, był na morzu.

Sofie przepłynęła nad nim w jasnym powietrzu późnego popołudnia. Może upłynął dzień, a może miesiąc od chwili, gdy znalazł się tutaj po wspólnej kolacji. Wtedy podała mu truciznę w kielichu z czerwonego szkła.

Coś załśniło w ręce Sofie.

— Przypominasz sobie, kiedy po raz pierwszy po to sięgnąłeś? Ten człowiek to przyniósł, prawda? Od Amerykanów. Ten przyrząd usuwał włosy. Sekret. Ale Skarabeusze mogą dostać wszystko. — Pochyliła się jeszcze niżej, tak, że czuł jej diabelskie tchnienia. — Ale teraz mamy tu małą szczecinkę, nieprawdaż? Włosy są na twych rękach, ramionach i nogach, a tego nie lubisz.

— Nic nie szkodzi — powiedział. Musiała usłyszeć.

— Ależ tak. Chcę, byśmy byli szczęśliwi. Mogę cię teraz uszczęśliwić. Spójrz.

W jednej ręce trzymała pędzel pokryty pianą. W drugiej brzytwę zdolną przeciąć szyję.

— Tylko nie kręć się, kochanie.

ROZDZIAŁ 26

Pamiętał hymn, szczególnie znienawidzony przez jego matkę — — ateistkę, choć nie wiedział, gdzie go usłyszała. Słowa były tajemnicze. *Hen, daleko stąd, gdzie miasta nie mają murów jest zielone wzgórze*. Dlaczego mury i wzgórze?

Tutaj było takie wzgórze, zielone i soczyste. Otoczone wysokimi ruinami.

Patrząc na wzgórze Faran pomyślał przelotnie o Cimmie, swojej matce, ale ta myśl była jak świętojański robaczek, pojawiający się nocą. Rozbłysła i znikła.

Dzieci mieszkały w bungalowie z żółtawego gipsu, pod subtropikalnym wzgórzem.

Zaproponowano im wycieczkę w ruiny i Faran pojechał. Mała dziewczynka, Berenice, nie chciała; ona zawsze była smutna.

Chmury czasami przysłaniały szczyt wzgórza; dalsze partie gór wtedy znikały. Zresztą mogło ich tam wcale nie być. Niebo było rozległe, błękitne, a olbrzymie ptaki wisiały na nim jak wycięte z ciemnego papieru.

Berenice powiedziała coś o zaginionych osobach, o zamordowanych ludziach i Faran, zakłopotany, zrozumiał, że miała na myśli Żydów. Cimmie, która była antysemitką, czasami jednak wspominała o prześladowaniach Żydów przez nazistów. Ale Berenice nie miała na myśli Żydów. Mówiła o ludziach z atramentowoczarnymi włosami, obwieszonych złotem, którzy czcili słońce.

Grecki chłopiec wyśmiał ją. Jej angielszczyzna nie była zbyt dobra. Faran kazał mu się zamknąć, Berenice wiedziała mnóstwo rzeczy.

Było ich tylko sześcioro, włączając Farana i Berenice. Wśród pozostałych był Grek i Szwed, a także Kanadyjczyk mówiący po francusku. I jeszcze jedna dziewczyna z Walii.

Nie lubili się właściwie — nie mieli ze sobą nic wspólnego. Ich wiek wahał się między szóstym a dziewiątym rokiem życia. Faran i Kanadyjczyk byli najstarsi. Wszyscy posługiwali się

jakoś angielskim. Berenice, będąc paryżanką, powinna była zaprzyjaźnić się z Kanadyjczykiem, który mówił w jej języku. Tymczasem rozmawiała tylko z Faranem.

To stwarzało odpowiedzialność. Szczerze mówiąc nie chciał kłopotać się o nią. Cały czas rozmyślał o kobiecie z fotografii, którą pokazał mu pan Thorpe przed długą podróżą. Faran już o niej nie śnił. Miał jakiś tam sen, lecz tak chaotyczny, że nie mógł go sobie potem przypomnieć. Czuł w sobie silne podniecenie, prawie przerażające. Nie była jego matką, choć tak w pewnym sensie myślał o niej...

Berenice była tylko przestraszona. Jak zorientował się, jej ojciec nie zachował się przyzwoicie. Nie dość, że idiota, to jeszcze zimny i szorstki. Dziewczynka była nieśmiała, lecz bystra. Miała cudownie chłodne oczy, nakrapiane inkaskim złotem. Wydawało się, że każde z nich wyraża inną myśl.

Teraz jej włosy sięgały do ramion. Myte codziennie, błyszcząły jak jedwab wypełniony światłem.

Dorośli dbali o ich higienę, wygodę, organizowali wycieczki. Urządzali też czasami ciekawe lekcje. Zawsze byli spokojni, skłonni do pomocy i uśmiechnięci. Faran jednak nie lubił ich i nie ufał im. Czuł ponurą złą trwogę. Lecz zaufanie wymaga przyjmowania rzeczy takimi, jakie są.

Poza tym było już za późno. Faran przekonał się, że Cimmie i Wellington nie są warci złamanego centa. Miał zostać zawieszony do kobiety o twarzy lwicy. Kobiety o imieniu Lilith. Wspomnienia o niej odpłynęły. Nie był na nie gotowy. Lecz piękno pierwszej fali snów, jedyne w swoim rodzaju, wprawiało go w drżenie.

Obawiał się w głębi duszy, że biedna, mała Berenice pali się do niego. Ona jednak nie miała żadnych planów związanych z jego osobą.

Faran był jedynym czarnym dzieckiem. Ale poza tym, każde z nich było inne. Nie lubili się nawzajem; jedno wszakże łączyło ich wyraźnie — byli dziećmi przedwcześnie rozwiniętymi.

Byli „starzy”, tkwiący w sztywnych formach, zirytowani, roztargnieni i ironiczni.

Greki był najgorszy. Miał koszmary nocne. Śnił o żołnierzach i bitwach, morderstwach i bojach. Każde z dzieci miało własną sypialnię, lecz szlochanie Christosa czasami budziło wszystkie. Innym razem płakała dziewięcioletnia walijska dziewczynka, Linnet. Szwed, Jan krzyczał po rosyjsku, a Pierre, Kanadyjczyk, cierpiał w ciszy. Berenice milczała w swoim łóżku. Farań tylko raz usłyszał jej szloch; dochodził z ogrodu czy obejścia za domem.

— O co chodzi? Czy tęsknisz za swoją mamą... *maman*?

— Ja... mój kot.

— O, tak. Rozumiem. Jakiej rasy był ten kot?

— Nie, to była tylko zabawka. Ktoś mi go ukradł.

— O cholera! To obrzydliwe — powiedział Farań.

Potem usiłował wyjaśnić Berenice, że kot też będzie za nią tęsknić. A ci, którzy go ukradli, musieli go pewnie potrzebować.

Coś małego, może ptaki albo owady, przelatywało pomiędzy kwiatami. Berenice uspokoiła się.

— Czy myślisz, że jest szczęśliwy? — spytała.

— Zabawki zapominają — powiedział Farań. — Muszą, tak jak zwierzęta.

Może to był jednak błąd. Po tym Berenice zaczęła patrzeć na niego w szczególny, naprzykrzający się, uległy sposób. Ale on czuł żal do niej, że przedkładała zabawkę nad wszystko inne.

Walijka była okropna. Kopała, jeżeli się nie uważało. Nie chciała mówić po angielsku, choć umiała. Dorośli najprawdopodobniej mówili do niej po walijsku.

Wszyscy przebywali tutaj zbyt długo. Farań rozmawiał z jednym z dorosłych, kobietą o czerwonych wargach.

— Kiedy wyjedziemy?

— A czy gdzieś jedziemy? — spytała żywo.

— Wiesz, że tak. My wiemy.

— Skąd wiecie?

Pomyślał wtedy, że tylko ona jedna próbuje traktować ich jak dzieci.

— Wiem, że mam spotkać się z Lilith.

— Aa — powiedziała dziewczyna, wstrzymując oddech. — To jest planowane, ale trzeba trochę poczekać.

Faran popatrzył na nią, podnosząc głowę do góry. Wiedział już, że jest młodsza od niego, choć urodziła się o piętnaście lat wcześniej i była wyższa o dwie stopy.

— Pan Thorpe powiedział mi... — zaczął z uporem.

— Teraz jesteś tutaj — przerwała. — Czy chcesz pójść, zobaczyć świątynię?

— Tak, chętnie. Ale...

— Musisz być cierpliwy — nagle spojrzała na niego z szacunkiem podszytym strachem. —

Proszę, jesteś kimś szczególnym. Ja spełniam tylko rozkazy. Nie wiem, kiedy zostaniesz wezwany. Wiesz, że tutaj jest bardzo zimno.

— Tak, mówili nam na lekcjach, wśród wielu innych ciekawostek.

— Ciesz się słońcem póki możesz. To kraina słońca. Noc trwa całymi tygodniami. Oni lubią ciemność...

— Więc i ja polubię — dodał zgodnie, ale zaraz zapytał: — Kim jest ten człowiek, do którego musimy pójść?

— Señor Cain — powiedziała i zaśmiała się zawstydzona. A Faran poczuł ukłucie zazdrości.

Cain, brzmienie tego imienia sprawiło, że pomyślał o ciemnoskórych mężczyznach z ludu

Kola na górskim szlaku, wysiadających z autobusu. Czy był to rodzaj kalamburu? Cocain,

kokaina, morderczy narkotyk?

Nagle padł cień, chłodny i tajemniczy. Faran odwrócił się — to była tylko Berenice. Musieli dać jej nowego pluszowego kota, którego trzymała teraz ostrożnie w ręku. Była za dorosła na zabawki, ale także zbyt dojrzała jak oni wszyscy, by być dzieckiem.

— Chodź, obejrzymy świątynię słońca, Berenice.

Berenice uniosła pluszowego kota i troskliwie zapytała, czy chciałby obejrzeć świątynię.

— Oni trzymają pumy na smyczach. To znaczy Inkowie. Czy myślisz, że są tam jeszcze?

— Może ich duchy?

— Aha — zaśmiała się, a buzia jej pojaśniała.

Cóż. Skoro Lilith miała señora Caina, Faran miał w zastępstwie Berenice.

ROZDZIAŁ 27

Samolot wylądował. Pozostał na ziemi tylko trzynaście minut. Pilot chciał być jak najdalej od tego miejsca. Po drugiej stronie brunatnego pasa startowego dżungla rozciągała się jak gobelin — zielona, ćwierkająca, bzycząca, elektryzująca, pełna życia. Cętkowane koty i węże, małpy, papugi o długich ogonach. Nic nie było w stanie ich wykorzenić.

Na polu czekał mężczyzna ubrany w strój barwy piasku. Oślepiająco białe włosy tworzyły nad jego głową aureolę. Był nieruchomy jak kamień.

Cykady grały. Wtem dżungla ruszyła. Sześciu mężczyzn wyskoczyło z lesistego gąszczu jak zęby z paszczy smoka. Biegli; zgniózielone sylwetki z cętkami kamuflażu na nieogolonych twarzach stawały się coraz wyraźniejsze.

Przywódca dopadł Malacha.

Miał na imię Brit. Wysoki, potężnie zbudowany, z falą rudych włosów — trzymał przed sobą odbezpieczonego Glocka 17. Przycisnął zaraz lufę do czoła Malacha.

— Dzień dobry — powiedział Malach po angielsku.

— Zamknij się. Kim jesteś?

— Nikim, kogo byś znał.

Najemnik dźgnął lufą i Malach odchylił głowę.

— Pilnuj się. Ręce na pieprzony łeb.

— Nie — odparł Malach.

Do grania cykad dołączył się kolejny dźwięk. Warkot dzipa. Najemnicy, którzy pilnowali pasa, odwrócili głowy. Brit, ten z glockiem, nawet nie spojrział.

— Już jesteś trupem, głupku — uśmiechnął się Malach.

Z pierwszego dzipa wysiadł młody, pulchny mężczyzna z włosami gładko zaczesanymi do tyłu. Był w okularach słonecznych, a elegancki, jedwabny podkoszulek za pięćset dolarów, w który był odziany, naśladował fioletową zieleń dżungli. Kierowca, piękna kobieta w khaki, szła obok niego.

Najemnicy znieruchomieli w oczekiwaniu. Kobieta szła wprost do mężczyzny z glockiem; miała staranny makijaż, a włosy spięte z tyłu, jak u tancerki.

Mocne uderzenie spadło na nieogoloną brodę Brita, aż się zatoczył. Najemnicy cofnęli się.

Do Malacha podszedł pulchny mężczyzna w podkoszulku. Odwrócił się bokiem do lasu i najemników. Skłonił głowę i wyciągnął dłoń. Malach potrząsnął nią. Mężczyzna przemówił po hiszpańsku.

— Pozwoli pan do domu, señor? Mamy chłodne napoje i cudowną whisky, wprost ze Szkocji.

— Nie, dziękuję. Gdzie mój transport?

— Będzie za pięć minut, señor. Mamy małe opóźnienie. Proszę wybaczyć za... zakłócenie.

Kobieta otwarcie przyglądała się Malachowi. Kiedy spotkał jej spojrzenie, uśmiechnęła się.

Malach nie odwzajemnił uśmiechu.

Nadjechał drugi dzip z żołnierzami uzbrojonymi w SA 80. Pierwszy oddział ukrył się na

skraju lasu. Brit wyglądał jak chory, miejsce po uderzeniu znaczyła czerwona pręga. Kobieta miała na ręce pierścione.

Z drugiego dżipa wyskoczył pies i podbiegł do grubaska.

— Chce pan, abyśmy kogoś z panem wysłali, señor?

— Nie, tylko dajcie mi transport.

— Señor, mamy kłopot. Ale jesteśmy ludźmi honoru.

Malach zerknął na kobietę.

— Jeśli pan sobie życzy, señor, to proszę bardzo — powiedział zaraz grubasek.

— Nie, dziękuję.

Kobieta zmarszczyła brwi. Była bardzo piękna, złocista, silna jak jaguar.

Poszła za swym panem z powrotem do samochodu. Pies pobiegł za nimi.

Młodzieniec wytarł pot ze swej pulchnej twarzy. Zapytał po angielsku:

— Nie wiesz, dlaczego tak trzeba? Co, Rosa?

— Nie.

— Bo to Skarabeidzi — oznajmił.

Twarz Rosy pod urodą i makijażem spłaszczyła się jak wyprasowany papier. Oblizała wargi i wskoczyła na miejsce kierowcy, gotowa do odjazdu.

ROZDZIAŁ 28

Kobiety weszły. Nie były to jej dotychczasowe służebne — Shesat i Mesit. W każdym razie gestami wskazały, że są do dyspozycji. Czyżby nie mówiły po angielsku? Anna przyzwoliła; nic innego nie pozostało jej do zrobienia. Wiedziała po co to było. Powiedział jej, ale nie pozostał z nią długo.

Kąpiel przygotowano jak zwykle, ale teraz domieszano do niej olejki o ciężkich zapachach — cyprys, może cedr. Kobiety oblały ją perfumami od stóp do głów. Dotykały całego ciała oprócz

ukrytych miejsc między udami.

Gdy była gotowa, ubrały ją. Tym razem była suknia egipska. Lniana tkanina tak mocno opinała uda i resztę nóg, że musiała stawiać bardzo małe kroczki. Na piersiach ułożono fałdy, a na ramionach chitynową pelerynę, przypominającą skrzydła.

Jedna z kobiet zaprowadziła ją do stolika w kształcie kota, gdzie upiękuszono jej twarz.

Służebne posmarowały policzki Anny maścią o zapachu miodu, na nią nałożyły pędzelkami przezroczysty puder. Nie zauważyła czy były współczesne, czy też zabytkowe, bo musiała zamknąć oczy.

Na powieki kobiety nałożyły delikatny błękit, który potem przyciemniły zielenią — oczywiście malachitową. Rzęsy uczerniły maszarą. Nie. Egipcjanki przecież jej nie używały.

Wreszcie tak uczesały włosy, że gładko przylegały do głowy, poruszając pewne wspomnienia, o których Anna jednak nic nie wiedziała. Czy Althene podobnie zaczesywała włosy? A może Rachaela? Albo Ruth? Wówczas...

Na głowę nasunęły Annie granatową perukę ozdobioną warkoczami, złotymi kółeczkami oraz drobnymi muszelkami. Ramiona otoczyły złotym kołnierzem wysadzonym zielonymi kamieniami, prawdopodobnie jaspisami. Niżej, w talii, zapięły złoty pas w czerwone, zielone i niebieskie cętki.

Stopy dziewczyny opinały sandały z szerokimi paskami, zdobione złotymi grawerowanymi sprzączkami.

Paznokcie u rąk i u nóg pomalowano jej na złoty kolor, a w kącikach oczu umieszczono po małym, złotym cekinie.

Anna wstała i przez rzadki len dojrzała w lustrze zarys sutków, choć nie było widać przydymionego znamienia na lewej piersi. Znajdowało się niżej i było typowe dla jej płci. Nie osłaniała go teraz francuska bielizna. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie skłamał, mówiąc

tylko o wspaniałym obiedzie.

Złote bransoletki. Kobieta podała jej naczynie z pomadką.

— *Pour les lèvres* — powiedziała wyraźnym głosem.

Anna wzięła alabastrowe naczynie w kształcie pasikonika i nałożyła sobie na wargi delikatną czerwień. We współczesnych lustrach wyglądała wspaniale. Widziała siebie teraz Egipcjanką.

* * *

Z boskiego sklepienia Sali Nuit zwisało ze sto lamp jarzących się jak żółte gwiazdy. Ich światło cudownie odbijało się od bezcennej podłogi.

Ognie paliły się też przed gromadą bóstw, przed grupą Izis, rodziną Seta. Przed nimi stała Sekhmet o złotej twarzy. Z tyłu, niczym jeszcze jeden klejnot, mieniło się błękitem okno. W komnacie nie było nikogo.

Na środku, pod wybruszeniem sufitu sali, urządzono podwyższenie.

Stały na nim dwa nie zajęte fotele z czarnego metalu, najprawdopodobniej z żelaza. Oparcia zdobiły złote maski lwów, a nóżki kończyły się złotymi kopytami. Przed siedziskami stały dwa niskie stoliki kontrastujące z nimi bielą, a na nich, w miseczkach z wodą, pływały kwiaty. Złote lampki błyskały ogniem, a białe — czarne fajansowe naczynia czekały, aż ktoś z nich zacznie pić.

Na drugim stoliku obok naczynia leżał zielony kryształek. Czyżby szmaragd? Był ogromny, wypolerowany, choć nie przycięty; sączyło się z niego jasnozielone światło.

Wokół podwyższenia znajdowały się inne stoliki. Przy nich — na stołkach i krzesłach — siedzieli ludzie. Towarzystwo.

Ubrani w lniane szaty zdobione biżuterią mężczyźni mieli ogolone głowy lub ciężkie peruki.

Kobiety nosiły peruki w najciemniejszych odcieniach zieleni i błękitu.

Ludzie ci sztucznie się śmiali, rozmawiali o niczym — zupełnie jak na obiedzie w modnej

restauracji West Endu. Prawie wcale nie zwracali uwagi, gdy Annę prowadzono do samotnego alabastrowego stolika, obok trzech schodków prowadzących na podwyższenie.

Odbывwała się egipska uczta.

Bez przerwy wchodzili i wychodzili niewolnicy. Kobiety miały nagie piersi, przezroczyście szaty i naszyjniki ze złota. Na włosach łonowych jednej lub dwóch z nich można było dostrzec paciorkowe ozdoby.

Wszędzie były kwiaty i ogień. Wokół roznosił się zapach perfum i wina.

Pomiędzy czerwonymi kolumnami pojawiła się sylwetka kapłana. Miał ogoloną na łyso głowę i przewieszoną przez prawe ramię, cętkowaną skórę geparda. Przyniósł Izis naczynie z pachnidłem, olejkiem albo alkoholem. Rozlał przed nią płyn, prawą dłoń dotknął swych warg, a potem nisko się uklonił.

Goście nie zwracali na niego uwagi. Ofiara parowała w świetle ognia płonącego przy kolanach bogini.

Mesit stanęła obok Anny. Ukloniła się, trzymała w dłoni szklany dzban o nieregularnych kształtach, przypominający muzealny eksponat.

— Pani, czym mam napełnić twe naczynie?

— A co to jest?

— To czerwone francuskie wino. Mamy też wino z Ameryki a także ksanthę — żółte wino zmieszane z miodem.

Anna podniosła ze stołu naczynie ozdobione rozebranymi i uśmiechniętymi tancerkami.

— Poproszę tego.

Mesit naląła wina i odeszła. Anna wtedy rozejrzała się po sali pełnej ognia i obcych, roześmianych ludzi. Nie okazywała strachu. Wino było cierpkie. Ktoś roześmiał się głośniejszym niż inni.

Anna uniosła głowę. Drobne iskierki posypały się z lampy i zgasły, zanim dotarły do połowy drogi dzielącej je od podłogi.

Nadeszła inna niewolnica.

— Pozwól, o pani... — powiedziała.

A ponieważ Anna nie stawiała oporu, niewolnica skropiła jej granatową perukę pachnidłem ze stożkowej flaszeczki, przypominającej pieprzniczkę.

Anna widziała już kiedyś takie naczynia na reprodukcjach malowideł nagrobnych. Biesiadnicy mieli na głowach takie stożkowe okrycia. Oczywiście był to symbol. Oznaka uczyty i rozkoszy.

Tak jak pełne naczynie nawiązywało do uprawiania miłości.

Zaczęła grać muzyka. Stara, piskliwa, ale zapierająca dech w piersiach.

Małe bębny, flety i harfa o ostrym tonie. Anna jeszcze nigdy nie słyszała takiej muzyki. A może jednak?

Muzycy byli częściowo ukryci za kolumnami — Wyglądali podobnie jak na nagrobnych malowidłach. Nagle doszło do lekkiego zamieszania. Anna odwróciła głowę i zobaczyła, że nadchodzą wreszcie oni. Pan i pani uczyty. Kobieta i mężczyzna. Lilith i Cain.

Zebrani na sali mężczyźni i kobiety wstali od stolików, Anna więc też wstała odruchowo.

Obserwowała, jak para wyłania się z cienia, krocząc po usłanej kwiatami podłodze. Ktoś rzucał lilie, inni lotosy — kwiecie krainy umarłych.

Lilith miażdżyła rośliny stopami, a potem czyniły to samo łapy dwóch białych tygrysów kroczących obok niej — Miała na sobie szaty z czarnego lnu. Gdzeniegdzie wyglądało spod nich białe, sprężyste ciało. Lędźwie pozostały jednak szczelnie zasłonięte. Włosy dostojnej pani były przykryte połyskliwą chustą.

On szedł z boku, obok ciemniejszego z wielkich kotów. Najwyraźniej nie kultywował dynastycznej mody. Miał na sobie purpurową szatę, a więc w ślubnym kolorze Skarabeidów. Tak

mówiła Althene.

Typowy egipski kołnierz — srebrny, ozdobiony korneliną, jaspisem i turkusowym skarabeuszem — był o wiele cenniejszy niż ze złota. Na każdym palcu Caina błyszczał złoty pierścień. Na trzecim palcu lewej ręki — aż trzy.

Uśmiechał się z wdziękiem. Wyglądał na człowieka rozsądnego i życzliwego. Najwyraźniej ta wystawna, trochę niedorzeczna scenka była dla niego czymś zwyczajnym.

Popatrzył na Annę, gdy ją mijał. Światło z jej stolika odbiło się w jego oczach. Były jak granatowy aksamit, pełne ciszy i spokoju. Nie powiedział ani słowa.

Lilith i Cain weszli po schodkach na swoje miejsce. Kobieta usiadła, a u jej stóp położyły się tygrysy w kolorze mleka.

Cain stał. Podniósł rękę i wtedy muzyka ucichła. Miał głos piękniejszy niż instrumenty.

— Niech ten, kto jest życiem w śmierci, pobłogosławi te potrawy. Niech wszelkie zło przejdzie na mnie, na waszego ojca — przejmę je od was. Kto jada w moim domu, ma być bezpieczny —

Goście lub niewolnicy Caina, kimkolwiek byli, wznieśli kielichy i napili się. Cain mówił po angielsku. Zrozumieli go?

Znów rozległa się muzyka. On usiadł na swym żelaznym krześle, uniósł napełniony już ciemny kielich i napił się. Nie spojrzał już więcej na dziewczynę nazwaną Persefona Anchetari.

Czy ona tego chciała?

Gdy zaczęto wnosić potrawy, wydały się one Annie osobliwe. Wyglądały, jakby je przyniesiono z winiarni, lecz podawano w zupełnie inny sposób.

Podeszła Shesat i polała dziewczynie dłonie pachnącą wodą. Goście śmiali się głośno, najprawdopodobniej pod wpływem wina. Przed Anną postawiono płytką miseczkę z ksanthą — słabym winem zmieszany z miodem i substancją o nazwie evian. Tyle zdołała się dowiedzieć.

Gdy wkroczyli służący Caina, rozszedł się zapach jadła. W szerokich misach zdobionych złotem i gemmami podano białe warzywa gotowane na ostro z grochem, kawałki melona zmieszane z drobnymi główkami cebuli. Potem pojawiły się pory i porcelanowe naczynia z jasnoczerwonym musem z soczewicy. Wszystko to roznoszono od stołu do stołu, a biesiadnicy zanurzali w soczewicy nadziane na patyki kawałki chleba i zjadali je.

Później przybyły ryby smażone na jasno, ciemno i na różowo. Były także mięsa, których Anna nie rozpoznała i nie próbowała. Wzięła tylko pachnący, tłusty kawałek pieczonej gęsi.

Figi i daktyle podano na tackach pod przykryciem z jadalnych chyba liści. Polano je, podobnie jak czerwone winogrona, miodem.

Jedzenie zdawało się nie mieć końca. Co rusz wnoszono nowe dania. Różnorodność przyprawiała o zawrót głowy. Anna była już tym zmęczona. Wiedziała, że taki jest zwyczaj.

Wspominano jej o długich posiłkach w domach Skarabeidów.

Starła się nie patrzeć na Caina i nie podglądać, co je i pije. W pewnym momencie jednak usłyszała mruknięcie jednego z tygrysów i niski głos Lilith:

— Nie. Niech to weźmie. Ty masz swoje.

Lilith karmiła białe koty ze swoich naczyń.

Właśnie wtedy Anna spojrzała w stronę gospodarzy i ujrzała go w słabym świetle. Niczym Neron spoglądał na ucztę przez szmaragd. Anna odwróciła wzrok. Zastanawiała się, co mógł widzieć z tego słabo oświetlonego miejsca.

Nagle coś wniesiono do sali. Anna śledziła ciemną sylwetkę sunącą wśród światła i dymu, niczym monstrum ze starych bajek... Niczym mumia.

Istotnie, na wózku pchanym przez trzech potężnych mężczyzn znajdowała się pojemnik z mumią. Sarkofag był czarny, inkrustowany złotem i wykładany czerwonymi kamieniami, okryty kwiatami. Twarz przodka była nasączona oliwą, otoczona ciężką peruką. Spokojne, martwe,

zamyślane oczy wpatrywały się w sufit, w brzuch bogini.

Anna usłyszała jak Cain wstaje, szeleszcząc długą tuniką. Zagrzechotały ozdoby.

— Popatrzcie, co z nas zostanie — rozległ się jego głos. Mówił po angielsku, pewnym siebie tonem. — Musimy kochać i żyć, bowiem trwanie nasze nie jest długie.

Ludzie roześmieli się. Ci, co nie byli jeszcze zbyt pijani, wstali i opierali się o stoliki.

— Zobaczcie, co z nas będzie!

Niektórzy z biesiadników mówili po angielsku, niektórzy w innych językach. Wszyscy bez przerwy się śmiali. On także lekko się roześmiał, jakby chciał okazać zadowolenie ze swych gości.

Pojemnik z mumią przyciągnięto do Anny. Przy postaci zmarłego żarzyło się kadzidełko.

— Anchetari, złóż ofiarę — powiedział Cain tylko do niej. — Z ciasta. Podniosła ze stołu jedno z błyszczących ciastek, którego nie miała zamiaru jeść i wrzuciła pomiędzy kwiaty lotosu.

Pojemnik z mumią pchano dalej. Jedno z kółek skrzypiało jak skarżąca się mysz. Potem zobaczyła, że tą samą drogą co mumia, pomiędzy stolikami i pijanymi ludźmi, prowadzone jest dziecko. Był to chłopiec. Andrew.

Odziany był w strój faraona, cały w złocie. Na jednym z loków chłopca wisiał srebrny krokodyl z oczami w kolorze morskiej zieleni.

Cain nadal stał nad Anną. Słyszała, choć nie widziała, że jedną rękę wyciąga do chłopca.

Andrew się uśmiechnął i oto wszedł po schodach na podwyższenie.

— Oto mój bratanek, Harpokrates — przemówił Cain do wszystkich. A więc teraz chłopiec tak się nazywa.

Sala zaczęła wiwatować. Po pojawieniu się śmierci, ukazała się obietnica nowego życia.

Wujek Cain położył dłoń na ramieniu Andrew — Harpokratesa.

— Uważaj na nich — powiedział. — Patrz im prosto w oczy. Musisz się tego nauczyć.

— Tak, wujku Kay — Anna usłyszała głos chłopca. — Mogę pogłaskać tygrysy tej kobiety?

— Zapytaj jej. Nazywa się Lilith–Eset.

— Mogę, Lili? — zapytał Andrew–Harpokrates.

Lilith musiała skinąć głową, ponieważ Anna usłyszała, że chłopiec podchodzi do kotów i głęboko oddycha głaszcząc białe futro.

— Są oswojone? — zapytał.

— Znają tylko ludzi — odpowiedziała Lilith. — Nie licząc ich matki, która już zdechła. Nie mogą się już rozmnażać, więcej zatem ich już nie będzie.

— Jak się nazywają?

— Nie nazywają się. Nie potrzebują imion.

— Fajne są — rzekł Harpokrates.

Jeden z tygrysów, prawdopodobnie ten bardziej przyjazny, zamruczał.

— Anchetari — powiedział Cain. — Teraz ty musisz do mnie podejść.

— Muszę?

— Oczywiście. Oni muszą cię zobaczyć.

— Dlaczego?

— Bo jesteś moja — odparł.

Wtedy Anna odwróciła się i popatrzyła na niego. Czy ktoś już jej to mówił? Czy gdzieś to już słyszała? *Jesteś moja aż do śmierci. Dopóki słońce nie utonie w rzece. Jesteś moja.*

Nie próbowała się opierać. Nie mogła się sprzeciwić jego oczom, które delikatnie lecz stanowczo opanowywały mózg. Nie chciała tracić sił na bezowocne wysiłki. Czyż nie jest tak zawsze?

Weszła po schodach, on wziął ją za rękę. Siedząca z tyłu na czarnym krześle mitologiczna królowa jakby spochmurniała. Dziecko padło do jej stóp obutych w sandały i przyłożyło policzek

do boku mruczącego tygrysa. Trzymając Annę za rękę, Cain przemówił.

— Oto córka mojej córki, Persefona–Anchetari.

Na sali rozległ się aplauz.

— Naprawdę?

— Co naprawdę, Anchetari?

— Jestem córką twojej córki?

— Tak.

— Rachaeli? — zapytała z powątpiewaniem.

— Nie — rzekł łagodnie Cain. — Twojej matki–ojca. Althene.

— Ależ...

— Ona jest mężczyzną — powiedział. — Ja o tym wiem. Ale traktuję ją jak córkę a nie syna.

— Więc jesteś moim dziadkiem?

— Jeśli tylko tego chcesz. Myślisz, że dam sobie radę w tej nowej roli?

Rozejrzała się wokół siebie. Popatrzyła na niego, na mumię, na biesiadników, na złote blaski kapiące ze sklepienia Sali Nuit niczym łzy.

— Anno — odezwał się Cain. — Przypominasz boginię. Czy ktoś ci już mówił, jak jesteś piękna?

Tak, ktoś, kiedyś, pomyślała. Ale to nie Althene. Nie, to był ktoś inny, kto doceniał jej urodę i uważał ją za cud.

— Jak Eset, kiedy wschodzi z nowym księżycem, jak Izis dla Greków. Jak córka Ra.

— Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczętom — powiedziała oschle Anna.

Roześmiał się, tym razem całkiem szczerze, prosto z serca, a nie scenicznym śmiechem, jak poprzednio.

— Ach, ty... — powiedział. — Ty biała lisiczko. Demon nie dziewczyna. Czy będziesz po

mojej stronie?

Miał ciepłą, suchą i pełną dobroci dłoń. Czuło się w niej władzę i młodość. Miała działanie elektryzujące.

Oto jej dziadek. Wyrwała swą dłoń i spojrzała na czarną Królową Nocy. Lilith zdawała się tego nie zauważać.

— Już czas na nas — powiedziała, a potem dodała coś w języku przypominającym świergot ptaków. Pochyliła swe białe oblicze, sięgnęła po kielich, a jaśniejszy tygrys wstał i otrząsnął się.

— Chodź ze mną — powiedział Cain do Anny.

— Dokąd?

— Jest już świt. Lubisz słońce?

— Tak.

— Bardzo mądrze. Pójdziemy ku słońcu.

Sprowadził ją po schodkach i tylko Andrew–Harpokrates spojrzał na nich zaspanym wzrokiem. Ci goście, którzy jeszcze mogli, wstawali.

— Kim oni są? — zapytała.

— Ci ludzie? Nikim — odparł. — Jesteśmy tylko my dwoje. Ja i ty.

Wyszli z czerwonej poświaty płomieni i znaleźli się na ciemnym portyku.

* * *

Na niebie błyszczała Wenus. Zbliżał się świt. Śnieżne fale przypominały morze wylewające się na plażę. Niebo robiło się błękitne, czyste. I straszliwe. Jak gdyby powietrze zniknęło, a pozostawał tylko kolor. Ponad nimi górowała biała piramida z podmytą podstawą. A pod nimi była rzeka.

Wyobraziła sobie egipską łódkę z dziobem w kształcie lotosu i trójkątnym żaglem. I nagle znaleźli się na niej. Łódź błyszczała złotem. Żagiel miał kolor czystego błękitu, jak horyzont albo

Łód. Przed nimi Pływała lodowa kra, a nie hipopotamy.

Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć szepczącego plusku wiosła. Czy ten niewolnik w nowoczesnym, wełnianym ubraniu to grecki Charon?

Siedzieli w kolumnowej kabinie i byli ubrani w stroje pasujące do panującego na zewnątrz zimna. Ona miała na sobie czarny wygodny strój, on prawdopodobnie też, choć tego nie było widać. Musiał być chyba czarodziejem, bo zjawiał się i znikał w czarodziejski sposób, tak samo zmieniał stroje. Zniknęły wszystkie jego pierścienie.

Powietrze i woda poruszały się zwolnionym tempie.

— Podoba ci się tu? — zapytał.

— Tak. Są tu jakieś ptaki?

— Nie. Za zimno.

— Do czego ci jestem potrzebna?

— Anno, czy nikt jeszcze nie pragnął mieć ciebie na własność?

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Ale nikt inny mieć cię już nie będzie.

Z obszytego futrem kaptura przy aksamitnym płaszczu wyglądała twarz o delikatnych, regularnych rysach — tak, jakby ktoś narysował je ołówkiem. Oczy miał bardziej błękitne niż niebo, lód i ich odbicia w rzecznej wodzie.

— A więc to jest Egipt — powiedziała.

— Tak, moje dziecko. W pewnym sensie.

— Marzyłam o rzece.

— Przecież to może być Nil ze swoim błękitem i lotosami.

— Nil — powtórzyła za nim.

— Jeśli tylko tego zapragniesz.

— Czy nadal byś mnie chciał, wiedząc, że kogoś zabiłam?

— A zabiłaś?

— Nie wiem.

— Anno, zabij, kogo musisz. Jeśli to jesteś ty, muszę ciebie pragnąć.

— Ja, czyli kto?

— Och. — Głęboko wciągnął powietrze, a potem wpatrując się w niebo, powoli je wypuszczał. Oddech zamieniał się w biały obłok, z którego formowały się drobne kryształki i upadały. — Jesteś Początkiem, Anno.

— Chciałabym wszystko wiedzieć.

— Musisz dać mi na to trochę czasu.

Przyjrzała mu się uważnie. W końcu i on o coś ją poprosił. Objął ją ręką, a łódź płynęła po lodowej rzece.

— Dawno temu — odezwał się — byliśmy tacy młodzi.

— Przecież jeszcze teraz nazywasz mnie dzieckiem.

— Bo jesteś moim dzieckiem.

— Nie.

— Tak. Jesteś moja.

Słowo „moja” odbiło się echem w jej mózgu. Rękę miał ciepłą, jak gdyby wewnętrzny ogień pozwalał mu przeciwstawić się chładowi. Anna do połowy przymknęła oczy. Czuła się jak we śnie.

— Obydwoje już umarliśmy — powiedział. — Obydwoje już żyliśmy. Potrafię cię kochać jak nikt inny.

— Lilith — odezwała się półśnie Anna.

— Lilith to mój cień. A ty jesteś moim porankiem.

Coś przeleciało po niebie.

— Mówiłeś, że tu nie ma ptaków.

— Czasami przeleci tu jakiś samolot. Generalnie jednak omijają te tereny.

— Dlaczego tak mnie pragniesz? — powtórzyła pytanie.

— Ja ciebie pragnę? — zapytał. Mówił wesołym głosem. Wydawało jej się, że wygląda bardzo młodo, niewinnie, szczęśliwie i spokojnie. Byli na świecie tylko oni dwoje. Ostrożnie wstał z miejsca i odsłonił jej twarz, poczuła chłód. On jednak odpędził zimno, delikatnie całując ją w usta. W geście tym nie było odrobiny seksu; przypominał jej raczej ciepły płatek śniegu, matkę, pierwszego ojca, którego miała kiedyś.

ROZDZIAŁ 39

Sharon Ferris, matka Andrew przemienionego w Harpokratesa, zeszła po wąskich schodach przykrytych dywanem i stanęła przed drzwiami. Nie podobały jej się tak jak dawniej. Teraz nic już jej się nie podobało.

Być może wcale nie powinna otwierać. Przybysz na pewno by sobie poszedł. Tylko Świadkowie Jehowy są natrętni; w niedzielę rano potrafią dzwonić bezustannie, gdy Sharon leży samotnie w dwuosobowym łóżku i pod kołdrą zajada czekoladki. Nie zmieniała poszwy od sześciu tygodni albo jeszcze dłużej. Sama była pobrudzona czekoladą. Pachniała czekoladą. A to pomagało.

Ale przecież mamy dzień powszedni, prawda? Wczesne popołudnie. A dzwonek przy drzwiach odzywa się już piąty raz.

Cóż, trzeba robić to, co ludzie sobie życzą. Trzeba nawet otworzyć drzwi, jeśli ktoś tak bardzo nalega. A potem powiedzieć: *nie, dziękuję, przykro mi, nie wierzę w Boga*. Odchodzą sobie dopiero wtedy, gdy im krzyknąć, że straciła małego synka. A nawet wtedy mężczyzna rozprawiał o Jezusie pocieszycielu. Starsza kobieta, która była z nim, położyła dłoń na ramieniu mężczyzny i

pociągnęła go do wyjścia. Sharon miała spokój aż do następnej niedzieli.

Podeszła bosą do drzwi i otworzyła je.

— Dzień dobry. Czy jest pani Ferris?

— To ja — odpowiedziała Sharon, bo zawsze trzeba być szczerą.

— Ach tak.

I nagle Sharon przypomniała sobie, kto to jest. Zrozumiała, że to musi być rodzinna lekarka, ponieważ nigdy przedtem nie spotkała tak odpychającej osoby. Zgrabna, w kwiecie wieku, o kasztanowych włosach, ubrana w ładny, ściśnięty w pasie płaszcz — ta, którą podrywał Wayne.

— Dzień dobry, pani doktor — powiedziała Sharon. Nie zaprosiła jej do środka. Nie wynikało to ze złych manier, tylko w jednej chwili Sharon znalazła się nagle gdzie indziej.

— O, mój Boże, pani Ferris. Pamiętam, że zaleciłam pani dietę. Nie przypuszczałam jednak, że zacznie się pani głodzić na śmierć.

Sharon zastanowiła się chwilę. To było dziwne. Przypominała sobie, że zrezygnowała z diety prawie miesiąc temu, ponieważ wcale nie skutkowało. Jakie głodzenie się?

— W każdym razie, muszę pani pogratulować. Sharon wpatrywała się w lekarkę.

— Ale nie po to tutaj przyszłam — powiedziała. — Mogę wejść?

— Tak, oczywiście.

Sharon usunęła jej się z drogi, a lekarka zgrabnym krokiem weszła do środka. Pociągnęła upudrowanym noskiem. W domu Ferrisów śmierdziało nie mytymi naczyniami, pełnymi koszami na śmieci, kurzem na grzejnikach, włączonych na zbyt dużą moc.

Przeszły do salonu. W wazonie stały zwiędłe kwiaty i dodatkowo psuły powietrze. Wszędzie poniewierały się zmięte serwetki, chusteczki higieniczne, okruchy chleba, na stole stał zeschnięty sos. Były to kawałki życia, złamanego życia.

Lekarka nie wypowiedziała ani słowa komentarza. Usiadła w fotelu, z którego najpierw

musiała uprzątnąć kilka zabawek.

— Nie — odezwała się Sharon. — Proszę tam nie siadać. Może pani zająć inny fotel?

Lekarka wstała, rozejrzała się i zauważyła fotel przykryty tylko kilku starymi gazetami. Obok niego stały dwie butelki po lemoniadzie.

— Sprawy wymykają ci się spod kontroli, Sharon — powiedziała, zwracając się po imieniu, jak gdyby w ten sposób chciała poprawić atmosferę.

— Trochę tak.

— Wiesz, że to nie jest żadne wyjście.

Sharon spojrzała na nią, ale zaraz odwróciła wzrok. Usiadła na sofie, otworzyła bombonierkę i poczęstowała lekarzę, która surowo pokręciła głową.

— Ty też tego nie powinnaś jeść. Znowu przybierzesz na wadze.

Sharon wsunęła do buzi trzy miętowe czekoladki. Poczowała w głowie znajomy, delikatny impuls, a potem równie miłe uczucie w żołądku. Zjadła kolejne trzy.

— Wiem, że zdarzyły się nieprzyjemne rzeczy — mówiła lekarka. — Ale musisz głęboko zastanowić się nad swoją sytuacją. Świat jest pełen okrutnych rzeczy. Trzeba być silnym i zdrowym. Trzeba sobie radzić z nieszczęściami. Co z twoim mężem, Sharon?

— Z Wayne'em?

— Tak.

— Ech — westchnęła Sharon.

— Boję się, że zachowałeś się bardzo, bardzo nieodpowiednio. Właściwie zostałam poproszona, żeby porozmawiać z tobą o tej sprawie.

Sharon wyciągnęła się na kanapie, a na brzuchu postawiła sobie bombonierkę. Nie słuchała uważnie lekarki, która mówiła jak nakręcona. Sharon się wydawało, że głos dochodzi gdzieś z oddali.

Włosy urosły jej już do ramion; od dawna ich nie myła, chyba z tydzień. Gdyby można było w tej chwili ustalić ich naturalną barwę, przypominałyby skórkę od cytryny.

Traciła wagę w takim tempie, jakby ktoś ściągał z niej kolejne warstwy ubrania. Od zniknięcia Andrew minęły już miesiące i nikt nie potrafił go odnaleźć.

Policja starała się jak mogła. Sharon jednak wyczuwała, że stopniowo tracą zainteresowanie tą sprawą. Wayne bez przerwy na nią krzyczał, ale teraz tamte wydarzenia wydawały jej się nierealne, jakby oglądała je w telewizji. Czasami dźwięki były zbyt głośne, a kolory zbyt jaskrawe.

Przypominała sobie, że gotowała dla Wayne'a obiady, choć on rzadko kiedy na nie przychodził. Wolał już wtedy towarzystwo innych kobiet. Uważał, że ona ponosi winę za stratę Andrew, za stratę jego syna. Była głupią, bezużyteczną, pieprzoną klaczą.

Gdy Wayne nie przychodził, Sharon zjadała obydwie porcje. Jadła bezustannie paszteciki wołowe, jaja z frytkami w brązowym sosie, omlety z dżemem, słodkie bułki i ekierki, siedem albo osiem batoników dziennie, do tego cukierki, bajaderki, a wieczorem tabletki nasenne.

Kładła się z pełnym brzuchem i czując słodycz w ustach, rozmyślała o Andrew.

A potem coś się zmieniło i tłuszcz zaczął z niej opadać. Stała się szczupła jak modelki z czasopism, które kiedyś kupowała. Te dziewczyny wydawały jej się istotami z innej planety.

Najpierw zeszczuplała, a potem zrobiła się chuda. Na biodrach i na twarzy pojawiły się kościste wzniesienia.

Policja przestała dzwonić, o nic ją już nie pytali, w końcu przestali nawet robić nadzieję. I tak jej nie miała. Od samego początku.

Pewnego gorącego wieczoru, gdy przygotowywała placek pasterski i sernik na zimno, przyszedł policjant, którego jeszcze nigdy nie widziała. Razem z nim była policjantka i oboje mieli smutne miny.

Chodziło im o męża. Spojrzała na nich z uwagą. Wayne był jej mężem, ale w końcu ją opuścił. A teraz przychodzi policja i chce z nią na ten temat rozmawiać?

Okazało się, że chodzi o coś innego.

Rano Wayne naprawiał telewizor u pewnej bogatej i przystojnej brunetki, mieszkającej przy parku, gdy nagle nastąpił wybuch. Wayne przeleciał przez trzymetrowy pokój i zderzył się ze ścianą. Gdy przybiegła brunetka przygotowująca właśnie kawę, on leżał na podłodze.

Prąd popsuł coś w telewizorze i na trwałe uszkodził mózg Wayne'a Ferrisa.

Para policjantów zabrała Sharon wprost do szpitala, lecz zanim jeszcze do tego doszło, Sharon zrobiła pewną niemądrą rzecz. Włożyła do torebki małego misia należącego do syna. W końcu zdała sobie sprawę, że się pomyliła, bo nie wieziono ją na spotkanie z Andrew.

Wayne leżał na oddziale intensywnej terapii i przechodził liczne badania. Był umyty, ogolony i leżąc na twardych poduszkach, wpatrywał się w sufit błędnym wzrokiem. Sala śmierdziała środkami dezynfekującymi, tak samo jak Wayne.

Gdy Sharon na niego patrzyła, najwyraźniej nic do niego nie docierało.

Potem zaproszono ją do czyjegoś gabinetu i przystojny lekarz pochodzenia indiańskiego poinformował ją, że niestety nie ma zbyt wielkich szans na poprawę stanu. Mąż oddychał, jadł i spał, lecz chociaż mógł oddawać kał i mocz, to potrzebował kogoś do pomocy. Poinformowano Sharon, że czasami nie będzie mógł się powstrzymać. Trzeba go będzie myć i karmić jak dziecko.

Sharon nie potrafiła traktować Wayne'a jak dziecko. Uważała go za dorosłego mężczyznę, który nigdy nie umiał o sobie zadbać, a teraz nie potrafi nawet sam się załatwić. Nie wypowiedziała tego na głos, nawet w myślach nie sformułowała tej opinii, ponieważ nie zastanawiała się głębiej nad tym wszystkim.

Poszła wtedy do damskiej toalety, zamknęła się w kabinie i ucałowała misia należącego do

Andrew. Potem wróciła do domu.

Po kilku tygodniach, gdy odbierała wiele telefonów od rozmaitych ludzi, Wayne'a odebrała ze szpitala matka i położyła go w swym gościnnym pokoju. Tam całymi dniami oglądał telewizję i robił pod siebie.

Mąż matki Wayne'a opuścił ją dla pewnej kobiety z Brighton. Ale za to miała z powrotem syna. Wydzwaniała z pretensjami do Sharon i nazywała ją wredną wiedźmą.

Sharon również oglądała telewizję zajadając się przy tym czekoladą. Cały czas wiedziała, że już nigdy więcej nie ujrzy Andrew. Teraz miała nadzieję, że nie zobaczy też Wayne'a.

Przypomniła sobie o lekarce, która podczas przemowy wykonywała eleganckie gesty dłońmi.

Nie nazywała, oczywiście, Sharon bezużyteczną, pieprzoną klaczą, ani wredną wiedźmą.

Twierdziła tylko, że Sharon wykazuje się brakiem odpowiedzialności.

— Powiedziałam pani Ferris — odezwała się z przejęciem lekarka — że spotkacie się dziś wieczorem. Pójdiesz do niej, prawda Sharon?

Sharon zawsze robiła to, co kazali jej ludzie bardziej zdecydowani.

Spojrzała na pandę, smoka i misie leżące na fotelu. Były ładnie poukładane. Zastanawiała się, kim właściwie jest ona, skoro panią Ferris jest matka Wayne'a. Potem przypomniała sobie panięskie nazwisko, które zawsze bardzo lubiła. Sharon Timberlake. Sharon i Andrew Timberlake. Westchnęła głęboko.

— Pójdiesz wieczorem? A może od razu? Podrzucę cię. Tylko może najpierw się uczesz.

— Dobrze — odpowiedziała Sharon.

* * *

Dom pani Ferris znajdował się na rogu ulicy. Tego dnia było dość ciemno. Na niebie zgromadziło się wiele chmur, toteż we frontowym oknie pani Ferris paliło się żółte światło.

Wpuściła je do środka natychmiast, jakby cały czas czekała pod drzwiami.

— Niestety muszę jechać na zabieg — wymówiła się od pozostania lekarka. — Na pewno jednak dojdziecie do porozumienia. — Mówiła to takim tonem, jakby uważała, że dwie dorosłe kobiety zawsze muszą znaleźć ze sobą wspólny język. Ona sama nigdy nie wykręcała się od służby ludziom, ale z drugiej strony podobała jej się władza, jaką ta służba niesie. Odeszła, zostawiając teściową, synową i niesprawnego mężczyznę.

Przedpokój wyglądał dokładnie tak, jak pamiętała go Sharon. Zasłony w kolorze stali z brązowymi kwiatami, brązowo — czerwone ściany, taki sam dywan i taka sama sofa. Różniły się tylko wzorami. Stały tam szklane gazele i nie używane przez nikogo popielniczki, a nad gazowym kominkiem wisiał talerz z portretem chłopca. Mechanik samochodowy w za dużym kombinezonie.

Pani Ferris lubiła małych chłopców. Lubiła także Andrew, chociaż czasami denerwowała ją niesforność wnuczka.

Fotki Andrew, a także portrety Wayne'a z dzieciństwa znajdowały się jeszcze w wielu innych miejscach. Zdjęcie ślubne Wayne'a, na którym Sharon miała bufiastą sukienkę, stało za wazonem z zakurzonymi sztucznymi kwiatami.

— No nareszcie — powiedziała pani Ferris. — Idź na górę i zobacz go.

Sharon wcale tego nie chciała, ale nie odważyła się być aż tak obce — sowa. Poszła więc za panią Ferris do gościnnego pokoju. Ściany były tam różowe, a na łóżku dla lalek siedział Wayne.

Wpatrywał się z otwartymi ustami w telewizor nastawiony na program dla dzieci.

— Ma czysto — powiedziała pani Ferris takim tonem, jakby wystawiała Wayne'a na sprzedaż. — Regularnie daję mu jeść. Do niczego się nie możesz przyczepić.

— Nie — powiedziała Sharon.

— Sharon, kiedy zamierzasz go stąd zabrać? Najwyższy czas. Wiem, że przeżyłaś wstrząs z powód śmierci Andrew, ale musisz się w końcu pozbierać. Nie mogę całego życia poświęcać na

to tutaj, zwłaszcza teraz, gdy opuścił mnie jego cholerny ojciec. Mam już tego dosyć. Jestem zmęczona nim i płaceniem waszego komornego z ubezpieczenia. Musisz się zająć Wayne'em i rachunkami.

Sharon popatrzyła na męża. Od strony łóżka doleciał ją zapach przyprawiający o wymioty.

— O, mój Boże — powiedziała pani Ferris. — O, mój Boże. Co ja tu z nim mam.

Sharon wyszła z pokoju, a pani Ferris zajęła się Wayne'em. Po powrocie do holu starała się nie patrzeć na zdjęcia syna. W domu wszystkich się pozbyła. Pani Ferris, gdy wyszła po jakimś czasie do synowej, była blada i zagniewana — jakby ją giez ukąsił.

— Nie zniosę tego dłużej — powiedziała. — Ty jesteś młoda i musisz się nim zająć.

— Nie lubił mnie — odparła Sharon. Właściwie nie wiedziała, po co mówi taką oczywistą rzecz. Swojej matki Wayne też nie lubił.

— Nie lubił ciebie, co? Więc teraz chcesz go zostawić samego, ty mała wiedźmo? Może to on zmusił cię do małżeństwa? To nawet nie była kwestia Andrew. Ty nawet syna nie potrafiłaś upilnować.

Zdaniem pani Ferris mali chłopcy za nic nie ponoszą winy; odpowiedzialność spada wyłącznie na rodziców, a Andrew po prostu uciekł z domu.

Sharon wyjęła z torebki batonik mars i poczęstowała teściową.

— Mój Boże, spójrz na siebie! Przecież ty się już uzależniłaś od tej czekolady. Chyba ci odbiło.

Pani Ferris podeszła do lustra, upudrowała sobie twarz i przeczesła szczotką krótkie siwe włosy.

— W każdym razie, moja droga, ja muszę wyjść. Idę do sklepu. Zostań tutaj i zajmij się swoim mężem. Jak wrócę, będziemy myśleć dalej. Ustalimy też, kiedy go zabierzesz. Dobrze wyglądam?

Wyglądała dobrze, przynajmniej w tych miejscach, gdzie się upudrowała i uczesała.

— Tak, mam — powiedziała Sharon.

— Nie nazywaj mnie w ten sposób. Nie masz już do tego prawa. Masz swoją matkę, chociaż ta jest beznadziejnie głupia.

Sharon wspomniała przez chwilę swoją matkę. Nie chciała się pogodzić z jej ciążą. Na przyjęciu ślubnym siedziała tak, jakby coś ją bolało, a gdy tylko urodził się Andrew, wyprowadziła się natychmiast do Yorkshire.

Sharon rozmawiała z nią telefonicznie na Boże Narodzenie, oddała nawet słuchawkę Andrew, ale matka nie lubiła dzieci.

— Przepraszam — powiedziała Sharon i z powrotem schowała marsa do torebki. Żałowała, że nie ma ze sobą którejś z zabawek Andrew, ale przy pakowaniu towarzyszyła jej lekarka.

Pani Ferris założyła płaszcz, zabrała ze sobą torbę na zakupy i trzasnęła drzwiami. Sharon stanęła przy lampie. Andrew nie żył. Dopiero teraz zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Nie rozplakała się. Przestała płakać po pierwszych dwóch miesiącach. Miała wrażenie, że jest oddzielona od świata. Poszła do kuchni pani Ferris i w białej lodówce znalazła paczkę z tartami. Zjadła tylko jedną. Potem weszła na górę, by jeszcze raz spojrzeć na męża.

Przez całe dwadzieścia minut nie zmienił pozycji. Zaszła jednak w nim pewna zmiana w stosunku do czasów, kiedy jeszcze wpadał do swojego domu. Dawniej pachniał perfumami różnych kobiet, a teraz śmierdział fekaliami i środkami dezynfekującymi stosowanymi na grobach.

Patrzyła na niego tak, jakby za moment miał wstać, odwrócić się do niej i powiedzieć, że jest gruba, źle prowadzi dom, i że przez nią stracili syna. Ale Wayne nie przestawał oglądać telewizji.

Sharon podeszła do odbiornika i przeczuciła na kanał nie nadający żadnego programu. Obraz zniknął, a pojawiły się tylko białe i niebieskie plamki. Zeszła na dół i skierowała się do drzwi

wyjściowych.

Cały wieczór poświęciła na pakowanie. Co jakiś czas natrętnie dzwonił telefon. Nie odbierała, a gdy w końcu podniosła słuchawkę, zostawiła ją obok aparatu. Z głośniczka dobiegał dźwięk przypominający brzęczenie komara. A w końcu zapadła cisza. Czy zawsze jest tak larwo?

Niewiele miała do zapakowania. Duża niebieska torba pozostała prawie pusta. Większość ubrań już na nianie pasowało. Wybrała kilka luźnych podkoszulków, spódnicę, którą miała przed urodzeniem Andrew i którą dziwnym trafem przeoczyła, gdy Wayne kazał jej oddać wszystkie ubrania organizacji charytatywnej. Miała gdzieś jeszcze mniejsze staniki, kilka par majtek i rajstop.

Niczego więcej nie chciała zabierać z tego domu, z wyjątkiem płyt kompaktowych należących do Andrew, które pozwalała mu kupować za pieniądze Wayne'a. Nigdy nie słuchała Rachmaninowa ani Strawińskiego. Już same te nazwiska budziły jej zdziwienie. Zabrała je jednak, podobnie jak wszystkie zabawkowe zwierzaki: cztery misie, smoka, pandę, węża, mysz i kurczaka. Ostrożnie ułożyła je pomiędzy ubraniami, aby nie zniszczyć.

Zapakowała też czekoladki.

Zabrała gąbkę, którą zawsze brała ze sobą na wakacje, co przypomniało jej, że powinna się wykapać i umyć włosy. Nie zamierzała się jednak z tym spieszyć. Poszła do łóżka i zasnęła już po pierwszym środku nasennym.

Rano znalazła na wycieraczkę przesyłkę. Nigdy nie zwracała uwagi na listy, szczególnie na oficjalne przesyłki w brązowych kopertach. Lecz pod drzwi przyniesiono także drobne prezenty: próbkę nowego batonika, promocyjne opakowanie ziołowego szamponu i taloniki pachnące perfumami.

Sharon poszła do łazienki, zjadła batonik, wzięła prysznic i umyła szamponem włosy. Potem wtarła sobie zapach z taloników.

W sypialni ubrała się w workowate dżinsy i dużą bluzkę, a potem — pierwszy raz od długiego czasu — zrobiła sobie makijaż.

Znowu było widać jej oczy i usta. Kim ona jest? Sharon Timberlake.

Sharon Timberlake знаła dobrze angielskie wybrzeże. Wayne nigdy nie chciał tam z nią pojechać, bo wolał gorące plaże Hiszpanii, gdzie ona nie mogła pokazać tłustego ciała. Kochała jednak małe nadmorskie miasteczka, dojrzałe do żniw pola. Przyjeżdżała tu z ojcem, Wedy jeszcze żył. Miasteczka miały dziwne nazwy.

Sharon przypomniała sobie kilka i wybrała jedną z miejscowości. Teraz będzie na wybrzeżu zupełnie inaczej. Ale nic nie szkodzi. Nie pamiętała o tym, żeby zamknąć drzwi.

Przemaszerowała po tajemniczej i oficjalnej przesyłce — to było pewnie jakieś wezwanie... i oddaliła się od domu.

* * *

Na wycieraczkę ciągle czekał list. Czekał bardzo długo. Nadała go duża firma, której nazwa robiła na ludziach wrażenie. Ktoś dowiedział się o tym, że Sharon straciła syna. Ktoś okazał współczucie. I choć nic nie mógł zrobić, to postanowił przekazać Sharon pewne pieniądze. Może się przydadzą. Nie powinna czuć się urażona — ten ktoś nie chce nic w zamian.

Tajemnicza firma. Wpływowy człowiek. To tu, to tam rozesłano takie same listy. Do Walii, do Londynu i do innych miejsc, jak świat długi i szeroki. Na grecką wyspę, do Toronto w Kanadzie, do Göteborga w Szwecji. Ale nie do Paryża. Ten list jednak leżał przed otwartymi na oścież drzwiami i w końcu zabrał go wiatr.

* * *

Jadąc pociągiem przez piaszczyste tereny, Sharon ze zdziwieniem myślała o swoich pieniądzach. Poszła do towarzystwa budowlanego i wyjęła pewną sumę. Ojciec założył dla niej konto, kiedy była jeszcze małym dzieckiem. Teraz, jak się okazało, ma z odsetkami prawie pięć

tysiący funtów i może podejmować dwieście pięćdziesiąt funtów dziennie. Wszystko to należało do niej. Do Sharon Timberlake.

Gdy zmierzch spadł na świat jak deszczowa ulewa, Sharon wysiadła z mechanicznej dżdżownicy w miasteczku, które sobie wybrała i ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale się tak bardzo nie zmieniło.

Owszem, zbudowano promenadę, lecz nadal można było dojść do dzikiego brzegu, gdzie w świetle zimowego księżyca morskie fale pienia się i przybierają barwę białych tygrysów.

Sharon znalazła pensjonat, w którym podano jej tego ranka jaj a na bekonie, smażony chleb, pomidory, pieczarki i grzanek z marmoladą. W czystym, wcale nie różowym pokoju stał na stole czajnik z herbatą, kawa, cukier, czekolada i małe pudełko śmietanki. W miasteczku zaś można było kupić pyszną rybę z frytkami.

Wieczorem minęła pizzerię, ignorując zaproszenie do środka, gdzie dopiero później miała najeść się do syta.

Wzięła najmniejszego misia należącego do Andrew, żeby popatrzył sobie na morze. Stojąc na srebrnej plaży, rozkoszowała się rybnym zapachem wody, która zabawnie podpływała do niej, a potem uciekała.

Spadło trochę śniegu, zimnego jak pocałunek na mrozie — Sharon Timberlake popatrzyła na piasek i doszła do wniosku, że podoba jej się to wszystko.

Potem, wracając już do rozświetlonego świata — na ogromną pizzę z serem, szynką, sosem i pieprzem oraz deser lodowy — znalazła pod stopami muszlę. Podniosła ją i przyłożyła misiowi do ucha. Potem sama zaczęła nasłuchiwać. Dochodził do niej nieprzerwany rytm życia. Sharon ogarnęła wtedy płaczliwa determinacja kogoś, kto czeka na darmo o wiele za długo. To było uczucie bardzo bliskie jej sercu.

ROZDZIAŁ 30

Z o wiele głośniejszym gwizdem spadła na miasto inna muszla. A właściwie nie muszla tylko skorupa. A nawet bomba. Jakimś cudem udało jej się wpaść, podczas nocnego nalotu w 1940 roku, pod rozbity chodnik. Przebiła kilka warstw betonu, gliny, cegieł i między przewodami dotarła aż do miejsca, gdzie nadal spoczywała.

Inny ładunek, który upadł opodal, zatarł wszystkie ślady. W leju kryjącym bombę słychać było przez jakiś czas syczenie, co oznacza zwykle detonację.

Los jednak chciał inaczej. Z jakichś powodów buczenie niespodziewanie ustało. Metalowa pszczoła o długości dwóch i pół metra i metrowym przekroju zasnęła. Wokół niej spało także miasto.

Kiedy Lix ponownie ujrzała Camilla, ten bawił się właśnie z kudłatym psem Janice przed pakistańskim supersamem. Właściciel sklepu wyrzucił przeterminowane ciasteczka, więc Janice i pies zajadali się nimi.

— Tęskniłem za tobą — zaczął Camillo.

Janice wstała i podała ciasteczko.

Lix wzięła je i powoli, ostrożnie zjadła.

— Zapomniałaś o naszej miłosnej nocy — stwierdził Camillo.

— O, mieliście miłosną noc? — zapytała Janice. Zaintonowała nagle, w zadziwiająco wysokiej tonacji, piosenkę Novella *Cudowna noc*. — Kiedyś śpiewałam to w kantine — powiedziała tajemniczo.

— Za pół godziny zajdzie słońce — powiedział Camillo.

Lix nie odpowiedziała. Oczywiście nie było żadnej miłosnej nocy. Camillo opuścił ją kilka tygodni temu na plaży i odszedł z Tomem Octem i Dwoma Kapeluszymi.

Lix spojrzała na ulicę równie szarą jak zmierzchające niebo. Tylko supersam jaśniał światłem i przyciągał hinduskich klientów papierowymi łańcuchami.

Dla Lix święta Bożego Narodzenia oznaczały właśnie wystawy sklepowe na Trafalgar Square.

Obserwowała błękitnymi oczami wspaniałą choinkę, która górowała nad wszystkim, jakby usprawiedliwiając panującą na dole bieganinę.

Boże Narodzenie usunięto. Na zawsze.

Ze sklepu wyszła młoda hinduska dziewczyna w czerwonym płaszczu narzuconym na purpurowe sari. Miała ze sobą dwie torby wypchane zakupami. Na widok Camilla i kobiet pomaszzerowała nerwowo w górę ulicy.

— Właśnie tak na nas reagują ludzie — powiedziała Janice.

— Jak byśmy byli brudni — dodał Camillo. — To prawda.

Patrzył przez chwilę za ciemnoskórą dziewczyną przechodzącą na drugą stronę i skręcającą za szare budynki. Dwa Kapelusze i Tom Ocet właśnie tam poszli przejrzeć kosze ze śmieciami.

Doszło do spotkania. Janice syknęła. Pies zaszczekał.

Kiedyś bałam się podobnych do mnie ludzi. Dawałam im pieniądze i nawet na nich nie patrzyłam, myślała Lix.

Hinduska wycofała się za róg ulicy. Za nią podążał Dwa Kapelusze wymachując zdobytą nie wiadomą skąd, gałązką jemioli.

— Daj buziaka! — wołał. Był trochę podпиты tanią wodą kolońską, którą podzielił się z nim

Tom Ocet.

Dziewczyna stanęła na jezdni i wytrzeszczyła z przerażenia oczy.

Lix nie współczuła jej. Czuła się tylko trochę niepewnie, jakby zostawiła w domu otwarty gaz i wracała teraz zobaczyć, co z tego wynikło. Nawet się nie ruszyła.

— Cholerne świnię — wrzeszczał Tom Ocet zbliżając się do nich. — Zabrali wszystkie kosze.

Już nigdzie człowiek nie może czuć się jak u siebie.

Hinduska upuściła obydwie torby, krzyknęła, żeby je sobie wzięli i uciekła powiewając

długimi, opadającymi na plecy włosami.

Dwa Kapelusze spojrzeli ze zdziwieniem na porzucone torby. Kilka jajek wypadło na bruk i potłukło się. Wielkie jajo na niebie zniknęło tymczasem za chmurą.

— Zobacz, czy zostawiła portmonetkę — rzekł Tom Ocet.

Hinduska jednak najwyraźniej miała pieniądze ze sobą. Zostawiła im tylko paczkę soczewicy, potłuczone jaja, pieprz, chleb razowy, pięć papryk i kalafiora.

Pakistański właściciel wyszedł ze sklepu i popatrzył na nich ze smutkiem.

— To ja wam daję jeść, a wy mi straszycie klientów. Tak mi się odpłacacie.

— Przepraszamy — powiedziała Janice. — Moi znajomi wcale nie chcieli jej przestraszyć.

— Trudno być obcym w tym kraju, no nie? — zapytał Camillo. — Tak samo jak wyrzutkiem czy pariasem.

— Przecież ja się urodziłem tutaj — stwierdził zirytowany właściciel. — W 1943 roku w Wandsworth.

Camillo zarżał wysokim, niczym koń głosem, a Pakistańczyk wrócił do sklepu i trzasnął drzwiami.

— Po co go obrażałeś? — zapytała Janice. — Regularnie daje mi paczkę z szynką.

— On się brzydzi szynką — rzekł Camillo.

— Nieprawda. Jest dla mnie dobry.

Na środku jezdni stał Dwa Kapelusze i zajadał suchy razowiec.

— Nie wierzycie mi z tą bombą, co? — zapytał.

— Ktoś mógłby zjeść te jaja — powiedziała Janice.

— Widziałem tę bombę — mówił dalej Dwa Kapelusze. — Widziałem, jak spadała. Wiem, gdzie jest. — Czknął, przełknął ślinę, czuł, że w brzuchu chleb wymieszał się z wodą po goleniu.

Potem wytarł usta rękawem i zapytał: — Camillo, chcesz ją zobaczyć?

— Mogę. Kusząca sprawa. Bombę możnaby zdetonować.

— Najpierw idziemy do kuchni — rzekł. — Dzisiaj wieczór u Heinza. Oto wieczorne rozrywki, pomyślała Lix. Zupa z kuchni polowej pod mostem, a potem spacer i oglądanie bomby. Zastanawiające są słowa tego Camilla.

* * *

W klubie zebrało się przy zupie większość jego członków. Ashy, Pug, czarny Artur, młoda blada Kirstie, która przyprowadziła ze sobą jeszcze dwoje innych.

Najedzeni do syta bulionem wołowym z warzywami, spacerowali wzdłuż hipnotyzującej rzeki. Na czele pochodu, podrygując z Tomem Octem, maszerował Dwa Kapelusze. Znaleźli do spółki trochę zepsutego wina.

Noc była dotkliwie zimna i Janice idąca obok Kirstie marzyła o rozpaleniu ogniska. Nikt by się jednak nie zatrzymał.

— Podczas wojny było dużo ognia — rzekł Pug.

— Ja też nie urodziłam się wczoraj — odgryzła się Janice.

Poziom wody zmalął, odsłaniając czarną trawę. Tej nocy nie było księżyca. Tylko na drugim brzegu paliły się pomarańczowe latarnie uliczne.

Dotarli do pustych terenów, gdzie wybrzeże było szczególnie szerokie i rozciągało się kilometrami. We mgle unoszącej się ponad ziemią rysował się odległy most. Z przodu była tylko ciemność; majaczyły zarysy budynków, z których żaden nie wyglądał na prawdziwy.

Pod belkami dawnych stropów leżała sterta cegieł i gruzu. Obok spoczywał stary kadłub czegoś, co niegdyś było łódką, a kilka metrów dalej poniewierały się części samochodowe.

Weszli tam wszyscy, z wyjątkiem Janice, Kirstie i psa. Zostały na zewnątrz. Kirstie stwierdziła, że zwałisko gruzu przypomina jej koszmar z dzieciństwa.

Dwa Kapelusze odepchnął metalową belkę i kilka nadgniłych, drewnianych listewek. Weszli

do środka — po dźwiękach słyszanych z góry domyślali się, że są pod londyńskimi torami kolejowymi. Szli ciemnym kanałem, brocząc w zimnym błocie. Na ziemi leżały kości — szczurze, psie i chyba także ludzkie.

— Kiedyś przyszedłem tu na noc — powiedział Dwa Kapelusze. — Ale nawet oka nie zmrużyłem.

— I wtedy znalazłeś bombę, o której od dawna pamiętałeś — odezwał się Camillo.

— Możliwe — odparł enigmatycznie.

Echo ich głosów odbijało się od ścian. Mijali stare skrzynie. Czuli się jak w podziemnej krypcie.

Potem, za rozwaloną ścianą łątaną kiedyś gipsem, ujrzeli w słabym świetle zapalki ceglany tunel ze sklepieniem niknącym w ciemności.

Pod stopami wyczuwali metalowe przewody, które odzywały się przy każdym potrąceniu.

Jedne były długie, inne zaledwie kilkucentymetrowe. Wykonano je z czystego żelaza, a gdzieś zespoliczone złączami. Kable telekomunikacyjne wiły się nad ich głowami na podobieństwo długich robaków.

Cuchnęło ekskrementami albo zepsutą wodą rzeczną. Wtem podłoga pod nimi załamała się i wszyscy polecili w dół.

Coś przed sobą wyczuwali, więc nerwowo zabrali się do zapalania zapalek.

— Ja mam świecę — powiedział Pug.

— Przecież wiemy, gdzie to jest — rzekł czarny Artur.

Zapalili świecę. W słabym świetle ujrzeli rdzewiejącą bombę. Jej wypukłości błyszczały w świetle płomienia niczym łzy.

— To jest bomba?

— Tak, to jest bomba.

Stali w milczeniu jak pielgrzymi przed ołtarzem. Tom Ocet chlusnął na pocisk trochę wina.

Teraz błyszczał dodatkowo.

— A nie mówiłem? — powiedział Dwa Kapelusze. — Śpiewała, jak spadała.

— Co śpiewała? Piosenkę?

— Raczej nuciała coś, tak jak morze — rzekł Dwa Kapelusze. Pocisk osnuła mgiełka mistycyzmu. A Dwa Kapelusze przyprowadził ich tu, by pokazać swoją świętość.

— Camillo, dlaczego nie wybuchła? — zapytał Pug.

— Bo umarła — odparł z uśmiechem Camillo. — Albo zasnęła.

Ruszył przed siebie i nagle rzucił w pocisk znalezionym gdzieś ułamkiem skały.

— Uwważaj! — krzyknął Artur.

— Od jak dawna tu leży? — zapytał Camillo.

— Od tysiąc dziewięćset czterdziestego — odparł Dwa Kapelusze pobożnym głosem.

Błyszczały mu oczy. Napił się od Toma mszalnego wina.

— Stary przyk — stwierdził Tom.

Camillo jeszcze raz rzucił w obudowę pocisku, a potem przyłożył do niego policzek, jakby w geście czułości.

— Nic nie słyhać. Cichutko. Nie ma się czym przejmować.

Lix precyzyjnie się pomiędzy rurkami i położyła dłoń na zimnej powierzchni pocisku. Nie wiedziała dlaczego, ale wcale sienie bała. Już dawno przestała bać się śmierci i zaczęła polegać na swoich odruchach. Może dlatego, że widziała śmierć. Kiedy coś takiego się przytrafi, już nic więcej nie ma znaczenia.

— Chodź do mnie — powiedział Camillo, a potem kopnął niewypał. Lix krzyknęła. Zaczęła walić w pocisk pięściami, kopać go i drapać. Bolało ją, ale jakie to może mieć znaczenie?

Cała reszta obserwowała ją w zdumieniu. Przekazywali sobie dwie butelki i pili ich zawartość.

Co jakiś czas któryś z nich podchodził, by przyłożyć ucho do śmiercionośnej skorupy. Bomba milczała nieprzerwanie.

Camillo odciągnął Lix.

— Już wystarczy.

— Dlaczego? — zapytała.

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś była tak szczęśliwa.

— Nie jestem szczęśliwa. Czym w ogóle jest szczęście?

— Daj spokój. Chcę, żebyś z powrotem była smutna, bo wtedy przypominasz mi matkę.

Rozjuszeni i oszołomieni alkoholem mężczyźni znów podeszli do bomby. Pug popchnął Lix i prawie by upadła, gdyby Camillo nie podtrzymał jej. Odciągnął ją przez tunel.

Natychmiast zachciało jej się płakać. Wolałaby stamtąd nie odchodzić. Nie potrafiła jednak protestować, nie umiała stawiać oporu. Szła u boku Camilla.

Kiedy wydostali się już z ruin, zastali Janice i Kirstie wpatrujące się z przerażeniem w brzeg rzeki. Spomiędzy stert gruzu dochodziły dzikie odgłosy z każdą chwilą coraz głośniejsze.

— Biegniemy tędy — powiedział Camillo. Pochylił się, podniósł kudłatego psa, który niepewnym ruchem polizał go po twarzy. We czworo pędzili wzdłuż plaży.

— Dlaczego biegniemy? — zapytała zdyszana Kirstie.

— Bieg dobrze ci zrobi — rzekł Camillo.

— Kolka mnie złapała.

Biegli dalej. Mający we mgle most znajdował się coraz bliżej. Przypominał teraz ogromnego ptaka z rozpostartymi skrzydłami.

Gdy wbiegli pod przęsła, dobiegające z góry odgłosy ruchu ulicznego zostały wytłumione.

Zatrzymali się.

— Czy to wypali? — zapytała Kirstie.

— Co takiego?

— No, ta bomba.

— Tam nic nie ma — powiedział Camillo.

Janice usiadła nad rzeką. Było jej gorąco, więc otarła pot z czoła. Pies już biegał wokół jej nóg, postawiony wreszcie na ziemię. Kirstie rozplakała się. Camillo przyciągnął do siebie Lix.

— Dlaczego ty nie śmierdzisz? — zapytał. — Jesteś trochę za czysta.

— Chodzę się myć w łaźni publicznej.

— No to przestań. Chcę, żebyś śmierdziała. To mi się będzie podobać.

Lix milczała, a on pocałował ją w króciutką szczecinkę na głowie.

— Moja matka miała niebieskie oczy.

— Pieprzyć twoją matkę.

— O, chętnie bym ją przeleciał, ale już nie żyje.

— Oczywiście, oni umierają.

Woda rzeki szeleściła o nabrzeżny piasek. W górze, na moście krzyczała dziewczyna. Nie ze strachu, lecz pod wpływem alkoholu.

— Kto umiera? — zapytał Camillo.

— Odwal się.

— No powiedz.

— Wszyscy.

— Nieprawda. My żyjemy i jesteśmy tutaj teraz ze sobą.

— Jesteśmy? A kim ty jesteś? — zapytała.

— Biednym, nikomu niepotrzebnym starcem — odpowiedział.

Lix go odepchnęła. Potem odwróciła się i zobaczyła, że z odległych ruin — niczym mrówki ze szpary — wypełzają na powierzchnię jej znajomi. I bardzo się przy tym śpieszą.

Wtedy nastąpił wybuch. Ludzie krzyczeli i wymachiwali rękami.

— O rany — Camilla zamurowało.

Lix próbowała liczyć wychodzących. Najpierw czarny Artur i Pug; znała ich na tyle dobrze, że rozpoznawała ich nawet z dużej odległości. Po nich wybiegli trzej mężczyźni w wełnianych czapkach, których znała tylko z widzenia. Tom Ocet upadł twarzą na ziemię.

Po chwili sytuacja uległa zmianie. Z ziemi wydostała się najpierw czerwona, a potem jaśniejąca białą kula, otoczona zieloną poświatą.

Lix poczuła, że ktoś przyciska jej ciało. W następnym ułamku sekundy leżała na plecach, a na niej leżał Camillo. Przypomniała sobie, jak śmiała się na filmach, gdy muskularny bohater rzucał się na pomoc bohaterce. Usłyszeli z dala jakiś gwizd, a potem coś wpadło do rzeki. Woda pojaśniała i wzburzyła się jak olej na rozgrzanej patelni.

Huk zdawał się trwać w nieskończoność. Lix szumiało w uszach. Kawalek drewna z sykiem przeleciał obok jej twarzy, a potem z głośnym pluskiem wpadł do wody. W końcu zrobiło się cicho.

Lix zepchnęła z siebie Camilla i usiadła. Ten śmiał się.

Janice leżała i dalej na ziemi i przytulała do siebie psa. Zwierzakowi nic się nie stało, ale był wniebogłosy. Kirstie nadal płakała; jej też nic się nie stało.

Zaraz jak Lix powrócił słuch, rozejrzała się i zobaczyła, że wszyscy leżą na brzegu rzeki.

Tylko czarny Artur i Pug tańczyli bez spodni, w postrzępionych ubraniach. Wybuch pozrywał z nich stroje i teraz Artur, krzycząc z przerażenia, musiał się zasłaniać jedną ręką.

Żarzyło się jeszcze czerwone światło, a poza tym było całkowicie ciemno. Zarysy zrujnowanych budynków zniknęły całkowicie. Most stanowił tylko nocną zjawę oświetloną ogniem. Nie świeciły się latarnie; nie było słychać żadnych krzyków.

Przez chwilę Lix chciała biec do leżących mężczyzn i podskakującego Puga z Arturem, ale

szybko przeszła jej ochota.

— Chcę, żebyś za mnie wyszła — powiedział Camillo.

— Myślałam, że to już koniec świata — odezwała się Janice.

* * *

Człowiek sprzedający na moście kanapki stracił nagle równowagę i upadł na swój straganik.

Nikt nie sądził, że ogień może powodować tak silną falę uderzeniową.

Ogłuszył go huk; ponad głową widział czerwone niebo. Z pewną radością wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił go od rozżarzonego kawałka drewna, który spadł z góry.

* * *

Connor akurat jadł w Beehive lasagne z frytkami i popijał piwem, gdy w oddali rozległ się huk i zgasły wszystkie światła. Czyżby bomba?

W zupełnej ciemności usłyszał głos przerażonej kobiety:

— To jak u *Quatermass*.

Tylko że w *Quatermass* były lepsze dialogi, pomyślał Connor.

Pogłaskał Viv, a ona się do niego przytuliła. Podał jej frytki. Ktoś postawił na barku świece i nagle wszyscy znaleźli się w wiktoriańskim Londynie — wraz z dziewczętami w spódniczkach mini, wytatuowanymi facetami i człowiekiem, który próbował sprzedać Connorowi zakazany towar pod drzwiami do męskiej toalety.

Blask świec przypomniawszy mu o Mirandzie. Widział ją w myślach na podłodze w jakiejś przestronnej, pięknej sali, oświetlonej świecami — w wysokiej wieży ponad morzem.

Następnego dnia wybierał się na północ.

* * *

W rzeczywistości Miranda znajdowała się na najwyższym piętrze domu Scarabeidów i towarzyszyły jej dwa czarno — białe koty. Spoglądała na otaczający ją Londyn, który mieni się

zazwyczaj panoramą światła. Tego wieczoru, po dźwięku przypominającym kasznięcie olbrzyma wszystkie światła zgasły.

Miranda oglądała właśnie *Krew z grobowca*. W najważniejszym, momencie przeszkodziły jej dźwięki dobiegające z realnego świata. Koty pobiegły za nią na poddasze i wraz z Mirandą wyglądały przez okno. Dla nich taka nagła ciemność nie znaczyła absolutnie nic.

Rachaela, otwierająca już trzecią butelką tego wieczoru, siedziała na podłodze przed telewizorem. Z wieczornych wiadomości dowiedziała się o zaciemnieniu w części stolicy. Podejrzewano terrorystów o podłożenie bomby.

Natychmiast pomyślała o swej demonicznej córce Ruth, o podpaleniach i morderstwach. A potem, bez żadnej przyczyny, przypomniał jej się wujek Camillo.

Szybko jednak zapomniała o tych sprawach. Tak samo jak wyrzuciła z pamięci milczenie Althene, zniknięcie Anny i wszystkie inne rzeczy. Wino poradzi sobie z różnymi myślami.

Rachaela piła. Jak zwykle miała w lodówce kilka butelek w zapasie.

ROZDZIAŁ 31

Bus, czekając pod ciemnym oknem pokoju Sofie, miał czas, aby obejrzeć trzy kolejne pojazdy płynące po kanale. Schodziła na dół bardzo długo. Ona albo Greta. Coś jednak mu podpowiadało, że drzwi otworzy Sofie. Miał rację.

— Cześć, kochanie — powiedział.

Zawsze wiedział, że Sofie jest stuknięta. Wiedział także, że jest dziewczyną bez skazy. Dzisiaj wyglądała jednak na zaniedbaną. Na nogach miała parę rozdeptanych kapci ze śladami po pudrze a na górę włożyła rozciągniętą bluzę z dziurą przy kołnierzyku. Bez żadnej biżuterii i ozdób. Czy chociaż uczesała się? W rozszerzonych oczach czaiło się jeszcze większe szaleństwo niż zazwyczaj.

— Czego ty chcesz?

— Zobaczyc się z tobą, moje złotko. Zobaczyc się z moją dziewczynką.

— Nie teraz.

— Ależ najdroższa, nie możesz mnie spławić. Byłem tu już wcześniej i Greta powiedziała, że nie możesz się ze mną spotkać. Już tamto mi się wcale nie podobało. Tak się nie traktuje człowieka.

— Greta już nie ma — powiedziała pustym głosem Sofie.

— Jak to? — Bus wyglądał na zaskoczonego.

— Wysłałam ją do siostry w Utrechcie.

— Dlaczego?

— Przepraszam cię Bus, ale musisz już iść.

Górował nad nią potężną sylwetką.

— Nic z tego. Nigdzie nie idę. Chcę się zobaczyć ze swoją dziewczyną.

Wtedy Sofie z niepokojem spojrzała na ulicę.

Było bardzo zimno, woda wyglądała tak, jakby była skuta lodem, bezlistne drzewa stały nieruchomo. Po moście spacerował człowiek z psem.

— No to wejdź — powiedziała. — Szybko. Ale tylko na moment.

— Oczywiście, kochanie — powiedział Bus i wszedł do zimnego domu. Zaprowadziła go do salonu na piętrze.

— Poczekaj tutaj i masz stąd nie wychodzić.

— A to dlaczego? Co ty kombinujesz?

— Zrób, co ci mówię. Proszę cię, Bus. Mam coś dla ciebie i zaraz to przyniosę. Tylko się stąd nie ruszaj.

Bus wzruszył ramionami i usiadł na skórzanej sofie. W domu było nie napalone i zdawało się, że panuje tu jeszcze niższa temperatura niż na dworze.

Bus słyszał odgłosy kroków Sofie.

— Co ona szykuje?

Nie ruszył się jednak, choć bardziej z powodu zeszywnienie kości niż oczekiwania na niespodziankę. W każdym razie nie musiał czekać zbyt długo.

— Proszę, Bus. Weź to. Tym razem nie będzie żadnych problemów.

— Co to jest?

Podsunęła mu pod nos pierścień przeznaczony na mały lub serdeczny palec. Czaszka z żółtawego materiału była oprawiona w złoto, miała oczy z szafiru i zęby z brylantów.

— Dziwna rzecz — powiedział Bus.

— Bardzo stara. Z XVII wieku. Czaszka została wyrzeźbiona z kości.

— Słoniowej?

— Nie. Ludzkiej.

— Zabieraj to — powiedział z odrazą.

— Bus, nie będziesz miał z tego powodu żadnych kłopotów. Oni nie wiedzą, że ja go mam.

— Rodzina?

— Tak. Ten pierścień jest bardzo cenny.

— Jak bardzo?

— Nie wiem. Może nawet bezcenny...

— Muszę to sprawdzić.

— Jasne. Idź i sprawdź. Idź od razu.

— Trochę nieładnie, że mnie w ten sposób wypychasz. Chowasz tu jakiegoś faceta?

Sofie roześmiała się gwałtownie. Wyglądała jak oszalała sowa.

— Nie.

— Wy, kobiety macie swoje tajemnice. Ale chyba wiesz, że Bus wie wszystko. Dowiem się i

teraz, co knujesz.

Zamilkł na chwilę, a potem zapytał:

— Gdzie ten gówniarz?

Sofie znieruchomiła.

— Mój syn zniknął.

— Tak? Kiedy?

— W zeszłym tygodniu.

Bus doszedł do wniosku, że w tym właśnie leży sedno problemu. U Sofie przebywa obecnie jakiś pocieszyciel lub pocieszycielka, która uprawia ciekawszy nałóg niż narkotyki lub sodomia i... bardziej zakazany. Bus postanowił jednak dać temu na razie spokój i uspić czujność Sofie.

Gdy jest podekscytowana, potrafić sprawić człowiekowi ból.

— No dobrze, złotko. Zostawię was samych. Ale wrócę. Nie mogę za długo być bez swojej dziewczynki.

Nerwowo odprowadziła go do drzwi i wypuściła na ulice Amsterdamu.

Gdy zamknęły się drzwi, Bus stanął i popatrzył na różowy dom. Nie widział niczego szczególnego. Nie było nastrojowego światła ani nawet zaciągniętych zasłon. Z jakichś powodów jego uwagę przykuł strych, ale i tam niczego nie było. On przynajmniej niczego nie zauważył.

* * *

Tego samego popołudnia Bus wsiadł do żółtego tramwaju i odjechał.

W okolicach Zwartkerk wsiadł do tramwaju młody mężczyzna i usiadł z tyłu. Miał dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata i kilka pryszczki na białych policzkach. Ubrany był w brązową kurtkę ze skóry i niewielką czapkę.

Po minucie Bus podniósł się z miejsca, cofnął się do tramwaju i usiadł naprzeciw młodzieńca w skórze.

— Zastanawiam się, czy siedzisz jeszcze w tym biznesie, Sparky?

— Owszem.

Sparky to przydomek, który nadali mu Amerykanie, nie mogąc wymówić jego prawdziwego nazwiska, a przynajmniej tego, które ostatnio podawał.

Sparky śmierdział gauloise'ami i bił od niego chłód ulicy. Siedział nieruchomo, wpatrzony przed siebie, a tramwaj gnał wytyczonym torem. Sparky jeździł tą trasą co trzeci dzień, wsiadał przy Zwartkerk a wysiadał przy Giełdzie Staroci. Wiedzieli o tym jego znajomi.

— Masz — powiedział Bus. — Ciekawe, co o tym myślisz?

Sparky wyciągnął rękę. Miał dość długie, zadbane paznokcie. Wziął pierścień z czaszką i obejrzał go bez słowa komentarza.

— No i co?

— Skąd to masz?

— Mam, skąd mam. Dziewczyna mówi, że nie będzie problemu.

— Według niej.

— No cóż. Daj jakąś zaliczkę, weź to i popytaj. Wiem, Sparky, że mogę ci ufać.

— Oczywiście. Proszę.

Podał Busowi brązową kopertę, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki. Sparky był przygotowany na wszelkie okoliczności. Wszystkie menele wiedziały, że można na nim polegać.

Bus pomacał kopertę i wyczuł ponad tysiąc guldenów.

— A więc to może być coś warte, nie? Dasz mi jutro więcej?

— Jeśli to nam się spodoba.

— Będziesz w tramwaju?

— Będę. Minęli kilka zakrętów i tramwaj zatrzymał się przy Giełdzie Staroci, gdzie

handlowano książkami. Sparky wymknął się przed tłumem starszych ludzi wsiadających do

tramwaju i zniknął gdzieś bez śladu.

Bus schował kopertę z pieniędzmi do kieszeni kurtki. Postanowił trochę się rozluźnić. Już od godziny popijał piwo i palił doskonałą trawę. Ale nie było to marnowanie czasu. Im dłużej pił i palił, tym wyraźniej widział nowe możliwości. Sofie popadała w coraz większe szaleństwo. Może nawet posunie się do zamordowania swojej czarodziejskiej pocieszycielki i wtedy będzie musiała jakoś ukryć ciało. Bus będzie musiał jej pomóc, a kiedy jej pomoże, jego milczenie stanie się dla niej bardzo cenne. Busowi zdarzały się przecież wyrzuty sumienia. Już kiedyś tak było.

Miał więc przed sobą wspaniałe perspektywy.

Kiedy znudziła go już marihuana, podszedł do baru i zamówił dużego hamburgera. Spotkał tam znudzoną Angielkę, na oko dziewiętnastolatkę — zgrabną, długonogą, o czarnych włosach. Była w pasiastej spódnicy, która z jakichś powodów go rozśmieszała.

Dziewczyna dała do zrozumienia Busowi w delikatny lecz wymowny sposób, że u siebie w domu ma wspaniały towar; o wiele mocniejszy niż marihuana.

Kiedy wyszli z baru dopiero zachodziło słońce i powoli ciemniało niebo, pograżając domy w cieniu i nadając wodzie w kanałach srebrzystoczaray blask, zmacony tu i ówdzie czerwienią i żółcią neonów.

Dziewczyna prowadziła Busa bocznymi uliczkami, aż w końcu znaleźli się na trzypasmowej arterii biegnącej wzdłuż kanału, gdzie zaczęła opowiadać turystyczne ciekawostki, które rozśmieszyły Busa do szpiku kości. Zatrzymali się na chwilę, żeby zapalić skręty.

W tej samej chwili Bus zdał sobie sprawę, że po chodniku jedzie w ich stronę jakiś amsterdamski rowerzysta. Człowiek przypominał wronę: z tyłu furkotała peleryna, a rower podskakiwał na nierównościach. W przednim koszyku rowerzysta miał coś, co wyglądało na dużą porcję mięsa.

Bus spoglądał na niego z rozbawieniem. Dziewczyna zaś zaciągała się magicznym papierosem, przymykając oczy.

Rowerzysta zwolnił i coś się stało. Bus ujrzał w ułamku sekundy pociągłą, kościstą twarz, osłoniętą częściowo czarnym beretem. Rower zachwiał się i wydawało się, że zaraz dojdzie do zderzenia. Niezwykle długa ręka rowerzysty wyprostowała się, a Bus poczuł uderzenie w piersi. — Ej...! — krzyknął.

Roman, kataryniarz pozostający na usługach Malacha i całej rodziny Scarabeidów zamachnął się ręką uzbrojoną w długi nóż i jednym ruchem podciął Busowi gardło, aż po sam kręgosłup. Zanim trysnęła krew, rowerzysta schował nóż i odjechał.

Dziewczyna odskoczyła, żeby nie pochlapała jej krew. Bus z wybałuszonymi oczami upadł na chodnik.

Dziewczyna już wcześniej zauważyła szarą kopertę tkwiącą w jego kieszeni, więc teraz szybko ją wyciągnęła. Gdy podczas ucieczki odwróciła głowę, ujrzała Busa staczającego się do kanału. Po chwili usłyszała głośnie chlupnięcie. Woda wciągnęła trupa i po chwili na powierzchni pozostał tylko czerwony, z każdą chwilą ciemniejszy ślad.

ROZDZIAŁ 32

Burza. Pod stosem z żywych futer leżał człowiek i walczył całą duszą z zimnem dogorywającej nocy. Psy również pojękiwały, warczały i zmieniały miejsca, cisnąc się wokół niego. Wszędzie panowała biel przechodząca w ciemność, a oni w niej tkwili. Śnieg mieszał się z czarną nicością. Nie było księżyca ani gwiazd.

Czasami człowiek przemawiał łagodnie do psów, a one w odpowiedzi machały ogonami pod zwałami lodu, które ich przykryły. Trzymały się blisko niego, wsuwały łapy pod jego ubrania. Tłoczyły się przy nim. Set — bóg burzy i pustyni — przybył na skrzydłach burzy w pełnym tego słowa znaczeniu. Najazd i punkt kulminacyjny. I chociaż to była pustynia gorąca i sucha, w

jednej chwili stała się biała, przeraźliwie zimna i wilgotna.

Białe płatki wciskały się wszędzie. Powoli zamieniali się w śniegową zaspę. Nawałnica się wzmagala. Psy były teraz cicho. Wciśnięty między nie Malach milczał również. To jej białe włosy rozpościerały się na pagórku...

* * *

Przez pewien czas szukał w pamięci. W końcu znalazł. Ona. Anna. Ruth. Jednak żadna z nich. Tylko ona sama.

Później była ta podróż, statki, samoloty, gorące miejsca. Najemnicy, karabiny i kwaśna lemoniada. I ten ostatni samolot — zatrzepotała myśl w głowie Malacha. Lodowiec. Jeszcze Rosjanie spotkani o zielonkawym brzasku na bezkresach śniegu. Ubrani byli w czarne i niebieskie kolory; powitali go z uprzejmym uśmiechem *dobroje utra*.

Oni sprowadzili psy. Przewodnik stada, ponad pięćdziesięciokilowy samiec, miał maść niemal całkiem czarną. Malach pokochał tego psa, jak gdyby znalazł w nim brata. Walczyli ze sobą na śniegu, a on ugryzł psa, przebijając się zębami przez grube futro i tłuszcz. Wówczas pies był już jego.

W nocy na całym niebie świeciły gwiazdy. Strzelec. Orzeł. Zbliżali się coraz bardziej. A potem przyszła burza. Właśnie ta burza.

Psy wyły i trzymały się razem. On był z nimi. Bez żadnego namiotu, żadnego okrycia — z wyjątkiem termoszczelnego ubrania, maski i okularów. Psy miały tylko futro. Włosy Malacha dorównywały bielą zaspie w której leżał ze swymi wojownikami.

W nocy przysunęły się do niego dwie samice. Kochał ich oddech zalatujący mięsem. Przy życiu trzymała go miłość. Czy wtedy też to była miłość?

* * *

O poranku szmaragdowe niebo rozlało swe barwy wśród bieli. Psy wyły i szczekały. Pozostałe

hałas umilkły. Psy sikały na śnieg, unosiła się para.

Malach nakarmił zwierzęta. Przewodnik stada i suki pomagały mu w wykopywaniu ze śniegu drewnianych sań z plastikowymi płozami. Odczytał wskazania sekstansu.

Potem przywołał psy, ustawił je w rzędach i pojechali. Zwierzęta były zmęczone. On jednak mówił do nich prosto z serca, a one machały ogonami. Cokolwiek się działo, były dobrze traktowane. W miejscu do którego zmierzali, mogły okazać się równie cenne jak srebro. Gdy zaprzęg szedł do przodu, on obserwował wylaniający się z turkusowego powietrza półkolisty skrawek pustyni.

A jednak pozostał nadal człowiekiem — zastanowił się. W sensie ogólniejszym i fizycznym. Sprężyste, smukłe ciało pokrywały srebrzyste włoski. Oczy kryły się za okularami odblaskowymi. Ale jego serce, które na chwilę przemówiło, ukryło się znów za szańcem lat.

ROZDZIAŁ 33

Gdy nad miastem zapadał zmierzch, w ostatnich promieniach miedzianego słońca podążał orszak. W morzu światła tonęły szczyty budowli, obeliski kąpały się w złocie.

Nad rzeką krążyły leniwie ptaki o skrzydłach w kolorze miodu. Ulice jednak ogarnął cień zwiastujący nadejście nocy.

Mrok nie dosięgnął wachlarza przed wizerunkiem Sachmet Lwicy — unoszącego się i opadającego.

Bogini także była wspaniale oświetlona. Z różowego gładkiego kamienia, ze złotą twarzą i kołnierzem na nagich piersiach — stała na ruchomej platformie w otwartym domostwie pełnym zieleni, czerwieni i złota. Złota koszulka częściowo przykrywała obszerne szaty z żółtawego lnu.

Za błyszczącym wizerunkiem bogini Sachmet, w poślacanej lektyce, niesiono jej ludzkie wcielenie.

Podobnie jak bogini, dziewczyna ubrana była w szaty z żółtego lnu i miała odsłonięte jędrne,

okrągłe piersi. Ciało żywej Sachmet miało barwę najjaśniejszego drewna akacjowego. Twarz przykryto złotą maską bogini; ciężka peruka usztywniona henną sięgała aż do ramion. Na palcach, nadgarstkach i na ramionach kobiety umieszczono wiele złota. Była w nim uwięziona. Kapłanki ciągnęły swą melodyjną pieśń. Opowiadały o tym, jak Sachmet poszła do męża, do jego pałacu, którym była świątynia Ptah. Ludzie stojący wzdłuż drogi i na dachach powtarzali słowa. Niektórzy rzucali kwiaty — lotosy symbolizujące życie i lilie, powiązane ze śmiercią. Od czasu do czasu na ulicy wybuchały snopy kolorowych iskier.

Orszak minął wrota do małej świątyni Chwały Słonecznej Tarczy. Zachodzące słońce oświetliło dziewczynę, a złota maska z kolei na chwilę oślepiła ludzi zebranych na ulicy. Dziewczyna pokłoniła się świątyni.

Orszak mijał kolorowe domy przystrojone kwiatami i gałązkami trzciny pomalowane ziarnami soczewicy, aż doszedł do Wielkiego Muru i rozległego miejsca przed placem Ptaha, Przystani Dobra.

Dwa ogromne pylony* wysokie na prawie trzydzieści metrów, wyznaczały przejście do niebiańskiego ognia. Wrota pomiędzy nimi były szeroko otwarte, stali przy nich kapłani w szatach z białego lnu, ozdobionego zwierzęcymi skórami.

Pozdrowili przybywającą Sachmet gestem przypominającym ruch skrzydeł ptaków krążących nad rzeką, a potem rozstąpili się przed nią.

Zgodnie ze zwyczajem samo przekroczenie progu oznaczało, że Sachmet poślubia Ptaha. Małżeństwo zostało zawarte w chwili, gdy znalazła się w środku, a wraz z nią lektyka z kapłankami.

Za pylonami rozciągał się olbrzymi dziedziniec o szerokości stu, stu dwudziestu metrów.

Spowijał go już złotawy cień. Dwa zbiorniki z błyszczącą wodą przypominały rybie oczy.

Po drugiej strome dziedzińca znajdowały się dwie ogromne rzeźby: jasnozielonego Ozyrysa w

wianku z trzciny, z cepem i sierpem w dłoniach oraz samego Ptaha. Ten był okryty bandażami jak mumia — odsłonięto tylko stopy i głowę. Twarz miał ludzką, piękną, lecz nie pasującą do całości; raczej dziecinną. Ptah trzymał w dłoni berło uznane za symbol życia.

* pylony — masywne budowle kamienne o kształcie trapezów, stawiane z obu stron bramy prowadzącej do świątyni.

Umilkła pieśń kapłanek. Zapadła cisza, która jednak wcale nie była ciszą. Dobiegały dźwięki z rzeki, z ulic, słychać było ogrodowe cykady, płacz dzieci, a czasami zgrzyt urządzenia do przelewania wody. W pobliżu świąteł brzęczały owady. Niebo nabrało koloru ciemnej czerwieni. Dziewczyna zsunęła się z lektyki i stanęła przed bóstwem. Podniosła obie ręce i oddała hołd Ptahowi, twórcy życia i Ozyrysowi, panu śmierci. Wtedy Sachmet została wniesiona do świątyni, a dziewczyna podążyła za nią.

W długich korytarzach podpartych czworobocznymi kolumnami — w czerni, zieleni i kolorze ochry — złożono na ołtarzach ofiary. Były nimi chleb, wino, oliwa i krew.

Skończył się dzień i nadeszła noc, więc zapłonęły wszystkie pochodnie i miseczki wiszące na łańcuszkach z brązu. Z głębi świątyni słychać było uniesione głosy. Jeszcze dalej, za drzwiami prowadzącymi do labiryntu, znajdowały się wrota do kraju umarłych. Tam oczekiwał ją Ptah pod postacią karła z głową sokoła. Nosił imię Sokaris.

Dziewczyna będąca Sachmet podążyła za posągiem bogini. Weszli do przestronnej kamiennej komnaty i tam dziewczyna położyła się na rodzaju ołtarza. Towarzyszące kobiety zdjęły z niej szaty i odpięły pas.

Wtedy dwóch kapłanów wprowadziło Byka. Nie patrzyli na dziewczynę, bo wiedzieli, jakie niebezpieczeństwa niesie dla nich ujrzenie krocza Sachmet.

Byk patrzył, tak mu było przeznaczone.

Na szerokim czole miał wypalony biały trójkąt Zehuti. Pochylił głowę i powąchał genitalia

dziewczyny. Ona nawet nie drgnęła. Taki był wymóg chwili.

Byk był delikatny, pachniał perfumami i dobrym zdrowiem, a także cebulą, którą mógł jeść jako bóstwo, chociaż nie wolno jej było spożywać kapłanom.

Włosy z nosa świętego zwierzęcia połaskotały ją po satynowej skórze i odruchowo roześmiała się. Byk uniósł głowę i popatrzył na nią łagodnym wzrokiem. Był inkarnacją Amona.

Następnym razem dotknie mnie mężczyzna, pomyślała. A potem dopowiedziała sobie: nie, będzie mnie dotykał Ptah.

Gdy łagodny Byk odszedł, ubrano ją z powrotem i wraz z Sachmet wyruszyły dalej do ślubnej komnaty.

* * *

Nazywała się Anchetari. Przed wieloma laty, gdy mieszkała jeszcze w nadrzecznej wiosce, została wybrana spośród wielu innych dziewcząt. Tam, w rodzinnym domu podłogi w chatkach robiły się błotniste wraz z przyływem wody. Dziewczyna słuchała muzyki rzeki i stukotu drewnianych urządzeń przenoszących wodę na pola.

Potem przeniosła się do wnętrza świątyni. Pamiętała podróż do miasta na złotej łodzi, w towarzystwie kapłanki Nefertun z niebieskimi paznokciami. Potem dotarły do wysokiego brzegu, a jeszcze później do świątyni Sachmet — bogini z czerwoną tarczą słoneczną na głowie. Lwica sprowadzała plagi i pożary. Sachmet–niszczycielka była żoną Ptaha–twórcy.

Od samego początku Anchetari wiedziała, że jej matka popełniła zbrodnię, lecz trzymano to w tajemnicy, gdyż groziło za nią oszpeccenie. Nawet „ojciec” Anchetari krył matkę.

W świątyni, gdzie uczono ją służyć bogini–lwicy, wiedziano, że Anchetari nie w pełni do nich należy. Ona również zdawała sobie z tego sprawę. Chcieli nad nią zapanować, ale mogli tylko ją uprawiać jak winną latorośl.

Mimo to domyślała się, kim być może kiedyś zostanie; nie polepszało to w niczym jej

sytuacji. Teraz przypuszczała, że mąż wybrany dla niej na tę noc w imieniu miasta został też przywieziony rzeką. Był sześć czy siedem lat od niej młodszy.

Świątynia Słonecznej Chwały zapragnęła go, gdyż był pięknym i mądrym dzieckiem. Córka króla, Khuen — Aten odrzuciła go. Przygarnął więc chłopca Ptah — teraz należał do niego. Przednią komnatę wyłożono czarnym kamieniem; z sufitu zwisały lampki rzucające słabe światło. Cienie, które zostawiały przedmioty, były tak długie jak podczas zachodu słońca. W powietrzu unosił się zapach kadzideł i olejków kwiatowych.

Kapłanki zostawiły ją przy ołtarzu, gdzie przed złotą szkatułką z wizerunkiem Ptaha sączyła się smużka dymu utrudniającego oddychanie. Gdyby dziewczyna złamała pieczęć i zajrzała do szkatułki, groziłaby jej śmierć. Tylko Sachmet stojąca z boku mogła złamać pieczęć.

Za chwilę do komnaty miał wejść on. Anchetari czekała.

Miała dwadzieścia dwa lata i była dorosłą kobietą z górnego kraju. Dzięki swej świeżej urodzie wyglądała zaledwie na lat piętnaście. Anchetari — dziewczyna była powabna choć teraz zdobiła ją uroda nieruchomej maski. Rozpuszczone czarne włosy sięgałyby jej do kolan, choć dziś nosiła perukę. Czarne oczy mieniły się odcieniem, jaki rzeka przybiera nocą.

Otworzyły się drzwi i do środka wkroczył Ptah. O ile ona wyglądała młodziej, o tyle on, który miał podobno tylko szesnaście lat, wyglądał na mężczyznę starszego od niej.

Był silny i wysoki. W przeciwieństwie do bóstw, nie miał wygolonej głowy ani związanych włosów, lecz tak jak ona nosił ciężką perukę z czarnymi lokami sięgającymi ramion. Peruka ta nie zaburzała doskonałych proporcji jego smukłego ciała.

Ubrany był w lniane szaty przepasane w talii pasem z symbolami Ptaha, a także życia i wieczności. Anchetari jeszcze nigdy nie widziała takiej twarzy. Jednakże, dorastając w otoczeniu kobiet, widziała z bliska niewiele męskich twarzy — wyłącznie strażników i kapłanów. Ten mężczyzna nie wyglądał na kapłana.

Przybyły z młodzieńcem kapłan postawił na ołtarzu wazon i rozbił go pięścią. Na kamienie poleciały kropelki oliwy i barwione szkiełka.

Ptah spojrzął na dziewczynę, a wtedy jego towarzysz natychmiast odszedł.

Drzwi zostały zamknięte, a z drugiej strony zaryglowano je potężną sztabą.

— Jestem Reptah — powiedział. Był pewny siebie, chłodny i silny jak kolumny podtrzymujące sklepienie.

— Jestem Anchetari.

Przedstawili się sobie na razie tylko ziemskimi imionami.

— Lecz witam cię jako Ptaha — powiedziała.

— A ja ciebie, pani, witam jako Sachmet.

Czarne oczy chłopca były podobne do oczu Ancheteri, ale jednocześnie zupełnie inne.

Przypominały... rzekę skąpaną w cieniu. Jasne iskierki sprawiały, że wyglądały tak, jakby wrywała się z nich dusza ptaka gotowego do lotu.

Anchetari nie bała się, bo wypełniała swą powinność. A jednak była dziewicą i wiedziała, że ten człowiek będzie musiał w nią wniknąć i być może przygotować jej łono do powicia dziecka.

Czy go pragnęła? Był wyrafinowany i piękny. Ale tak młody, nawet jeśli nie wyglądał na to.

Okrutna też była jego obojętność.

Przeszli za ołtarz do drugiego pomieszczenia bez wdawania się w dalsze rozmowy.

Tam już wszystko było dla nich przygotowane. Mogli się wykąpać jeszcze raz wieczorem (kapłan musi się kąpać zawsze o świcie), mogli też załatwić się za malowanym parawanem.

Przygotowano im proste jedzenie, wino, dwa naczynia — płaską miseczkę dla niej i wysoki kielich dla niego.

Łóżko przeznaczone do uprawiania miłości miało dwa duże podgłówki.

Anchetari zastanawiała się, czy tej nocy podobnie jak wtedy, gdy Eset poszukiwała męża

Ozrysa, na niebie, przy obniżającym się księżycu, zaświeci gwiazda. Nie mogli tego widzieć, bo w komnacie nie było okien.

Położyła się na łóżku, rozłożyła ręce na boki i lekko rozchyliła nogi. On się roześmiał.

— Nie jestem Bykiem — powiedział, a potem dodał surowszym tonem: — Pani, zdejmij przynajmniej maskę. Być może zechcę posmakować twoich ust.

Anchetari nie miała pojęcia o seksualnej etykiecie, nie miała też jeszcze żadnych seksualnych fantazji, a wszystkie swoje emocje powściągała po to, aby służyć jemu. Zdjęła więc złotą maskę i ostrożnie położyła ją na podłodze, na wspaniałym, miękkim dywanie w kolorach zieleni i czerwieni.

— Jeszcze perukę — powiedział. — Ogolili ci głowę?

— Nie.

— A więc zdejmijmy oboje. Noc nie jest jeszcze zimna. Posłusznie zdjęła rudą perukę i rozpuściła jedwabiste włosy na ramiona, plecy i piersi. Reptah obserwował z uwagą. Sam też zrzucił perukę.

Włosy młodzieńca były równie czarne jak peruka i pięknie lśniły. Mocne, zdrowe — sięgały falami aż do kolan i przywodziły na myśl rzekę.

Wtedy napełnił naczynia czerwonym winem i usiadłszy na łóżku podał jej miseczkę.

— Boisz się?

— Nie.

— Kłamiesz. Widzę, że się boisz.

— Nie lękam się, Reptahu, pierworodny Ptaha.

Uniósł ze zdziwieniem czarne brwi.

— Pochlebiasz mi. Ale ja się boję. Nie lubię o tym mówić.

— Mnie możesz powiedzieć — powiedziała Anchetari.

— Już to zrobiłem. Może więc dam radę z resztą.

— Tak trzeba.

— Nie. Mogę cię rozprawiczyć czymkolwiek. Ręką albo jakimś innym przedmiotem.

— Ale — odpowiedziała — wtedy nie będzie... rozkoszy? Podobno...

— Przypuszczam, że... dla mnie. Dla ciebie to duży ból. Jak rodzenie, tylko że w inną stronę.

— Czy my bluźnimy? — zapytała zdziwiona.

— Nie, to nie bluźnierstwo. Twoja pieczęć musi zostać złamana, a ja muszę ci włożyć coś swojego. Palec wystarczy. Muszę też w imieniu Ptaha posiać swe ziarno, ale robiłem to już wcześniej.

— Jak to jest?

— Dziwnie — powiedział. — To dar ciemności. Czy nigdy nie dotykałaś się tam, gdzie dotykał cię Byk?

— Dotykałam się. Oczywiście. W kąpielu.

— I nigdy niczego nie czułaś?

— Czułam — Anchetari opuściła wzrok. — Szybko zabierałam rękę.

Napili się wina.

W lampce oliwnej strzelił knot i uniósł się obłoczek pary. Popatrzyli w tamtą stronę, a potem odwrócili się do siebie.

— Chciałbym cię obejrzyć obnażoną — powiedział.

Anchetari odstawiła czarką i zsunęła się z łoża. Odwiązała pas i pozwoliła szacie zsunąć się na dywan.

Była bardzo smukła, ukształtowana niczym wazon. Wygolono jej wszystkie włosy, nawet na wzgórku łonowym. Kielich jej płci okryty był cieniem, niczym kwiat lotosu.

Reptah przyglądał jej się, a ona musiała na to pozwolić, chociaż po raz pierwszy poczuła

odrobinę złości. Na usta cisnęło jej się pytanie: czemu się tak patrzysz. We wzroku młodego mężczyzny nie było szacunku ani serdeczności. Za to Anchetari miała wrażenie, że czai się tam nienawiść.

Chłopiec wstał, odwiązał wszystkie rzemyki i zdjął szaty.

Szeroki w ramionach, wąski w biodrach — miał smukłe, muskularne niczym lew lub posąg ciało. Jemu też wygolono wszystkie włosy — wąż zatem leżał bez ruchu i bez żadnej osłony. Nie miał erekcji, jak jej wyjaśniano. A więc nie podnieciła go.

— Moje ciało nie zareagowało na ciebie, o pani. Wybacz mu — mówił ze wzgardą. — Byłem bity za pozwalanie mu na przyjemności i teraz oczekuje ono bólu.

— A więc znajdź jakiś przedmiot — powiedziała równie chłodnym tonem jak on. — Zabierz w ten sposób moje dziewictwo, jeśli nie będzie to bluźnierstwem. Potem możesz iść spać.

Ku zdziwieniu Anchetari, z oczu popłynęły jej dwie duże łzy i wolno spływały po policzkach.

Nie płakała już od wielu lat. Ostatnio zdarzyło jej się to w pierwszych dniach pobytu w świątyni Sachmet, kiedy tęskniła za rodzinną chatą podmywaną wodą i za zbrodniczą matką.

Dwie łzy poruszyły jednak Reptaha.

— Nie chciałem sprawić ci przykrości — powiedział. — Jeśli trzeba, możemy się razem położyć. Rozłóż nogi jeszcze raz.

— Nie sprawiłeś mi przykrości. Jestem tylko trochę zdenerwowana. Zróbmy to i miejmy całą sprawę za sobą. Nieważne, czy będzie bolało. Krzyczeć nie będę.

Położyła się na łóżku, a on, jakby pod wpływem nagłej decyzji, zajął miejsce obok niej.

Dotknęli się ciałami. Był to między nimi dopiero pierwszy kontakt fizyczny. Skóra otarła się o skórę i tarcie wywołało jakiś nagły przepływ. Oboje więc obydwójce natychmiast usiedli i popatrzyli na siebie.

— Co to było? — zapytała.

— Wiedza — odpowiedział. — Kiedyś dotknąłem stopy posągu w świątyni i poczułem to samo. A właściwie coś zupełnie innego.

Anchetari powolnym ruchem wyciągnęła dłoń i położyła mu na ramieniu. Drgnął, a ona poczuła, że przez rękę przepływa ku piersiom i brzuchowi jakieś gorąco lub światło, albo jeszcze coś zupełnie innego.

Złapał ją, zanim zabrała rękę i odezwał się tonem twardym niczym metal wyjęty z ognia.

— Płynię w nas ta sama krew. W tym kraju jesteśmy obcy. Wyciągnęli mnie z rzeki, bo nie jestem ich. A ty...

— To przez mojego ojca — szepnęła. — Kim on był?

— Ludzie opowiadają legendy o Secie grasującym na moczarach — powiedział. — Podobno pomiędzy trzciniami zapładnia kobiety. Przychodzi do chat pod postacią czerwonej świni, z oczami błękitnymi jak z lapis lazuli.

— A więc jesteśmy przeklęci?

— To wiedzą tylko bogowie. Ale jesteśmy jednym. Bratem i siostrą. Nie należymy do górnego kraju.

Spojrzała na niego i ujrzała sztywną, ogromną niczym posąg, zbyt wielką dla niej męskość i zapragnęła poczuć ją w sobie.

Pocałował ją, wsunął jej język między wargi, a ją ogarnęła prawdziwa namiętność.

Delikatnie położył ją na plecy, wsunął się na nią, przytrzymał nogami jej stopy, dłonie położył na jej palcach. Całował ją coraz głębiej i namiętniej, a ona czuła ciężar Reptaha i nie mogła się poruszyć, jakby była przytwierdzona do ziemi.

Potem poruszył się, ujął jej piersi w dłonie i pieścił językiem, zamieniając jej sutki w płomień.

Pocałował wewnątrz łokcia, gładził dłonią a potem językiem brzuch. Przy barierze jej płci poczuł wahanie, ale znalazł językiem to, czego pragnął, i z zachwytem usłyszał, że mimo zapowiedzi

głośno krzyknęła. Powiedział jej, że smakuje jak miód z miętą.

Dotykał językiem stóp, zgięć pod kolanami a nawet włosów. Gdy w nią wchodził, miała wrażenie, że zmienia się cała konstrukcja jej ciała i zaczyna formować się od nowa.

Z zachwytem przyjęła ból, jak gdyby wcale jej nie przeszkadzał i gdzieś z daleka doleciały ją dzwoneczki i dźwięki harf, które najprawdopodobniej sama sobie wymyśliła.

Potem płynęła z nim jak rzeka w stronę śmierci. Mówiła mu, że umiera. On jej mówił, że to zupełnie coś innego, chociaż tak właśnie może się czuć.

A wtedy, gdy poczuła, że umarła, z duszy Anchetari wyrwał się błękitny ptak o ludzkiej twarzy i poszybował do sklepienia pomalowanego w złote gwiazdy. Stamtąd obserwowała swoją rozkosz. Po pewnym czasie otworzyła oczy i znów była pod nim, znów żyła.

I poczuła nagle straszliwy smutek, ponieważ nie chciała wracać do życia innego niż ten moment. Gdy zostanie od niego oddzielona, nie będzie już miała powodu do życia, nie będzie nawet miała samego życia.

Po dłuższej chwili Reptah wstał. Wykąpali się w świętej wodzie posypanej płatkami kwiatów, z której piły przedtem ibisy.

Później kochali się po raz drugi i trzeci. Za każdym razem było lepiej niż poprzednio. Śmierć stawała się coraz doskonalsza a odrodzenie coraz smutniejsze. W końcu rozplakała się. Objął ją i leżeli bez słowa.

Z głowami na podgłówkach, wpatrzeni w gwieździste sklepienie, w końcu usnęli.

Przed świtem obudziło ich głośne walenie do wejściowych drzwi. Lampy ciągle paliły się, ale przez setki małych otworków sączyło się światło dzienne.

Wkrótce Ra opuści rzekę zmarłych i podzieli horyzont na dwie części. Na twarz wspaniałego Sfinksa spłynie jak oliwa złoto słonecznych promieni. W świątyni znajdującej się pomiędzy stopami Sfinksa kwiaty, wino i krew zostaną złożone słońcu w ofierze. Miejskie obeliski rzucając

cień, wyznaczają precyzyjne, wyliczone matematycznie linie. Przy bramach rozlegnie się dźwięk roków. Egipski poranek.

Dla Anchetari jednak miał to być najciemniejszy z dni. Będzie odsunięta od Reptaha; nigdy już się nie zobaczą.

Po obu stronach szyi czuła szczypanie. W uniesieniu ugryzł ją i wyssał krew w ofierze. Teraz część jej ciała na zawsze pozostanie w nim. A w jej łonie być może wszędzie jego nasienie. Wątpiła w to, bo czuła się tam pusta. Tak samo jak w sercu.

Wykąpali się i ubrali. Nie zamienili ze sobą ani słowa aż do chwili, gdy przeszli za ołtarz i znaleźli się w pierwszej komnacie.

— Nie chcę się z tobą rozstawać — powiedział. — Może jeszcze się spotkamy?

— W jaki sposób? To byłaby dla nas śmierć.

— Jesteśmy teraz mężem i żoną.

— Tylko na tę noc.

— Nie wierz w to. Jesteś moja. W tym życiu, w następnym i we wszystkich, gdzie pan Ozyrys zawędruje ze swoim sierpem.

— Ja nigdy nie osiągnę wieczności — powiedziała. — Będę pokutować za swe grzechy.

— Nigdy? Za jakie grzechy, ma siostrze?

Złożyli ofiarowanie przy ogniu — jedynym, który się palił. Otaczało ich teraz jasne światło dzienne, wpadające do środka przez miniaturowe dziurki.

— Znów będziemy razem — powiedział. — Znajdzie się jakiś sposób. Jesteś moja aż do śmierci, a nawet potem. Dopóki Ra będzie umierał na rzekę, aby zejść do podziemi.

Opuściła wzrok, z ognia popłynął dym. Czy bogowie to słyszeli? Gdy otworzyły się drzwi i wyszli z komnaty do korytarza, ujrzała człowieka malującego na ścianie rysunek — żuka ponad słońcem. Malował puszką czerwonej farby w spreju i dolatywał od niego kwaśny zapach zupy

pomidorowej Heinza, którą miał w termosie.

ROZDZIAŁ 34

Przebudzenie było jeszcze dziwniejsze niż sen. Anna znajdowała się w swym egipskim mieszkaniu pod górą. Tamtego ranka o wschodzie słońca pocałował ją Cain. Nie uczynił nic więcej.

Do tej pory Anna nie myślała jeszcze o sprawach, których dotyczył sen. Na tematy związane z seksem miała jeszcze dużo czasu. Mężczyzną z jej snu, kapłanem o imieniu Reptah, nie był Cain. Nawet go nie przypominał.

Jednak było w tym śnie coś tak wyraźnego i oczywistego. Gwiazdy na sklepieniu, kropla krwi po ugryzieniu Reptaha, ból i zachwyt, kiedy doszło do zbliżenia — to wszystko wydawało się znajome.

Wydawało jej się, że zna Reptaha, jakby widywała go często. Ale tak nie było.

Było już chyba dość późno, bo po powrocie do piramidy nad ranem spała jeszcze kilka godzin. Początkowo, zanim zasnęła, czuła spokój i niemal szczęście. Przebudzenie to zmieniło. Była zmieszana i płakała, siedząc na brzegu łóżka, które wcale nie zostało zaprojektowane do uprawiania miłości. Była jeszcze dzieckiem, młodą i zagubioną dziewczynką. Pragnęła zobaczyć Althene. Ale tak się nie stanie. Mamusia nie przyjdzie, nie została zaproszona. Harpokrates — maskotka Caina, z pewnością już to zrozumiał.

Cain twierdzi, że Althene jest jego synem-córką. Ale to się nie liczy. Poprosiła go o sprzęt grający, a on odparł, że to się chyba da załatwić. Na prośbę o zegar roześmiał się. Sachmet, pani czasu. Miała należeć do Caina, a nie do Reptaha. Niezależnie od tego kim jest Reptah, albo kim był.

Wkrótce weszła kobieta o imieniu Ast i powtórzyły się — rytuał kąpieli i namaszczenia. Anna została ubrana w grecką szatę z zamkiem błyskawicznym, który przydawał jej nowoczesności.

Dziewczyna nie zadawała pytań, a Ast oznajmiła tylko, że ktoś przyjdzie. Nie powiedziano jej, kto to będzie i kiedy się pojawi. W końcu służebnica zapięła na szyi Anny naszyjnik ze złotych muszelek. Był autentyczny i bardzo stary.

* * *

To nie miała być ucztą. Raczej skromna kolacja, bardziej w stylu greckim lub rzymskim niż egipskim. W pokoju wykładanym białym marmurem, do którego przechodziło się z Sali Nuit, obok niskich stolików stały sofy z poduszkami. Dwie kobiety siedziały sztywno, a mężczyźni, cała czwórka, pozostawali w pozycji półleżącej.

W wazonach ułożono wysokie kwiaty. Z sufitu zwisały lampki. W tle słychać było zwyczajną, klasyczną muzykę Bacha. Ktoś jednak zatroszczył się o przyniesienie wieży.

Pierwszą z kobiet była Lilith ubrana w jedną ze swych czarnych sukien, bez żadnych ozdób z wyjątkiem wieńca z ciemnoczerwonych kwiatów. Na palcu miała purpurowy pierścień. Druga kobieta, podobnie jak Anna, ubrana była w fałdzistą suknię, którą ozdabiała kilka oryginalnych, lub doskonale skopiowanych, antycznych klejnotów. Miała też wieniec z żółtych kwiatów.

Czterej mężczyźni byli ubrani wspólnie, w bardzo drogie koszule; nie mieli krawatów ani wieczorowych marynarek, jak gdyby spotkanie to miało nieformalny charakter.

Piąty mężczyzna, Cain, jak zwykle odziany był w granatową tunikę. Nie nosił żadnych klejnotów ani pierścieni. Nie rozkładał się na sofie, tylko usiadł jak kobiety.

Na stole wyłożono już miseczki z orzechami, słodyczami i owocami oraz amfory w rzymskim stylu.

Czterej mężczyźni i jedna kobieta (nie Lilith) byli już pijani i robili dużo hałasu. Można było o nich też powiedzieć, że są nerwowi, pobudzeni. Najwyraźniej czegoś się bali.

Cain przyciągnął Annę do siebie, usiadła obok na sofie. Wyróżniał się spośród całego towarzystwa; zachowywał się przyjaźnie i serdecznie. Lilith wodziła dookoła pustym wzrokiem.

Nie miała ze sobą tygrysów. Nagle jej wzrok natknął się na chłopca w wieńcu kwiatowym;

Harpokrates siedział na małym krześle ze złota. Dziecko piło wino ze złotego pucharka.

— Opisz smak wina — powiedział do niego Cain. Ucichł hałas i wszyscy z szacunkiem nastawili uszu.

— Różany — powiedziało dziecko.

Pięcioro gości podniosło głosy zachwytu. Lilith nie zwróciła na to uwagi. Anna dostrzegała u niej oznaki wieku zaawansowanego. W grę wchodziła nie starość, ale jakby usuwanie się ze świata na własną prośbę. Była jak obłok dryfujący po niebie. Z ziemią łączyły ją tylko białe tygrysy, teraz nieobecne.

Zdziwiło ją, że czekała na Annę przy oknie z widokiem na morze, a potem prowadziła z nią rozmowy. Dlaczego? Czyżby Cain ją wysłał? A jeśli był to wynik przeblýsku podświadomości, zdarzający się równie rzadko jak zaćmienie słońca... Lilith być może polowała na takie momenty za pomocą strzał wypuszczanych we mgłę. Teraz jednak kołczan był pusty. Ta starzejąca się kobieta przypominała lalkę, gdy tak od pół godziny nie dawała znaku życia.

Weszła dziewczyna ubrana w egipski strój i włożyła Annie na głowę wieniec z białych kwiatów — taki sam jak u chłopca.

— Teraz ty opisz wino — powiedział Cain do Anny poufnym tonem.

Napiła się.

— Burgund — powiedziała.

— Źle — rzekł Cain. — Ale słuszna koncepcja. Twój ojciec — matka nauczył cię tego?

— Tak.

— Czy uprawiała z tobą miłość? — zapytał Cain.

— Nie.

— Cóż za poniechanie okazji.

W oczach płonął mu ogień. Wyraźnie chciał jej dać do zrozumienia, że jej pożąda. To było dziwne i krępujące uczucie po długim, jednoznacznym śnie, w którym mężczyzna został jej kochankiem, odebrał jej dziewictwo i aż do samego rana przeprowadzał ją przez rzekę śmierci. Przyjrzała się Cainowi uważnie. Poczwała w sobie siłę, lecz może była to tylko zuchwałość. Natychmiast zorientowała się w jego intencjach. Całował ją nawet. Czy było już teraz za późno? Jak gdyby odgadując jej myśli, zapytał, czy miała kogoś przed nim.

— Czy to rzymska kolacja? — zapytała.

— Nie, to francuski posiłek. Oni — wskazał na pijanych gości — to uwielbiają. To specjalnie dla nich.

Nagle westchnęła Lilith. Na ten dźwięk Anna odwróciła głowę. Piękna kocia głowa Lilith pozostawała nieruchoma, a po chwili kobieta uniosła kielich i napiła się przedniego różanego wina o smaku burgunda.

— Czy ona mnie nienawidzi? — zapytała po cichu Anna.

— Jak zła macocha z bajki? Nie, ona nikogo nie nienawidzi. Uczucia jej już znikły i można nią manipulować. Może nam się to uda, a może komu innemu. Tylko jeszcze nie teraz.

Egipscy niewolnicy Caina wnieśli naczynia z potrawami, które wyglądały tak, jakby były przyniesione z nowoczesnej i drogiej restauracji. Potrawy były rzeczywiście francuskie, albo przynajmniej takie przypominały. Podano pieczoną białą rybę, nadziewaną czosnkiem i serem brie, warzywa w cieście, ostrą zupę i truskawki słodkie tylko dzięki cukrowi.

Bach snuł się bez końca. Taśma albo płyta nie kończyła się, ani nie powtarzała, choć to wydawało się niemożliwe. Zapewne przestawiano nagranie w subtelny, wyrafinowany pod względem technicznym sposób.

Anna pomyślała o domu Scarabeidów. Nie, tam nie. Gdzieś indziej. Jeszcze dawniej...

Powłóczyście szaty, wspaniały kot, grób... Czwała świdrowanie w mózgu, które jednak wcale nie

sprawiła jej bólu.

— Kim są ci ludzie? — zapytała.

— Już o to pytałaś.

— Ale nie odpowiedziałeś.

— Oni są moi.

— Starzy? Mają setki lub tysiące lat?

— Kto wie — powiedział z uśmiechem. — Mówisz jak mała dziewczynka. Powiedziałbym nawet, że masz dziewczęcy głos. Nie jesteś moją Anną–Anchetari. — Podał jej truskawkę w kolorze nadzwyczaj przypominającym krew. To barwa Sachmet...

— Wyglądasz młodo — powiedziała. — Ale młody nie jesteś. Należysz do Scarabeidów.

— Cóż za takt, moje dziecko. W twoich świeżych oczach nie mogę wyglądać młodo. Ale rzeczywiście, jestem jednym z pierwszych — mówił prawie figlarnym głosem. — Chcesz wiedzieć, jak się nazywam? Nie pamiętasz? Zabiłem swego brata na skraju pola pod zazdrosnym okiem Boga. Bóg jednak mi zaufał i pozwolił zaludnić ziemię swoimi dziećmi. Wyróżnił mnie, żeby bali się mnie wszyscy ci, którzy już istnieją.

— Tak, tak — powiedziała.

— O, uwierzyłaś mi.

— Bo to prawda — powiedziała. — Na swój sposób to prawda.

— Zjedz truskawkę.

— Nie ma smaku.

— Truskawki zawsze takie są. Mają tylko zapach, który często myli się ze smakiem. Podniósł na nią wzrok. — Żywność przychodzi do nas z daleka. Zdąży stracić swoją wartość. Nie mamy zegarów. Tu jest zawsze albo dzień, albo noc. I Anna będzie chciała uciec.

— Nie puścisz mnie.

— Rzeczywiście, nie puszczę cię.

Poczuła dziwne ożywienie.

— Ktoś może tu po mnie przyjść — powiedziała.

— Tak. Skąd wiesz?

— Althene... — powiedziała Anna.

— Nie, Althene nigdy nie znajdzie drogi.

Anna ugryzła truskawkę. Smakiem przypominała raczej czerwoną tkaninę a nie owoc.

— Anno, ty jesteś moją nagrodą. Nie wolno ci mnie opuścić.

Na zakończenie posiłku podano brandy pachnącą dymem i gruszkami. Nawet milczący mały chłopiec dostał kieliszek trunku. Goście znów ożywili się, w tle nadal grał Bach.

— Czego oni tak się boją? — zapytała Anna.

— Nie wiesz?

— Ciebie?

— Mnie. Ale z konkretnych przyczyn. Nie staraj się domyślać, tylko obserwuj. — Z uśmiechem rozejrzał się po sali.

Kiedy wstał, zapanowała cisza. Ucichł nawet Bach.

Kobieta w augustiańskich klejnotach i w wieńcu z żółtych kwiatów przyłożyła dłoń do ust, odwróciła się na bok i nagle głośno zwymiotowała na marmurową podłogę.

Ani Cain, ani nikt inny nie zwrócił na to uwagi.

— Mamy muzykę, jedzenie i kwiaty. Czas na loterię.

W drzwiach ukazała się kobieta w czarnej sukni. Wyglądała trochę śmiesznie z powodu maski kościotrupa. Ale nikt się nie śmiał. W gładkich, młodych dłoniach niosła miedzianą misę.

Odór wymiocin wystrojonej kobiety stawał się coraz silniejszy, jakby miał pobudzać atmosferę. Ubrana na czarno dama podeszła do wymiotującej i podała jej misę. Chora wyciągnęła

z misy mały gliniany przedmiot, który upuściła na podłogę. Rozbił się i na tym był koniec.

Wtedy włożyła drobną pięść do ust i zaczęła płakać. Ominęła ją śmierć z misy.

Dama w czerni podeszła do mężczyzn, którzy teraz siedzieli sztywno na sofach. Każdy z nich sięgnął do misy i wyjął glinianą drobnostkę. Po kolei rzucali gliniane przedmioty na podłogę.

Z dwóch rozbitych przedmiotów wyleciało coś, co przypominało szerniałe ziarnko grochu.

Scena ta wydała się Annie absurdalna, głupia i nazbyt teatralna. Gdyby nie stan kobiety w żółtym wieńcu, można by pomyśleć, że to tylko gra. Jednakże mężczyźni, którzy wylosowali czarne ziarnko, musieli wstać. Obydwaj wyglądali na równie przerażonych, chociaż jeden próbował niemądrze uśmiechać się.

Cain przeszedł przez pokój. Delikatnie i czule objął każdego z mężczyzn.

Dama w czerni wyszła do Sali Nuit. Dwóch wybranych podążyło za nią. Przez uchylone drzwi widać było w czerwonym świetle jakiś ruch, tak, jakby krzątało się tam wielu ludzi. Nic więcej.

Cain powrócił do Anny. Zignorował wszystkich, tylko chłopcu położył dłoń na ramieniu.

— Muszę cię wypróbować Anno — powiedział. — Jesteś gotowa? Patrzyła na niego w milczeniu.

— A ty? — odezwał się Cain do chłopca. — Czy chcesz, żebym został zniszczony? Żebym poniósł porażkę?

— Nie, wujku Kay — powiedział Harpokrates. Oczy błyszczały mu pod wpływem wina i brandy, wieniec zsunął mu się na jedną stronę.

Cain spojrział na kobietę, która zwymiotowała. Przestała już płakać.

— Dlaczego tak się bałaś? Nie chcesz mnie uszczęśliwić?

— Wybacz mi, panie — powiedziała.

Potem wyrzuciła z siebie strumień słów w obcym, świszczącym języku. Cain odwrócił się do niej plecami i wtedy umilkła.

Sala wydawała jej się tak czerwona, jakby patrzyła przez kolorowe szkło. Parada czerwieni. Barwa Sachmet. Kolor kobiecej płci, narodzin i życia. Także ognia i krwi. A w tym morzu czerwieni poruszali się oni. Najpierw szedł Cain z Lilith, a za nimi Anna z Harpokratesem. Oprócz nich nie było nikogo. Wszyscy zniknęli. Nie licząc oczywiście grupy bogów — Izis albo Eset, jej męża Ozyrysa, Seta i jego żony Nebtet. W jednej z wnek komnaty spoczywał grecki Sfinks; białe oblicze spływało czerwonym światłem.

Harpokrates wziął Annę za rękę. Nie chodziło mu o pocieszenie jej, to było raczej przemożne postanowienie, żeby ją za sobą poprowadzić.

Anna czuła przerażenie. Nie mogła się temu oprzeć. Nie miała szans na ucieczkę. W górze stała Sachmet z twarzą przypominającą złotą maskę przeciwgazową. Pociągła lwia paszcza, starannie zaokrąglone uszy i okrągłe, a jednocześnie trochę skośne oczy. Przed nią widniała purpurowa kolumna, do której przywiązano dwóch mężczyzn, którzy za dużo wypili na ucztę i za głośno się śmiali. Wcześniej ubrani we włoskie i francuskie stroje i ręcznie szyte buty, teraz byli nadzy. Bładość ich skóry ustępowała sztucznym rumieńcom wywołanym czerwonym światłem.

Z rozkrzyżowanymi rękami i nogami przypominali litery X. Byli skuci łańcuchami z brązu. Głowa jednego z nich zwisała w dół. To ten próbował stawiać opór. Co też mu przyszło do głowy? To co miało nastąpić, było absolutnie nieodwołalne.

Drugi z mężczyzn był całkiem przytomny. Oczy miał zamknięte, cały czas szeptał coś pod nosem, głowę przyciskał do kolumny. Z ust ciekła mu ślina. Czyżby się modlił?

Zatrzymali się. Chłopiec puścił rękę Anny. Czerwień i mrok powodowały, że każda rzecz zdawała się tracić proporcje lub gubić jakieś fragmenty. Żółte światło pochodni prawie wcale nie rozjaśniało sali...

Cain stał na uboczu, a jakaś nowa siła powodowała, że stał się większy i bardziej waleczny.

Jego cień rósł za plecami, przypominając czarną otchłań. Najpierw rozłożył ręce na boki, a potem jednym ruchem pociągnął za klamrę i zrzucił z siebie dwuczęściową niebieską tunikę.

Był teraz równie nagi jak mężczyźni przykuci do kolumny.

Miał jednak ciemniejsze od nich ciało, jakby pokryte warstwą jasnej krwi. Włosy spływały mu na plecy jak atramentowy deszcz; pośrodku całej sylwetki, z ciemności łonowego gniazda, wyrastała potężna broń. Tak potężna, że można byłoby ją wziąć za sztuczny, przyprawiony dla żartu atrybut.

Anna drgnęła z przerażenia. W swoim śnie też widziała obnażonego mężczyznę. Ale to było zupełnie coś innego. Tutaj też dostrzegała we włócznie moc, lecz zupełnie innego rodzaju. To było... jak miecz.

Dumnym krokiem Cain ruszył przed siebie. Kroczył za swą wielką, bojową erekcją.

Krwista purpura światła, która zalewała go, stawała się coraz intensywniejsza, coraz głębsza.

Anna poczuła się tak, jakby miała oczy zalane krwią.

Widziała, jak Cain podchodzi do mężczyzny przykutego łańcuchem do kolumny i wykonuje jakieś manewry — wpycha swą broń w ciało więźnia. Mężczyzna drgnął. Cain nadział go na siebie.

Anna patrzyła przez dym, przez ogień pochodni i wszechobecną purpurę. Ręce wijące się po kamieniu kolumny, ugięte nogi, falowanie tułowia, jednostajny rytm ciała. Znała ten rytm ze snu.

Ale ten tutaj napawał ją strachem, przerażeniem i grozą. Skuty mężczyzna krzyczał na całe gardło.

Nad Salą Nuit zapadł cień, osłonił częściowo kolumnę, unosił się aż do sklepienia i zdawało się, że wdziera się również do wnętrza Anny, a nawet rozpycha jej łono...

Wtedy, wśród wijących się ciał, dostrzegła twarz Caina przybierającą wyraz węża. Błysnęły

bielą dwa kły wysunięte z ust. Krzyżący człowiek wydał z siebie ostatni, najgłośniejszy wrzask.

Po jednej stronie szyi trysnął czerwony płyn. Cain... Cain ukąsił go w gardło — piciem krwi ukoronował akt swej przemocy.

Ciała rozłączyły się. Dziarskim krokiem odszedł od kolumny. Jego prącie nadal było potężne i trwało w gotowości. Na razie jednak był koniec, choć nie z braku sił.

Był pomazany krwią ofiary, jak szkarłatną farbą, na całym ciele. Od ust, poprzez brzuch i nogi, do samych stóp.

— Podejź Harpokratesie — przemówił z dystansu swym zrównoważonym, pięknym, cywilizowanym głosem. — Podejź Anno. Chodźcie spróbować tej krwi.

Harpokrates z wyrazem gorliwości natychmiast ruszył przed siebie.

I wówczas w tym mikrokosmosie czasu Anna zrozumiała, że Cainowi chodzi o coś więcej niż własną żądzę czy porwane dzieci. Zrozumiała, że patrząc na nią, widzi coś w jej cieniu.

Nie mogła już dłużej znieść jego widoku i odwróciła się. W chwilę potem ktoś wszedł w drugim końcu sali do środka. Za tym człowiekiem szli jeszcze inni, prawdopodobnie eskorta, która musiała mu towarzyszyć, ale nie ośmielała się podchodzić zbyt blisko. Człowiek ten miał ciemny strój z dodatkami bieli, która zdobiła go tak, jak czerwień krwi Caina.

Miał białe włosy i zdawało się, że niesie ze sobą lód. Był wysoki. Annie wydało się, że ani światło, ani mrok Sali Nuit nie imają się tej twarzy. Oczy błyszczały jak drobinki lodu, usta wyglądały jak uformowane ze śniegu. Znała go. W ułamku sekundy wróciła jej pamięć.

Przypomniała sobie wszystko. Nie Egipt, nie późniejsze chwile, tylko ten ostatni raz. Wtedy znała go chyba najlepiej. Znalazł ją, posiadał, oddał się jej i pozwolił jej odejść. Zdradził ją. A co gorsza, nie chciał jej.

Chwyciła się dłonią pod lewą piersią. Poczwała tam ostry ból, jakby ktoś ją kopnął. Zachwiała się lekko, ale utrzymała równowagę. W głowie kotłowały jej się myśli o wiele straszniejsze niż

obrazy, które przed chwilą obserwowowała. Wtedy przemówił do niej' nie ten białowłosy mężczyzna z końca sali, ale Cain.

— Ruth, podejdź do mnie. Podejdź i posmakuj krwi.

Odwróciła się i podeszła do Caina.

— Nie będzie taka jak wtedy — mówił. — Będzie słodsza, lepsza od truskawek; lepsza od win.

Podeszła do zwłok przykutych do kolumny, przyłożyła usta do rozszarpanej szyi, z której wystawały żyły, ściągnęła mięso, a potem napiła się krwi. Była słodka. O wiele lepsza.

ROZDZIAŁ 35

Malach przeszedł przez salę Władcy Gór i salę Królowej Śniegu. Służba Caina nie ośmieliła się go zatrzymać. Cain był ich panem, ale rozpoznawali także Malacha, który był królem, a zarazem kapłanem ciemności i śniegu.

Czarne ubranie termoszczelne miał już sfatygowane. Gdy zdjął kaptur, dokoła głowy rozlały się długie włosy. Poruszał się tylko on. Reszta stała nieruchomo.

Cain, którego nagość przysłaniała tylko rozmazana krew, nawet nie drgnął. Anna, a właściwie Ruth, stała ciągle przy kolumnie z przywiązanim trupem. Usta miała czerwone, jakby były pomalowane szminką. Kolor ten wspaniale do niej pasował. W pewnej chwili strużka krwi spłynęła jej po brodzie i poplamiała białą sukienkę. Na lewej piersi więc zarysowała się plama, jakby od pchnięcia sztyletem.

Pomiędzy Cainem a dziewczyną stał jeszcze jeden żywy, choć ledwie przytomny człowiek.

Był nim chłopczyk w biało–złotym stroju — przy nim tkwiła czarna sylwetka Lilith.

Malach ocenił odległość. Zatrzymał się o trzy metry od Caina i Ruth–Anny.

Twarz władczego Scarabeida składała się z nizin i wyżyn takich samych, jak spotykanych w tych okolicach. Był to krajobraz śnieżnego lądu. Z powodu bladości oczy migotały prawie

czarnym blaskiem. Przypominał mężczyznę ze snu Anny, gdyby nie brać pod uwagę jasnej karnacji.

Ale ona знаła go z innych powodów. Znała go jako Malacha, kochanka Ruth.

— No tak — odezwał się. Potem dodał krótkie, ostre zdanie po łacinie. Cain roześmiał się przejmującym głosem. I na tym by się skończyło. Do akcji jednak wkroczyła Lilith. Posuwała się jak martwy przedmiot wieziony na wózku. Do złotego kielicha złapała ostatnie krople krwi umęczonego. Ominęła Annę–Ruth i Caina. Podeszła do Malacha i wręczyła mu kielich. Najpierw przyjrzał jej się uważnie, a potem zanurzył w naczyniu dwa palce. Pokryły się jasną czerwienią. Później dotknął nimi do warg.

Lilith odwróciła się do niego plecami bez cienia uczuć na twarzy i zaniósła kielich bogini Sachmet. Postawiła go na czarnej kamiennej dłoni, pod paszczą lwicy.

Malach spojrział na młodą dziewczynę.

— Głód — odezwał się oschłym tonem.

— Szalony — odpowiedziała uśmiechając się i starła dłonią krew z twarzy. Znow miała jasną cerę.

— Anno — powiedział Malach miarowym, nadal niewzruszonym głosem i oblizał zakrwawione wargi.

— Nie jestem Anną — powiedziała dziewczyna. — Nie jestem też dla ciebie.

Cain roześmiał się raz jeszcze, tym razem krócej, bardziej gardłowo. Przedtem gospodarz i główny aktor dramatycznej kolacji, teraz jakby się rozpląnął.

— Nie należysz do niego, Anno — mówił Malach. — Zrozum, że masz wolność wyboru.

Dlatego właśnie po ciebie przyszedłem.

— Mogłabym więc wybrać ciebie? — zapytała z uśmiechem. Uniosła głowę, a kaskada białych włosów poruszyła się jak jasna smuga dymu.

Mogła być jego córką albo siostrą. W takiej roli widziała siebie. Ale później przypomniała sobie, co jej zrobił, gdy była Ruth. Nigdy mu tego nie wybaczyła.

Nauczył ją zabijać wybiórczo. Zawsze robiła to z nim i po jego decyzji. Z wyjątkiem jednego razu. Ludzie mają prawo do pewnych własnych rzeczy. Mają prawo robić sobie podarunki, sprawiać sobie przyjemność, a nawet zadawać śmierć. A on zawsze i we wszystkim chciał być arbitrem. Chciał być instruktorem i najwyższym sędzią.

Ona jednak popełniła nieodwracalny błąd. Zabiła człowieka, którego Malach nie przeznaczył do wykonania wyroku. Dlatego Malach ją opuścił. Nie wypowiadaj mojego imienia, powiedział wtedy do niej. Uwięziono ją, lecz potem udało jej się uciec. W wilgotnym lesie nóż dosięgnął jej serca...

Pierwszy cios zadał jeszcze on. Serce Ruth zostało złamane. Kochała Malacha, a on jej powiedział kiedyś, że jest jego duszą. Opuścił ją jednak i zostawił samą. Teraz wraca, ale jest już za późno.

— Anno — odezwał się.

Na kamiennej twarzy, pod śnieżną powłoką, dostrzegła siłę i pragnienia.

— Nie wypowiadaj mojego imienia.

— Ach tak, więc nosisz jeszcze urazę. Jesteś małostkowa, Anno.

— Będę małostkowa. Małostkowa i podła. Nie poznasz mnie. Lepiej stąd idź.

— Czy tego pragniesz, Ruth? — zapytał łagodnie Cain. A potem lekkim tonem zwrócił się do

Malacha: — Naturalnie, dobrze zaopiekujemy się twoimi psami. Ale ty nie możesz chyba liczyć na taką gościnność.

— Nie — odezwała się Ruth.

Przypomniała sobie urodę Malacha, jego nagie ciało. Chciała wtedy umrzeć dla niego. W ramionach człowieka z lodu raz po raz doznawała śmierci, która zasłaniała... Na to wspomnienie

nałożyło się jeszcze jedno. Oto Reptah leżący na niej w komnacie świątyni sprzed tysięcy lat. Wstrząsnęło ją w jednej chwili coś, co przypominało orgazm. W brzuchu jednocześnie poczuła jakby jabłko z popękanego szkła. Pierwsza krew ofiarowana przez ciało młodzieńczej Anny spływała teraz w jej łonie i rozkwitła czerwienią na białej sukni. Zraniono ją podwójnie. Przedtem chciała dla niego umrzeć. I umarła.

Szybkim krokiem przemierzyła odległość dzielącą ją od Malacha i spojrzała mu prosto w oczy. Urosła podczas pobytu w lodowej górze i choć Malach był wyższy od Caina, udało jej się dosięgnąć twarzy. Splunęła na niego. Ślina ugodziła Malacha z mocą srebrnej kuli. Nie uczynił nic. Nawet nie otarł sobie twarzy.

Ona natomiast zrozumiała, że pomimo wypowiedzianych słów i tego, że od niej odszedł, kochał ją bardziej niż sądziła.

Teraz jednak była Ruth... i Anną. A właściwie Anną, która wie już wszystko.

— Nie — powiedziała. — To nie wszystko, czego pragnę. Cainie, zwiąż go, zawieź gdzieś i uczyn mu krzywdę. Zrób to dla mnie. Chcę, żeby cierpiał. Chcę, żeby bardzo cierpiał.

ROZDZIAŁ 36

Na podjeździe do rezydencji posypanym żwirem zakwitły fioletowe krokusy. Na razie nie było potrzeby, żeby wychodzić z domu.

Ciemnowłosy ogrodnik Sam zgarnął sterty skoszonej trawy pod starą jabłoń, przy fontannie z pływającą rybką. W pobliżu siedziała Terentia z maskotką lwa na kolanach. Założyła długą, czarną bluzę sportową, na nią czarną wełnianą kurtkę. Na szyi zawiązała czarny, jedwabny szalik.

Sam i Terentia nie rozmawiali ze sobą, ale jak przypuszczała Miranda, zawiązało się między nimi ciche porozumienie. Zdarza się to dosyć często wśród młodzieży lub bardzo starych ludzi. Miranda uważała też, że siedzenie i obserwowanie Sama dobrze robi Terentii. Ogrodnikowi to

wcale nie przeszkadzało. Wzbudził zainteresowanie Terentii, gdy tylko pojawił się w tym domu.

Ogrodnik darzył ogromnym szacunkiem Erica i Michaela. Dziwny to był chłopak. Nadawałby się do opowiadania *Tajemniczy lokator* albo *Młodzieniec w czerni*.

Sasha nie wyszła do ogrodu, tylko siedziała w swym pokoju przed telewizorem i robiła na drutach kolejny długi, czarny sweter.

Erie był również w swoim zakątku. Oderwał się od pisania nowej historii świata i przy pomocy lupy jubilerskiej, do której przytknął lewe oko, rzeźbił małą drewnianą figurkę.

Przedstawiała kobietę z głową lisicy. Czy wywoływał w swojej głowie jakieś wspomnienia?

Trzymali się kurczowo swoich pomieszczeń, jak owady ciasnych komórek. Tylko Miranda się wyróżniała. Ubrana w czarne dzinsy, bez trudu usadowiła się właśnie na skórzanym siedzeniu motocykla, za Connorem. Podekscytowana suczka Viv czekała w bocznym koszu. Mężczyzna powrócił przed nadejściem wiosny, wcześniej niż zapowiadał. Krokusy tego roku wzeszły przed końcem zimy.

— Aha, to znaczy ciemność — powiedziała Miranda.

— Co takiego?

— Sam. W języku hieroglifów.

— W starożytnym Egipcie? Mówisz teraz jak...

— Ciemność kosząca trawę — powiedziała i roześmiała się.

— Gotowa? — zapytał Connor.

— Oczywiście.

Zastanawiał się czasem, czy mogliby się kochać. Czy nie powinien jakoś delikatnie poruszyć tej kwestii?

Gdy rozległ się dudniący warkot silnika, Connor usłyszał okrzyk Mirandy. Okrzyk był pełen zachwytu, a nie strachu. Zjechali z podjazdu i wydostali się z cienia rzucanego przez dom.

Miranda objęła Connora i uchwyciła się dłońmi skózanego pasa. Miała na głowie jego zapasowy kask. Oglądała uciekający do tyłu świat przez takie same gogle jak Viv. Nie próbowała nawiązać głupawej rozmowy. Jeśli nie liczyć huku silnika, panowała cisza.

Niczego się nie bała. Wiedziała, że wszystko będzie tak, jak jej mówił. Mijali labirynty budynków, czerwone autobusy, zanurzali się w obłokach spalin, a od czasu do czasu padał na nich drobny deszczyk, który jednak szybko przechodził.

Około godziny dwunastej dotarli do rogatek miasta i stanęli przed pubem. Właściciel znał Connora, wyszedł więc spojrzeć z podziwem na motocykl i przyjaciółkę.

Miranda wyglądała cudownie w wysokich butach i w czarnym aksamitnym stroju. Spod kasku wysypywały się włosy. Zęby miała bielutkie jak u dziecka, jakby niedawno wyrosły jej od nowa albo pokryto je jakimś specjalnym szkliwem. Nie wyglądały na sztuczne.

Connor, Miranda i Viv zjedli steki z ziemniakami, popijając je dwiema butelkami czerwonego galijskiego wina, wybranego przez Mirandę. Płacąc dała spory napiwek i najwyraźniej sprawiło jej to przyjemność. Connor był z niej dumny. Większość wina wypića Viv i Miranda.

Po dwudziestu minutach zmienił się krajobraz. W dali majaczyły wzgórza, a cała równina była przechylona w jedną stronę. Mijali domy, fabryki, szkoły, biurowce. Potem na otwartej przestrzeni widzieli już tylko polne ogrodzenia, pasterskie domy, stare kościoły, a od czasu do czasu suszarnie chmielu na krańcach wiosek.

Przejeżdżali przez miasteczka, które mogłoby nazywać się Dziurowo, Prowincjałki albo Odludzin. Spotykali różne ciekawe gospody — z drzwiami na niecałe półtora metra, z belkami na suficie, zdarzały się też jasne, nowoczesne szyldy, które przedstawiały szczęśliwych zniwiarzy, byki i jeżozwierze.

Przy leśnej dróżce, z krzaków przyglądał im się rudy lis; Viv szczerzyła na niego obraźliwie.

Do morza dotarli dziesięć po trzeciej.

Właśnie o takie miejsce mu chodziło: niezbyt zaludnione, spokojne, trochę ponure. Wokół rozciągały się łąki i zagajniki cedrów. W pobliżu kamienistej plaży przycupnęły dwie chatki. Jakiś człowiek przechadzał się po brzegu ze swym labradorem, a poza tym była tylko pluskająca woda z żółtawymi śladami piany. W oddali — puste, pozbawione koloru, prawie nie istniejące niebo.

Motocykl zatrzymał się na błotnistej drodze. Siedzieli i patrzyli na ten kraj świata.

— Och, Connor. Tu jest wspaniale. Tak przygnębiająco.

— Tak — powiedział z satysfakcją.

Zeszli na plażę. Viv obszczeła morze, a potem bawiła się podpływającą wodą.

— Przyjeżdżałem tu, gdy byłem dzieckiem — powiedział Connor. Skłamał. — Przez długi czas mieszkaliśmy nad morzem.

Rozmawiali niewiele, szumiący wiatr popychał tracące impet fale pod ich stopy. Kiedy Viv już zmęczyła się zabawą, przybiegła, by ją pogłaskali.

Oprócz człowieka z psem w zasięgu wzroku nie było nikogo. Wolnym krokiem wrócili do motocykla i pojechali drogą prowadzącą wzdłuż brzegu. W końcu znaleźli niski, długi budynek hotelu, który wyglądał na opuszczony i niezbyt przytulny, lecz ku ich zdziwieniu okazał się czynny i prawie zapelniony. Kobieta w barze, chłodna jak morska woda, włączyła na ich przyście elektryczny kominek i podała herbatę z ciastkami.

— Drinki podajemy dopiero po szóstej — oznajmiła. To były jej wszystkie słowa.

Wtedy zaczęli rozmawiać. Connor opowiadał zabawne, smutne, czasem straszne, ale wszystkie prawdziwe historie z życia motocyklisty. Ona raczyła go opowieściami o Londynie — dziwnymi i trochę rozczarowującymi. O hotelu, gdzie pianino samo grało kawałki Cole Pottera, o starszych mężczyznach znikających tajemniczo z młodymi chłopcami w ukrytych pokojach.

Wspomniała mu też o hinduskim dżentelmenie, który chciał jej odstąpić apartament i o tym, jak

pewnego popołudnia zgubiła się w sklepie Harrods i nie znalazła wyjścia aż do zamknięcia.

— Nic nie mówisz o swojej przeszłości — powiedział Connor.

— Ach, przeszłość. Tyle jej było.

— Czyżby?

— A ty tego tak nie odczuwasz?

Zastanowił się nad tym pytaniem i w końcu doszedł do wniosku, że musi się z nią zgodzić. Od czasów dzieciństwa minęły chyba całe wieki, a on sam zmieniał się już wiele razy. Nie chciałby opowiadać o dzieciństwie, o okropnym ojcu i matce, która miała ciężką rękę. Ani o siostrze, którą kochał — uciekła z żonatym mężczyzną i nie wolno było o niej wspominać. Potem już nigdy nie udało mu się jej odnaleźć.

— Opowiadałaś mi kiedyś o ślubie — powiedział, gdy popijali słabą herbatę, maczając w niej ciasteczka dla siebie i dla Viv.

— Naprawdę?

— O ślubie w dawnym stylu, który brałaś na grzbiecie konia.

— Przecież wiesz, że jestem stara. Robiło się kiedyś takie rzeczy. Teraz jeżdżę na twoim wspaniałym motocyklu.

— To dla mnie zaszczyt.

Roześmiała się. Była naprawdę piękna.

Znaleźli miejsce dla motocykla i wyszli na spacer po kamieniach rozrzuconych na brzegu oceanu.

Dzień zmierzał ku końcowi i zbliżał się szary zachód bez wyraźnego słońca. Gdy zaczęło robić się ciemno, Miranda odwróciła się do Connora, a on łagodnym tonem zapytał:

— Czy mogę cię pocałować w usta?

— A jak myślisz?

— Myślę, że mogę.

— No to proszę.

Pocałował ją z zamkniętymi ustami, z dużą dozą powściągliwości.

Jej wargi miały słodki smak świeżej szminki. Skojarzyły mu się ze smakiem lizaka. Zazdrosna Viv pobiegła w stronę wody i zaczęła ujadać. Skończyło się na tym, że przyszła większa fala i zmoczyła ją.

— Biedna Viv — wykrzyknęła Miranda, a suczka tylko odskoczyła do tyłu i od nowa obszczekiwała morze.

— Kiedy byłam mała, też mnie kiedyś fala tak zmoczyła. Nie należałam do dzieci odważnych, więc zaraz się rozplakałam. A potem udawałam, że buzię też mam mokrą od morskiej wody.

Zastanawiał się, gdzie to mogło być? Na jakimś średniowiecznym, a może renesansowym wybrzeżu? Nie zapytał. Pocałował ją jeszcze raz, spróbował zrobić to bardziej namiętnie, a ona na to pozwoliła. Czuł w niej ciepło zachodzącego słońca, którego poskąpił im dzień.

Zawołał psa i Viv przybiegła. Miranda zdjęła z szyi czerwony szalik i wytarła suczkę. Gdy wracali, w hotelu paliło się kilka świateł. Bar wyglądał jak „Mary Celeste” — grube kubki do herbaty i łagodnie błyszczące butelki.

— Czego się państwo napiją? — zapytała mroczna kobieta, podnosząc się zza barku.

— Jeszcze nie ma szóstej — powiedziała Miranda.

— Tak? Pierwszy na koszt firmy.

Zaświecił się elektryczny kominek. Barmanka wlała pół litra wody do miski Viv.

— Jeśli chcecie, to mamy pokój. Ale pewnie zatrzymaliście się w „Kingu”.

— Nigdy nie słyszałem o tamtym miejscu — powiedział Connor. — Poza tym, my wracamy.

— A może zostalibyśmy? — zawahała się Miranda. — Tak. Mogłoby być wspaniale.

Connor się wahał.

— Dostaniecie najlepszą dwójkę za cenę jedynki — powiedziała barmanka. — Teraz nie ma sezonu.

Connor spojrział na Mirandę.

— Będzie cudownie — powiedziała.

Zrezygnowana Viv zajęła się swoją wodą.

* * *

W nocy Connor obudził się i patrzył na spokojnie śpiącą obok niego Mirandę. Jej nagie ramiona odbijały światło księżyca wpadające przez okno, ponieważ nie zasunęli zasłon. Na niebie widoczna była tylko ćwiartka księżyca, symbolizująca młodą dziewczynę. Ciało Mirandy już dojrzało i chyba bardziej pasowało do połówki księżyca. Białe, o sprężystych mięśniach, bez grama tłuszczu — było jędrne i gładkie niczym słodka śliwka. Spali prawie w pozycji siedzącej. Wydawało mu się, że nie osiągnęła orgazmu, ale nie był tego całkiem pewien. Przeżywała dużą rozkosz i to całkiem autentycznie. Prawdopodobnie od dłuższego czasu nie kochała się z mężczyzną, co w jej wieku wydawało się oczywiste. Nie miała nikogo od wielu lat, a nawet dziesięcioleci. Wspominała coś o ponownym uczeniu się wszystkiego.

W każdym razie dostarczyła mu wiele przyjemności. Pocałował ją w zamknięte oczy. Było mu z nią naprawdę dobrze. Aż za bardzo. Roznieciła w nim nowe, niezwykle uczucia — jak bogini ze wzgórza. Były to uczucia zdecydowanie perwersyjne. To było naprawdę wspaniałe. Na poduszce spała Viv. Mimo wszystko to ona była jego największą miłością. A kim była Miranda?

Kiedy księżyc zszedł z nieba, a słońce nie zdecydowało się jeszcze na wędrowkę, na świecie panowała szarość perły a może morskiej wody. Connor obudził się i dostrzegł, że Miranda obejmuje ustami jego obrzmiewającego członka, tak pełnego, jakby spłynęły doń wody

wszystkich oceanów.

Puściła go niemal w ostatniej chwili i położyła się na nim aksamitnym, białym ciałem, a Connor musiał wyobrazić sobie najokropniejsze scenki, żeby nie zakończyć zbyt wcześnie. Z pomocą przyszedł mu nawet Cardiff spalony na śmierć i jego babcia ze swoim ciastem. Cardiff na pewno by mu przebaczył, tak jak Viv, która otworzyła jedno oko, ale zaraz dyskretnie je zamknęła.

Tym razem Miranda na pewno doszła, ponieważ wygięła ciało w łuk i wydała z siebie przeciągły, ochryply dźwięk. Za to on nie osiągnął już pełni, tylko bezsilnie rozluźnił mięśnie. Nie żałował jednak niczego. Teraz było ucziwie. Raz on, raz ona.

— Już rano — powiedziała przytomnym głosem. Słońce wreszcie się zdecydowało.

— Muszę cię odwiedzić z powrotem.

— Chciałam przeżyć jazdę w nocy — powiedziała. — I właściwie trochę sobie pojeździliśmy, prawda?

Nie wiedział, czy powinien ją teraz zaprosić na jeszcze jedną wycieczkę, więc nie powiedział nic. Leżeli spokojni i wypoczęci, a żółte blaski stapały się ze srebrzystym morzem.

Viv wstała by popatrzeć przez okno. Kiedy Miranda szła do łazienki, Connor zauważył u niej na nogach ciemne smużki i poczuł konsternację. Później jednak doszedł do wniosku, że na pewno zaczął się okres. Nocne zajęcia musiały go przyspieszyć.

Z łazienki słyszał śpiew Mirandy. Nie rozpoznawał piosenki, ale był to raczej współczesny kawałek. Z całą pewnością współczesny.

ROZDZIAŁ 37

We wszystkich salach rozmieszczonych wokół prostokątnego holu płonęły świece.

Poczekalnia jednak nie prezentowała jakiegoś konkretnego stylu. Była ciemna jak noc, a wysokie czarne sklepienie zdobiły złote gwiazdy. Tu również paliły się świece ustawione w drewnianych

kandelabrach.

Jedną ze ścian zdobił fresk przypominający styl pompejański, wyblakłe kolory czerwieni i ochry. Przedstawiono na nim wyścigi.

W zbiorniku wodnym pływały złote karpie, chowając się pod rozłożystymi liśćmi. Poza tym nie było żadnych roślin ani innych form życia.

Po salach krążył natomiast Cain. Bywały dni, że bez przerwy oddawał się temu zajęciu.

Dziesięć sal było połączonych ze sobą; oddzielne wejście miała tylko nowoczesna, funkcjonalna i mała łazienka bez wanny, wyposażona w prysznic i przywodząca na myśl mieszkanie w londyńskim Soho.

W jednym z pozostałych pokoi mieściła się sypialnia. Stało w niej łóżko w stylu wiktoriańskim, a może regencyjnym. Przykryte było granatową narzutą rozjaśnioną warstwą kurzu.

Kurzu pełno było we wszystkich zakamarkach z wyjątkiem łazienki, gdzie niewolnicy Caina sprząтали codziennie. Osady nie dostawały się tu z wiecznie zimnego świata zewnętrznego; składały się na nie drobinki tkanin i drewna, a także pochodzące od samego Caina. Jego skóra miała wystarczająco dużo cech ludzkich, aby się łuszczyć. Czasem wypadały mu także włosy. Kiedyś jego włosy przechowywano. Miał wypchane nimi poduszki, do których wkładano także włosy obcinane jego kobietom sprowadzanym czasem do zabawy. Ale działo się to już dawno temu. Teraz wszystko rozpadło się w pył. Zresztą, czy tak było naprawdę?

W niektóre dni Cain nie przechadzał się po salach. Siedział wtedy godzinami nieruchomo w jednej komnacie, na fotelu w stylu greckim albo rzymskim.

Mebli nie było tam wiele. Większą część powierzchni zajmował fortepian również pokryty kurzem. Klawisze się powypaczały, zżółkły i powoli nieruchomiały. Wewnątrz pudła w kształcie harfy mieszkał pająk. Prawdopodobnie został tu sprowadzony w skrzyni z książkami lub

owocami.

Obok mebli były jeszcze inne przedmioty. Ze względu na swój wiek przedstawiały jakąś wartość, ale nie nadawały się już do niczego. Zgromadzono kamienie, włócznie, skorupy, korki, butelki, klucze, żelazne sztaby. W jednym z pomieszczeń zwisały z sufitu jakieś mosiężne klatki. W kącie poniewierała się czaszka. I nic więcej.

W jednej z sal wisiały portrety i repliki obrazów. Żaden z nich jednak nie przedstawiał Caina, którego niepowtarzalna twarz pojawiała się tylko od czasu do czasu w lustrze z brązu, wiszącym naprzeciw łoża.

W sali portretowej znajdowały się za to trzy wizerunki pewnej kobiety. To była Lilith. Pełna życia głowa, wyrzeźbiona w starym brązowym marmurze, była do niej bardzo podobna. Tę grecką zapewne rzeźbę ozdobiono marmurowymi kwiatami.

Inny portret, na owalnym kawałku złota, pochodził z XVII wieku, ze szkoły francuskiej i pomimo bladości, można było rozpoznać Lilith w peruce na stelażu.

Trzecim wizerunkiem była fotografia w sepii. Tutaj jednak Lilith wyglądała zupełnie inaczej ustawiona w sztywnej pozie, pod szerokim rondem kapelusza — miała jednak w sobie życie, którego teraz jej brakowało.

Na stole stała trzydziestocentymetrowa szklana piramidka wypełniona czerwonym płynem, z jedną srebrną płytką w środku. Przez czerwony płyn, najprawdopodobniej krew (a może wcale nie), przebijał się blask świecy. Cain sam ją wymieniał, kiedy się kończyła. Czasami zastępowali go niewolnicy, jeśli akurat byli na miejscu.

W sali znajdującej się w zachodnim skrzydle były rzeczy nowoczesne. Biurko z czarnego metalu dźwigało komputer Apple. Obok leżało kilka dyskietek, jakby dla pozorów, że choć raz był używany. Stało tam też urządzenie do odtwarzania muzyki, ale z niego najwyraźniej nikt nie korzystał od lat, gdyż tak jak fortepian pokrywały je pajęczyny. Nigdzie nie było śladu płyt czy

kaset. Można było tu znaleźć jeszcze kilka innych elektronicznych urządzeń, wyposażonych w rozmaite przyciski. Zupełnie niedawno ktoś je podnosił i przestawiał w inne miejsce.

Cain wszedł do tej sali tylko na chwilę i rozejrzał się bez cienia emocji na twarzy. Nie wyglądał staro, choć z punktu widzenia dziecka powinien już umrzeć.

Harpokrates prawdopodobnie uważał, że Cain skończył już ze sześćdziesiąt lat. Tylko

Anchetari, choć była także dzieckiem, rozumiała, że czas się dla niego nie liczy. Anchetari–Ruth.

Czy o niej rozmyślał? A może zastanawiał się nad Malachem? Czy w ogóle myślał o czymkolwiek?

Starzy ludzie bywają zawzięci, małostkowi, złośliwi. Młodość lubi zachwycać się sama sobą i zdaje jej się, że wie wszystko. Cain był i za młody i za stary.

A może wszystko było tylko starannie przygotowaną mistyfikacją? Wysportowany, sprawny intelektualnie i niesłuchanie bogaty czterdziestolatek uważający się za przybysza z przeszłości.

Jest szaleńcem, więc żona musi pozować do portretów sprytnie stylizowanych na historyczne.

Otacza się skarbami z antykwariatów, a także starodawnymi rupieciami. Potem udaje, że zbierała je od tysięcy lat.

Cain odwrócił się i spojrzał w stronę stawu z migocącymi karpiami. Oczy mężczyzny przypominały tunele prowadzące do jądra nocy. Wszedł z sali i stanął przy wodzie. Na srebrnej tacce leżały rozmaite resztki. Cain zebrał je i wsypywał do wody, a karpie podpływały i jadły z jego dłoni nie przystrojonych żadnymi pierścieniami.

Czyżby jakaś skomplikowana operacja zmieniła mu oczy? Jak to się stało, że za błękitem nieba znajduje się czarna noc kosmosu?

W piątej sali na granitowym cokole leżał kamień. Na nim wykuto słowa wypowiedziane przez Lilith do białej dziewczyny w Sali Nuit. *Tenebrae sum*. Jestem ciemnością. To ja, Ciemność...

Karpie nie bały się Caina, bo nie miały ku temu powodów. Wytrze — pał ręce i karmił dalej

ryby muchami i innymi robakami, tak jak kiedyś żywił węże, jaszczurki i krokodyle.

Młodość jest otwarta i wydaje jej się, że wie wszystko, wiek starszy zaś zamyka się i też uważa, że wszystko wie. W Cainie te sprzeczności egzystowały obok siebie i nie wadziły sobie. Owszem, był może nie tylko człowiekiem. Jednakże umysł i psychikę miał ludzkie. Odszedł od karpia, które karmił codziennie o tej samej porze.

Ten, który był Ciemnością, podszedł do ściany z malowidłem przedstawiającym wyścigi, a przed nim otworzyły się ukryte drzwi automatyczne.

* * *

Na zewnątrz, w świecie rzeczywistym ponad królestwem Caina, w miejscu, gdzie rzeka z powrotem zamarza, stała pewna kobieta. Na południu rozciągał się ogromny, zielonkawy lodowiec.

Lilith była ubrana w czarno-szare futro. Podobnie jak on, nie osłaniała twarzy przed szczypiącym zimnem, chociaż temperatura tego dnia spadła o wiele stopni poniżej zera.

Niedaleko od niej stali służący odziani w termoszczelne stroje; oni również mieli odsłonięte twarze.

Cała grupa obserwowała dwa polujące na lodzie jasne tygrysy — wychowanków Lilith.

Zostawiono je w odległości niecałego kilometra, w niewielkiej odległości od przywiezionych z wybrzeża i puszczonej wolno zwierząt. Te koty, specjalnie wyselekcjonowane do zabijania, chodziły w jednym zaprzęgu w dzieciństwie, teraz więc wspólnie pracowały nad zdobyciem łupu.

Dopadły go już po krótkiej pogoni i powaliły przeciwników. Potem zaczęły rozrywać ciepłą jeszcze padlinę, tymczasem reszta zwierząt porozbiegała się na wszystkie strony, błakając się bez celu.

Nad zdobyczą unosiły się kłęby pary, jak gdyby płonął lód. Po krótkim czasie koty ruszyły w

stronę Lilith z czerwonymi pyskami i jęzorami. Przyniosły jej kawałki mięsa, a ona wzięła je, aby pochwalić ich instynkty. Stara tygryśca Lilith wcielała się w rolę ich zdechłej matki.

Umysłu kobiety nie dotknęła jeszcze starość. Odnajdywała w pamięci wspomnienia z taką samą łatwością, z jaką jej koty dopadały swe ofiary.

Żeglowała wśród myśli jak statek delikatnie kołysany przez morskie fale. Statek ten jednak stracił swój żagiel i była tylko tratwą z czarną banderą, zbudowaną z białych kości.

Nagle wyrosła w jej myślach wyspa odległa o wiele mil — poza zasięgiem wzroku jej białych wychowanków. Tamto dziecko. Nie... Nie Harpokrates ani Anchetari. Były jeszcze inne, a wśród nich czarnoskóry chłopiec. Wyraźnie kontrastowałby z białym śniegiem tej krainy.

Faran. Tak, to imię nie zostało wymyślone przez jej pana; powiedziano jej o nim. Faran miał siedem, może osiem lat. Czarny rycerz dla czarnej królowej i wyspa na jej morzu. Był dla niej kimś ważnym. Wyraźnie to czuła, choć nie potrafiła wyjaśnić. To przecież brało się z nieuchwytnego przeblysku myśli ukrytego przed nią samą.

Czy z tego właśnie powodu rozmawiała z dziewczyną o imieniu Anchetari, z tą Anną–Ruth?

Czy była dla niej przedsmakiem Farana? Zapowiedzią tamtego chłopca?

Z nim będzie jak matka z synem. A wkrótce może zostanie jego kochanką, żoną.

Wtedy pobudzona świeżością młodego ciała, napelniona jego nasieniem, stałaby się może naczyniem dla własnego dziecka...

Tygrys o ciemniejszym odcieniu otrząsnął się w biegu. Odległe myśli opuściły Lilith.

Widziała tylko dwa biegnące do niej koty, którym spod łap przyskały na boki kawałki lodu.

Wzięła znów z czerwonych pysków kawałki mięsa, odwróciła się i ujrzała obok siebie Caina, jej pana — Phraha, Magusa i męża. Niewolnicy gdzieś zniknęli. Przemówił do niej jednym z najstarszych języków świata. Była to muzyka pozbawiona niemal wszelkiego znaczenia, jednak Lilith ją zrozumiała.

— Już niedługo, Lilith. Niepokoisz się? Czy serce mocniej bije w twojej piersi?

— Być może, mój panie.

— Tak trzeba. Nigdy mnie nie zawieź.

— Jak sobie życzysz, mój panie.

Potem zwrócił się do niej w języku francuskim, współczesnym, takim jak jego ubrania. Teraz bowiem wyglądał na XX-wiecznego badacza bezkresów lodowych. Twarz miał jednak inną.

— Rozmyślasz o chłopcu, którego ci przywiozłem? O tym dziecku czarnym jak polerowany heban, z kręconymi włosach i o kocich oczach?

— O kim? — zapytała.

— A może Malach zagościł w twoich myślach? — rzekł niewyraźnym dialektem niderlandzkim. — Czy on cię obchodzi?

Lilith nie odpowiedziała. Jaśniejszy z tygrysów polizął ją po gołej ręce i zabrudził krwią.

— Zostawię sobie więc jednego i drugiego — mówił po angielsku. — Twojego czarnego chłopca i jej białego kapłana.

Oczy Lilith ożyły. Błysnęły jak kuleczki srebrnej rtęci.

— Mówiłeś, że chłopiec będzie dla mnie.

— A więc jednak coś cię obchodzi — rzekł po francusku. — *Hélas. J'ai perdu, mon amour.*

Niestety. Nie wziąłem tego pod uwagę, moje złotko.

Wtedy ożywienie w jej oczach wygasło. Przemówiła językiem niemal tak starym jak pierwszy, którego się nauczyła. Nazwała go ze staroświecką kokieterią *Phrah* — faraonem.

— Ty masz Anchetari — powiedziała. — Ty masz Anchetari. Oczy zamglily jej się lekko i stały się podobne do krajobrazu z wędrującym śniegiem.

* * *

Anchetari zwana także Persefona, Anną i Ruth ubrała się tak, jakby sobie tego życzyła Ruth.

Powiedziała kobietom — Shesat, Mesit i Ast — co mają robić, a one bez szemrania wypełniły jej polecenia. Była dla nich bardzo uprzejma, jak to Ruth. Powiedziała nawet dziękuję. Była trochę pruderyjna, również jak Ruth, ale szybko zapomniała o tej cesze. Egipcjanki często chodziły z odsłoniętymi piersiami.

Na ramiona dziewczyny opadały grube czarne włosy (peruka), pomalowane na końcach złotą farbą i spięte w kosmyki za pomocą drobnych koralików. Kolczyki ze złota zdobiły trzy kryształy z zielonego jaspisu.

Suknia z przezroczystego mlecznego lnu była wąska u dołu i utrudniała chodzenie. Odślaniała tylko prawą pierś, ponieważ Ruth chciała ukryć grubą bliznę po lewej stronie. Złote łańcuszki podtrzymywały suknię i łączyły się ze sobą kłamrą z czerwonym skarabeuszem. Włosy łonowe miała pokryte błyszczącym złotym pyłem, prześwitującym spod tkaniny.

Powieki pomalowano jej na złoto i obrysowano ciemną zielenią. Pozwoliła też nałożyć sobie mascarę. Ustom nadała taki sam odcień wypłowiałej, ciemnej czerwieni, jaki miał skarabeusz.

Zdjęła pierścień rodowy, który Anna dostała od Rachaeli.

Zachwyciła się swym wyglądem. Nie była już Anną, lecz osobą, którą była naprawdę.

* * *

Na dole, w ciemnych lochach urządzonych przez Caina pod białą piramidą, znajdował się Malach.

O ile Ruth—Anchetari starannie się ubrała na wizytę w lochach, on pozostawał całkowicie nagi.

Nie zaskoczył jej wygląd więźnia, bo wiedziała o tym wcześniej od Caina. Ruth widziała już Malacha nagiego. Anna także, choć tylko we śnie.

Ciało Malacha, słabo oświetlone pochodnią zawieszoną wysoko na kamiennej ścianie, wyglądało tak jak ciała wszystkich więźniów na świecie. W innych okolicznościach

proporcjonalne, sprężyste i piękne, tutaj zbladło, stawało się słabe i schorowane. W świetle ognia miało kolor niemal szary.

Scenka kojarzyła się z jakimś kiepskim filmem.

Bohaterem był Malach i zachowywał się tak, jak człowiek zaangażowany w romans opiewany w powieściach i pieśniach. Cudowny skazaniec kieruje się w nich mglistymi ideami: walki o dobro, wolność, o honor.

Głowa zwisała mu na piersi, a włosy opadały wzdłuż ciała. Nie obcięto mu ich, bo Ruth będąca Persefona–Anchetari stwierdziła, że sobie tego nie życzy. Gdyby tak chciała, Malacha by ogolono.

Postępowała jak rozpieszczone i złośliwe dziecko. Dziecko zabijające z miłości. Z miłości do śmierci. Nią też kierowały niezbyt wyraźne motywacje. Oto kolejna postać z filmu.

Scarabeidzi... Jeśli żyli od tak dawna, przez tyle wieków i nie poprzestawali na jednym ciele — to jak to możliwe, że z powodu drobnostki doszło do tak krytycznej sytuacji?

Mogli być niemal bogami, lecz myśleli jak ludzie. Kochali, nienawidzili, pragnęli zadawać krzywdy i nieść oswobodzenie w taki sposób, w jaki potrafią tylko ludzie. Ludzie bywają torturowani, okaleczani, a mają tylko jedno życie.

O tym wszystkim Malach mówił po cichu, lecz w języku, którego ona nie rozumiała. Ruth też by go nie rozumiała. Ledwie zaczął ją uczyć. Potem szybko przerwał.

— Co słyszeć, Malach?

Zadała to pytanie stojąc na schodach prowadzących do lochu. Wyglądała jak nikczemna kobieta z białą — czarnego filmu.

— Wszystko w porządku — odpowiedział. — A u ciebie?

— Pogramy w słówka? Ja powiem słowo, a ty powiesz, co ci przyjdzie do głowy. *Pomyłka.*

Malach się uśmiechnął. Potrząsnął stalowymi kajdanami, które Cain kazał mu założyć, znając

jego siłę.

— No, dalej — ponagliła. — Chcę, żebyś mówił. Może wtedy ci przebaczę.

— A może nie.

— Nie pytasz, co miałabym ci przebaczyć?

— Bo wiem.

— To dobrze. On zrobi z tobą wszystko, czego zażadam. Może cię zatłuc, może cię kazać wychłostać.

— Chyba nie masz na myśli chłosty przy pomocy bicz? — zapytał łagodnym tonem, dając delikatnie do zrozumienia, że taka scenka nie pasuje do filmu, a w każdym razie wypadnie w nim dość komicznie.

— Może być bicz — powiedziała. Jej poczucie humoru nie wyostrzyło się. Annie pewnie też go brakowało. — A nawet kastracja.

— Nie, tego byś chyba nie zrobiła?

— Ze względu na szacunek, jakim Scarabeidzi darzą ciągłość pokoleniową? Cain tym się nie przejmuje. Dał mi ciebie w prezencie i jesteś teraz moją maskotką.

— Nie, Anno. To ja ci się oddałem.

— Nie bądź głupi.

— Co miałem robić? Myślałem, że trzyma cię tu wbrew woli.

— Nie pozwoliliby mi odejść.

— Pozwoliliby. Gdybyś zapragnęła tego w mojej obecności.

Zastanawiała się chwilę nad tymi słowami, a później powiedziała:

— Ale on mnie pragnie.

— Ja ciebie pragnę.

— Nie. Na to jest za późno. *Krew*. Co pomyślałeś, gdy to powiedziałam?

— Że on ją lubi pić. A może tylko udaje.

— Ja też.

— Anno...

— Zmieniłeś ton. Ale nie nazywaj mnie w ten sposób. Oni mnie tak nazwali, a ja nazywam się teraz Anchetari.

— To Althene tak cię nazwała. Chcesz się wyprzeć Althene?

— Ona po mnie nie przyszła.

— Próbowwała. Ale tylko ja mogłem cię odnaleźć. Takie było moje przeznaczenie.

— Tak, to prawda. Abyś mógł dostać się w moje ręce. Ja byłem już twoim więźniem i skrzywdziłeś mnie.

— Owszem.

— Teraz ty jesteś moją własnością.

— Jego — powiedział. — To ta pomyłka, o której wspomniałaś.

Zeszła po schodach i podeszła do miejsca, nad którym wisiał na łańcuchu. Ręce miał rozpostarte nad głową. Musiało go boleć, trudno mu było oddychać, a jednak wyglądał na rozluźnionego. Nie widać było śladu cierpień.

— Wysłuchasz mnie, jeśli będę cię nazywał Ruth?

— Jeśli zechcę.

— Zechciej więc. Tylko przez chwilę.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

Wokół oczu miała namalowane malachitową pastą dwie identyczne ryby. Błyszczało złoto powiek.

— Pamiętasz mnie taką? — zapytała.

— Nie. Pamiętam tylko Ruth. A ty siebie zapomniałaś. Przysięgam ci, że niezależnie od tego,

co Cain mi zrobi lub czego mi odmówi, on chce od ciebie tylko jednej, trywialnej rzeczy. Tej, której obawiała się twoja matka a jego kobieta już nie może. Widziałaś ją. Jest już pustą skorupą. Ty jesteś początkiem. On chce przy twojej pomocy odtworzyć siebie. Interesuje go tylko nowa postać własnej osoby, stworzona w tobie. Adamus to przy nim zero.

— Wysłuchałam cię. Ale co mnie to obchodzi? Mogę mieć dzieci jedno po drugim. Chce mojej pomocy? Czemu nie? Uszczęśliwię go. On mnie pragnie, a w jego oczach jest więcej błękitu niż w twoich.

— Możesz także wyjść ze mną na wolność. Zastanów się nad tym. Ze mną albo beze mnie, jak będziesz chciała.

— W jaki sposób? Przekonasz go? Przecież jesteś pokonany.

— Pozory bywają złudne.

— Nie wygrasz z nim.

— Jeżeli ty tego zapragniesz, wygram.

— Ja pragnę, żebyś został zniszczony, rozdeptany, zgładzony. Nienawidzę cię i pragnę twej śmierci. — Cały czas mówiła cichym głosem. — Nienawidzę cię tak bardzo, że nawet tego nie czuję. Niczego nie czuję. Chcę widzieć, jak wyjesz w konwulsjach. Wówczas odzyskam czucie.

— Nie licz na to. Nigdy niczego nie czułaś.

— Owszem, czułam. Kochałam ciebie. Naprawdę.

— Ucieknij więc teraz ze mną. To miejsce nie jest nawet realne. Jest fantazją. Mrzonką. Świat poza nim istnieje tak jak zawsze.

— Niech sobie istnieje beze mnie.

Odwróciła się. Przypominała błyszczący obraz — jakby smukłego, złotego owada. Była Ruth, a jednocześnie przypominała Annę. Anchetari skinęła na człowieka stojącego w cieniu, poza zasięgiem pochodni.

— Popatrz — powiedziała do Malacha.

Mężczyzna był ubrany w skórzany kilt. Potężne ramiona ozdobione były żelaznymi obręczami. W dłoni trzymał bicz z rzemieniami zakończonymi metalem.

— Jesteś gotów? — zapytała Ruth Malacha.

Nie odpowiedział.

Ponownie skinęła głową, a olbrzym zszedł po schodach, stanął przy nagim, unieruchomionym ciele Malacha i uniósł bicz.

— Śmiało — położyła dłoń na biodrze.

Potężna ręka coraz bardziej odchyłała się do tyłu, a potem z siłą błyskawicy uderzyła naprzód. Cisza. Krew z rozciętej skóry Malacha trysnęła na twarz Ruth. Oblizwała usta i zrobiła krok do tyłu, aby się to nie powtórzyło przy następnym uderzeniu.

ROZDZIAŁ 38

Kapłan Louis dłubał w nosie. Śpieszył się, żeby mieć to już za sobą, kiedy przyjdą jego parafianie. Nie powinien tego robić. To nie pasowało. Ale kiedyś? Kiedyś właściwie niczego nie było można. Nie należał już właściwie do swego kościoła o nazwie Dzieci Czasu, w skrócie DeCz. Bóg i DeCz. A imię utracił wiek temu — w 1793 roku w Paryżu, pod ostrzem gilotyny. Pewnego razu zrozumiał, że wszystko dokładnie pamięta. Wóz, na którym go kiedyś wieziono, skandujący tłum, nawet podłoże z desek na którym go postawili, a także okrutne umieranie pod gilotyną. Otepienie zmysłów, blaknące obrazy. Teraz, choć regularnie nauczał o reinkarnacji, jego własna wiara osłabła.

Miał czternaście lat, gdy przygarnęli go DeCz. Dotarł do Londynu pieszo, błąkał się z wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami, ogłupiały; w kieszeni chował skradzione matce pięć funtów. Chciał wyrwać się z rodzinnego domu, uciec przed szkołą i maleńkim miasteczkiem na północy, przed czekającą go przyszlnością fabrycznego robotnika.

W Londynie mogło mu przydarzyć się wszystko. Mógł wpaść w szpony heroiny lub prostytutki, albo ponieść śmierć w jakiejś bocznej uliczce, nie lepszej niż w Paryżu z roku 1793. Po trzech dniach głodówki trafił jakimś cudem do siedziby DeCz.

Sekta była otwarta na wszystkich. Jej członkowie wierzyli w czystość cielesną i wolną miłość pomiędzy płciami przeciwnymi lub tymi samymi. Skoro się podobasz jakiejś osobie — mówili — w poprzednim wcieleniu z nią pewnie sypiałeś. A ponieważ reinkarnacja nie zna granic płci, to kobieta, która ci się podoba, mogła być poprzednio mężczyzną i odwrotnie.

Wszystko to wyglądało dość przekonująco. W DeCz karmiono dobrze. Ludzie z sekty, ubrani w zielone szaty, zbierali datki na ulicach a czasami imali się drobnymi pracami; wspólnymi pieniędzmi zarządzała komisja.

Początkowo Louisa bawiły sesje regresu. Potem zakochał się w siedemnastolatce, która utrzymywała, że po raz ostatni umarła we Francji, podczas I wojny światowej.

Nie chciała pójść z Louisem do łóżka, bo uważała, że nie jest jeszcze na to gotowy. Zrozumiał to na swój sposób — DeCz nie uznali go jeszcze za prawowitego członka.

Zgłosił się więc do kapłana na sesję regresu i natychmiast został wprowadzony w trans. Czy to w hipnozie, czy na jawie Louis nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Nawiedzały go tylko obrazy z dzieciństwa: gdy matka przyłapała go na masturbacji albo pomagał w myciu i opatrywaniu gnijącej stopy wujka Josepha.

Potem zapytał jednego z kapłanów, czy nie mógłby odszukać mu jakiegoś dawnego wcielenia a postara się je poczuć. Kapłan DeCz natychmiast usiadł z Louisem i napisał na kartce — z zamkniętymi oczami — spory kawałek z podręcznika do historii. Inny kapłan z pewnym trudem odczytał to. Był kiedyś Louisem, a przynajmniej tak się nazywał podczas ostatniej śmierci. Został skazany za przeciwstawianie się rewolucji, a dalszym zgłębianiem tematu powinien zająć się sam. Wtedy przybrał to imię.

Louis był dziwnie podniecony. Nie miał własnych pieniędzy, a kilka dni temu skończył piętnaście lat, więc dziewczyna, która nie chciała się z nim przespać, kupiła mu w prezencie dwie butelki wina. Trochę odurzony poszedł w zielonych szatach do biblioteki i cały dzień czytał na temat rewolucji francuskiej.

Przepełniony wiedzą i z pękającym pęcherzem — w bibliotece nie było toalety — stanął na moście Westminster w miejscu zwierzeń. Uświadomił sobie, wśród zawrotów głowy, dziwne rozdzielenie — żył w dwóch miejscach jednocześnie.

Siedemnastoletnia dziewczyna nigdy się z nim nie przespała, bo trzymała się z kimś, kto dwieście lat temu był jej matką, ale Louis już się tym nie przejmował.

Lata siedemdziesiąte w Londynie były przepełnione radością, a nawet zabawą. Wszystko się zmieniło. Ze wszystkiego się cieszył i nie przejmował się śmiercią, ani ludźmi, którzy teraz traktują cię źle. Nadejdzie dzień, że staną się lepsi i mądrzejsi.

Był to dla Louisa okres szczęścia i nowych przeżyć. Zapragnął zostać kapłanem DeCz i osiągnął cel, a zgiełk i wrzawa metropolii napełniały go zaledwie mieszanymi uczuciami, z którymi łatwo mu było się pogodzić. Pomagał każdemu, komu tylko mógł. Był uprzejmy, przewidujący, mądry, dostrzegał więcej niż inni. Potrafił ubiec człowieka próbującego go zasztyletować, pocieszał umierającego włóczęgę, dawał sobie radę z rozsierdzoną policją. Rozumiał udręczone młode duszyczki, które wrywają się z małych miasteczek na całym świecie.

Dusza Louisa nie należała do młodych. Wykazywała się raczej dojrzałością, a może nawet starością. Za jakieś dziesięć wcieleń może udałoby mu się ją wyzwolić. Z drugiej jednak strony lubił obserwować, jak świat zmienia się na lepsze. Potrafił wtedy przewidzieć przyszłość. I to bez trudu. Światem miały kiedyś zawładnąć mądre, dobroduszne istoty. Wtedy na świecie nie byłoby zła.

Idea ta pozwalała mu czuć się szczęśliwym. Lecz później, gdy miał trzydzieści kilka lat, Louis utracił wiarę. Bóg jeden wie — o ile w ogóle istnieje — dlaczego tak się stało.

Sprawa była prosta. Pewnego dnia, w ciągu jednej chwili, uświadomił sobie okrucieństwo świata i zrozumiał, że właściwie nic nie ma sensu. Człowiek nie żyje wiecznie. Cierpi, umiera i na tym koniec. Próbował walczyć z kryzysem wiary, ale nikt nie był w stanie mu pomóc i w końcu odwrócił się, stoczył.

Nadal nazywał się Louis, tak jak osoba którą niegdyś był. Nadal wypełniał powinności kapłańskie, chodził na pogrzeby, towarzyszył urodzinom i ślubom członków DeCz. Nadal nauczał o reinkarnacji, chociaż nie był jej już pewien.

Jak w ogóle można być czegoś pewnym? Skąd człowiek może o czymś takim wiedzieć, dopóki nie umrze? Taki to już popieprzony los.

Patrzył na nabrzeże szarej, płynącej powoli rzeki; stamtąd pochodzili jego parafianie. To Camillo poprosił go o przyjście tutaj, pod most. Kimże, u diaska, jest ten Camillo? Młody i stary, i trochę postrzelony.

Louis, ta niewinna istota, która wie zarazem zbyt wiele i zbyt mało, wygładził zieloną szatę, którą zazwyczaj nosił w torbie. W nosie miał już czysto; rozjaśniło mu się także w głowie. Zrobi teraz wszystko najlepiej, jak potrafi.

* * *

Lix przystrzygła włosy i umyła szamponem. Założyła parę dzinsów na zmianę, a Janice przypięła jej do płaszcza czerwony kotylion zachowany po jakimś festynie.

— Znowu się myjesz? Będziesz za czysta. Camillo był zde gustowany.

— Przecież będziesz się z nią żenił — powiedziała Janice.

Kirstie zachichotała.

— To ślub nie naprawdę — powiedziała Lix.

— Właśnie, że naprawdę — sprzeciwił się Camillo.

Lix nie przejmowała się nim. Myła się tak jak zawsze. Nie zależało jej na tym aż tak bardzo, ale nienawidziła własnego zapachu. U innych nie przeszkadzał jej nawet nieprzyjemny odór. Sam Camillo wcale nie śmierdzał, tylko jego płaszcz wydawał gryzącą woń. Był jak starzec, który wraz z wiekiem traci swój zapach.

Zwariowany kapłan, wierzący kiedyś w reinkarnację czekał pod mostem, bo Camillo stwierdził, że tam musi się odbyć ceremonia.

A ludzie robili to, co kazał Camillo.

Słuchał go nawet Dwa Kapelusze, który zginął podczas eksplozji bomby. I Tom Ocet głuchy na jedno ucho — słuchający muzyki głowy od czasu wybuchu. Oni z Pugiem ubrali się w nowe spodnie, które Camillo skądś im załatwił.

Pug przyszedł, żeby się napić. Camillo znalazł skądś pieniądze na sporą skrzynkę czerwonego wina, brandy i białego martini. Trunki zmieszano w rozbitym wazonie znalezionym na śmieciach i wszystko razem śmierdziało przywiewniętymi chryzantemami.

Lix pomyślała o Ronie popijając trunek. Biedaczysko. Ostatnio już go nie wspominała. Jeden dzin z tonikiem przed obiadem, trzy kieliszki białego lub czerwonego wina do posiłku, od czasu do czasu whisky na noc, a przy przeziębieniu whisky z gorącym mlekiem. Greg pił więcej. Ale Greg był młody...

Chwileczkę. Po co ona o nich teraz rozmyśla? W takiej chwili nie powinni jej przychodzić do głowy. Ich już nie ma.

Przepraszam cię Camillo, ale jestem mężatką. Mogłaby tak powiedzieć. Ale to też nie byłaby prawda. Nie. Ona była już wolna. Nie miała obrączki. A właściwie gdzie się podziała? Ach tak, ktoś ją ściągnął podczas snu. Sądziła, że Lix jest martwa. Myśl, że mogliby zabrać obrączkę razem z palcem... wystarczyła. Ale ona na szczęście luźno zesłała. Potem udawała, że nic się nie

stało.

Płakała potem?

Nie, ona nigdy nie płacze.

— O, jest — powiedziała Janice, pokazując palcem Louisa pod mostem. — Ma trochę nierówno pod sufitem.

— I bardzo dobrze — stwierdził Camillo. — Szaleństwo to rzecz święta. Było niezbyt późne popołudnie, dochodziło piętnaście po czwartej.

Po moście jeździły huczące samochody; ludzie biegali jak w przyspieszonym filmie. Niżej panował cień i było cicho.

W błocie znaleźć można było martwe ryby, szczękę jakiegoś dużego psa, który tutaj zdechł, koszycki ze sklepów, stare buty. Kopali plastikową butelkę po wybielaczu do tkanin, który również skądś tam się wziął, jakby jakieś kobiety robiły pranie na brzegu.

— Tu suko, za czysta jesteś.

— No dobrze — powiedziała Lix.

Usiadła w błocie, a potem się położyła i zaczęła tarzać. Wstała ubłocona, z twarzą zamaskowaną jak u żołnierza na wojnie.

— Tak lepiej? — zapytała.

— O wiele. Wspaniale. Nie wiedziałaś, że tak wolę?

Janice westchnęła. Camillo wyglądał na szesnastolatka, a to oznacza w kategoriach ulicznych włóczęgów — ze sto lat.

Wziął Lix za rękę i pociągnął pod most. Reszta poszła za nimi. Janice, Kirstie, pies i Pug. A także Tom Ocet, który — z przyklepionym do ust papierosem — słuchał bez przerwy w swojej głowie Marsylianki.

Louis na ile pamiętał, na tyle odtworzył ceremonię. Zwracał się do słuchaczy nabożnym

głosem. Oni zachowywali się prawidłowo. Janice wyglądała nawet na trochę natchnioną, pies nie szczekał. Czasami tylko Kirstie ziewnęła, ale to był u niej chyba chorobliwy objaw. Picie z tego samego naczynia co Kirstie, kilka lat temu nie przeszkadzałoby Louisowi, teraz jednak miał pewne wątpliwości. Z drugiej jednak strony nie przejmował się.

Mówił o rzeczach, które były bliskie im wszystkim, a więc o wazonie z alkoholem. Potem zwrócił się do Lix. Powiedział, że może być z Camillem i zapytał czy tego pragnie. Lix odpowiedziała, że tak. Nie pytał ją o szacunek i posłuszeństwo, tylko o samą miłość. O miłość na dobre i na złe. To samo pytanie powtórzył do Camilla. Ku zaskoczeniu Louisa oboje powiedzieli *tak*. W ten sposób nasunął mu się wniosek o marności jego autorytetu. Gdyby wierzyli w jego prawo do prowadzenia takich ceremonii, z pewnością powiedzieliby nie.

Wazon zatoczył kolejne kółko. Louis rozpoczął kazanie.

— Życie to surowy nauczyciel, a my przez cały czas się uczymy, przyjmując na siebie razy wymierzone przez doświadczenie. Cierpimy bóle i przykrości. W ostatecznym rezultacie jednak w mroku naszego żywota zabłysną złote światła. Bo chociaż droga prowadzi przez mrok, to jednak jest ona dla nas jakimś wyjściem. Musimy tylko wierzyć sobie nawzajem i wierzyć w nieskończoność, która będzie nas zawsze prowadzić.

Oczy Janice zaszyły łzami. Louisowi zrobiło się smutno, ponieważ widział, że jej wiara jest silniejsza. Zakończył błogosławieństwem dla wszystkich.

Jeszcze raz napili się z wazonu.

— Możesz pocałować pannę młodą — powiedział Louis. Camillo odwrócił się i objął Lix.

Wyglądał jak chłopiec, jak czternastoletni Louis przybywający do siedziby DeCz z bólem brzucha i kilkoma funtami w kieszeni. Tylko, że Camillo był pewny siebie; było w nim też coś dzikiego. Pocałował dziewczynę tymi barbarzyńskimi ustami. Nie opierała się.

— Bravo! — zawołała Janice.

I wtedy zdarzyła się rzecz dziwna. Nad mostem musiał powiać silniejszy wiatr, który zrzucił z ulicy rozmaite lekkie śmieci. Zsunęły się z krawędzi i w zimnym powietrzu zaczęły spadać na dół. Razem z nimi doleciały zapachy dymu papierosowego, spalin samochodowych i dezodorantów.

Podarte zielone kupony loteryjne, listy miłosne na pachnącym papierze, zdjęcie ślicznotki na błyszczącym papierze — wszystko to zabrała ze sobą woda. Także bilety autobusowe, nieprzydatne rachunki do odpisów podatkowych, kartka od zakochanego. A także dwie kolorowe chusteczki higieniczne — jedna zasmarkana, a druga mokra od łez.

Wszystko to leciało pod most, jak ślubne konfetti.

— O, patrzcie! — zawołała Janice.

— Zupełnie jak... — dodała Kirstie.

— No, no — powiedział Pug.

W ostrzyżone włosy Lix wplątał się złoty papierek po cukierku. Przypominał trochę utraconą obrączkę.

— A teraz będzie miodowy miesiąc — rzekł Camillo. — Kto chce, niech jedzie.

— Nie możecie nikogo ze sobą zabierać na miesiąc miodowy — powiedziała Janice. Pies zaszczeakał niezadowolony.

— To inna sprawa — powiedział Camillo.

Ruszyli spod mostu, a w ślad za nimi podążył Louis. Wyglądali jak duchy wyłaniające się spod wody. Po oślizgłych schodach wspięli się na ulicę. Tam przy krawężniku, gdzie zaczynał się normalny świat, stały dwa czarne pojazdy.

— Ale niespodzianka — powiedziała Janice.

— To rolls-royce — rzekł Pug.

— Proszę bardzo — odezwał się Camillo. — Ja i Lix w jednym. Widzicie te białe wstążki? A

reszta w drugim.

Janice ze zdziwieniem ścisnęła pod pachami swoje torby. Kirstie wytrzeszczała oczy.

— No dobra — powiedział Pug.

— Wsiadamy — rzekł Tom Ocet, przekrzykując swoją muzykę.

Camillo podszedł do samochodu i zastukał w przyciemnioną szybę. Ze środka wyszedł szofer.

Z drugiego również wysiadł kierowca. Wokół nich na moście toczyło się zwyczajne życie.

Lix wsiadła do środka, potem Camillo, a drzwi zamknęły się za nimi z lekkim trzaskiem. Nie odwróciła się, żeby zobaczyć, kto wsiada do drugiego samochodu. Zauważyła tylko, że Janice, Kirstie, Louis i pies stoją niezdecydowani na chodniku.

Samochód ruszył. Ostatni raz... Ale było zupełnie inaczej niż w tym wozie.

— Proszę, oto szampan — powiedział Camillo. Stuknięcie korka wydało jej się odgłosem z innego świata.

* * *

Gdzieś w pobliżu Euston Camillo polecił się zatrzymać. Razem z Tomem Octem i Pugiem zabrali z chodnika brudnego mężczyznę, leżącego na chodniku. Ten mamrotał jakieś przekleństwa, poruszając dolną wargą. Nie protestował jednak, gdy wsadzali go do drugiego rolls-royce'a.

Dziesięć minut później zrobiło mu się niedobrze i zasmrodził dotąd przytulne wnętrze wozu.

Nikt jednak nie narzekał. Pug i Tom Ocet poczęstowali go zawartością wazonu, sami też się napili. Lix nie pytała, co to za człowiek, ani dokąd jadą.

— U mojej bratanicy — powiedział jej Camillo — bez niego byłoby za mało zamieszania.

ROZDZIAŁ 39

Ktoś ukradł samochód dostawczy. Było im więc bardzo przykro, że w tym tygodniu nie zrealizują zamówienia. W przyszłym sytuacji najprawdopodobniej będzie wyglądała tak samo.

Naprawdę było im bardzo przykro. Należała w gruncie rzeczy do najlepszych klientów.

Kupowała trzydzieści butelek białego wina na tydzień, czasami jeszcze trochę czerwonego i różowego, a przynajmniej raz w miesiącu litr dżinu. Poza tym zamawiała wodę mineralną i sok pomarańczowy. Wielka szkoda z powodu tego samochodu.

Rachaela odparła, że nic się stało. Po wino mogła pójść na dół sama. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem odesłała Rega i Elizabeth, a dla jednej osoby nie potrzebowała kupować zbyt wiele jedzenia i środków czyszczących. Sama nie miała samochodu. Istniały jednak firmy taksówkarskie. Skorzystała z jednej z nich.

Taksówkarz na widok mężczyzny znoszącego cztery kartony wina, wodę mineralną, sok i dżin zapytał zgryźliwym tonem:

— Imprezę pani robi?

— W rzeczy samej.

Jednoosobową, dodała w myśli. Starła się traktować taksówkarza z wyrozumiałością.

Wino widywał zapewne tylko na urodziny, na Boże Narodzenie albo gdy zabierał żonę do chińskiej restauracji. Poza tym, czy kierowca ma w ogóle czas na picie alkoholu? Ale grał jej na nerwach. Szczególnie rzucała się w oczy jego zazdrość. Stary problem — wrogów nie trzeba szukać. Udawało jej się ich unikać przez długi czas. Teraz jednak musiała znów zetknąć się ze światem i ze wszystkim, co w nim nieprzyjemne.

— Szkoda było wynajmować samochód — powiedział kierowca, gdy zajechali pod wzgórze prowadzące do domu. — Mogła pani podjechać autobusem. A pod górę i tak został tylko kawałek.

Rachaela zacisnęła zęby. Nic jej to nie pomogło. Jak długo jeszcze Scarabeidzi będą stawiać pomiędzy nią a zwykłymi ludźmi szybę z kuloodpornego szkła?

Tymczasem taksówkarz dostrzegł jeszcze jedną rzecz budzącą zazdrość.

— O, pani popatrzy. Rachaela odwróciła się.

Przed nimi jechały dwa czarne rolls-royce'y.

— Pogrzeb, co nie?

Rachaela nie odpowiedziała. W milczeniu obserwowała, jak dwa wozy wciskają się pomiędzy ścianę ogrodu a dom i stają przed podjazdem.

Scarabeidzi. Któż by inny? Na pewno oni. Althene? Nie... Poczła skurcz w brzuchu oznajmujący strach a jednocześnie odrobinę ciekawości.

— Dalej nie wjadę — powiedział taksówkarz. — Przy tych wielkich gablotach trudno mi będzie wykręcić. — Rzucił wzrokiem na wiezione pudełka. — Ja niczego nosić nie mogę.

Kręgosłup.

Rachaela poczekała aż otworzy bagażnik, a potem zaczęła wyładować kartony i stawiać je przy bramie. Kierowca tylko się przyglądał. Podał jej zawyżoną cenę za kurs, a ona jeszcze dała mu napiwek. Zastanawiał się, dlaczego to zrobiła, ale doszła do wniosku, że ze strachu, bo w końcu wiedział, gdzie ona mieszka.

Kiedy odjechał, stanęła przy kartonach i spojrzała w stronę limuzyn parkujących przy bezlistnych topolach. Nikt nie wysiadał. Podniosła pierwsze z brzegu pudło wina i ruszyła do drzwi.

Kiedy dotarła już do białego, jednopiętrowego domu, obejrzała się na dwa czarne wozy.

Niczego nie dostrzegła. Wszystko zasłaniały przyciemnione szyby.

Przekręciła w zamku kluczyk i popchnęła drzwi. Karton z winem postawiła w korytarzu.

Kiedy prostowała plecy, w samochodzie stojącym bliżej otworzyły się drzwi. Ze środka wyszedł mężczyzna.

Nie, to nie była Althene w męskim ubraniu, lecz mniej więcej trzydziestosiedmiolatek w długim płaszczu ściśniętym paskiem. Po chwili zauważyła, że przybysz jest pochlapany błotem.

Nie znała go, ale wiedziała, że to Scarabeid. Wyglądał tak samo jak oni. Białe włosy upodabniały go trochę do Malacha.

Po chwili przybysz podał rękę komuś siedzącemu jeszcze w samochodzie. Zrobił to takim ruchem, że Rachaeli wydał się o wiele starszy niż na pierwszy rzut oka. Musiał mieć około pięćdziesiątki. To był Camillo.

Z limuzyny wyszła drobna kobieta w dżinsach i kamizelce. Na ramieniu miała przewieszony plecak. Krótko ścięte włosy, twarz i ubranie były pobrudzone czymś czarnym.

— No to jesteśmy — powiedział Camillo. — Pomóc ci z tymi pudłami?

Z rolls-royce'a wysiadł szofer.

— Przynies te kartony spod bramy — polecił Camillo. Elegancki kierowca bez słowa odszedł wypełnić polecenie.

Camillo podszedł do drugiego wozu i otworzył tylne drzwi. Szofer, jakby napędzany jakimś mechanizmem, natychmiast wysiadł i otworzył drzwi z drugiej strony.

Z samochodu wytoczyli się dwaj niewiarygodnie cuchnący starzy ludzie, krztusząc się ze śmiechu. Pomiędzy nimi stał na niepewnych nogach strach na wróble, z siwej głowy przypominający trochę człowieka.

Ciągle coś burczał pod nosem.

— Przyjaciele przyjechali na weekend — zawołał Camillo.

— Jest środek tygodnia — powiedziała Rachaela.

Gdy tak stała przyglądając się Camillovi i obserwując kącikiem oka szoferów krzątających się wokół jej pakunków, zbliżył się do niej jeden ze starszych mężczyzn. Śmierdział straszliwie.

Minął drzwi i zajął się kartonem z winem. Słyszała stukające o siebie butelki. Człowiek zabrany przez Camilla z chodnika właśnie skończył wymiotować.

— Błrr — czknął i spojrzał jej w oczy jak królik na znajomego psa.

— Przyda ci się towarzystwo — powiedział Camillo. — Nie jest dobrze być samemu.

— Lubię samotność.

— Na jakiś czas możesz ją sobie darować. — Odwrócił głowę. — To jest moja żona. *Mon amour. Ma femme.*

Rachaela spojrzała na kobietę w dzinsach, która miała niebieskie oczy. Tylko one wyróżniały się w twarzy.

Drugi szofer przyniósł ostatni karton z winem, wodę mineralną i dzin. Śmierdzący mężczyźni weszli do domu. Nawet nie próbowała ich zatrzymać. Starła się tylko unikać z nimi kontaktu.

Byli pewnie nieobliczalni. Po co on ich tu przywiózł? Camillo chciał się mścić.

Z jakichś powodów zawsze planował dla niej jakąś chorobę albo wypadek...

Ze środka domu doleciał brzęk tłuczenia czegoś, najprawdopodobniej butelki.

— To jest moja bratanica, Rachaela — powiedział Camillo. — Lix, przywitaj się.

— Dzień dobry — powiedziała niebieskooka kobieta głosem pustym, choć świadczącym o wykształceniu.

* * *

Gdzie on ją znalazł? Ale Scarabeid zawsze odnajdzie Scarabeida. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do ich wspólnego domu, ale szybko minął jej ten impuls. Camillo już go opuścił. Poza tym, co by jej z tego przyszło? Dziwiło ją, że Camillo zadaje się z takimi ludźmi.

Na początek włóczędzy udali się do kuchni. Otworzyli lodówkę, więc najwyraźniej wiedzieli do czego służy. Wyglądali jednak na przybyszów z prehistorii. No, co najwyżej z ery Thomasa Hardy'ego i Dickensa...

W lodówce właściwie znaleźli niewiele. Surowy stek, kilka plasterków szynki w paczce, ser camembert — nie spodobał im się zapach — pomidory i trzy pudełka jogurtu. A dodatkowo, jeszcze ostatnią butelkę wina.

Jednego z nich trunek nie zainteresował. Stwierdził, że wino jest „za cienkie”. Potem Rachaela usłyszała go na górze. Poszła za nim. Ciekawiło ją, co go tam przyciągnęło. Sama miała w dłoni otwartą butelkę wina, schłodzonego tylko zimną pogodą.

Stary wszedł do łazienki należącej kiedyś do Anny i zaczął buszować po szafkach.

— Ma pani jakieś środki czyszczące?

— Tak, tam.

— Aha.

Włóczęga wyjął pół butelki zmywacza do mebli i nienaruszony tonik do twarzy. Anna rzadko używała toniku, bo jej cerze nic nie dolegało, więc myła twarz zwykłą wodą.

Do łazienki wszedł duch Anny. Staruszek jednak tego nie zauważył. Odkrył tonik, spróbował, cmoknął ustami i z zadowoleniem uniósł buteleczkę w kierunku Rachaeli.

— Może być. Ma pani jeszcze?

— Muszę zobaczyć.

Wyszła z łazienki, naląła sobie wina do kieliszka i otworzyła szafkę w drugiej łazience, z której korzystała do spółki z Althene. Jej to by się spodobało.

Włóczęga przyszedł za nią.

— Niech sobie pan weźmie.

— Dzięki — powiedział.

Minął ją i zaczął grzebać pomiędzy perfumami i kosmetykami. Wybrał sobie lancôme, boots nr 7, otworzył i dokoła rozniósł się przenikliwy zapach malwy i zimnej śmietany.

— Co jest? — zapytał.

— Nic. Wszystko w porządku. Tylko, że ja stosowałam to tylko do twarzy.

— Niepotrzebnie — powiedział zalotnie. — I tak ładna z ciebie dziewczynka.

Wolną ręką próbował postawić pustą butelkę po toniku do szafki, ale wypadła mu i rozbiła się

w umywalce.

— O, przepraszam panią.

Rachaela zostawiła go w łazience samego. Może przecież korzystać z łazienki na dole, jeśli zachce jej się siusiu albo zrobi jej się niedobrze. A co będzie, jeśli ci włóczędzy zaczną wymiotować? Niewątpliwie dojdzie do tego.

Drugi włóczęga siedział z butelką colombard na chińskim dywanie, na dole. Na sofie leżał trzeci; nogi w butach trzymał na poduszce i raczył się winem z rozmarzoną miną.

Camillo zajął miejsce w fotelu, kobieta zaś usiadła po turecku na dywanie.

— To jest Pug — powiedział Camillo. — A ten na górze nazywa się Tom Ocet. Dużo narozbijał? Tego tam nie znamy. Jak się nazywasz, ojczulku?

— Błrr, błrr, błrr — wybełkotał ten, który zwymiotował przed domem.

— Czarujący gość — rzekł z uczuciem Camillo. Nieznany włóczęga poruszył się na dywanie, ale nie wstał, bo był zbyt pijany.

Rachaela wyszła z pokoju. Stała w korytarzu i bacznie nasłuchiwała. Na górze poruszał się wolnym krokiem człowiek zwany Tomem Octem.

Nagle po schodach zbiegła kotka Juliet. Zatrzymała się koło Rachaeli i popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Rachaela weszła jeszcze z trzy stopnie wyżej, gdy nagle spadła na nią myśl. Koty. Zupełnie o nich zapomniała.

Podeszła do Juliet i podniosła ją. Kotka zaprotestowała wysokim głosem.

— Nie szarp się. — Zniosła Juliet do szafki naprzeciwko schodów. Gdy otworzyła drzwiczki i wsunęła do środka kotkę, rozległo się pełne gniewu, przeciągłe górne E, aż zatrzęsły się szyby w szafce. — Tylko na pół godziny!

Zamknęła drzwi szafki na klucz. Bóg jeden wie dlaczego, ale mebel ten dawał się zamykać.

Teraz to się przydało.

Rachaela odeszła z kluczem w jednej, a kieliszkiem w drugiej dłoni. Juliet prawdopodobnie ze złości zrobi kupkę na podłogę. Ale czyż można ją za to winić?

Ruszyła teraz do góry. Wiedziała, gdzie powinna być kotka Jelka. Jacob zazwyczaj przebywał na dworze. Miała nadzieję, że zachowa wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby nie wchodzić do środka. W połowie drogi odstawiła kieliszek na schody i zabrała ze sobą tylko butelkę.

Tom Ocet wszedł do sypialni, którą Rachaela dzieliła z Althene. Usiadł na łóżku z niedopałkiem papierosa w ustach i dmuchał w poduszkę, z której prawdopodobnie już nigdy nie da się usunąć przykrewj woni. W każdej tej chwili pościel mogła zająć się ogniem.

Drzwi do Anny stały otwarte na oścież. Rachaela weszła do środka. Zwinięta w kłębek Jelka spała na kołnierzu z lisa z główką na brzuchu białego królika. Rachaelę napadły okropne uczucia. Podniosła butelkę, napiła się, ale wino nic jej nie pomogło.

Chryste, to się dzieje na prawdę. To rzeczywistość. Odstawiła butelkę i drżącymi rękami podniosła Jelkę. Właściwie nie wiedziała, czy włóczędzy zrobiliby kotom krzywdę. Nie podejrzewała o takie zamiary Camilla, lecz przecież i on mógł się zmienić. Zniosła kołnierz z lisa, króliczka i Jelkę na parter.

* * *

Koteczka przebudziła się, uchyliła zaspane oczka i cichutko zamruczała.

— Wszystko w porządku, kochanie. Idź, posiedź z mamusią.

Trudno było otworzyć szafkę, żeby nie wymknęła się Juliet. Rachaela nie zabrała ze sobą butelki, ale też nie miała zamiaru po nią wracać.

Kiedy już dokonała wyczynu i wsunęła do szafki futrzane łoże z Jelka, nie wypuszczając przy tym piszczącej Juliet, zamknęła drzwiczki ponownie i ze spokojem usiadła na schodach.

Znikąd nie dobiegały żadne dźwięki. Człowiek na górze leżał w jej łóżku, ssąc poduszkę. Nie

było czuć dymu, więc jej chyba nie spalił. Dwaj włóczędzy na dole popijają, a Camillo z żoną...
są cicho.

Udawała, że jest sama. Lecz to nie była prawda. Gdyby rzeczywiście była sama, jak zwykle
powoli popijałaby wino przy włączonym telewizorze. Pusty dom wypełniłaby nocna cisza.

To dziwne. Pomyślała o Camillu akurat wtedy, gdy część Londynu została pozbawiona prądu
z powodu wybuchu bomby. A teraz on zjawia się u niej. Czego właściwie chce?

O to Rachaela nie dbała. Czuła się zraniona w głębi duszy, a fale bólu coraz to napływały.

Cierpiała tak już od dawna. Ból sprawiało jej wszystko.

Seks, narodziny, strata. Głównie zaś to trzecie. Tak, właśnie tak wygląda prawda.

Pomyślała o Althene przeobrażonej w mężczyznę. Ten nowo narodzony człowiek był taki
delikatny, jednak, gdy ją opuszczał, był twardy jak stal. Najpierw straciła Adamusa, potem Ruth,
później Annę i Althene. Została sama. Ale lubiła samotność. A właściwie przyzwyczaiła się do
niej.

Zastanawiała się, czy potrafi jeszcze płakać. Lecz był to lichy pomysł, bo gdyby Camillo to
wyczuł, przyszedłby ją pocieszać pocałunkami albo jeszcze czymś innym.

Tak czy inaczej, nie zamierzała płakać. Dręczący ją ból nie wymagał łez. Pomyślała o butelce.

Gdzież to ją zostawiła? Nieważne. Uprzejmy szofer zaniósł do kuchni jeszcze wiele butelek. A
właśnie, co się stało z tymi ludźmi? Odjechali? Nie słyszała warkotu samochodów. Wstała,
podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je.

Rolls-royce'y stały na podjeździe, obok trawnika upstrzonego różowymi wymiocinami.

Zamknęła drzwi. Ruszyła do kuchni i zapalając światło, weszła do środka. Gdy otwierała butelkę
z winem, wszedł Camillo.

— Tu jesteś — odezwał się. — Myślałem, że uciekaś.

— Dlaczego? Przecież to mój dom.

— Tak? Myślałem, że należał do Althene. Piękna, cudowna Althene. Miałaś od niej jakieś wieści? Co u niej?

— Nic nie wiem.

— Jej męskie imię brzmi Johannon — powiedział. — Wiedziałaś o tym? Matka tak ją nazwała. A słyszałaś o Sofie? Zwariowała. Bóg wie, co jej się stało.

— Althene poszukuje Anny — powiedziała Rachaela.

— Anna jest już stracona, tak jak Ruth. Wiem to, bo ja wiem wszystko. Althene najpierw poszła do Sofie i zapewne wpadła w jej sidła.

Rachaela rozlała wino do trzech kieliszków z jasnozielonego kryształu.

— Twoja żona też się chyba napije.

— Możliwe. Nie znam jej za dobrze.

Camillo podniósł kieliszek i poszli razem do pokoju. Przez szyby okienne, niebieskie jak oczy, wpadało z dworu coraz mniej światła.

Niebieskie oczy. Ojciec Althene, Cajanus, miał nad wyraz błękitne oczy. To jego może szukają. Czy on porwał Annę? Czy w ogóle istnieje? A Anna?

Rachaela zamknęła oczy. Przypomniała sobie, co mówiła Althene, co ona sama wyobrażała sobie na temat przyszłości Anny, czego się domyślała. Nic z tego nie miało sensu.

Tak więc fakty, które się wydarzyły, wydawały jej się po prostu śmieszne, nierealne. Czy w tym porwaniu znalazło się jakieś miejsce dla niej?

— Dziękuję — powiedziała żona lub własność Camilla głosem świadczącym o wykształceniu.

Rachaela podała kieliszek z winem nie patrząc w jej stronę.

Na dywanie kołysał się bełkoczący mężczyzna.

— Pamiętasz mojego konika? — zapytał Rachaelę Camillo.

— Tak.

— Zapewniłem mu bezpieczne miejsce. Tęskni za mną biedaczysko. Jak nikt inny. Brzydki

Camillo — odszedł sobie.

Rachaela napiła się wina. Nie działało na nią. Było jak zabarwiona woda.

— Wygląda na trochę przygnębioną — powiedział Camillo do Lix. — Ktoś jej ukradł córkę.

Ukochany Rachaeli poszedł jej szukać, ale złapała go szalona Sofie. Życie to nie bajka.

Lix spojrzała na Rachaelę.

— Czy mogę się wykąpać? — zapytała nagle.

— Oczywiście. Jeśli tylko tego chcesz. Na górze są dwie łazienki, a ten stary włóczęga poszedł już do sypialni. Opił się chyba płynem do kąpieli. Ręczniki znajdziesz w dolnych szafkach.

— Wspaniała gościnność.

— Czy ci ludzie robią kotom krzywdę? — zapytała Rachaela.

Camillo wzruszył ramionami. Bełkoczącemu na dywanie pijakowi zabłyśły jednak oczy.

— Koty właśnie gdzieś poszły. Czasami nie wracają po parę dni.

Lix wstała. Wyglądała jak miniaturka człowieka. Szczupła, niska drobna. Twarz miała pobrudzoną błotem, ale oprócz tego wyglądała zupełnie czysto, a nawet pachniała czystością.

Wyszła z pokoju.

Rachaela nie chciała zostać z Camillem, więc wstała i poszła za Lix.

— Umyję po sobie łazienkę — powiedziała Lix ze schodów. — Z tego co wiem, nie jestem zakażona.

— Ale możesz nie wiedzieć.

— Rzeczywiście.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Rachaela. — Ta rodzina jest odporna chyba na wszystko.

Tylko dwa razy w życiu miałam grypę. Za każdym razem łagodną. W dzieciństwie wstawiono mi

do zęba tylko jedną plombę. Nasze dzieci są opancerzone przed chorobami. Nie wiedziała za bardzo, po co to mówi Lix.

— Bardzo miło z twojej strony — powiedziała Lix.

— Nie. Jestem niesympatyczna. I tchórzliwa.

— Przepraszam za to najście.

— Nie ma sprawy.

* * *

Lix siedziała w wannie, ciepła woda sięgała do drobnych piersi. Ciało wyglądało jak na freskach w łaźni. Nie kąpała się w wannie już od... Nawet nie mogła policzyć.

W domu mieli dwie łazienki. W domu Rona. Plus jedna, zawsze zabałaganiona, dla Grega.

Sprzątaczką dużo narzekała, ale nic to nie pomagało. Greg był młody i przystojny. Taki pełen życia. W domu były więc właściwie trzy łazienki.

Ron należał do miłych ludzi. Bywał czasem trochę nudny, robił się coraz bardziej łysy, rósł mu brzuszek. W niczym to jednak nie przeszkadzało. Gdy szli do łóżka, Lix wyobrażała sobie, że robi to z Seanem Connerym, lecz choć wiedziała, że to Ron, nic jej to nie szkodziło. Właściwie nawet była zadowolona. To, co wiedziała o Ronie, pasowało jej.

Pobrali się, gdy on miał dwadzieścia lat, a ona szesnaście. Od pierwszej chwili przypadli sobie do gustu. Czy to była miłość? Czy tylko rozsądek? W każdym razie stali się sobie bardzo bliscy.

A Greg, wytwór ich miłości i młodzieńczych namiętności, był testamentem dla ich dusz.

Była szczęśliwa. Nie cały czas; nie było to szczęście pełne pasji, lecz ot takie zwyczajne.

Można było z nim zasypiać, budzić się i żyć.

Dlaczego nie przetrwało na zawsze? A przynajmniej do późnej starości?

Już wcześniej zdarzały się momenty strachu. Tak wspaniale im się układało. Ron prowadził bezpieczny biznes. Tak bezpieczny, że mogli kupić sobie piękny dom z trzema łazienkami i

sześcioma sypialniami. Właśnie tamtego wieczoru jechali go obejrzeć.

Obiad zjedli w wiejskim pubie. Ron był ostrożny i wypił tylko jedną lampkę białego wina.

Dlatego też ona z Gregiem wypili resztę z dwóch butelek, a potem jeszcze, po posiłku uzupełnili odrobiną cointreau. Musieli to uczcić. Greg planował wynająć mieszkanie w mieście i przyjeżdżać do nich na weekendy. Bardzo mu się podobał pomysł spędzania sobót i niedziel na wsi. Mówił, że będzie polował na lisy — oczywiście z aparatem fotograficznym.

Na lisy. Wracali do miasta późną nocą. Londyn wydawał im się taki pusty, odpychający sztucznym oświetleniem, wokół widzieli tylko żebraków i zapijaczone typy. Ohyda. Cieszyli się z przeprowadzki.

Gdzieś około pierwszej w nocy, gdy w niezbyt szybkim tempie mijali Hyde Park, Greg odezwał się do Rona:

— Posłuchaj tego, tata.

— Dobrze. Może być — odpowiedział Ron i się roześmiał.

Lix siedząca w półśnie na tylnym siedzeniu słuchała również kasyty Grega. To była *Love like Blood* (Miłość jest jak krew) Killing Joke.

— Nieźle — odezwał się po chwili Ron. — Całkiem nieźle.

Ona zastanawiała się, czy naprawdę mu się podoba, czy też to tylko zagrywka Rona. Jej muzyka się podobała, a Ron miał przecież otwarty umysł.

I właśnie wtedy na jezdnię wpadł lis. Polny lis na londyńskiej ulicy. Nawierzchnia prawdopodobnie była mokra. Wpadli w poślizg. Ron przekręcił kierownicę. On wolałby zginać niż potrącić zwierzę. Nagle świat przewrócił się do góry nogami, a potem znów do normalnej pozycji.

Nie wiedziała, co się dzieje; nigdy nie umiała odnaleźć się w trudnych sytuacjach. Zapięte pasy męża i syna były pewnie mocne, ale nie do końca. Ona pozostawała niezabezpieczona i gdy

otworzyły się drzwi po jej stronie, po prostu wypadła. Poleciała jak na skrzydłach i wylądowała na chodniku.

Kiedy po jakichś dwudziestu sekundach otworzyła oczy, samochód płonął, a w środku tkwiły nieprzytomne ciała Grega i Rona, przypięte pasami bezpieczeństwa. Przyciśnięty piersiami Rona klakson wył jednostajnym dźwiękiem. A co najdziwniejsze, nadal grała muzyka. *Miłość jest jak krew*. Aż w końcu taśma się stopiła.

Po jakichś pięćdziesięciu sekundach Lix wstała. Próbowwała obejść samochód i zobaczyć, czy oni też wylecieli z wozu, ale wiedziała, że tak się nie stało. I miała rację.

Szczerze mówiąc, widziała nawet wewnątrz samochodu sylwetki męża i syna oświetlone płomieniami. Wyglądały nierealnie. Źle się układały cienie. Twarze były zbyt płaskie. Kilka mil dalej czekał pies.

Poza tym miasto wyglądało na wyludnione. Wolnym krokiem Lix odeszła, cała pokryta siniakami i zadrapaniami.

Szła przed siebie całą godzinę, aż znalazła się na brzegu rzeki. Tam, czując się słabo, usiadła i zasnęła... a może umarła. Gdy pojawił się pierwszy promyk porannego słońca, młody policjant brutalnie nią potrząsnął i kazał odejść. Obudziła się, powróciła do życia. I tam już pozostała.

Poruszyła się w wannie. Ktoś dobijał się do drzwi łazienki. Może to Tom Ocet? Na szczęście zamknęła drzwi na kluczyk.

Camillo nazywał tę piękną, czarnowłosą kobietę swoją bratanicą. Czy naprawdę utraciła dziecko i ukochanego?

* * *

Rachaela zajrzała przez uchylone drzwi do pokoju gościnnego i popatrzyła na Camilla oraz bełkoczącego człowieka, który popijał już trzecią butelkę, rozglądając się dookoła...

Za sobą słyszała hałasujące koty. Miauczały i drapały szafkę od wewnątrz. Tak dłużej być nie

może. Nagle usłyszała miauczenie o wiele bliżej. To wyłonił się Jacob. Musiał się chować gdzieś w domu. Przymaszerował tuż przed nią, a ona nie zdążyła odstawić kieliszka na tyle wcześnie, żeby go schwytać. Powinna rzucić kieliszek.

Camillo odwrócił się tylko, za to bełkoczący pijak podniósł się na kolana. Wyciągnął brudną rękę z czarnymi paznokciami w kierunku białej sierści Jacoba. Kot odskoczył, a mężczyzna zerwał się na równe nogi. Zamierzył się do silnego kopniaka. Rachaeli serce podeszło do gardła. Rzuciła się do przodu, a kieliszek i tak w końcu upuściła. Jacob jednak wskoczył już na stół i schował się za talerzem z bananami. Gdy bełkoczący pijak rzucił się na niego, kot czmychnął już ze stołu.

— Przestań! — krzyknęła Rachaela. Oczywiście nie przyniosło to żadnego efektu. Włóczęga złapał talerz z bananami, uniósł i z całej siły rzucił w jedno z okien. Rozbił się talerz, ale nie szyba. Lump zaczął bełkotać ze złości. Oczy zrobiły mu się czerwone.

Rachaela pożałowała, że nie ma już w dłoni kieliszka; mogłaby nim poharatać pijakowi twarz. Włóczęga nie mógł się zdecydować czy gonić kota, czy zaatakować ją, więc miotał się nerwowo z boku na bok.

Wtedy do akcji wkroczył Camillo. Uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Rzucił się ciężarem całego ciała do przodu i po chwili Rachaela usłyszała niewiarygodny trzask jednej czaszki uderzającej o drugą. Camillo odskoczył do tyłu. Włóczęga charkocząc wpadł pod stół i rzeził, trzymając się za nogę.

— Udusi się — powiedziała Rachaela.

— Miejmy nadzieję. Kici, kici — pieszczotliwie zawołał Camillo i sięgnął za fotel, gdzie poleciał Jacob. Delikatnie wyciągnął kota, który z przerażeniem wbijał mu pazury w rękaw. Podał go Rachaeli. Jacob nie był z tego wszystkiego zadowolony, czemu dawał wyraz gwałtownym machaniem ogona.

— Już dobrze — mówiła Rachaela.

Zabrała go z pokoju i zaniosiła prosto do drzwi wyjściowych. Ścisnęła go dość mocno, otworzyła drzwi i ruszyła prosto do bliższej z dwóch limuzyn. Stojący z boku szofer wyłonił się z cienia i uprzejmie otworzył drzwi samochodu. Rachaela wsadziła miauczącego Jacoba do środka.

— Proszę zamknąć, zaraz przyniosę dwa następne.

Kłopot sprawiła tylko Juliet, która piszczała i drapała, a kiedy już cała trójka — Jacob, Juliet i Jelka — była razem, ułożyły się na lisim futrze i drzwi zostały zamknięte.

— Proszę mnie zawieźć do Londynu. Do wspólnego domu. Wie pan, o który mi chodzi?

— Tak, madame — odparł szofer. — To nie potrwa długo.

Nie zdziwiła się specjalnie, gdy Camillo zaczął jej pomagać w znoszeniu skarbów Althene i zabawek z pokoju Anny. Zeszła nawet Lix, w grubych ubraniach na wykąpanym ciele, i pokazywała, co się jeszcze Rachaeli może przydać.

Czy oni mieli w planie pozbyć się mnie? Włóczęga w sypialni przespał całe zamieszanie.

Resztką wygasłego papierosa wypadła mu z ust. Śmierdziało w całym pomieszczeniu.

Rachaela nie bardzo wiedziała, co bierze, ani nawet co robi. Załadowała do torby bieliznę Althene. Parę rzeczy zostało jeszcze w piwnicy, ale tam na pewno się nie dostaną.

Lix pomogła znieść jej na dół torby. Pug kręcił się po korytarzu w poszukiwaniu wina.

— Ululał się? — powiedział, wskazując kciukiem na leżącego pod stołem lumpa.

— Tak — powiedział Camillo. — Trzeba to zanieść do bagażnika. Cała trójka pomogła

Rachaeli zanieść torby do limuzyny i tak je zapakować, aby nie wypuścić kotów.

Kiedy rolls-royce zniknął już z podjazdu, Camillo nalał Pugowi Lix i sobie po małym dzinie z tonikiem.

— Na zdrowie — powiedział, unosząc kieliszek w kierunku charczącego pod stołem mężczyzny.

ROZDZIAŁ 40

Rejs po nocnym morzu. To istny symbol. Zdziwiła ją wielkość statku przypominającego biały tort weselny udekorowany światełkami. Wyglądał na silny i niezniszczalny, a w środku panowały luksusy: pełno kawiarni i sklepów, windy, schody wykładane dywanami. Właśnie te schody, odkąd weszła z brzegu na pokład, stały się dla niej jedynym, malejącym stopniowo znakiem, że istnieje zewnętrzny świat.

Ocean był spokojny. Noc przejrzysta. Z górnego pokładu śledziła wszystko, co mógł napotkać jej wzrok. Tak jej się przynajmniej wydawało, bo nigdy jeszcze w ten sposób nie podróżowała. Nie chciała lecieć samolotem.

Wąski wycinek księżyca wisiał nisko nad horyzontem. Gwiazdy jasno migotały. Woda była ciemna. Czowała się jak połknięta przez rybę i próbowała przespać się w jej trzewiach. Rano miała się wydostać z rybiego wnętrza i odrodzić na nowo.

* * *

Nie zatrzymała się w żadnej z okrętowych restauracji, tylko poszła prosto do kabiny pierwszej klasy. Położyła się już na zielonym łóżku, gdy ktoś zapukał. Nie zamawiała obsługi do kabiny, ale z pewnością...

Przynieśli jej sałatkę z kurczaków, świeży, jeszcze ciepły biały chleb, pieczone ziemniaki, ciemnobursztynowy sok i dwie butelki białego wina. W srebrnym imbryczku była także kawa. Na szczęście minęły już te dni spędzone wśród Scarabeidów, gdy musiała prosić się o każdą filiżankę kawy. Teraz jadła i piła na delikatnie kołyszącym się łóżku. Rytm sprawiał jej przyjemność. Pomagał jej zasnąć, tak jak wino, którego wypła tylko trzy kieliszki.

Wzięła prysznic, umyła zęby i położyła się nago w śnieżnobiałej pościeli, pod zmniejszonym, lecz palącym się stale światłem przy suficie.

Nazywam się Rachaela. To jest moje imię. Ale jestem kimś więcej.

Takie myśli przesuwały się jej przez głowę. Zobaczyła swoje życie, które, nim zaczęła się staczać, przebiegało całkiem przyzwoicie. Zaczęło się od kontaktu ze Scarabeidami. Dom nad oceanem, Adamus. Potem była podróż, Ruth. Później pełne niepokoju życie Ruth, które pojawiło się i zniknęło jak gorący wiatr na wschodniej pustyni, jak chamsin...

Później Althene i... Anna, która wyparowała jak śnieg.

Rachaela próbowała sobie wyobrazić właśnie Annę, leżąc na łóżku. Nie zamierzała teraz odnaleźć Althene, swego ukochanego męża–żonę. Szukała Anny. Szukała jej białej skóry, srebrnego połysku włosów, czarnych rzęs i maleńkiej blizny na piersi.

Ale Anna zniknęła. Wydawało się, że nie żyje tak samo jak Ruth. Miała wrażenie, że była jej pierwszą córką. Może umarła dopiero w lesie, a może w chwili, gdy opuścił ją Malach. Nie było już Anny. O wiele łatwiej było myśleć w ten sposób.

Podjęcie decyzji przyszło bez trudu. Właściwie nawet nie musiała jej podejmować, bo ona przyszła sama. Gdy pakowała do toreb kolekcje czaszek Althene i zabawki Anny, już właściwie wiedziała. Gdy siedziała w limuzynie z kotami — mrużącą Juliet, Jacobem pomiatającym przy boku i Jelką z łapkami na szybie samochodu — stało się to dla niej jasne jak słońce. Rachaela zrozumiała kim jest i czego pragnie. Nigdy wcześniej do tego nie doszło?

Dotarła do domu Scarabeidów po ciemku, ale zastała światła w oknach, jakby włączone na powitanie. Do środka wprowadziła ją Cheta, a potem niemal w jednej chwili pojawili się wszyscy. Miranda wyglądała w świetle lampy na dwudziestolatkę, Sasha była panią o wiele starszą od niej. Erie sytuował się gdzieś pośrodku. Młodziutkiej Terentii nie zastała w domu. Michael podał kolację na zimno, a Rachaela opowiedziała o wszystkim, czego dowiedziała się od Camilla, jak gdyby nie wiedziała wcześniej, że matka Althene zwariowała. Oznajmiła też, że ma zamiar do niej pojechać, skoro nic nie słyhać o Althene.

Nikt jej się nie przeciwstawił. Erie stwierdził, że to się da załatwić. I rzeczywiście, rano

wszystko było załatwione. Leżąc potem nieruchomo w łóżku w pokoju, który kiedyś należał do niej, doszła do wniosku, że się może pomyliła. Jeśli Camillo zwariował... Althene mogła się przecież nie zatrzymać u Sofie, jej matki i być zupełnie gdzie indziej.

Erie podążając prawdopodobnie tropem myśli Rachaeli, powiedział, że w Amsterdamie nie będzie sama. Mieli jej towarzyszyć inni Scarabeidzi. Nie Malach, bo on był nieobecny. Ktoś. Jacyś ludzie.

Rano, gdy zajaśniało okno w pokoju, Cheta przyniosła śniadanie. Potem przyszła Miranda i siedząc na łóżku, bawiła się z Jelką i dwoma czarno-białymi kotkami mieszkającymi w domu. Poinformowała ją, że rejs został zarezerwowany na noc.

— Wspaniale wyglądasz — zauważyła Rachaela.

Miranda uśmiechnęła się jak kobieta zza wachlarza.

— Tak, to prawda. Kiedyś byłam już stara. Tak jak teraz Sasha. Miałam wtedy siwe włosy, pomarszczoną skórę i pożółkłe zęby.

— Wypadają ci zęby? — zapytała Rachaela. Było to pytanie ostre i nieprzyjemne, pozbawione taktu.

Ale Miranda ją zrozumiała.

— Tak. To nieprzyjemne uczucie. Łamią się, a potem wyrastają nowe. Jak u dziecka. Nie zostawiam ich sobie na pamiątkę, bo za brzydko wyglądają.

Trzy młodsze koty bawiły się jak w amoku. Juliet i Jacob zeszły na dół, gdzie w kominku palił się ogień i kusząco pachniały miseczki z rybami.

— Dziękuję, że mówisz mi tak szczerze. Bardzo mnie to ciekawiło. A co z resztą?

— Z jaką resztą?

— No wiesz, stajesz się młodsza. Czy wszystko inne dzieje się tak jak poprzednio?

Znów uśmiech jak spod wachlarza.

— Ależ tak. Oczywiście.

— Czy to jest naturalne? — pytała dalej Rachaela. — Ze mną też tak będzie? Mirando, czy to cię nie przeraża?

Miranda roześmiała się, a Jelka i dwa pozostałe koty stanęły w pełnej gotowości; zaczęły jej się bacznie przyglądać.

— Jak one się nazywają?

— Nie mają imion. Po prostu koty.

— Nie mają imion? Są przecież rodziną.

— Są Scarabeidami. Liczy się pochodzenie a nie tytuł.

Na statek zabrała ją zwykła limuzyna. Pożegnali się z nią tylko Erie i Miranda, a Sasha prawdopodobnie robiła w swoim pokoju na drutach. Była bardzo zmęczona. Czy Sasha umrze? Przypomniała sobie jak pewnego dnia Sasha rozmawiała z Anną, a potem podarowała jej szal. W tą właśnie materię owinięte są teraz dwa brązowe misie Anny, żeby było im ciepło.

Rachaela zamierzała je ze sobą zabrać, ale jakoś to nie wyszło. Cóż, będzie musiała wrócić.

Odwróciła się na bok. Leżeć w łóżku na morzu... Co za dziwne uczucie. Już wcześniej czuła ten delikatny ruch będąc we wnętrzu własnej matki. A może tak to sobie wyobrażała. Ten ruch stanowił istotę kołysanki. To też była podróż przez nocne morze.

ROZDZIAŁ 41

Wyłynęli pierwszego kwietnia. Pechowy to dzień, ale nie mieli wyboru. Statek przewoził chyba drewno, wino i ubrania, ale nie mieli co do tego żadnej pewności. Po opłaceniu odpowiedniej sumy statek wyruszył w morze. Rejs miał trwać długo, ale podróż lądem też byłaby nużąca. Czuli się tak, jakby mieli podróżować całymi latami.

W ciągu dnia przebywali pod pokładem, unikając światła. W jednej kabynie były kobiety, w drugiej — mężczyźni. Tak było ustalone i nikt nie spodziewał się niczego więcej.

Marynarze nie byli zachwyceni taką liczbą kobiet na pokładzie. Jedna nawet niewiasta potrafi wzbudzić złość morza. Rzeczywiście, piętnastego dnia podróży morze okazało swój gniew. Niebo zrobiło się zielone, a woda biała.

Statkiem zaczęło kołysać. Wtedy odłączył się od nich Camillo. Tego dnia również dziecko Stephana zaczęło się poruszać w łonie Sashy. Próżne były nadzieje, że poród nie zacznie się przed dopłynięciem do obiecanych wybrzeży Anglii. Okrucieństwo morza okazało się niezwycięzone. Dziecko chciało wyjść na świat o ponad miesiąc za wcześnie.

Trzeba było ją przywiązać do koi, aby była bezpieczna. Nie krzyczała, gdy szarpały ją porywy morza. Kiedy zaczęły się skurcze w jej wnętrzu i rodziło się dziecko, też nie podnosiła głosu.

Wyglądała dość młodo, na jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia osiem lat; podobnie jak Miriam, Livia i Anna. Długie czarne włosy leżały rozrzucone na poduszce. Grusha kładła jej na czole mokre okłady. Wśród wszystkich spokój zachowywały tylko Sasha i Anna. Inni nie mogli się oprzeć zdenerwowaniu.

Napierało morze, napierała Sasha... Potem nadeszła noc. Później dzień nie różniący się niczym od nocy. Następnie kolejna noc.

Marynarze przeklinali na czym świat stoi, a odkąd przyłączył się do nich Camillo, sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Pewnego człowieka woda zmyła za burtę. Camillo przywiązany do masztu śmiał się wtedy i krzyczał na całe gardło głosem pełnym okrucieństwa:

— *Tenger, Tenger!* Morze, morze!

Próbowano przekonać go, żeby wrócił pod pokład, ale on ani myślał ulec namowom. Nie poruszało go nawet uprzejme nazywanie go wujkiem, chociaż wcześniej — jeszcze w kamiennym domu, gdzie trzymano go pod kluczem — nalegał, aby tak właśnie na niego mówić. Wspomniany dom zostawili już daleko za sobą. Dzieliły ich od niego połacie tundry, góry,

pola pszenicy, zakurzone drogi, a potem błotniste dukty. Wreszcie morskie przestworza.

Z góry, z ciężkiego nieba nadal lały się strugi wody. Żadne miejsce na świecie nie oferowało im spokoju. Wszędzie, tak jak tu, na oceanie, narażeni byli na zmiecenie z powierzchni.

Marynarze rozmawiali ze sobą o zgładzeniu ich. Minionej nocy, gdy popili więcej niż zwykle, próbowali zebrać trzyosobową grupę, która zeszlaby na dół i zatłukła nie chcianych pasażerów na śmierć. Ciała mogliby wyrzucić do wody i nikt by się o niczym nie dowiedział.

— Już *oni* by wiedzieli! — powiedział kapitan. — Myślicie, że bym ich wziął na pokład, gdybym nie musiał? Dajcie im spokój. — Mówił do nich dialektem ukraińskim, ale potem powtarzał w języku gaelickim, ponieważ wielu członków załogi pochodziła z Irlandii. — Kto tknie któregoś z nich, ten będzie miał do czynienia ze mną. Flaki mu wypruję. Zrozumiano?!

Wstał świt trzeciego dnia porodu Sashy. Burzowe chmury zasłaniały słońce. Poszli na pokład we czworo. George, Karen, Dorian i Stephan. Porozmawiali z kapitanem. Kolejne porcje złota zmieniły właścicieli. Marynarze dostali następną beczkę wina. Pijani są bardziej posłuszni i mniej przydatni.

Wyłowiono człowieka, który wcześniej wypadł za burtę i okazało się, że ma ślady na szyi.

Na wieść o tym Stephan tylko się roześmiał. Był silnym, pełnym życia pięćdziesięcioletkiem z czarnymi włosami. Nawet marynarze musieli przyznać, że choć pasażerowie budzą gniew morza, są przystojni i piękni.

Pięć dni po wyruszeniu w drogę siedmiu członków załogi zachorowało. Skarżyli się, że we śnie kładą się na nich czyjeś ciężkie ciała.

— Sądzi pan, kapitanie, że moglibyśmy mieć z tym coś wspólnego? — zapytał Stephan wprost. Mówił po rosyjsku.

— Ja o nic nie pytam. — Kapitan wzruszył ramionami. — Ale załoga jest bliska buntu. Boją się, że ta wasza dziewczyna... Pańska żona, tak? Boją się, że urodzi. To wystarczy, by

rozgniewać wszystkie bóstwa morskie.

Przyszła czwarta noc. Sasha straciła już przytomność. Opiekowała się nią Grusha. Anna robiła jej masaże brzucha, mając nadzieję, że to pomoże wydostać się dziecku na zewnątrz.

Frances, Stephan, Jack, Michael i Carlo stali przed drzwiami damskiej kabiny. Mieli ze sobą cztery pistolety, a Carlo trzymał dodatkowo wielki topór.

Zazwyczaj porody przebiegają lekko. Morze znów się burzyło, podrzucając ich na spienionych falach. Sasha krzyczała. Szeroko, aż do bólu, rozłożyła nogi. W końcu dziecko wyszło, a raczej wypłynęło z falą krwi, wód i śluzu.

Kobiety osłupiały ze zdziwienia. I przerażenia. Sasha urodziła syrenkę.

Dziecko było jeszcze pobrudzone krwią, ale już rzucała się w oczy marmurowa biel ciała, jakby stworzone zostało z lodu. Poza tym, nie był to wcale noworodek, lecz dosyć rozwinięta istota. Poród nastąpił niemal dwa miesiące przed czasem, dziecko jednak wyglądało na dwulatka. Miało proporcjonalne ciało. Prawie białą twarzyczkę, podbarwioną jedynie krwią, okalały długie białe włoski posklejane w pasma. Wkrótce zauważono, że owijają się one wokół szyi dziecka i dławią je.

Brakowało pępowiny. W przesłoniętych błonką oczach, otoczonych czerwienią, przelewało się srebro morza. Jednak pomimo martwoty oczu, istota ta patrzyła na nich. Szczątkowe zarysy nóg niknęły wewnątrz galaretowatego ogona.

Tylko Anna się ruszyła i odplątała włosy ściskające dziecku gardło; maleństwo podnosiło główkę, próbowało samo się uwolnić, chciało żyć. Miało jednak zmiażdżoną szyję. Po krótkim czasie umarło.

Po śmierci zsunął się dziecku ogon, odsłonił nóżki i okazało się, że niczym właściwie nie różni się od zwyczajnego niemowlaka. Morze jeszcze raz szarpnęło, a potem zapanował spokój, jak gdyby dokonała się już ofiara.

Kobiety umyły Sashę i dziecko, które wydawało się za stare. Potem pomogły matce usiąść na koi.

— Dajcie mi ją.

— Sasha, ona nie żyje.

— Sasha, ona urodziła się już martwa. Ten rejs jej zaszkodził. Ty sobie wypocznij.

— Nie. Muszę ją potrzymać.

Tak więc, podali jej śnieżnobiałe dziecko owinięte w szal wydziergany przez Alice. Sasha kołysała martwego noworodka delikatnie, jakby chciała nauczyć morze, jak należy to robić.

— Sasha, Sasha, ona nie żyje.

— Wiem. Jeszcze tylko trochę.

Potem poprosiła o przyjscie Stephana, a on wypełnił jej prośbę. Stał i patrzył na Sashę, na ich białe, wspaniałe dziecko, któremu nie chciały się zamknąć oczka.

Gdy osłabł sztorm, okrzyki marynarzy z pokładu stały się wyraźniejsze. Dobiegał ich też wrzask Camilla.

— *Tenger, tenger.*

W końcu Stephan pochylił się i ucałował dziecko w oczka.

— Wiem, że byłaby dla nas dobra — powiedziała Sasha. — Wiem również, że kiedyś już z nami była.

Stephan wziął od niej martwe ciało, a ona zgodziła się bez oporów. Poniósł dziecko w głąb ciemnego statku. Powrócił z samym szalem. Oddał go Alice a ona przekazała go z powrotem Sashy. Niedośzła matka zasnęła, przyciskając z uśmiechem szal do policzka.

— Morze! Morze! — krzyczał Camillo.

— Teraz śpi w morzu — powiedział Stephan.

— Dlaczego musimy kogoś tracić? — zapytała Unice. — Pierwsze dziecko po tak długim

czasie...

Anna spojrzała na Stephana. To ona miała nosić w łonie jego syna za parę lat, już na angielskiej ziemi.

— Musimy być silni. Musimy przetrwać.

— Na pewno nam się uda — rzekł Stephan. — Prawda, Anno?

ROZDZIAŁ 42

Rano wprowadzono ich do przestronnej sali. Tam mówił coś do nich jakiś nowy mężczyzna, posługując się językiem angielskim i francuskim. Wysoki, dość otyły — nosił błyszczące okulary. Pogadanka przypominała nieformalne wykłady, których wysłuchiwali już wcześniej. Okularnik mówił przede wszystkim o ich pochodzeniu i choć nie zwracał się do żadnego z dzieci bezpośrednio, wszyscy brali sobie jego słowa do serca. Wyjątek stanowiła Berenice, która opowiadała już Faranowi o swym niesympatycznym ojcu.

Chłopiec pochodzący z Grecji, Christos, poprawił „nauczyciela” w sprawie pewnego pomnika. Farana jednak nie interesowały szczegóły.

Człowiek w okularach mówił też dokąd pojadą. Nie było to dla nich nic nowego. Nikt się nie przestraszył aż do chwili, gdy oznajmił, że właśnie tego popołudnia odbędą ostatni etap swej podróży. Zareagowały pomrukiem i szeptami, lecz zwracały się tylko do siebie. Wreszcie sześciolatek Jan ze Szwecji zapytał wprost:

— Czy my wreszcie tam dojedziemy?

— Tak — odpowiedział mu dorosły sympatycznym tonem. — Nareszcie dojedziecie. Wiem, że czekaliście długo, ale byliście zdyscyplinowani. Bardzo grzeczni i cierpliwi.

— Nie mieliśmy wyboru — rzekł Grek.

— *Tais-toi. Continuez, monsieur, s'il vous plait.* Ucisz się. Proszę mówić dalej — powiedział Pierre z Kanady.

— Tak, przejdźmy dalej — rzekł okularnik. Spojrzał na Farana, jak gdyby spodziewał się obiekcji także z jego strony. Ciemnoskóry chłopiec tylko skinął głową. — Wiecie już, że będzie bardzo zimno. Na ostatnią część podróży dostaniecie specjalne ubrania. Musicie dokładnie słuchać wszystkich poleceń. To dla waszego dobra. Później o szczegółach porozmawia z wami jeszcze Inez. Wiem, że wszyscy ją zrozumiecie.

Dziewczynka z Walii powiedziała coś w swym ojczystym języku. Dorosły nie zwrócił jednak na nią uwagi. Wiedział, że ona rozumie po angielsku.

Szeroko rozłożył ręce i uniósł głowę, jak podczas religijnego obrządku. Faran widział kiedyś taki gest w telewizji.

— Teraz powiem wam coś, czego może nie zrozumiecie. Chcę jednak, żebyście byli cicho, zastanowili się nad tą kwestią i podeszli do niej z otwartym umysłem.

Faran uznał, że okularnik traktuje ich nie jak dzieci, lecz jak szesnasto-, siedemnastoletnich studentów. Chciał się przekonać, czym jest owa „kwestia”.

— Wiem, że senior Stampa wspominał wam już co nieco na temat reinkarnacji. Zasadę na pewno już rozumiecie. Kiedy was pytał, wszyscy odpowiedzieliście, że takie rzeczy są możliwe. Że można się urodzić ponownie po śmierci.

Faran skrzywił się. Temu dorosłemu brakowało bystrości. Oczywiście, że wszyscy zgodzili się z seniorem Stampą. Człowiek zawsze godzi się z nauczycielem, który go nudzi, bo to jest najprostszy sposób, aby przestał truć. Sepleniący senior Stampa, w białym wygniecionym garniturze, zasługiwał najmniej na sympatię ze wszystkich ludzi odwiedzających ich tutaj. Miał czarne zęby i bez przerwy palił. Dzieci przyzwyczyły się już do tego „duchowego” obiektu, jakim jest dym. Kanadyjczyk stwierdził nawet, że przebywanie w dymie przypomina przymusową modlitwę.

— Rodzina do której zostaniecie zabrani należy do bardzo ważnych. Można ją porównać tylko

do wielkich domów renesansowej Europy we Francji i we Włoszech.

Faran spojrzał na Berenice. Spokojnie siedziała z maskotką na kolanach i z uwagą słuchała lektora. Zawsze tak się zachowywała. Chyba jej się wydawało, że każdemu musi z całych sił pomagać.

— Dżentelmen nazywa się Cain — ciągnął okularnik. — Zostaliście przez niego wybrani i chciałbym wam wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Może tego nie zrozumiecie, ale postarajcie się. Pan Cain wierzy, że wszyscy tu zebrani są wcieleniami członków rodziny, do której on się zalicza. Tylko przez przypadek znaleźliście się nie w jego domu. Teraz tam powrócicie. Tym razem nie było żadnej reakcji.

Faranowi się wydawało, że wszyscy już coś wiedzieli. On sam na pewno; rozpoznał przecież kobietę — Iwicę na fotografii. Wszystko jednak mogło potoczyć się inaczej. Zdenerwował się trochę na okularnika, który pod wypowiedzanymi słowami ukrywał coś nieprzyjemnego. To co mówił, było tak niedorzeczne, że wydawało się prawdziwe — w jakimś ukrytym planie.

Człowieka w okularach zaskoczył nieco brak reakcji dzieci. Czegóż jednak miał się spodziewać? Spojrzał na Berenice.

— *Merci, monsieur* — powiedziała.

I na tym się skończyło.

* * *

Autobus dowiózł ich na lotnisko. Pierwszy lot trwał kilka godzin. Całkiem im się podobało; znalezienie się w powietrzu stanowiło pewną odmianę po wielu miesiącach spędzonych wyłącznie w jednym miejscu.

Za oknami zniknęły zielone wzgórza.

Na pokładzie dostali hamburgery z sezamem, frytki z ketchupem, sałatkę owocową i lody.

Popijali colą i lemoniadą. Obejrzelili kilka filmów. Najpierw „Supermena”. Chłopiec ze Szwecji i

Walijka widzieli to już po raz drugi, ale wcale im nie przeszkadzało. A potem wyświetlało kreskówki, głównie z „Królika Bugsa” i „Toma i Jerry’ego”. Filmiki były już stare, ale dzieci śmiały się. Nawet Faran. Czasami także Berenice.

Dziewczyna z Francji pobladła jednak i była wyraźnie zakłopotana. Faran uznał wtedy, że powinien być bliżej niej i przesiadł się.

— Boisz się? Mnie może powiedzieć.

— Tak, ale nie o to chodzi. — Dzięki częstym rozmowom z Faranem lepiej już mówiła po angielsku, uczyła się też przy okazji slangu londyńskiego, którego Faran używał coraz więcej nie poprawiany przez nikogo.

— Boję się tego rodzenia od nowa.

— Ach, o to ci chodzi — Faran patrzył, jak żelazna sztaba uderza kota Toma w szczękę. Gdy wyleciały mu wszystkie zęby, Berenice skrzywiła się.

— Nie przejmuj się. Do następnej sceny mu odrosną.

— Mój tata mówił, że nie ma Boga — powiedziała Berenice. — Mówił, że niczego nie ma z wyjątkiem tego życia. — Spojrzała na swoją maskotkę. — Kiedyś przyszła do nas zakonnica, znajoma mojej mamy —

Gdy wrócił tata, wyrzucił ją z domu. Prawie spadła ze schodów i krzyczała ze strachu. To było bardzo brzydkie.

— Twój ojciec ma porąbane w głowie — rzekł Faran. Bardzo podobało mu się to określenie i przypisywał sobie nawet jego autorstwo. Dobrze, w każdym razie, charakteryzowało ojca Berenice.

— Zostawił mnie samą na łodzi. A potem przyszła tamta pani.

— Zapomnij o nim — powiedział Faran. — Ten Cain będzie chyba lepszy.

— Ale ja na pewno zrobię coś złe. Jestem taka głupia i na pewno mnie nie polubi.

— Wcale nie jesteś głupia. Ja cię lubię. — Faran zastanowił się, czy rozsądnie jest mówić takie rzeczy, ale było już za późno. Poza tym Berenice wydawała się bardzo uszczęśliwiona.

— *Tu est fou!* Zwariowałeś! — powiedziała karcąco do maskotki na kolanach. Na ekranie Jerry poślizgnął się na maśle.

* * *

Słońce na jasnym niebie niemal raziło w oczy, gdy wysiadali z autobusu na kolejnym lotnisku. Faran nie wiedział, którą jest godzina, ale wydawało mu się, że o tej porze słońce nie powinno już świecić. Powierzchnia nieba wydawała się trochę za cienka, by mogła utrzymać ciemność napierającą z zewnątrz.

W długim i szerokim budynku dzieci zostały ubrane w nowe, cieplejsze stroje z lnu i wełny w jaskrawych oranżach i zieleniach. Buszujący po równinach wiatr poruszał wyschniętą trawą. Było zimno. W oddali majaczyły ostre szczyty gór.

Dostały gorącą czekoladę. Podczas oczekiwania oglądały mały, czerwony samolot.

— Co to za model? — zapytał Grek.

Jeden z opiekunów na czas podróży powiedział mu, że to czterosilnikowy DC 6.

Opiekunowie nie weszli z nimi na pokład; jedynym dorosłym miał być pilot. On poinstruuje dzieci co mają robić, one miały go słuchać. Lot zaplanowano na kilka godzin. Paliwo mieli tankować tylko raz.

— O, tam jest pilot — powiedział Jan, wskazując ręką.

Człowiek przeciętnej budowy i średniego wzrostu miał twarz ogorzałą od wiatru. Szedł wzdłuż ogrodzenia zakończonego drutem kolczastym. Po drodze zatrzymał się na chwilę przed niewielkim posążkiem — może Matki Boskiej — który stał tam niczym przydrożna kapliczka. Miguel Chodil stawiał krok za krokiem. Za każdym razem podskakiwał mu na piersi maleńki medalion z wizerunkiem Madonny. Dopiero poprzedniego dnia dowiedział się, że polecą tym

samolotem i... z tym ładunkiem — sześciorgiem żywych dzieci. Mało go to obchodziło. Ale dzieci podobne są do małpek. Jeśli nie patrzeć im na ręce, mogą narozrabiać w kabinie pilota. Wszelkie jednak protesty były pozbawione sensu. Już dawno to wiedział.

Widział je przez szerokie okno. Piąt białych twarzy i jedna czarna. Wyglądały całkiem spokojnie; prawdopodobnie bały się.

Dotarł do samolotu i położył jedną ręką na kadłubie. Wydał mu się pozbawiony życia. Znał ten typ maszyny, latał już na niej, ale nigdy nie czuł do niej przywiązania.

Żywy ładunek obchodził go na tyle, na ile mógłby przeszkodzić w spokojnym locie. Wsiadł do samolotu. Chwilę rozmyślał o kobiecie, z którą spotkał się w mieście. Za każdym razem był z inną. Wkrótce po tym znalazł w pudełku z pamiątkami po matce medalik i powiesił sobie na szyi. Pasa startowego pilnowali dwaj strażnicy z kałasznikowami.

Dzieci ustawione w karny rząd wyszły w końcu na taflę lotniska, pod obstawą dwojga dorosłych. Szły równo i nie krzyczały. Były potulne i spokojne. Czarnoskóry chłopczyk wyglądał jak śliczna statuetka wyrzeźbiona z hebanu. Coś ujmującego było też w dziewczynce z maskotką. Chodil starał sienie myśleć o nich. Dzieci miały go słuchać. Jeśli są spokojne, tym lepiej dla niego. Zapewniono go także, że podano im coś na sen.

Ujął w dłonie ster. Przez moment ogarnęło go uczucie wyobcowania, jakby ten samolot należał do innego świata, obcy był cel podróży, a nawet jego własna osoba. Głowa, tułów, ręce, nogi, dłonie, stopy i medalik Matki Boskiej ukryty na piersiach pod koszulą... wszystko to nie należało do niego. Lecz to wrażenie minęło.

* * *

— Spałam jak kamień — odezwała się Berenice. — O, jeszcze jest widno. Patrz, patrz, co to jest?

Faran nachylił się do małego okienka. Przelatywali właśnie nad lodowymi wyspami, które na

atramentowym morzu wyglądały jak porozrzucane papierki.

— To jest śnieg — powiedział Faran.

— A będą tam pingwiny?

— Chyba tak.

— A polarne niedźwiedzie?

— Nie, raczej nie.

— Eee... — była rozczarowana.

Obudził się również chłopiec ze Szwecji i Pierre z Kanady. Mały Grek głośno chrapał, chociaż w naturalnym śnie nigdy mu się to nie zdarzało. Faran wiedział o podanych lekach. Czuł się tak jak po tabletkach, które łykała Cimmie. Wolał jednak nie mówić o tym Berenice.

Przyszedł mu nagle na myśl obrazek wybrzeża z górami, przypominającymi czarne wieloryby.

Czyż widział kiedyś takie zdjęcie? Może pan Thorpe mu je pokazywał? Nie mógł sobie przypomnieć.

— Myślisz, że to już niedaleko? — zapytała słabym głosem Berenice.

— Tak, nic się nie bój.

— Dobrze.

Faran zastanawiał się, jak postępować z Berenice, a jednocześnie przychodziła mu na myśl Lilith. Powinien być uprzejmy.

— Mój kotek się niecierpliwi — powiedziała Berenice, podnosząc maskotkę.

— Jeszcze trochę.

Kotek wyglądał jak żywy, a Berenice bardzo się nim opiekowała. Faran miał nadzieję, że Cain doceni ją. Na pewno doceni. Po co by ją wybierał?

Coś jednak wytrąciło z biegu jego myśli. Był tylko dzieckiem. Tak jak wszyscy tutaj, nawet

Walijka i Grek. Wszyscy... Jak to było? *Narodzeni pierwszy raz...*

Dlaczego to zapamiętał? Narodzeni pierwszy raz w Egipcie. A co tam robił przechodzący anioł?

— Myślę o swojej mamusi — powiedziała Berenice. — Dopiero pierwszy raz. Ciekawe, czy jest szczęśliwa.

— Pewnie kiedyś będziesz mogła się z nią zobaczyć — odpowiedział Faran. Zapomniał o biblijnych skojarzeniach.

— To byłoby wspaniale. Byłabym już dorosła.

— Chcesz być dorosła?

— Tak. Wtedy jest człowiekowi lepiej.

— A może wcale nie?

— Na pewno — powiedziała stanowczym tonem.

Samolot leciał z miarowym warkotem. Pilot nic nie mówił. Przypominał robota. Farana znów ogarnęła fala senności, ale starał się ją odepchnąć.

— Ciemne jest to morze, prawda?

— Tak — powiedziała Berenice i nagle coś przyciągnęło jej uwagę, bo ruszyła się energicznie i zawołała: — Faran, patrz!

Ciemnoskóry chłopiec wyjrzał przez okienko. W jednej sekundzie niebo stało się białe. Dla tych, którzy widzieli samolot z ziemi, nagle on przestał istnieć. Gwałtowna zmiana. Samolot staje się kulą migoczącego płomienia; wokół strzelają i opadają bezgłośnie w dół ciemne przedmioty. Potem huk.

Odległy, choć silny dźwięk jest trudny do zlokalizowania, jakby zupełnie nie dotyczył wydarzeń obserwowanych wzrokiem.

Kawałki metalu, foteli, zwęglonych ciał i resztki paliwa leciały w dół i lądowały na białych wysepkach, z sykiem tonęły w wodzie. Przez pewien czas dym kłębił się na niebie, a potem

rozwiął go wiatr. Nie pozostało nic.

ROZDZIAŁ 43

Cain wędrował w podziemiach swojej piramidy przy świetle pochodni, aż w końcu wyszedł do holu z posągami Anubisa, Bastet, Herkulesa i Astarte. Symbolizowały one duszę, radość, siłę i żądzę. Lotosy w wodnym zbiorniku jaśniały w świetle alabastrowej lampy. Tam się zatrzymał.

Ubrany był na czarno. Gęstwina ciemnych, jedwabistych włosów okalających głowę Caina sprawiała wrażenie zdolnej do samodzielnego życia. Z głęboko osadzonych oczu wyzierał spokój, choć jednocześnie tkwił w nich ogień.

Spojrzał przelotem na apartament, w którym ulokował chłopca, a potem ruszył do drzwi prowadzących do pomieszczeń przeznaczonych dla Anny.

W dłoni trzymał czarny, plastikowy pojemnik z pojedynczym czerwonym przyciskiem. Minał posąg strażnika i zapukał do najbliższych drzwi.

— To ty? — doleciał go kobiecy głos.

— To ja, Cain.

Wymówił swoje własne imię z nieopisanym apetytem, tak jak mężczyzna zwraca się do kogoś, kogo pragnie i chce mieć na własność. Nie nazwał jej po imieniu, chociaż sam je nadał dziewczynie, a ona go używała.

Drzwi otworzyła mu osobiście. Wszedł do komnaty ozdobionej malowidłami i złotem.

— Zastanawiałam się, kiedy wreszcie przyjdiesz. Czemu tak długo?

— Nigdy nie zadawaj mi pytań. Jeśli coś będę ci chciał powiedzieć, to ci powiem.

— Jak chcesz. — Nie czuła się urażona. Teraz była Anchetari i różniła się zarówno od Ruth jak i od Anny. Stała się nową osobą. Czy należała do niego?

— Anchetari — powiedział. — Tylko ty jesteś ze mną.

— Wiem.

— Nie chodzi mi o to, że teraz ze sobą przebywamy; innych już nie będzie.

— Innych?

— Zniszczyłem ich. Tylko ty się dla mnie liczysz. Ty też odwróciłaś się od swego dawnego ukochanego.

— Od Malacha? Tak. Patrzyłam, jak pewien człowiek sprawia mu chłostę, a potem odeszłam.

— Jestem tylko dla ciebie. Tak. Jest jeszcze chłopiec. On kiedyś coś dla mnie znaczył. W przyszłości będzie to miało pewne znaczenie. Okaże mi lojalność, a może nawet coś więcej. Jeśli jednak chcesz, Anchetari, zabiję go. Szybko i bez bólu. Wówczas pozostaniemy tylko my dwoje.

— A Lilith? — zapytała. Jej twarz przybrała maskę należącą do Ruth; porcelanowe rysy nic nie wyrażały, absolutnie nic. Może pustkę, choć w niej też zawarta jest jakaś treść.

— Rozstałem się z Lilith.

— I chcesz zabić Harpokratesa.

— Właściwie Andrew — dodał skrupulatnie.

— Nie, on mi nie przeszkadza. Możesz go zatrzymać.

— I co teraz?

— Teraz chcesz się ze mną kochać? — zapytała. Mogło się wydawać, że ma bogate doświadczenie seksualne.

Kochała się z Malachem, a także z innymi mężczyznami. A może to był zawsze Malach, tylko w różnych wcieleniach? Ona też umierała i powracała pod innymi postaciami. Z łatwością potrafiła to sobie teraz wyobrazić.

— Czyń, czego pragniesz.

— To mało zachęcające — powiedział. — Postaraj się.

— Dobrze. Chętnie się z tobą prześpię. Chcę mieć z tobą dzieci.

Uśmiechnął się.

— Spróbuj sobie przypomnieć, Anchetari.

— Co takiego? Czy byliśmy ze sobą już kiedyś?

— Nie. To będzie dla nas obojga coś nowego.

Pochylił się i delikatnie położył jej dłonie na ramionach. Spojrzała na niego odważnym wzrokiem.

— Skrzywdzisz mnie?

— Nie, nigdy nie zrobię ci nic złego.

— Ale miłość powinna boleć. — Zmarszczyła brwi. — Prawda?

Pochylił głowę i popatrzył na nią spokojnymi, błękitnymi i błyszczącymi oczami. Wydawało się, że jest bliski śmiechu — tak jak wtedy, gdy był jeszcze chłopcem i płynął łódką po srebrnej, zimnej rzece.

Lecz przecież to on rozszarpał człowiekowi gardło, zgwałcił go, zamordował, rozlał wokół siebie morze krwi. Widziała to na własne oczy.

Objęła go ręką za szyję. Wydał z siebie dźwięk rozkoszy i przyzwolenia. Pochylił się, przyciągnął ją do siebie i pocałował w taki sposób, że od razu sobie przypomniała. Wsuwał swój język tak, jakby chciał ją udusić.

Pod zamkniętymi powiekami widziała kogoś innego. Widziała Malacha. Anchetari odwołała się do swej silnej woli, która okazała się silniejsza niż można było przewidywać. Odsunęła od siebie myśli o Malachu.

Cain zaprowadził ją do łóżka, odsunął zasłony i położył stopami na wezglowiu. Powoli ją rozebrał, sam pozostał w ubraniu. Nie protestowała. Skupiała się na jego elektryzującym, podniecającym dotyku; czuła, że jej ciało jest już gotowe.

Mówił, że nie zrobi jej krzywdy, ale przecież musiał. Anna była dziewicą. Teraz miała znaleźć się w jej wnętrzu ostra broń, która potrafiła zadawać śmierć. Cain zada jej ból, ale nie zrobi jej

krzywdy.

Patrzyła na niego spod zasłony łez. Nie była pewna dlaczego to robi. On zlizywał jej łzy językiem szorstkim jak u kota. Potem zaczął ssać piersi.

Krew rytmicznie dopływała do jej serca, wyraźnie czuła pulsowanie w brzuchu. Przysunął twarz do jej krocza, a ona czuła, że jest gorąca jak stopiony mód.

Cały czas nie spuszczała z niego oczu. Nawet na ułamek sekundy nie zapomniała, że ma do czynienia z Cainem. W końcu wszedł w nią i poczuła ból. Miała wrażenie nabijania się na ostrze. Objęła go w talii. Patrząc na niego, widziała tylko mężczyznę. Byli w tej chwili dwoma istotami połączonymi w jedność.

— Będiesz pił moją krew?

— Tak, Persefono Anchetari.

— A więc jestem już twoja?

— Byłaś od samego początku. Teraz to przypieczętujemy.

— Czy twoi bogowie są prawdziwi?

— Nie mam żadnych bogów.

Poruszał się na niej z siłą burzy. W końcu zamknęła oczy, lecz wówczas nie czuła już potrzeby widzenia czegokolwiek.

Nie protestowała, gdy wbił się także w jej szyję. Nie czuła gorącej krwi spływającej na piersi, ani jego nasienia wytryskującego we wnętrzu. Wstrząsnął nią orgazm dziwnie odległy, jakby odczuwany przez tę, którą była, lub którą miała zostać. Nie było w nim ekstazy ani radości. Cain leżał na Anchetari. Ciało miał ciężkie, ciepłe i twarde, a jednocześnie zwinne jak u olbrzymiego zwierzęcia. Wysunęła się spod niego. Miał stoicką, prawie grobową minę, jak gdyby seks był dla niego przymusem.

— Wstań i przejrzyj się w lustrze — powiedział.

Wykonała jego polecenie. Zawsze będzie go musiała słuchać. Nie ma mowy o braku karnośći.

Sprawiło jej to pewną ulgę.

W zwyczajnym lustrze, nie pasującym do otoczenia Anchetari ujrzała odbicie młodej, nagiej dziewczyny. Za nią stał ubrany, ponury Cain. Objął ją lewą ręką, kładąc dłoń na piersi ponad sercem. Prawą dłonią pogładził jej szyję w ugryzionym miejscu, z którego wysał krew.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytała.

Nie powinna pytać; oni byli wampirami i tyle. Ruth to wiedziała. A jednak zapytała. Na próbę?

— Takie jest prawo Boże — powiedział.

Była zaskoczona. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

— Mówiłeś przecież, że nie wierzysz w żadne bóstwa.

— Stare przyzwyczajenia — rzekł z uśmiechem. — Dawno, dawno temu może istniały jakieś bóstwa. — Nachylił się nad nią jak ojciec nad dzieckiem.

Obserwowała w lustrze obydwie twarze. Była bez peruki. Wyglądała jak jego biały cień.

Żywy cień. On znów stał się wesoły i zrelaksowany. Na jej twarzy pojawiły się napięcie i niepokój.

— Teraz jesteś już moja? — zapytał. — Powiedz to.

— Jestem twoja.

— Na zawsze?

— Tak.

— Mogę więc go już wypuścić? Nie zapytała, czy chodzi o Malacha.

— A jeśli ja pragnę jego śmierci?

— Na razie mam już dosyć zabijania. Będę o tym myślał jeszcze przez wiele dni.

— O dzieciach?

— Tak — odparł.

Widziała na stole czarne, plastikowe pudełko z czerwonym przyciskiem. Obok leżała średniowieczna sakiewka, którą zwykle nosił przy pasie.

— Są tam uwiecznieni — powiedział. — Chodź popatrzeć. Podeszli do stolika. Cain otworzył pudełko i wyjął ze środka sześć zwyczajnych, trochę niewyraźnych zdjęć. Zrobiono je zniechęca.

Jakieś dziecko stało na zakurzonej ulicy, inne przy kolumnach, przed starodawnym budynkiem, na stacji kolejowej, przy wejściu do sklepu Harrodsa, na zielonej łące z rowerem. Chłopiec sprzed Harrodsa był czarnoskóry i trzymał za rękę elegancko ubraną kobietę z dużymi kolczykami.

— Oto moja ofiara — mówił Cain. — Tobie ją składam, bogini Ancherati.

Włożyła zdjęcia z powrotem do pudełka. Ona też zabiła kiedyś dzieci. Ale zrobiła to sama, patrząc im w oczy.

— Dziękuję — powiedziała chłodno i wyniośle.

Później wydobyła z siebie rodzaj śmiechu, lecz pozbawionego dźwięku — jak prychnięcie kota.

— Tego nie można już odwrócić — rzekł, jakby go o to właśnie prosiła. Był jednak usatysfakcjonowany. — One już nie żyją.

— Możesz zabić Malacha? — zapytała.

— Oczywiście. Oboje możemy. Zamierzam jednak darować mu życie. Niech żyje i pamięta o tobie i, że kazałaś mu odejść od siebie.

— Boję się nudy w tym miejscu.

— Wiem. Ale pokażę ci cały ten lodowy świat. Będę cały czas z tobą. A kiedy znudzisz się już tym wszystkim, możemy przenieść się gdzie indziej. Zupełnie się tym nie przejmuję, ale są tacy ludzie na świecie, którzy pragnęliby mojej śmierci. Anchetari, musimy sami, wspólnie

walczyć z nudą.

Pomyślała o sobie, o swojej pozycji i o malejącym znaczeniu Malacha. W piersiach, w miejscu serca, poczuła ból, który delikatnie się wzmacniał pod dotykiem dłoni. Wspomniała dotyk dłoni ukochanego, który mógł ją zabrać z powrotem do świata. Jeśli cokolwiek sobie zaszkodził, to łagodnością wobec niej.

— Pokochajmy się jeszcze raz — powiedziała. — Chcę zobaczyć...

— Ona wydaje mi rozkazy — rzekł z uśmiechem. — W takim razie jeszcze raz rozpal we mnie pożądanie — dodał potem.

Odwróciła się białymi plecami do lustra i położyła drobne dłonie na jego bursztynowym ciele.

* * *

Lilith obserwowała zabawę Harpokratesa z tygrysami. Trwało to już godzinę. Za nimi i przed nimi rozciągała się ogromna Sala z czerwonymi kolumnami i żelaznym sklepieniem, ozdobionym lampkami Nuit. W błękitnym oknie za plecami Lilith nie było widać żadnego ruchu. Okno wydawało się martwe. Jak duże, błękitne oko.

Cain powiedział jej, kiedy sprowadzi chłopca. Teraz, gdy Harpokrates bez odrobiny strachu bawił się z tygrysami, on przyszedł i powiedział w zapomnianym już języku, że nie będzie więcej dzieci. Gdzieś na skraju myśli Lilith, za małym obłoczkiem mgiełki, zamajaczyła ciemna postać. A potem nagle zniknęła. Odszedł również Cain.

Tak więc siedziała nieruchomo, a chłopiec bawił się z kotami. Kiedy jednak wstała, tygrys o jaśniejszym odcieniu sierści automatycznie uniósł głowę. Jednym słowem kazała mu pozostać na miejscu, a on ochoczo odwrócił się i pacnął łapą chłopca, który z chichotem przeturlał się po podłodze.

Harpokrates musiał dobrze znać tygrysy, bo zupełnie się ich nie bał. One bawiły się też wspaniale; były ostrożne i pełne majestatu. Ciemniejszy z tygrysów nawet nie spojrzał, gdy

odchodziła.

* * *

Lilith istniała w myślach ciemnoskórego Farana. Ale nie istniały już jego myśli. Mózg zamienił się w popiół. To zupełnie tak, jakby zginęła ona sama. Nie знаła go. Nie wiedziała kim był, kim mógłby być. Instynktownie tylko wyczuwała, że mogli być razem. Teraz, gdy on już nic nie myślał, Lilith zniknęła.

Przeszła w piramidzie do miejsca, gdzie nie ma już korytarzy ani dziedzińców, ani sal. Stała przed drzwiami, które tak samo jak bomba w samolocie reagowały na naciśnięcie guzika. Dalej panowało przeraźliwe zimno.

Lilith w czarnym stroju, w złotym diademie w kształcie węża przekroczyła wrota i zamknęła je za sobą.

Wokół rozpościerały się ściany i przegrody z lodu. A między nimi majaczyły cienie. To była nekropolia — komnata pochówków. By dostać się do krainy zmarłych, nie trzeba było przepływać ani rzeki, ani jeziora. Zbędne było też dopełnianie starożytnego rytuału mumifikacji. Na lodowych półkach leżały czarne, zdobione złotem trumny. Rozstawiono też posązki przedstawiające Anubisa i Tota — przewodników dusz; wizerunki Równowagi, Ataru — węża piekieł żywiącego się krwią skrzydlatych potworów. Na ścianach pod powłoką białego kryształu, były wymalowane krajobrazy złotych pól oraz królestwo po drugiej stronie rzeki.

Duża piękna barka miała zielony kolor Ozyrysa. Pokrywała ją lodowa skorupa.

Nad górnymi krawędziami kryształu unosił się Ba, personifikacja życia i energii seksualnej, ptak z głową człowieka doglądający, czy wszystko zostało dobrze wykonane.

Posuwając się naprzód, Lilith mijała przedmioty należące do zmarłych i noszące ich imiona.

Rozwijała się długa lista tych, których nie wolno było pominąć: *Ty, który obok mnie przechodzisz, wypowiedz me imię, abym został przywołany z pamięci...* itd.

W alkowach stały lalki odgrywające rolę sług zmarłych, naczynia z winem. W niektórych miejscach pozostał po nich tylko brązowawy pył.

Minęła zniszczony nieco obrazek egipski, grecką amfore, czarkę przedstawiającą Bachusa, kobiecą rękawiczkę z XVIII wieku, zwarzone mrozem wieńce z kwiatów — wszystko to było złożone w ofierze.

Były tam też nieruchome motyle w kolorach szafiru, krwi i złota. Kiedyś żyły, teraz jednak ich cieniutkie skrzydełka spoczywały na kamiennych dłoniach, na pysku szakala Anubisa i na grzywie asyryjskiego lwa.

Lilith kroczyła pośród rzędów sarkofagów w cieniu chłodnych bóstw. Okolica ta przypominała jakąś część jej własnego umysłu, może spełnione przez kilka sekund marzenie.

Wreszcie minęła cmentarzysko.

Znalazła się w tunelu zaśmieconym skorupami naczyń, fałszywymi lub prawdziwymi gemami, fragmentami rozbitych przedmiotów. Za tunelem zaczynała się lodowa grotta, wydrążona już w lodowcu pod górą Caina. Niebiesko–zielone ściany tej sali migotały ponurą wilgocią. Lodowe stalaktyty wrzynały się jak miecze w biel śniegu.

Lilith zrzuciła sandały dziewczęcym ruchem.

Boso, z pustymi rękami, gołą głową i odsłoniętą twarzą — odziana jedynie w czarną szatę i przybrana złotym wężem — przeszła samotnie przez grotę. Postać jej stała się zupełnie czarna na tle bieli. Czarna jak Faraon.

Nie spieszyła się, nie szła też wolno. Wtapiała się w lodowy krajobraz bez oglądania się za siebie. Stawała się coraz mniejsza. Znikała.

* * *

Twarz Malacha to pojawiała się, to nikła w świetle pochodni. Nic nie można było z niej wyczytać...

Opadające na ciało białe włosy jaśniały w ciemności. Białe bandażę, którymi opatrzone jego ciało, też były widoczne. Ktoś potem przyszedł i obmył mu rany. Czerwone ślady na opatrunkach nabrały w mroku koloru czarnego.

Nikt, nawet sam Malach nie wiedział, czy jest jeszcze jakaś nadzieja. Logika nakazywała mu ostrożność. Ale Cain musiał się u niego pojawić. I rzeczywiście. Zszedł wkrótce do więziennej celi czy lochu urządzonego tak jak w filmach z lat sześćdziesiątych.

Czarny strój Caina kontrastował z bielą Malacha.

— Przeszedłem — powiedział tak samo jak inni. A Malach?

Malach milczał.

— A więc ona cię nie chce — mówił Cain. — Mimo wszystko nie chce cię. Szkoda, że się fatygowałeś. Odbyłeś długą podróż.

Mówiąc melodyjnym głosem, co trzy lub cztery słowa robił przerwę, jakby się delektował ich znaczeniem. — I co ja mam z tobą zrobić?

Malach nadal milczał.

— Dlaczego nic nie mówisz? W przeszłości rozmawialiśmy ze sobą.

— To było kiedyś — odezwał się Malach.

— Kiedy? — zapytał Cain niemal z bojaźnią.

— Dawno.

Cain zdecydował się rozmawiać w języku niderlandzkim; w języku, który przybrał sobie Malach. Cały czas jednak wtrącał słowa francuskie, łacińskie a nawet niemieckie. Malach odpowiadał mu czystą mową.

— *U vergist zich* — powiedział Cain.

— A może to nie byłeś ty? — zapytał Malach.

— Ja. *Skheru*, a niech to. Tylko, że ja się zmieniłem. Przeszedłem przemianę. A Malach...

pozostał takim, jakim był.

— Niezmienny. Malach nie podnosił głowy i nie wiedział, że Cain podszedł bliżej niego.

— Pamiętasz — zapytał Cain w starożytnym języku — jak bogowie Set i Hor bawili się w ogrodzie? Hor prysnął wtedy swym nasieniem na sałatę, a Set nie wiedząc o tym, zjadł ją. Potem nasienie krzyczało: *oto jestem we wnętrzu Seta*.

Malach znów nic nie mówił.

— Teraz jesteś moim niewolnikiem. Wpadłeś w moje ręce. Wiesz, co muszę z tobą zrobić.

Błysk pochodni oświetlił twarz Malacha. Wyglądał jak głodny wilk. Oczy przypominały kryształowy lodu.

— Twoja zemsta wypada dość teatralnie i kiczowato.

— Ale mogę zrobić ci krzywdę, mój drogi.

Cain poruszył się, a Malach potrząsnął stalowymi kajdanami. Ruchy miał ograniczone, bandaże krępowały go dodatkowo. Cain poruszał zaś się jak tygrys. Gdy złapał Malacha za krocze, dłonie miał gorące jak piec.

— Ona, gdyby mogła, zrobiłaby to — powiedział. Jego głos przesiąknięty był żądzą, lecz nie żądzą seksu lecz władzy. Najstarszą metodą pokonania wroga jest poniżenie go, pohańbienie, zgwałcenie. Uczynienie z niego *kat tahut*, łona ladaczniczy.

Cain podwinął sobie szatę i odkręcił Malacha tyłem do siebie. Malach przestał się opierać.

— Niech cię Set wypieprzy — powiedział starożytnym egipskim językiem.

Twarde jak skała mięśnie Malacha zacisnęły się przed Cainem. Ten pomagając sobie ręką, próbował wepchnąć nabrzmiałego penisa. Chciał wystrzelić nasienie w ciele Malacha. Natarcia jednak zdały się na nic. Malach wygrał. Cain zostawił go i odszedł. Był wzgardzony i pokonany.

Ogień oświetlił usta wiszącego Malacha, otwarte w bezgłośnym krzyku. Jego oczy pełne szaleństwa. Niewzruszony Malach stracił panowanie.

— Obejdzie się bez tego — powiedział Cain.

Wówczas Malach wydał z siebie niski, ochryply odgłos, jak pies, który po raz pierwszy w życiu został skrzywdzony. Cain drgnął.

— Zostaniesz wyleczony, dostaniesz jeść, otrzymasz z powrotem ubrania, sanie i psy.

Dostaniesz wszystko, czego ci potrzeba i możesz wracać.

Stopniowo powracał spokój na twarz Malacha. Trwał w bezruchu. Kajdany wydawały się w tej sytuacji absurdalne.

— Chcesz jej coś przekazać? — zapytał Cain po holendersku. — Mnie wysłucha.

Malach pochylił głowę. Białe włosy opadły mu na twarz.

— Mógłbym cię teraz przelecieć — powiedział Cain. — Ale nie mam już teraz powodu, no nie?

— Nie — powiedział Malach.

— Więc między nami kwita?

— Tak.

— To wracaj do swego uroczego życia — mówił Cain. — Znajdź sobie jakąś miłą kobietę i trzymaj się ciepło.

— Ciepło — powtórzył ktoś stojący w cieniu. Na tym się skończyło.

ROZDZIAŁ 44

W porcie czekał na nią duży, czarny samochód. Kierowca mówił po angielsku. Zapewnił, że tutaj prawie wszyscy znają ten język.

Na prośbę Rachaeli pojechali prosto do śródmieścia ulicami ciągnącymi się wzdłuż kanałów.

Mijali ciężarówki przewożące kwiaty. Zanosiło się na deszcz.

W Amsterdamie pełnym rowerów i tramwajów panował poranny ruch. Co jakiś czas skręcali w brukowe uliczki. Okolica wydała jej się znajoma. Kiedyś, dawno temu musiała tu być, ale

wówczas była kimś innym. W obecnym jednak stanie ducha czułaby się swojsko w każdym mieście.

Wszystkie decyzje podejmowała jakby automatycznie. Miała wrażenie, że w jej głowie realizuje się program komputerowy.

Budynki w tej części Amsterdamu przypominały domki dla lalek. Sofie miała kolor ciemnoróżowy. Wyglądał zachęcająco, zupełnie inaczej niż dom Scarabeidów w Londynie.

Rachaela weszła po schodkach i wcisnęła guzik od dzwonka. Czekala. Nikt nie nadchodził.

W porcie otrzymała od kogoś wiadomość, że Sofie jest w domu. Ale może wyszła do sklepu?

Nie, zakupami zajmuje się służąca Grete. Może więc wyszła w sprawach czysto prywatnych, o których rodzina nic nie wie?

Rachaela obejrzała dokładnie różową fasadę budynku. Nie zauważyła nic. Żadnego ruchu.

Wydawało się, że budynek wstrzymał oddech. A jednak Sofie tam musiała być. Nacisnęła na dzwonek ponownie; drugą ręką zapukała.

Drzwi nagle otworzyły się. Ukazała się w nich kobieta o wiele mniejsza od Rachaeli.

Przypominała trochę pstrokatego ptaszka. Miała na sobie sukienkę w czerwone i zielone pasy.

Srebrny naszyjnik okalający szyję przywodził na myśl trzy pudełka od zapalek. Pod oczami rysowały się niebieskie cienie. Taka była Sofie.

— *Wat is er aan de handl* — zapytała ostrym tonem.

— Niestety, nie mówię po holendersku — odpowiedziała Rachaela.

Sofie cofnęła się o pół kroku. Wyglądała młodziej niż Rachaela i miała zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu; wydawała się więc jakby pomniejszeniem człowieka, obserwowanym przez denko butelki.

— Co? — zapytała po angielsku. — Kim pani jest?

— Nazywam się Rachaela. Mieszkałam z Althene. — Na chwilę zamilkła, a potem

stanowczym głosem dodała: — Z pani synem.

Drzwi nadal były szeroko otwarte. Rachaela wkroczyła do holu wyściełanego czarnym dywanem. Stała tam też dziwna rzeźba, za którą schroniła się Sofie.

— Nie waż się tu wchodzić — pisnęła. — Jak śmiałaś? Czego chcesz?

— Chcę się zobaczyć z Althene.

— Tu nikogo nie ma.

— Zdaje się, że pani nazywa ją teraz Johannonem. Chciałabym się z nim zobaczyć.

— Nie ma go. Wyjechał kilka tygodni temu.

Rachaela w to nie uwierzyła. Sofie jest chora psychicznie. Poza tym chyba bardzo się bała.

— Przepraszam — powiedziała Rachaela — ale muszę to sprawdzić sama. Proszę wybaczyć, że pani nie wierzę.

— Ty suko — powiedziała tym razem spokojnie.

— Naprawdę tak pani o mnie myśli? Chyba się za bardzo nie znamy.

— Suka! Suka! Dziwka! Wynocha stąd! Spokój Rachaeli w jednej chwili prysnął.

— Nigdzie nie pójde dopóki nie upewnię się, że nie ma tu Athene — oświadczyła. — W którym miejscu mogę zacząć poszukiwania?

Sofie zamachała skrzydłami w czerwono — zielone pasy.

Rachaela nie planowała swoich posunięć, lecz prawdopodobnie były one już zaprogramowane w jej umyśle. Uderzyła Sofie dłonią ozdobioną pierścieniami, a drobna kobietka z jękiem upadła pod rzeźbę. Leżała tam i zalewała się łzami, rozmazując makijaż.

— Jesteś ze Scarabeidów.

— Tak. Jestem ze Scarabeidów — to powiedziawszy, Rachaela podeszła do drzwi.

Otworzyła je i ujrzała zakurzony gabinet z półokrągłym biurkiem na wysoki połysk. Dalej znajdował się pokój pomalowany na pomarańczowo. W obydwu pomieszczeniach było pusto.

Gdy Rachaela powróciła na korytarz, Sofie leżała jeszcze na dywanie. Twarz kobiety pokrywały czerwone cętki; najprawdopodobniej zafarbowała sukienka, gdy pocierała nią oczy.

Zachowuję się jak Adamus albo Malach, pomyślała Rachaela. Myśl ta rozbawiła ją.

— Oprowadzisz mnie po domu, czy sama mam go spenetrować?

— Jest na strychu — powiedziała Sofie.

— Na strychu? — Rachaela roześmiała się. Sofie przykryła twarz małymi rączkami.

Rachaela wbiegła po czarnych, wypaczonych schodach na górę. Serce waliło jej jak młot, czuła rozplywającą się po ciele krew.

Minęła brzydkie pokoje Sofie, ozdobione obrazami przedstawiającymi chyba katastrofy drogowe. W domu było bardzo zimno, ale Rachaela prawie wcale tego nie zauważyła. Ostatni fragment schodów wyglądał niebezpiecznie, więc musiała zachować szczególną ostrożność. Przy drzwiach zawahała się.

Nie zastanawiała się do tej pory, co szalona matka mogła uczynić ze swoim dzieckiem. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Puściły bez trudu. Odepchnął ją ohydny smród kloaczny.

— Chryste — Rachaela wstrzymała oddech.

Ochłonawszy po pierwszej fali odoru, odzyskała wzrok. W miejscu, gdzie okno przechodzi w pochyły sufit, wpuszczając do środka poranne promienie, stało łóżko. Na nim leżało coś... nieokreślonego.

Zrobiła krok do przodu, zatrzymała się i popatrzyła na chorego, zaniedbanego mężczyznę.

Długie, brudne włosy posypane zostały czymś czerwonym albo różowym. Bóg wie, co to było. Twarz oplataną masą włosów składała się z otwartych ran, które ktoś próbował zatuszować kosmetykami — błyszczkiem i pudrem. Rozkładające się chemikalia cuchnęły i mieszały się z innymi zapachami. Na włosach również znajdowały się jakieś substancje... Całe ciało przypominało rozmięktą maź.

Wszystkie potrzeby naturalne załatwiane były bezpośrednio do łóżka. Nieszczęsną postać okrywała różowa koszula nocna oblamowana drogą koronką.

W różowym pokoiku rozgrywał się różowy horror. Kawa wypita w porcie podeszła Rachaeli do gardła. Musiała ją przełknąć po raz drugi. Czy to jest... ona? Czy żyje jeszcze?

— Rachaelo — odezwał się biedny stwór. Z zaślinionych ust obrzeżonych zarostem i pomalowanych jaskrawą szminką wydobył się głos. A może to tylko sen?

— Nie, to nie sen — usłyszała. To była Althene.

Nie liczyło się, że cuchnęła i wyglądała straszliwie. Ważne, że żyła w tym mrocznym pokoiku na strychu. Althene.

— Zejdę po pomoc — wykrztusiła z wysiłkiem Rachaela. — Na dole jest pewien człowiek... Hałas przy drzwiach zmusił ją do odwrócenia głowy. Dziwny widok.

Z tyłu, cichutko, na paluszkach podchodziła Sofie z podniesioną chudą ręką, w której trzymała niewielki nóż. Za nią szedł pewien mężczyzna... ale nie był kierowcą. Miał na głowie beret; podłużna twarz, jakby rzeźbiona w brązowym drewnie, wyrażała skupienie. Wytrącił Sofie nóż. Drobną kobietą zahuczała jak sowa. Nóż upadł na podłogę. Tajemniczy przybysz popchnął Sofie, a ona ulotniła się, jak pod wpływem czarów.

— Madame — odezwał się właściciel beretu po angielsku. — Rzeczywiście, potrzebna będzie pani pomoc.

* * *

Wyglądała jak drobna czternastoletnia uczennica, którą ktoś poskromił.

— Wybacz mi — powiedziała Rachaela.

— Daj spokój. To ja powinnam cię przeprosić.

Althene opatulona w koc leżała na tylnym siedzeniu wozu. Umyli ją pod prysznicem, ale niewiele więcej dało się zrobić. W pewnym momencie mogły już wyjechać do drogiego hotelu,

gdzie rodzina zarezerwowała pokój. Wcześniej jednak trzeba było wszystko zorganizować.

— Przypuszczam, że czymś mnie podtruwała — mówiła Althene. — Nawet nie wiem czym.

Trzymała mnie w osamotnieniu parę miesięcy, prawda? Próbowałam liczyć dni, ale bezskutecznie. Potem przestała się mną interesować.

— I dzięki Bogu.

— Nic by się nie stało. Rachaelo, jestem bardzo silna i wytrzymałabym wiele.

— Wiem... Nie chciała...

— Później o tym porozmawiamy.

— Bardzo się bałam tego, co jej zrobią — ciągnęła Althene. — Ależ ona mnie nienawidzi!

Rachaela zauważyła, że samochód skręca obok kremowego budynku, w wąską uliczkę biegnącą wzdłuż kanału.

— Dalej będziemy szły pieszo. Tylko pięć metrów. Roman pomoże. Czy dasz sobie...

— Tak.

Samochód zatrzymał się. Ze środka wysiadł mężczyzna z twarzą jak pudło skrzypiec.

Również z hotelu pośpieszyły na pomoc dwie osoby. Rachaela nie chciała opuścić Althene, ale do czasu wejścia do hotelu musiała.

ROZDZIAŁ 45

Letnie słońce zamieniło miasto w rozgrzaną kuchenkę. Drzewa się zazieleniły, ale woda gdzieśkolwiekś śmierdziała skisłymi warzywami. Spaliny samochodowe gromadziły się w powietrzu. W oknach czerwieniły się kwiaty. W starych pokojach hotelowych można było znaleźć odrobinę chłodu.

W salonie promienie słońca migotały na błyszczącym żyrandolu i kryształowych popielniczkach, tworząc jasne plamy na sofach pokrytych jedwabiem w żółte paski i fotelach w głębokiej zieleni.

Piękna kobieta w sandałkach na wysokim obcasie przemierzyła wolnym krokiem podłogę z wypolerowanego drewna. Wyglądała na nieco osłabioną, jakby dręczyła ją jakaś choroba. Gładka skóra sprawiała wrażenie trochę wysuszonej i naciągniętej; na całym ciele rysowały się brązowe cienie.

Althene ubrana była w niebieską sukienkę przylegającą do ciała. Jej figura odznaczała się szczupłością. Z prawej strony miała przypiętą złotą broszę w kształcie liścia; lewą dłoń zdobił duży pierścień przedstawiający węża zwiniętego w kółko.

Usiadła i czekała. Na stoliku przed nią, na lśniącej tacy stała herbata earl grey i małe ciasteczka francuskie, których nie wolno jej było ruszać.

Nalała sobie filiżankę herbaty pochylając się nad stolikiem. Z niezadowoleniem spostrzegła, że trzęsie jej się ręka. Dwa miesiące temu było jeszcze gorzej. A jeszcze wcześniej — w ogóle bardzo, bardzo źle.

Nie uniosła od razu głowy, gdy otworzyły się drzwi do salonu. On wszedł po cichu i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Zawsze traktował Althene jak kobietę.

Dopiero wtedy na niego spojrzała. Zmienił się. Wiedziała, że tak będzie. Malach wyglądał teraz na pięćdziesiąt kilka lat i trochę przytył. Wilcza twarz wyrażała jednak dalej niezaspokojony głód. Symetryczne rysy zbudziłyby zachwyt każdego artysty, podobnie jak długie włosy zaczesane do tyłu i spięte w kitkę.

Ubrany był w ciemny, lekki, letni strój. Nie chciał się niczym wyróżniać. Dlatego też spotkali się w miejscu często uczęszczanym.

— Gorąco dzisiaj.

— Tak. Gdzie ona jest? — zapytał.

— Rachaela udała się w okolice zielonego, żelaznego mostu, by kupić biżuterię. Znów oddaje się pasji kolekcjonowania pierścieni. Spójrz na ten, Hathor. To jej najciekawsza zdobycz.

— Chyba jest ciężki.

— Tak. Przez pierwsze trzy miesiące wcale go nie mogłam nosić. Kładłam go tylko na szczęście pod poduszkę.

— A teraz już możesz?

— Tak. Teraz mogę.

— Jak zawsze pięknie wyglądasz — powiedział.

— Dziękuję, mimo że to kłamstwo. A ty się postarzałeś.

— Nie można mieć mi tego za złe. — Uśmiechnął się. — Wiele przeszedłem.

Althene naląła mu herbaty. Obserwował, jak stara się opanować trzęsienie ręki.

— Myślisz pewnie, że nie mogłem się spodziewać niczego innego, bo postąpiłem ostro.

Zastanawiam się teraz nad tamtym czynem.

— Dawniej nigdy cię to nie martwiło.

— Bo to było dawno i w innym kraju. Przedtem rozmawiali po angielsku, uwzględniając obecność Rachaeli. Teraz on odezwał się w języku niderlandzkim. — Powiem ci tylko tyle, że ją znalazłem. Znalazłem Annę. Byłem tam, gdzie oboje spodziewaliśmy się ją zastać.

Althene usiadła wygodniej.

— A więc to miejsce naprawdę istnieje — powiedziała, marszcząc brwi.

— Tak, oczywiście, że istnieje. Na cóż innego on mógłby liczyć?

— Anna jest teraz w jego władaniu.

— On także.

— Chyba powinieneś dokładniej wyjaśnić, co masz na myśli — rzekła Althene.

— Nie. Nie zrobię tego. Uczynił z niej swą kochankę, żonę i córkę. A ona pragnie tego wszystkiego, co on.

— Rozmawiałeś z nią? — zapytała delikatnie.

— O tak.

— I ona wolała... Postanowiła...

— Postanowiła zostać z nim.

— To czarodziej. Mógł ją opętać.

— Zapominasz, kim ona jest.

— Moim dzieckiem.

— Już nie. Kiedyś była dzieckiem twoim i Rachaeli. Teraz jest już tylko jego córką. —

Malach uniósł porcelanową filiżankę, zajrzał do środka odstawił i ją. — Musisz się postarać o następne dziecko.

— To proste. Do tego trzeba dwojga.

— Znajdź sobie jakąś kobietę... — Na moment przerwał, ale zaraz dodał. — Która przyniesie ci trochę ciepła.

— Wiesz, że pragnę Rachaeli.

— A więc bądź z Rachaelą.

— Nie poproszę...

— To nie proś.

— Chciałabym wiedzieć o jeszcze jednej rzeczy. Czy on jest taki, jaki był?

— To znaczy jaki?

— Taki inny, taki władczy — mówiła. — Postarzał się? Zmienił? A może odmłodził?

— On zmienia się tak jak ziemia — rzekł Malach. — Bezustannie, lecz niepostrzeżenie.

Wygląda młodo. Karmi się wszystkim i wszystkimi. Nic mu nie szkodzi. Nie ma dla niego też żadnych przeszkód, ani zasad. Zawsze musiał jej pragnąć, a my przypuszczaliśmy, że o niej zapomniał. Myliliśmy się.

— Czy była taka eh wiła, że mogłeś...

— Mogłem go zabić? Tak. Kilka razy. Ale on pozbawił me serce wszelkiego wigoru. —

Malach usiadł wygodniej. Pomimo wieku miał młodą twarz; w oczach jaśniało blade światło. —

Czułem się wyspany ze wszystkich sił. W końcu wampiry to wampiry.

— Wyzdrowiejesz — powiedziała. — Oboje dojdziemy do siebie.

— Tak? Chyba tylko dlatego, że tego pragniemy.

Gdzieś w zaciszu hotelu rozległ się słabo słyszalny dźwięk.

— To może być Rachaela — powiedziała Althene. — Chcesz się z nią...

— Nie. Nie chcę się z nią widzieć. Powiedz jej co chcesz.

— Powiem jej prawdę. Chociaż zajmie mi to chyba kilka godzin.

— Tak krótko?

Wstali od stolika. Spoglądali na siebie ponad nie wypitą herbatą.

— Kiedyś bardzo mi pomogłeś — odezwała się. — Chciałabym ci się zrewanżować.

— Lepiej nie. Wystarczy jedno życie, którym trzeba się zająć. A nasze życia są szczególnie długie.

Kiedy odszedł, podniosła jedno ciasteczko i zgniotła je w dłoni. Nie wiedziała, dlaczego to robi. Zniknęło coś słodkiego, coś dobrego.

Stara służąca Jutka, opowiadała Malachowi o polnych lisach. Rzadko się z nią spotykał. Zastał ją w toalecie należącej do sypialni, gdy leniwym ruchem zamiatała podłogę. Nie wycofała się.

Stała przy zasłoniętym łóżu i spoglądała na pomalowaną kołyskę.

Opowiadała o białym lisie, który przychodził do jej ogrodu. On stwierdził wtedy, że to musiał być pies, bo tam nie było lisów. Nie zamierzała wdawać się w dyskusje. Jutka nigdy nie dyskutowała.

— Zostawiałam dla niego gotowanego kurczaka — powiedziała. Może więc lis uciekł z

jakiejs prywatnej kolekcji zwierząt? Początkowo psy były zadowolone, bo mogły gonić za lisem

po kamieniach wokół parku.

Stopniowo jednak Firs i Kraai zaczęły tracić humor. Przykro było na to patrzeć.

Szczekały, ganiały go po zarośniętym ogrodzie, próbowały go zapędzić w pułapkę, wpadły w resztki tulipanowych rabatek, w końcu, z podwiniętymi ogonami zaczęły skomleć.

Złościła go opowieść o białym lisie. Najwyraźniej była to Ruth, symbol Ruth i Anny, połączonych w jedno. Może to był rzut podświadomości Malacha, może duch Anny mieszkającej w białym grobowcu Caina...

Przez całe popołudnie pił w barze zdobionym miedzianymi czajniczkami i rogatymi czaszkami. Zamawiał piwo, brandy, jenever. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Był tylko starszym mężczyzną zamawiającym kilka drinków.

Gdy zapadł zmierzch, ożyły neony. Zapaliły się też uliczne latarnie i na kanały padł blask świateł. Czekał dalej, obserwował drinki przesuwające się po blacie do klientów. Był trzeźwy jak nieboszczyk na imprezie, choć skończył już drugą butelkę brandy.

Była już godzina druga, gdy boczną uliczką poszedł do niej. Mężczyzna przy drzwiach rozpoznał go, ale zmęczona i brudna kobieta nie chciała go wpuścić.

Wszedł po schodach na górę i zapukał do drzwi. Słuchał jej kroków. W mieście, jak rzadko kiedy, panował spokój. Gdzieś z oddali dobiegł go jakiś głos i zaprosił do środka.

Siedziała przy stole w zabałaganionym i nieprzyjemnie pachnącym pokoju. Żydówka. Nie, jego krew wcale nie wpłynęła na nią dobrze, chociaż tak bardzo pragnęła ją otrzymać. Roztyła się, włosy miała teraz cieńsze, bardziej łamliwe i w kolorze suchej trawy. Kąciki ust były skierowane w dół. Tylko w ciemnych oczach można było dostrzec uśmiech.

Druga kobieta, stara i chuda jak patyk, wycelowała w niego magnum kaliber 0,357 cala. Ręka nawet jej nie drgnęła. Widać było, że jest zadowolona ze swej roli. Z ust zwisał papieros; sączący się dym przywodził na myśl uchodzącą z niej duszę.

— Nie ma potrzeby — powiedziała Żydówka. — Odłóż tę niebezpieczną rzecz. To mój przyjaciel.

Chuda kobieta odłożyła pistolet, wyjęła z ust papierosa i wypuściła kłęb dymu.

— Każ jej wyjść — powiedział Malach.

— Masz prywatną sprawę, mój piękny? Chociaż wcale nie taki piękny, bo już nie potrzebuję twojej krwi. Nic nie jest warta.

— Nie przychodzę tu ze swoją krwią. Mam za to trochę guldenów. Chuda kobieta odeszła, zostawiając na stole pistolet obok talii kart i świeczek powstawianych do cynowych kubków.

Ćmy latały nad stołem nie zważając na płomienie. Pośrodku stołu stała w szarej szklance zwiędła róża z idealnie zasuszonym pękiem w kolorze tytoniu.

— Patrz, mam pamiątkę po tobie.

— To nierozsądne — powiedział. Usiadł przy stole naprzeciwko Żydówki.

Lekko uniosła głowę. Oczy poruszały się zupełnie niezależnie od innych części twarzy.

Zwłaszcza od grubych warg.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Opowiedz mi o niej.

— Daj jej spokój.

— Nigdy.

— Dlaczego nie zająłeś się nią, kiedy mogłeś? Poszłoby ci jak po naśle.

— Nie wiem — odpowiedział. — Może chciałem poznać ból z powodu utraty. Teraz już do niego przywykłem.

Spojrzała mu prosto w oczy pełne chłodu.

— Nie płacz przy moim stole, bo to przynosi pecha.

— Kobieto, przecież to ty przynosisz pecha.

— Ale nie tak wielkiego jak ty.

Podźwignęła się z miejsca, bez odrobiny skrępowania poprawiła sobie piersi, a potem wbiła wzrok w podłogę, jakby zaglądała do podziemnego świata.

— Ona jest już jego. I wiesz, co jeszcze widzę? W brzuchu nosi jego dziecko.

Malach tylko się przyglądał.

Żydówka zaczęła się krztusić. Straszliwie śmierdziało jej z ust, ale Malach się nie odwrócił.

— Daj pieniądze — powiedziała Żydówka.

Wyjął brązową paczuszkę i trzymając za jeden koniec wytrząsnął na stół banknoty. Kolorowe papierki wyglądały jak parodia kart do wróżenia.

— Powiem ci jeszcze jedną rzecz — mówiła.

Malach czekał.

— Ona jest biała jak śnieg, ale dziecko w jej łonie ma kolor czarny. Jak węgiel.

Podniosła głowę i wpatrywała się w pusty kąt pokoju.

— Nowa ciemność — dodała.